Z ZACHODNICH KRESÓW

FRANCISZEK MORAWSKI

Z ZACHODNICH KRESÓW

SZKICE I ROZPATRYWANIA

Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie
1906

Czcionkami drukarni „Czasu“ w Krakowie.

Z zachodnich kresów Polski, z ziemi smutku i niedoli, książka niniejsza przynosi wiązankę szkiców i rozpatrywań.

Rozproszone po różnych czasopismach, te luźne artykuły powstały w ciągu ostatnich dwóch lat, z góry już, w myśli autora, przeznaczone do utworzenia zbiorowej całości.

A choć wielkiego tematu walki dziejowej na kresach Słowiańszczyzny nie ukazują w zupełności te obrazki z życia współczesnego, choć częściowo tylko oświetlają one to pole rozległe, na którem mierzą się ze sobą siły dwóch narodów i dwóch ras, to jednak nie zdało się stosownem czekać z ich zebraniem na dalsze i obfitsze ich dopełnienie.

Żyjemy dziś szybko. W epoce obecnej światowych przeobrażeń i przełomów, ewolucya spraw nam blizkich postępuje biegiem przyspieszonym. Więc zwłoka nieodpowiednią, gdy ma być uchwyconym koloryt tego, co, za chwilę, przybrać może nową postać.

Bo nowe rzeczy zwiastują się zewsząd. Od wschodu, o miedzę, odzywa się grzmot burzy,

której skutki odbić się muszą daleko i szeroko. Łuna bije ku niebu, a z niej nadzieja jednych chciałaby widzieć wznoszącą się jutrzenkę, gdy obawy innych rosną z widmem niszczącego pożaru, zaś pożądliwość sąsiedzka oblicza już wzmocnienie własnej przemocy.

Wielcy i mali przedstawiciele germańskiego naporu, przypominają bezustannie tych nowych rzeczy zbliżanie się coraz prędsze.

Ze strony niemieckiej politykuje się na kresach z nerwowym pospiechem, jakby w przewidywaniu dalszych zadań, przed których rozpoczęciem należy uporać się z tem, co dotąd nie załatwione.

Coraz to potężniejsze tarany wysuwa szowinizm germański przeciw wyszczerbionym już murom, kresowej dziś, a niegdyś jądrem ojczyzny będącej, twierdzy Bolesławowej.

I gdy taranów tych moc niejednokrotnie zawiodła, naczelne dowództwo wysila się na wyszukiwanie wciąż nowych sposobów, byle dopiąć pożądanego celu.

Tych zapasów wzajemnych, naporu i obrony, przesuną się przed oczami czytelnika obrazy. A obok zastanawiania się nad sprawami w obozie własnym, wzniosłemi lub ujemnemi, przyjdzie mu nieraz zaglądnąć do obozu przeciwnika i spoglądać nietylko na żądło jego śmiertelnej nienawiści, dla własnych dzieł zabójcze, ale i na właściwości jego odrębne, a także na broń poważną, zasoby

potężne woli, energii i rozumu, będące przyczyną już tylu jego zwycięstw nad nami.

Kresowego dramatu dalsze akty zakrywa nam przyszłość. Ich całokształt określi nam kiedyś historya. Skromnym zaś dla niej przyczynkiem są zapiski współczesne, zbierając materyały, przechowując nastrój chwili.

Takim jest cel tej wielkopolskiej książki.

Z WIELKOPOLSKIEJ SZKOŁY.

O zmroku wieczornym przechodzę koło szkoły. Ładna szkoła, wiejska, sielska. Pokryta prawie cała dzikim winogradem, otoczona ogródkiem, pełnym kwiatów i sadem. A dalej za nią jasne tło pszenicznych pól i ciemna wstęga lasu. Wieś polska, dwór polski i nauczyciel Polak, p. Kotwicz, poczciwy, znany mi, człowiek. Ot właśnie na ławie kamiennej siedzi przed domem i zażywa wczasu wieczornego.

Cały obraz cichy, spokojny, taki odmienny od tych, które nam zwykły przedstawiać pisma, z potwornym belfrem, szpiegiem czyhającym w środku wsi na każdy objaw polskości, jak pająk na muchy, ślącym berychty do władz wyższych, a zato niższych traktującym dwiema miarami. Rodziców denuncyacyami, które na nich sprowadzają kary pieniężne, a dzieci trzciną po zakrwawionych palcach, lub odpisaniem pięćset razy buntowniczemi paluszkami pięciu słów — *lieb Vaterland kannst ruhig sein.*

Tu tego wszystkiego ani śladu. Błogosławiony zakątek kraju, ominięty dotąd przez hakatystyczną hydrę. Po dawnemu, jak niegdyś za młodych lat, gdy z tej samej szkoły nauczyciel przychodził

udzielać mi lekcyj do pierwszych klas gimnazyalnych, można tu wstąpić i pogawędzić trochę z jego następcą. Witam się zatem i zapowiadam, że przyszedłem na dłuższą wizytę, by dowiedzieć się, „co tu w szkole słychać“. Pan nauczyciel kłania się nizko, dziękuje za odwiedziny. Widocznie bardzo zaszczycony wizytą „ze dworu“. Chce prędko iść zmienić płócienną bluzę na czarny surdut i z biedą udaje mi się powstrzymać go od tego ceremonialnego czynu. Ale gdy siedząc obok niego na ławce powtarzam zapytanie, co słychać w szkole, odpowiada szybko i w sposób wymijający.

— Tu nic nie słychać, proszę pana. Tu nigdy nic nie słychać. Pan inspektor przybywa co tydzień i zawsze bardzo zadowolony. Tak, bardzo zadowolony.

Czuję nerwowe drżenie w jego głosie i nie nalegam dalej. Zresztą właśnie na bicyklu przyjechał umundurowany listonosz i oddaje pocztę. I on Polak, syn włodarza z sąsiedniej wsi. Po chwili znika nam z oczu za skrętem drogi, tylko dzwonek słychać coraz dalej na gościńcu, biegnącym przez wieś.

Rzucam okiem na pocztę, odebraną przez nauczyciela. *Posener Neueste Nachrichten*, *Kreisblatt* i jakieś niemieckie związkowe pisemko dla nauczycieli. Zdziwiony zapytuję:

— Jakto, nie trzymasz pan żadnego pisma polskiego?

Widzę z wyrazu twarzy pana Kotwicza, że nie w smak mu moje pytanie.

— Nie, panie. Ja żadnej polskiej gazety nie trzymam.

Przychodzi mi myśl szczęśliwa. Proszę o pokazanie lokalu szkolnego. Tam przy zamkniętych drzwiach nacieram na wylękłego nauczyciela, zapewniam, że przecież mnie nie potrzebuje się obawiać, że nas tu nikt nie słyszy. Argumenta moje zwyciężają. Panu Kotwiczowi rozwiązuje się język i otwiera serce.

— Bo widzi łaskawy pan, my nauczyciele Polacy jesteśmy teraz, jak myszy na pudle. Dusza ciągle na ramieniu. Boi się człowiek własnego cienia. Denuncyacya pierwsza lepsza, choć zupełnie fałszywa, wystarczy władzy, gdy chodzi o Polaka, by go przenieść o sto mil stąd, nad Ren albo nad brzegi Morza Północnego. Dobrze jeszcze, gdy się na przeniesieniu skończy. Jeżeli oskarżenie poparte choćby najmniejszym dowodem, jeżeli udowodnią któremu z nas choć najlżejszą skłonność do popierania sprawy polskiej, wtedy koniec z posadą. Można wtedy zostać Polakiem na dobre, ale na bruku.

Żal mi biedaka i serce ściska się wobec tego, co mówi, ale doprawdy, zdaje mi się, że przesadza. Oględnie staram się mu to wyrazić.

— Przecież tu wieś polska, sami swoi. Tu pan niczego nie potrzebujesz się obawiać.

Lecz pan Kotwicz jednak obawia się. Niedawno jeszcze w sąsiedniej wsi zły człowiek, pijak i gałgan ostatniego rzędu, zadenuncyował nauczyciela, że pokryjomu udziela lekcyj polskich. A było to prawdą. Teraz biedny ex-sąsiad siedzi na łaskawym chlebie u krewniaka sklepikarza w miasteczku i rozpisuje listy z prośbą o najlichszą służbę prywatną. Kotwicz pożyczył mu dwadzieścia marek, których zwrot nie prędko zapewne nastąpi.

Obawy nauczyciela zaczynają mi być zrozumiałe. Na sielankę wiejską patrzę już innem okiem. Poza jej pogodnem tłem odkrywa się dramat, smutny dla mnie, ale o ileż straszniejszy dla tego biedaka, którego mam przed sobą, jednego z tych ostatnich, z tych niedobitków, którzy jeszcze, jakby cudem, utrzymali się w samem jądrze najwściekłejszej nienawiści germańskiej, w szkole pruskiej.

Pytam dalej a dowiaduję się rzeczy strasznych, na które nawet Poznańczyk zblizka musi patrzeć, by je w całej ich grozie sobie uprzytomnić. Z tego piekła nawet skarga jest tak cichą, że ledwie dosłyszalną. Bo tam panuje tylko jedno uczucie, strach ciągły, bezustanny, szarpiący nerwy wizyą tego, co i tak przyjść musi prędzej, czy później, ostatecznego wygnania na obcą ziemię. Kotwicz mówi, a przedemną przesuwają się sceny z martyrologium polskiego, takie krwawe, takie upokarzające, że choć już zwyczajni tu jesteśmy wielu rzeczy, łzy do oczu się cisną.

Słyszę historyę biednego chłopca, który dla chleba, w lepszych trochę czasach, przed laty kilkunastu rozpoczął zawód nauczycielski. Już w seminaryum poznał, czem tutaj karyera dla Polaka. Widział nagłe rewizye w nocy u kolegów, gdy rektor z posługaczami szkolnymi ściągał sienniki z łóżek i przetrząsał w nich słomę, czy przypadkiem polska książka w nich nie ukryta. Pamięta, jak aż na piec włazili i raz rozerwali miejsce ustępowe, bo pedel szkolny powiedział, że tam musi być kryjówka polskich rzeczy. Otwierano listy, zapuszczano rękę do kieszeni. gdy uczniowie wracali z wakacyj. Rozdzielano Polaków tak, by ni-

gdy razem w jednym pokoju nie spali, lecz zawsze z kolegami Niemcami. A pracować kazano podwójnie, potrójnie. Niemcom wysługiwali się Polacy robiąc za nich zadania, które potem otrzymywały najlepszy numer. Ich własne zaś prace dla najmniejszego błędu, dla najdrobniejszej usterki, odrzucano, przekreślano z zapamiętaniem, rzucano z wściekłością w twarz wobec całej klasy. Szpiegostwo ze strony kolegów płacono pieniędzmi i protekcyą w szkole. To też co chwila znikał jeden z Polaków nagle, bez pożegnania, bez poprzedniej zapowiedzi, przy wychodzeniu z sali wykładów. Pedel już znosił zapakowany kuferek ze schodów i stawiał go przed bramę gmachu, *ad usum* wypędzonego.

Ale on, Kotwicz, nie dał się wypędzić. Miał silną wolę i postanowił przetrwać, bądź co bądź. Był też ostrożnym tak, że, jak powiada, niemal bał się myśleć po polsku. Śpiewał głośniej od innych *Deutschland, Deutschland über Alles*, oszczędzał grosiki kieszonkowe, dane przez rodziców i raz całą markę ofiarował na składkę, otwartą w szkole przez nauczycieli na pomnik Bismarcka. I przetrwał. Uzyskał nawet posadę nauczycielską w pobliżu wsi rodzinnej, cel swych marzeń. Teraz siedzi tam od lat już kilku, a zawsze tak, jak gdyby był jeszcze w seminaryum, jak mysz na pudle. Po polsku do dziecka słowa nie przemówi, z Polakami mało się wdaje, odwiedza sąsiednich nauczycieli Niemców i podlewa starannie *Kaiser Wilhelmeiche*, dąbek, posadzony przed szkołą w obecności pana inspektora i pana komisarza i pana żandarma na pamiątkę zmarłego dziada obecnego

monarchy. To też gdy inni na bruku lub na wygnaniu, jego nie ruszają z miejsca.

— Bo zresztą — dodaje — inspektor okręgowy porządny człowiek i wyrozumiały.

Miły Boże! Takie to stosunki nazywają się wyrozumiałością! A jednak nazywają się słusznie. Bo pan Kotwicz, choć jest takim, jakim go opisałem, ryzykuje jednak wiele, bardzo wiele. I jest śmiałym, bardzo śmiałym. Po pierwsze nie bije dzieci szkolnych nigdy, zasadniczo. Po drugie, rozmawia w domu, w pokoju, z rodziną po polsku. To jest odwaga nie lada. Odprawiona sługa, żyd kupujący gęsi, byle kto, pierwszy lepszy, może wypaplać lub zdradzić przez złość. A tu w tajnych *Berychtach* inspektora do władzy wyższej, podawanym jest zawsze jako *deutsch sprechend in der Familie.* Oficyalnie zapytuje go o to od czasu do czasu inspektor, a wtedy żona i dzieci, wytresowane jak na musztrę, natychmiast odpowiadają po niemiecku i zaręczają, że *mit dem Papa sprechen wir nur deutsch.* I poczciwy inspektor, który wie, co bieda ludzka, zadowalnia się tem i nie czyni tego, co czynią inni, nie bada dalej, nie pyta sług, sąsiada, jedynego Niemca, zamieszkałego we wsi. Nie szpieguje. To też pan Kotwicz nosi go w sercu i obawia się jak ognia zmiany w inspektoracie.

Lecz wracam do tego, co mówił o biciu. — Więc biją jeszcze, pomimo Wrześni, pomimo skandalu europejskiego, który z tego wyniknął? Nauczyciel uśmiecha się smutnie.

— O panie, biją, jak bili, po wsiach, w miasteczkach są trochę ostrożniejsi. Ale też tam dzieci śmielsze. Zaraz idą na skargę do rodziców. A te-

raz wolą tam u góry, by w gazetach o tych sprawach już nie pisano. Lecz w głuchej wiosce wolno wszystko. Nauczyciel dokazuje ile chce. A skarga jakże rzadka, a gdy nastąpi, jak rzadko skuteczna. *Berychty* i sprawozdania ciągną się bez końca. Wolą nie rozpoczynać sprawy. Tak np. niedaleko stąd, o dwie mile, pobił nauczyciel chłopca polskiego, tak, że dziecko leżało przez dwa tygodnie. Ojciec chciał skarżyć, ale właśnie, nabywszy kawał gruntu, spodziewał się konsensu na budowę domu. Obawiał się szykan, więc rzecz puścił płazem. I tak najczęściej bywa.

— A jakie postępy w niemieckiem?

— To zależy od pojętności dziecka więcej, jak od jego pilności. Nie wolno nam bowiem używać żadnego słowa polskiego przy uczeniu niemieckich nazw przedmiotów. Nauka rozpoczyna się od tego, że na dużych obrazach *ad hoc*, wskazujemy palcem na dany przedmiot, zwierzę lub roślinę i po niemiecku wymawiamy jego nazwę. Dziecko widzi rzecz i słyszy niemieckie słowo. Prócz tego przemawiam do nich wogóle tylko po niemiecku, nawet w nauce religii. Innego sposobu porozumienia się pomiędzy nami niema. Więc dziecko pojętne wcześnie przyswaja sobie niemieckie wyrazy, określające dany przedmiot lub pojęcie. Dziecko tępe — później. Ale po roku lub półtora rozumieją mnie wszystkie, a starsze czytają, piszą i mówią po niemiecku niemal poprawnie.

Przeglądam zeszyty. Rzeczywiście rezultaty świetne, błędów bardzo niewiele.

— Więc wyrosną nam z tej dziatwy prawowierne *bursze* i *mädle* niemieckie? — zapytuję.

Kotwicz zaśmiał się wesoło. Po raz pierwszy od rozpoczęcia naszej rozmowy.

— Gdzież tam, kochany panie. Po polsku czytają doskonale, przynajmniej w naszej okolicy. O tem pamiętają rodzice a także i dwory, gdzie dwór polski. Zaręczam panu, że z teraźniejszych szkółek wiejskich w Księstwie wyjdzie jeszcze tęższa generacya włościan, niż poprzednia. A tam gdzie biją, gdzie dziecko cierpi bezustannie, tam wyrastają patryoci, może aż nazbyt czerwoni. Nas nauczycieli Polaków wygubią tu niebawem do reszty, ale polskości nie wygubią nigdy.

Poczciwiec ożywił się. Jakby przerwała się w nim zapora, tamująca od dawna swobodne słowo, kreśli tutaj przedemną obrazki z życia szkolnego, jeden po drugim. Dowiaduję się, że dzieci muszą koniecznie umieć na pamięć nazwiska wszystkich królów pruskich, a także i książąt domu panującego, obecnie żyjących. W tym przedmiocie nie może być mylki, nawet najmniejszej. Władza na tym punkcie po prostu jest nieubłagana, a w danym razie karanym jest nauczyciel, nawet niemiec. Pan Kotwicz opowiada mi, jak kiedyś podczas egzaminu inspektor zadał dziecku pytanie, jak na imię synom cesarskim? — Dziecko wyliczyło cztery imiona, piątego mu zabrakło. Inspektor pyta się ponownie i czeka. Nauczycielowi zimny pot występuje na czoło. Słychać szept podpowiadania z drugiej ławki:

— *Prinz Joachim*, *Joachim*. I nagle rozlega się głośna odpowiedź zalęknionego dziecka:

— *Prinz Baldachim.*

Nauczyciela jakby piorun raził. Ale inspektor ani drgnął i spokojnie mówi do dziecka:

— *Noch einmal. Also Prinz Joa...*

— Joachim — brzmi wreszcie poprawna odpowiedź.

— Panie — dodaje Kotwicz — takich inspektorów mamy już niewielu.

Nagły turkot powozu przerywa naszą rozmowę. Powóz zatrzymuje się przed szkołą. Oto on, o którym mowa, inspektor we własnej osobie. Wychodzimy do sieni. Ciemno już zupełnie. Ściskam rękę nauczyciela, a on, jakby chciał uprzedzić moje słowa pożegnania — żegna mnie po niemiecku:

— *Danke für den Besuch. Auf Wiedersehen.*

Odchodząc, słyszę jeszcze, jak inspektor mówi do Kotwicza, że wstąpił, by mu donieść, że w tych dniach będzie lustrował szkoły w powiecie nadradca z ministerstwa oświaty, który zjeżdża w tym celu z Berlina. Wielka wiadomość i wielkie przygotowania.

Takiem jest życie nauczyciela Polaka, który p o s t a n o w i ł p r z e t r w a ć.

CZARNA DEKADA.

Znamienną rocznicę obchodziła dn. 3 listopada 1904 r. Wielkopolska — dziesięciolecia hakaty.

Dziesięć lat, to krótki na pozór okres. W tym czasie jednak jest on tak pełnym treści, tak chwila każda w nim zaznaczoną jest czynem, że w uczuciu naszem zdaje się on obejmować dzieje całego pokolenia. Niejeden, zastanawiając się nad datami, którym poświęcam kilka słów, spostrzeże ze zdziwieniem, że to, co zdało mu się wiekiem, poczęło się dopiero wczoraj. I stwierdza ten smutny jubileusz zasadę, że miarą czasu prawdziwą jest czyn.

Annale jego rozgłaszają obecnie liczne publikacye niemieckie, wydawane sumptem związku kresów wschodnich i jego zwolenników. Niech więc i z polskiej strony odezwie się kilka słów wspomnienia o tych rzeczach i sprawach, które chyba nigdy z pamięci serc polskich nie zostaną skreślone.

Materyał statystyczny rok rocznie przez prasę obu narodów zużytym bywa tak obszernie i sumiennie, że nie nad nim będę się dziś zastanawiać. Ciekawość budzi raczej historyografia potężnego ruchu szowinistycznego wśród Niemców, której

wciąż nowe zupełnie, lub częściowo tylko znane, przybywają momenta.

Rzeczywistym ojcem hakatyzmu jest Henryk Kennemann, jeden z późniejszych twórców słynnego bractwa trzech liter. Był on najczynniejszym członkiem istniejącego w Poznańskiem już od r. 1860 „Towarzystwa ku popieraniu niemieckich interesów na Wschodzie“. W r. 1868 wydał broszurę, w której zawarte są główne postulaty dzisiejszego hakatyzmu.

Ale czasy, do czynu, tak jak on go rozumiał, nie były wówczas sposobne. Rząd, choć germanizujący, oglądał się jeszcze na zewnętrzne względy przyzwoitości wobec Polaków. Opinia publiczna nie była jeszcze zapomniała odgłosów wolnościowych z roku 1848, a szczególnie urok imienia pruskiego w Niemczech był więcej niż wątpliwym. H. Kennemann nawoływał, odzywał się do rządu i do ludzi prywatnych, sam kupował z pomocą kasy państwowej majątki, ale nie zdołał zorganizować akcyi w większych rozmiarach.

Wypadało czekać. I twórca hakaty czekał. Istnieją listy jego z lat poprzedzających utworzenie cesarstwa niemieckiego, w których trafnem okiem ocenia położenie, widzi czynnik siły jedynie w przygotowujących się do rozrostu Prusach i działalność wewnętrzną idei germańskiej w państwie czyni zależną od powodzeń jego zewnętrznych.

Przyszły trzy wojny szczęśliwe. Zabłysnęła na czole Hohenzollerna korona cesarska, a *Kulturkampf* na wschodzie przybrał już cechę walki nietylko religijnej, ale i bezwzględnie narodowo-

ściowej. Antagonizm rasowy rósł bezustannie, a z ust żelaznego kanclerza hasło do niego rozlegało się daleko i szeroko. Dla Kennemanna i garstki jego najbliższych adeptów zbliżała się chwila tego czynu, w którym on jedynie widział przyszłość niemczyzny na wschodzie, t. j. zorganizowania osobnej, z poza rządu a z łona społeczeństwa niemieckiego wychodzącej instytucyi, przeznaczonej jedynie do walki z Polakami.

I znów trudno nie uznawać bystrości jego rozumowania. Oczywiście, trzeba przytem wychodzić z założenia, na którem on się opierał, założenia z punktu ogólno-politycznego błędnego, a mianowicie, że celem polityki niemieckiej wobec Polaków. nie powinno być pozyskanie ich dla idei państwowej pruskiej, lecz wytępienie żywiołu polskiego.

Kto sobie taki cel postawił jako zadanie życia, ten logicznie rozumował, nietylko potępiając wszelkie ustępstwa, lub liczenie się z Polakami, jako z czynnikiem mogącym wchodzić w rachubę, ale uważając wogóle instytucye państwowe jedynie jako organa wykonawcze działalności antypolskiej, dając im zaś jako energię i bodziec instytucyę niezależną i nieodpowiedzialną, opartą na społeczeństwie samem. W odezwaniach się jego i jego przyjaciół, ciągle wracały skargi na brak inicyatywy w akcyi rządowej:

„Nie z góry, ale z dołu powinien iść impuls do walki. Naród sam powinien zmuszać władzę do czynu. Wtedy dopiero czyn ten będzie stałym i energicznym. A prócz tego nieszczęściem naszem na wschodzie jest, że w szyku bojowym zatrzymu-

jemy kastowe różnice ustroju społecznego niemieckiego. Osobno idzie rolnik, osobno urzędnik, osobno kupiec. Nam potrzeba nowej instytucyi, w której wszystkie stany będą złączone, instytucyi, będącej syntezą pangermanizmu".

Takie żądania odzywały się, takie zamiary i prądy nurtowały wśród sfer niemieckich w Księstwie, w chwili, gdy z polskiej strony najmniej na nie zwracano uwagi, gdy właśnie ustępował żelazny kanclerz i młody monarcha zdawał się nowym kursem nowe drogi pokoju i zgody wskazywać obu narodowościom, zamieszkującym wschodnie kresy swego państwa.

Henryk Kennemann i jego przyjaciele przycichli. Ich marzenia rozwiały się z wiatrem przyjaznym Polakom. Fala nadziei polskich rosła i nowa jutrzenka zdawała się świtać nad naszą nieszczęśliwą ziemią.

Któż byłby zwracał uwagę na garstkę adeptów Kennemanna, nie odgrywającą żadnej roli politycznej. Któż byłby dbał o tego starzejącego się już człowieka, który z pochmurnem czołem i zamyśloną twarzą objeżdżał swoje ogromne włości, usuwał się od spraw publicznych i milczał coraz zacięciej, im bardziej bieg polityki cesarskiej obalał to, co było treścią i pragnieniem jego życia.

A jednak spokój ten i zniechęcenie było tylko pozornem. Garstką owych malkontentów kierowała wola żelazna, niczem niezachwiana i plan określony, który czekał tylko chwili sposobnej do wystąpienia jawnego. Chwila ta zaś nie była dla Kennemanna i jego grupy zakryta tajemnicą przy-

szłości. Słusznie rozumieli oni, że Bismarck, usunięty z urzędu, stanie się większą potęgą moralną dla narodu, niż gdyby zgiął kark pod jarzmem nowego władcy i nowych stosunków. I zrozumieli, że wszystkie żywioły, niechętne nowemu kursowi, złączą się pod egidą wielkiego malkontenta warzińskiego w jednę falangę opozycyi, tak potężną, że niebawem sam monarcha odczuje jej siłę. Pozornie niekorzystna dla przyszłych hakatystów chwila była właśnie dla nich korzystną, zbliżała bowiem urzeczywistnienie tej właśnie konstelacyi wewnętrznej, której oni pragnęli, t. j. powstanie impulsu pangermańskiego ze strony pozarządowej.

I dlatego Henryk Kennemann nie załamywał rąk, lecz pocichu, bardzo po cichu, naradzał się z przyjaciółmi, werbował nowych i przysposabiał się do czynu.

Nadeszła pamiętna jesień 1894 r. Już pod ciężarem opozycyi bismarckowskiej zaczynała uginać się i chwiać t. zw. *Polenpolitik* cesarza. Jedna oznaka po drugiej zwiastowała zwrot w usposobieniu monarchy, a opinia publiczna w Niemczech coraz częstsze okazywała symptomy zwracania się na tory, wskazywane jej bezustannie z Warzinu.

U Kennemanna odbyła się walna narada. Walna, lecz nieliczna. Wzięli w niej udział, oprócz gospodarza, dwaj ludzie, których nazwiska odtąd stały się głośnemi, pp. Hansemann i Tiedemann. Jeden i drugi posiadali dobra ziemskie w Księstwie. Obaj przejęci byli żądzą walki z polonizmem. Po za tem różnili się jednak bardzo, a różnili także od samego Kennemanna. Ten ostatni,

jako patryarcha ruchu pangermańskiego na kresach wschodnich, przedstawiał tradycyę i zasadę, Ferdynand Hansemann wpływy i stosunki w wysokich sferach, a trzeci towarzysz, Henryk Tiedemann, właściciel Jeziorek w pow. poznańskim, sprawność do praktycznej inicyatywy i czynu. Jemu też należy się zaszczyt bezpośredniej podniety do hakatystycznej organizacyi. Podczas narady nad położeniem zauważył on bowiem, że wkrótce, we wrześniu, żelaznemu kanclerzowi z całych Niemiec deputacye składać będą hołd. Niech zatem i z Księstwa podąży grono patryotów do dworca warzińskiego.

Myśl Tiedemanna znalazła gorący oddźwięk u jego obu towarzyszy. Postanowiono natychmiast zabrać się do dzieła. Organizacyą wycieczki zajął się sam Tiedemann, przedwstępnych kroków u Bismarcka podjął się Hansemann, sankcyi całemu projektowi udzielił Kennemann.

Pierwszą rzeczą było porozumieć się z kanclerzem. Znał go Hansemann już od lat kilku. A poznał go w jednej z takich chwil, w których i słowa i ludzie większej nabierają wagi, w dniu dymisyi kanclerza. Do drzwi opuszczonego przejściowo przez wszystkich, upadłego mocarza, zapukał był wtedy gość, syn dyrektora dyskontowego banku, wnuk żyda Dawida Hansemanna, który niegdyś handlował polską i niemiecką wełną, a później, w r. 1848, dotarł aż do ministeryalnej teki pruskiej.

Ferdynand Hansemann, przyjęty przez ekskanclerza, zapewnił go o swem bezgranicznem uwielbieniu i wyraził nadzieję, że Bismarck, usu-

nięty od władzy, stanie się groźniejszą jeszcze potęgą niż pierwej. Słów tych, zwróconych do niego w chwili nieszczęścia, nie zapomniał Bismarck gościowi swemu nigdy.

Od tego czasu syn bankiera częstym bywał gościem u ekskanclerza, który coraz więcej cenił jego zapatrywania polityczne. Pewnego dnia, gdy Hansemann przybył na wieś do Bismarcka, zastał go czytającego z wielkiem zajęciem gazetę.

Powitawszy gościa, książe przeczytał mu sam głośno artykuł o sprawie polskiej i zawołał:

— Ten, co to napisał, jest prawdziwie rozumnym człowiekiem.

Gość uśmiechnął się zlekka.

— Cóż to — zawołał książę, niezwyczajny tego, by ktoś o jego słowach mógł powątpiewać — czyż nie jesteś pan mego zdania?

— Najchętniej, mości książę — brzmiała odpowiedź i chyba tylko skromność nakazuje mi uczynić pewne zastrzeżenia wobec wyrażonej o artykule tym pochwały.

Autorem artykułu był sam Hansemann, a epizod ten przyczynił się jeszcze do ścieśnienia węzłów przyjaźni pomiędzy nim a ekskanclerzem.

To też lepszego orędownika u żelaznego księcia nie mogła sobie wybrać rodząca się hakata. Hansemann przygotował teren, odebrał wskazówki od Bismarcka, zapewnił deputacyi dobre przyjęcie, oraz mowę polityczną ze strony kanclerza na temat kresów wschodnich i wrócił do Księstwa, gdzie posiadał piękne dobra Chociszewskie, niegdyś własność Mycielskich, później księcia Wilhelma Radziwiłła, który je ojcu jego niedawno był sprzedał.

Tam już czekał na niego Tiedemann, który, dowiedziawszy się o korzystnym rezultacie podróży swego przyjaciela, natychmiast ogłosił program zbiorowej pielgrzymki do Warzina i rozwinął niesłychaną energię w jej urządzeniu.

Sprawa bowiem wcale nie była łatwą. Ze strony rządowej poparcia żadnego, owszem, stanowcza niechęć. Naczelny prezes Księstwa Poznańskiego zajął wobec projektu stanowisko wprost wrogie, landraci, posłuszni wskazówkom, idącym *via* Poznań z Berlina, przestrzegali, że manifestacya zamierzona będzie miała znaczenie występu antycesarskiego, gdy Bismarck znajduje się w ostrem przeciwieństwie do monarchy.

Tiedemanna nic nie odstraszyło, nie zraziła go żadna niechęć. Listy zapraszające obiegły całe wschodnie kresy. Na gazety wpłynęli Hansemann i Kennemann. Mężowie zaufania otrzymali polecenie zapisywania zgłaszających się po powiatach członków wyprawy i w dwa tygodnie po powrocie Hansemanna od Bismarcka, wyruszało dwa tysiące Niemców z Księstwa, pod dowództwem trzech ojców hakaty, do Warzina. Szesnastego września przyjął ich Bismarck i w odpowiedzi na entuzyastyczne hołdy, wygłosił mowę, w której wskazał na konieczność organizacyi pangermańskiej na wschodzie. Mowę jego powitano okrzykami pełnymi zapału i postanowiono natychmiast zawiązać towarzystwo ekonomiczno-polityczne dla poparcia niemczyzny na kresach.

Hakata była zrodzoną.

Tego samego dnia o dwieście mil na wschód, we Lwowie, z ust posła wielkopolskiego rozbrzmie-

wała antyteza mowy warzinskiej. W tydzień zaś później, dnia 22 września, cesarz Wilhelm ogłosił w Toruniu zapowiedź kursu najnowszego, walki na śmierć i życie z Polakami.

Trzej twórcy hakaty dobrze przewidzieli chwilę, w której się obróci nowa karta w księdze historyi polsko-niemieckiej.

ORZEŁ BIAŁY W POZNANIU.

Przed teatrem Apola ruch niezwykły. Gęsto zbite tłumy publiczności tworzą po obu stronach wejścia szpaler, wśród którego połyskują hełmy żandarmów, pilnujących porządku.

To dzień wielki i uroczysty, jubileusz, jakiego tu jeszcze nie było, 13 listopad 1904 r. — to święto hakaty!

Drogą wolną wśród szpaleru zbliżają się goście. Oto pierwsi, miarowym krokiem, z rapierami w ręku, maszerują studenci wszechnic niemieckich w pełnym burszowskim rynsztunku, długich butach, łosiowych spodniach i barwnych czapeczkach na głowie. Obsadziwszy drzwi i schody przyjmują dalszych przybyszów. Idzie cała fala urzędników w mundurach, weterani związków wojskowych z medalami i krzyżami na piersiach, brzmią okrzyki powitania *All Heil* i *Heil Deutschland.* Salutują rapiery i wypreżają się mundury, gdy wchodzą, okryci gwiazdami orderowemi, dygnitarze. Oto starosta krajowy Dziembowski, prezes ziemstwa kredytowego Staudy, nadburmistrz poznański Wilms. Za nimi jeneralicya: jenerał Paczyński z Tenczyna, potomek staropolskiej śląskiej rodziny, komendant Poznania jenerał Issendorff, pułkownicy,

oficerowie — bez końca. Dalej deputacye z wszystkich stron germańskiego imperium, z nad Renu zielonego i z nad granic Litwy. Jest i bojownik z kresów czeskich i wyspiarz z pomorskiej Rugii.

Lecz nagle gwarne rozmowy milkną, okrzyki powitalne cichną, stojący obok mnie uchylają czapek, szept biegnie dokoła — to on, to on!

Powolnym krokiem, opięty w stary płaszcz, idzie staruszek, siwy jak gołąb. Wysoki urzędnik podaje mu ramię z widocznem uszanowaniem. Jakiś chłopak przeciska się aż w pierwsze szeregi i woła na cały głos: niech żyje! I na to hasło podnosi się z tłumu okrzyk ogromny: niech żyje, niech żyje Henryk Kennemann!

Ojciec hakaty, patryarcha ruchu pangermańskiego na wschodzie, wszedł do sali. Uroczystość może się rozpocząć. Program jej, pod postacią książeczki, zdobny jest winietą, przedstawiającą zakutego w stal rycerza, który w jednem ręku trzyma nagi miecz, w drugiem chorągiew niemiecką. W sali rozstawione długie stoły, przy których zasiedli uczestnicy. Piwa jeszcze nie roznoszą, ale będzie piwo, po przemowie na cześć cesarza, którego popiersie, otoczone zielenią i sztandarami pruskimi, spogląda na wierną rzeszę, zgromadzoną u jego stóp.

Przewodniczący otwiera zgromadzenie i z ukłonem zwróciwszy się w stronę Kennemanna, oświadcza, że usłyszą z ust „nestora naszego ruchu“ szkic dziejów Towarzystwa kresów wschodnich. Starzec wstępuje na mownicę i zaczyna przemawiać. Zrazu głosem słabym, zmęczonym, ledwie dosłyszalnym. Widać, że dziewiąty krzyżyk cięży

na sędziwym Krzyżaku. Ale w miarę jak mówi, głos jego podnosi się, zgarbiona postać zda się rosnąć i prostować, oko nabiera blasku i ognia, i niebawem mowca opanował całe zgromadzenie, przykuł je do siebie, a słuchacze z namaszczeniem i wytężoną uwagą chwytają każde jego słowo. Bo też może po raz ostatni przemawia do nich ojciec hakaty. Dzisiejsza przemowa, to jego testament polityczny, testament apostoła wojny i mistrza nienawiści.

Mówi o czasach dawnych, gdy jeszcze Polak przed prawem równy był Niemcowi, gdy sam rząd pruski z obcym słowiańskim ludem, tkwiącym dotąd w ciele germańskiej ojczyzny, traktował jak z równym. Opowiada swój ból, swoją tęsknotę za ruchem antypolskim, nie tym oficyalnym, sztucznym, na komendę urzędników, płatnych przez państwo, ale szczerym, serdecznym, wychodzącym z duszy i serca ludu niemieckiego, na wojnę świętą narodową, rasową. Przypomina chwilę, gdy on i jego towarzysze opuszczeni byli przez wszystkich, gdy walczyć musieli z Polakami, a bronić się przed Niemcami. I słowa jego stają się ostremi, pełnemi goryczy i mściwych wspomnień. Ręką wskazuje na zachód, ku Berlinowi, ku popiersiu, które panuje nad zgromadzeniem. A wśród słuchaczy wznosi się groźny pomruk, marszczą czoła i słychać półgłosem ciskane groźby: nie wrócą te czasy, nie wrócą. Biada temu, ktoby chciał je wskrzesić.

Ale dziś — mówi dalej — dzięki Bogu, niema o tem mowy. Nie tu na kresach, ale w samym Berlinie mamy naszą komendę jeneralną. Dziś

tylko dwa stronnictwa istnieją w sprawie polsko-niemieckiej, Niemcy i Polacy. Dziś w tym kraju albo my, albo oni. My tu siedzimy prawem zdobyczy, my tu podbiliśmy tę ziemię, niegdyś polską. I podbój ten, uświęcony krwią jeszcze pół wieku temu, w czasie powstania. Więc świętokradcą jest ten, kto władzę naszą tu chce naruszyć. Że Polakom to się nie podoba, jest rzeczą jasną. I zrozumiałem zupełnie, że tęsknią za przeszłością. Ale niech tęsknią. To im nie nadaje żadnego prawa. Prawo jest nasze, prawo podboju. A któż z nami dziś nie jest? Wszak sam cesarz obiecał, że postara się o to, by kraj ten stał się na wskróś pruskim i niemieckim. Więc, gdy tak obiecał, nie powie przecież później czego innego. To też władca Wielkopolski, potomek Hohenzollernów, Wielki książe poznański, niech żyje!

Starzec skończył i schodzi z mownicy, a wrażenie wywołane jego słowami, jest tak wielkie, że dopiero po chwili zrywa się burza oklasków. Bo też zaiste, ani postać mówcy, ani mowa jego nie była tuzinkową. Ten biały krzyżak, to typ ciekawy i groźny, to jakby widmo jednego z tych rycerzy, którzy niegdyś z maryenburskiej warowni ogniem i mieczem drogę sobie torowali na wschód. On nie jest marzycielem tylko, który żyje w krainie wyobraźni, bo za nim jest czyn dokonany. Ten bard nienawiści ma poza sobą pracę długą i mozolną, a przed sobą już owoce tej pracy. Iskra, przez niego rzucona, zamieniła się w pożar. I poszedł z nim duch narodu, poszedł nawet cesarz. A on żyje jeszcze i oczami swemi widzi spełnionem to, co było marzeniem jego lat młodzień-

czych. I jak dawniej, tak i teraz jest szczerym, gardzi wszelkim faryzeizmem, nie prawi, na wzór tylu swych ziomków o dobrodziejstwach kultury niemieckiej. Nie, on przychodzi tu prawem miecza, prawem podboju i o innem wiedzieć nie chce. Od Polaków nie żąda on sympatyi dla swego narodu, nie żąda wogóle niczego. To wróg; niech się broni, jeżeli potrafi. Z Polaków mógłby się najlepiej porozumieć z ojcem hakaty powstaniec, dzierżący bagnet w ręku. Oni obaj stoją na tym samym gruncie: rozprawy siłą.

Mowa przebrzmiała, lecz echo jej ciągle gra po sali. Studenci dobywają z kieszeni białe karteczki z tekstem pieśni. Przewodniczący zapowiada, że na cześć pamiętnego dnia jubileuszu odśpiewanym będzie hymn, odpowiedni do nastroju chwili. Ten hymn, to pieśń „o białym orle"!

Hymn zabrzmiał. Śpiewają wszyscy, młodzi i starzy, studenci i dygnitarze. Nawet otyły pastor, stojący koło estrady śpiewa, tak śpiewa, jakby całą duszę swoją miał wyśpiewać.

Orle biały, orle biały, choć pierś twa skrwawiona,
Przeciw nam krwiożercza teraz myśl twoja zwrócona.
Ale próżno ku nam chytrze sięgasz pazurami,
Bo niemiecką my ojczyznę obronimy sami.

Śpiewających ogarnął zapał. Zwrotkę pieśni powtarzają z uniesieniem po raz drugi. Jakaś dama z galeryi rzuca kwiaty na salę. Hymn z tysiąca piersi płynie dalej.

Orle biały, twojej doli smutnej nic nie zmieni,
Chociaż wściekłość w oczach twoich przeciw nam się pieni.
Za niemieckim kraczesz łupem wśród wichrów i burzy,
Ale dzielność nasza Niemcom dzień zwycięstwa wróży.

A potem dzieje się coś strasznego. Na sali odzywają się okrzyki: „Bóg z nami, niebo po naszej stronie, musimy zwyciężyć!“ Ojciec hakaty podniósł schyloną głowę i spogląda na ten zastęp nowych krzyżowców, gotujących się na „świętą“ wojnę. Na balkonach kobiety powstały i powiewają chustkami. Będzie pieśń nowa, pieśń do Chrystusa, obrońcy wojowników niemieckich. Strasznemi jej słowa, okropnem bluźnierstwo, które wzbija się ku niebu:

Chrystus idzie! dzwońcie dzwony!
Aniołami otoczony
Odkupiciel nasz.
Chryste, myśmy mocni w wierze,
Niemiec posły i szermierze,
Ty nam kresy dasz!

Modlitwa do Zbawiciela staje się gorącą, natarczywą. Dalej zwrotki tak bluźniercze, że ich dosłownie nie tłomaczę: — „Boże, całe Niemcy proszą Cię. Daj nam ten kraj. Tu już nasz sztandar zatknięty, stąd nie cofniemy się“. A potem zwrot do Polaków: — „Precz wrogu bezczelny, cofnij się i zniknij, ty zaś ludzie niemiecki bądź mocnym i wytrwałym, bo naszemi zostać muszą kresy...“

Następuje pieśń po pieśni, mowa po mowie. Radca krajowy Göritz wzywa swoich ziomków, by pamiętali, jak piękną jest ta ziemia, o którą toczy się bój. Opisuje miłe krajobrazy, zachęcające do wesołego używania życia, piękne doliny, zielone łąki i złocące się od zboża pola urodzajne. Czyż Niemca może ten kraj nie nęcić?

Profesor uniwersytetu berlińskiego Dr Heyck omawia hakatyzm z punktu widzenia etycznego. Etyką jest kolonizować, ale tak, żeby kraj skolonizowany dla Niemiec zatrzymać i zrobić go niemieckim. Tu, na tej ziemi, rozstrzyga się przyszły los Polski i Prus. Tu jedynie jest teren wątpliwy, więc tu walczyć najmocniej należy. Bez tego kraju ani Polska ani Prusy istnieć nie mogą. Ten bój nasz równie ważny, jak wojna z Austryą w r. 1866 i z Francyą w r. 1870. A jednak nie zawsze to rozumiano. Tu mowca przypomina nieszczęsną epokę Capriviego i wyraża swoją radość, że ona minęła, a że zastąpiła ją wojna, bo wojna jest rzeczą jasną, prostą, otwartą. „Etyczne“ wywody berlińskiego profesora brzmią tak, jakby wczoraj król polski z Warszawy wydał był rozkaz mobilizacyi. Oficerowie klaszczą w dłonie, studenci potrząsają rapierami. Suggestya całej uroczystości jest potężną.

Powstaje drugi założyciel hakaty, major Tiedemann. Ten znów chce zdobywać Poznań. Bo Poznań jeszcze polski, pomimo wszelkich wysiłków. Toteż zapewne nie dożyją uczestnicy zebrania zupełnego zniemczenia miasta. Ale przekażą oni swoją wiarę i dzielność dzieciom swym i wnukom i te dożyją owej chwili szczęśliwej.

Na stołach zastawiono kufle z piwem. Po odczytaniu telegramów do cesarza i kanclerza, na które nazajutrz nadeszły zachęcające odpowiedzi, kończy się urzędowa część obchodu, a następuje t. zw. „wieczór piwny“, *Bierabend*, urozmaicony piosnkami pijackiemi. Jakiś przygodny poeta ułożył osobną kantatę przeciwko katolikom nadreń-

skim i zacnemu ich organowi *Kölnische Volkszeitung*. Najzajadlejsze wycieczki przeciwko tym Niemcom, którzy nie chcą należeć do hakaty. Nastrój wieczoru z tragicznej grozy obniża się do poziomu bractwa knajpowego. Galerye opróżniają się zwolna. Dygnitarze jeden po drugim opuszczają salę. Późno w nocy, ostatni biesiadnicy, zataczając się, dążą ulicą Rycerską ku domowi, ochrypłym głosem śpiewając jeszcze:

Chryste, myśmy mocni w wierze,
Niemiec posły i szermierze,
Ty nam kresy dasz.

KRÓL CHŁOPÓW WIELKOPOLSKICH.

Pamiętam go z lat dziecinnych. Typowa polska postać w butach i czamarze. Tak wyglądali emigranci z Królestwa po roku 1863. Ale on emigrantem nie był. Całem swem jestestwem stanowił nawet żywe przeciwieństwo do idei emigracyjnej. Był uosobieniem pracy dla swoich wśród swoich, pracy organicznej. Wyglądał na szlachcica polityka i był szlachcicem. Politykiem także, ale na swój sposób, t. j., że nie w polityce, ale w budowaniu podwalin społecznych widział pierwsze i główne zadanie tych, których gmach runął, zanim podwaliny były skończone. Był idealistą w najwyższem tego słowa znaczeniu, a realistą w najzdrowszem. Kochał gorąco, a myślał trzeźwo i działał z wytrwałością żelazną. Był człowiekiem, rzadkim swą cnotą, swym czynem, a rzadkim także tem, że był szczęśliwym, że za życia otaczała go cześć i wdzięczność powszechna, że kochało go nie stronnictwo, nie stan jeden społeczny, nie lud sam, albo szlachta sama, ale wszyscy, ale naród. I gdzie on się ukazał, znikały waśni, gdy on przemówił, milknęły spory, uchylały się czoła.

Takim był wielki odnowiciel stanu włościańskiego w Księstwie, król chłopów wielkopolskich, patron Jackowski.

Królował długo. Jak dawno sięga pamięć młodego pokolenia, był już tem, czem skończył wczoraj, czem zostanie dla potomnych. Bo praca jego należała do tych, których owoce dojrzewają wcześnie, widoczne są niemal od razu. Z dni młodocianych zachowałem wspomnienie chwili jego życia, zwyklej, powtarzającej się często, a jednak naocznego świadka przejmującej do głębi, niezapomnianej na zawsze.

W sąsiednim dworze źle działo się od dawna. Niedołężne gospodarstwo, życie nad stan, karty i kosztowne pobyty w berlińskiem Eldorado, prowadziły go do ruiny. Groziła całe lata. Potężna niegdyś fortuna senatorskiego rodu chwiała się, jak warownia, do której wróg przypuszcza bezustanne szturmy, lecz trzymała się długo, bardzo długo.

Nareszcie przyszedł dzień straszny. Ziemię dziadów i pradziadów oddano spekulantowi.

Byłem tam wtenczas i patrzałem na rozdzierające sceny, jak obcy ludzie wtargnęli do starożytnej polskiej siedziby, jak służba wraz z panem zdejmowała ze ścian obrazy antenatów, a chyłkiem, bocznemi drzwiami, jak gdyby wstydził się widoku ludzkiego, stary, siwy, sługa wynosił z pałacu drżącemi rękami szablę ojca sprzedawczyka, szablę z pod Raszyna.

I zdawało się młodemu, który na to patrzał, że mu serce pęknie, że to śmierć tej ziemi, tych lasów, tych łanów i tej wsi polskiej, której ni-

skie strzechy tuliły się koło wyniosłej pańskiej siedziby.

Lecz oto nagle z wieży kościelnej odezwały się dzwony. Nad wstydem i smutkiem dnia popłynęły ich tony dźwięczne, donośne, jasne. Z ulicy wiejskiej kroczył ku kościołowi zastęp włościan, starsi, poważni gospodarze, a na ich czele pan w polskim stroju.

— To pan patron przyjechał tu założyć kółko rolnicze — odpowiedziano na me pytanie. — Zebranie odbyło się przed chwilą, ludzie zostali pouczeni o ważności zadania kółek, a teraz idą do kościoła prosić Pana Boga o pomoc w dalszej pracy.

Poszedłem zwolna za nimi. W kościele klęczeli już wszyscy. Mówili głośno Ojcze nasz. Z mrocznych już głębin sklepienia — zdawały się modlitwie wtórować echa przeszłości i zapowiedź dni przyszłych, gdy z ust tych klęczących postaci szła prośba korna a gorąca — chleba naszego powszedniego daj nam Panie, a odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

Tak po raz pierwszy poznałem patrona.

Od tego czasu spotykałem go nieraz. W ulicach Poznania, gdy szedł do biur patronatu pracować nad organizacyą ogromnego związku, który wymagał bezustannej czujności i ciągłej podniety. A także i na wsi, w okolicznościach, podobnych do tych, o których przed chwilą wspomniałem, lub też innych, wprost przeciwnych. Tam, gdzie dwór spełniał swój obowiązek, gdzie pan chłopom przyświecał przykładem oszczędności i znawstwa gospodarskiego, nie trwało długo, a z pomocą

patrona tworzyło się kółko rolnicze, wieś z dworu czerpała radę i oświatę zawodową, tworzył się łącznik trwały a serdeczny pomiędzy nim a dziedzicem, stosunek patryarchalny, którym dziś przoduje Wielkopolska innym dzielnicom naszej ojczyzny. Podstawy do tego znalazł patron w istniejącej z dawna łączności, ale trwałość, ale odporność przeciw nowinkom nadchodzącym z rozwojem ruchu społecznego, on mu nadał. On był tym przyjacielem wszystkich, tym człowiekiem dobrej woli i dobrego czynu, który myśl postępu opiera na zasadzie harmonii społecznej, skupianiu sił do jednego, wzniosłego celu.

Zaznaczyłem, jak wiele zawdzięcza mu stosunek patryarchalny u nas pomiędzy dworem a wsią. Takim samym był jego stosunek do potężnej organizacyi, której przodował. Patron rządził w niej jak patryarcha, po ojcowsku. Co uważał za dobre, przeprowadzał, nie pytając się wiele. Wolę miał żelazną i opozycyi nie znosił. Przykładem tego niech będzie zdarzenie następujące. Patron zabronił w kółkach rolniczych wszelkiej dyskusyi na tle politycznem i z energią nieugiętą pilnował tej zasady. Otóż zdarzyło się, że w pewnem kółku prezes, najzacniejszy zresztą człowiek, znakomity zawodowiec i szanowany ogólnie, potrącił niebacznie na końcu swego wykładu o położeniu politycznem kraju. Kilka słów tylko, wcale nie drastycznych. Doszły one jednak do wiadomości patrona, który zawsze wiedział o wszystkiem, co się w jego kółkach dzieje. I oto, jak piorun z jasnego nieba, spadła na kółko i na biednego

prezesa wiadomość, że został złożony z urzędu. Bez apelu, bez tłómaczeń, wolą patrona.

Kwasów i narzekań nie zabrakło, ale co raz postanowił, tego nie cofał. Przykład miał podziałać i podziałał też znakomicie. Przed polityką brama kółek zamknięta, ku dobru i bezpieczeństwu całego związku. Sam też patron trzymał się od niej zdala. Kilkakrotnie ofiarowanego sobie mandatu poselskiego nie przyjął nigdy, on, najpopularniejszy człowiek w Księstwie. Odzywał się jednak w sprawach ogólnych, mianowicie w ostatnich latach życia, po złożeniu czynnego kierownictwa patronatu w inne ręce. — Wtedy głos jego, choć był stanowczym i rozstrzygał zagadnienia i sprawy nieraz drażliwe, zawsze miał ten przywilej, że polemika przed nim cichnęła i nie śmiał nikt do słów jego stosować miary stronniczego sądu.

Ten Piast nowożytny, ten król chłopów wielkopolskich, jak go nazywano, miał w sobie przytem coś wojskowego. Karność służbową stosował do drugich, ale i do siebie. Nie rozumiał synekur i urzędów od parady. Od każdego wymagał na posterunku napięcia wszystkich sił, wypełniania wzorowo powierzonego zadania. Sam zaś, gdy otoczony czcią powszechną, w aureoli powodzenia dosięgnął dziewiątego krzyżyka, uznał, że swój czas wysłużył, swoje zadanie spełnił i że sił mu już nie starczy, by nadal innym dawać przykład energii. Więc cofnął się, urząd złożył, następcę dzielnego i wytrawnego sam wybrał i rozporządziwszy wszystkiem, oddawszy, co stworzył, w porządku i ładzie, oświadczył, że rozpoczyna odtąd

odpoczynek swej starości. — Rzecz każda w swoim czasie — mówił znajomym.

A dzieło jego kwitnęło dalej, rosło siłą własną i staraniem następców. Na dwadzieścia tysięcy samoistnych większych gospodarstw polskich w Księstwie, dwanaście tysięcy należy już do związku kółek. Gospodarze to przeważnie zamożni, pięćdziesięcio, nieraz i stumorgowi. Wyjątkiem w kółkach są włościanie, posiadający morgów mniej niż dwadzieścia, a chałupników i czeladzi dworskiej prawie w nich niema. Kółka, to arystokracya wiejska, organizacya niezależnego, zamożnego stanu włościańskiego. Dobytek tam znaczny, osobisty i zbiorowy. W tej to warstwie tkwi siła, przed którą drżą ministrowie pruscy, ona wykupiła i pomimo coraz nowych ograniczeń prawnych, wykupuje wciąż szmat za szmatem rodzinnej ziemi. W kółkach zaś, wykładami zawodowymi, rozprawą wzajemną o rzeczach rolniczych i pomocą bratnią, nabiera wiedzy i wprawy w rządzeniu tą ziemią. Członkowie zbiorowo, nawzajem zwiedzają w porze letniej swoje gospodarstwa, a wykład wtedy i pogadanka o potrzebach bieżących odbywa się nie, jak zimą, w zamkniętej izbie, teoryą, lecz praktycznie, na tle zwiedzanego przedmiotu. Czytanie regularne pism zawodowych dopełnia rolniczego kształcenia. Prezesami bywają rolnicy z różnych stanów. Znajomość rzeczy i sprężystość osobista rozstrzygają o wyborze kierownika kółka. Jedną trzecią kółek prowadzą księża, inne szlachta, urzędnicy gospodarscy, lub światli, a wytrawni włościanie.

Do jednego z tych ostatnich, Marcina Każmierczaka, gospodarza wsi kujawskiej, wprowadzę czytelnika.

Zagroda obszerna, dom murowany z przybudówką piętrową. Wewnątrz pokoje czyste, porządnie umeblowane. Na ścianach obrazy święte i dobre litografie. Na miejscu honorowem w ozdobnych ramach portret patrona. Niewielka pólka z książkami, ale starannie dobranemi. Oprawne roczniki *Poradnika spółek*, broszurki treści rolniczej, illustrowane dzieje ostatnich stu lat Stanisława Tarnowskiego, dar dziedziczki sąsiadki. Kaźmierczak abonuje dwa pisma, tygodnik i drugie codzienne. Syna starszego kieruje na księdza, młodszego posyła do szkoly rolniczej. Majątkowo ma się dobrze. Do dziedzicznych mórg pięćdziesięciu dokupił drugie tyle, a teraz, po latach kilku, spłaca resztę długu, pochodzącego z zakupna. Kulturą i zamożnością góruje nad sąsiadami, ale nie w takim stopniu, by go nazwać można wyjątkiem.

Poziom i u innych jest wysoki, a są też tacy, którzy dorobili się jeszcze lepiej, w hierarchii włościańskiej stoją jeszcze wyżej. Rozprawiamy o rzeczach rolniczych, o nowym systemie siewnika, który nabył, o rasach bydła, zabezpieczeniu od ognia i gradu i zabezpieczeniu na życie, wreszcie o sprawie ceł ochronnych. O wszystkiem mówi gospodarz jasno, rzeczowo, ze znajomością przedmiotu, a równie jasnym i treściwym jest jego wykład i towarzysząca mu dyskusya ogólna, gdy chwilę później, zebrane u niego kółko radzi nad sprawami bieżącemi. Odchodzimy z uczuciem, że spoglądaliśmy na czynnik najdzielniejszy, najzdrowszy w naszem społeczeństwie.

A tego, który ten czynnik podniósł, ożywił, usamoistnił, ludu tego prawdziwego patrona i ziemi tej prawdziwego dobroczyńcę, przyszło nam żegnać zwłoki u bram poznańskiej stolicy. Odprowadzało go miasto całe, szły cechy z chorągwiami i towarzystwa wszelkiego rodzaju, członkowie Izby panów i obu kół poselskich, szła szlachta z wszystkich stron Księstwa. Kondukt prowadził biskup, a złożony niemocą, błogosławił go z balkonu swego pałacu, w prymasowskiej purpurze, arcybiskup poznański i gnieźnieński. Pan patron miał pogrzeb iście królewski, choć prosił o skromny. Tym razem, pierwszym i ostatnim, nie chciano usłuchać jego woli.

Lecz najpiękniejszym obrazem miłości, którą on wzbudził, wdzięczności, która go odprowadzała do grobu, był widok setek wieńców ogromnych z pełnych zbóż, od Kółek, niesionych za trumną, niekończącym się szeregiem, przez włościan.

I zdawało się, że na wieść o jego śmierci powstały te łany wielkopolskie, które on tak ukochał, że go pola żegnają i dąbrowy, a z nich pieśń płynie ku niebu, potężna, ogromna, serdeczna, ta, która stanowi treść tego zacnego żywota — pieśń o ziemi naszej.

Tak po raz ostatni widziałem patrona.

GERMAŃSKE DROGI DUCHA.

Cisza. W ogromnej sali, otoczonej dokoła półkami pełnemi książek, siedzi, czytając, lub pisząc, z górą sto osób. Ale, zamknąwszy oczy, rzekłbyś, że potężna komnata pusta. Tylko zgrzyt pióra, lub szelest przewracanej kartki, przypomina, że to świątynia nauki, pełna, bardzo pełna, wiernych. Znajdujesz się w założonej przed dwoma laty, a z miesiąca na miesiąc rozwijającej się coraz żywiej, znamiennej instytucyi kulturalnej niemieckiej nad brzegami Warty, w poznańskiej bibliotece cesarza Wilhelma.

Jest ona jednym z tych walnych taranów, którymi w ostatnich latach kultura niemiecka uderza w najsłabszą stronę polskości na kresach zachodnich, w działalność ducha.

Cisza. Z reflektorów elektrycznych padają skośne promienie na postacie, schylone nad pracą. Jak pszczoły, ciągnące miód z kwiatów, tak i one ciągną zasób wiedzy, zapas siły umysłu i ducha z nagromadzonych w olbrzymiej książnicy skarbów.

Przypatrzmy się tym pszczołom i mrówkom zarazem, tym cichym, pilnym, niestrudzonym, o godzinie wieczornej, po zwykłej pracy dnia. Pierwszy rzut oka wystarcza, żeby się przekonać, jak

3*

różnorodnym ich zastęp. Oto ślęczy nad grubym folialem niemiecki historyk naszej dzielnicy Dr Warschauer, obok niego dwie panienki wertują stos zeszytów publikacyi naukowej. Uprzejmy urzędnik biblioteczny szepta mi nazwiska innych stałych gości czytelni. Profesorowie gimnazyalni, studenci wszechnic niemieckich, przebywający obecnie w Poznaniu u rodziców, urzędnicy rejencyi, sądu, jeden z szanownej policyi poznańskiej, który tu śledzi, już nie czyny ludzkie, lecz myśli ludzkiej utwory. Nie brak i księży katolickich i protestanckich teologów. Jest i oficerów aż czterech, a tam przy oknie, jakby na pokaz, dwaj autochtoni, dwaj Polacy z tych nielicznych u nas, którzy walczą z wrogiem myślą i piórem.

W pokoju przyległym czytelnia gazet i czasopism. Wśród setek niemieckich widzę kilka francuskich i angielskich, a obok polskich pism poznańskich leży na stole na wpół otwarty numer ostatni *Biblioteki Warszawskiej*. I tu pełno czytających, jak wszędzie w bibliotece. Często też, jak się dowiaduję, zgłaszają się goście z blizka i z daleka, by zwiedzać urządzenia biblioteczne, tak wzorowe, że w całych Niemczech podobno nie mają sobie równych. Cały gmach ogniotrwały z kamienia i żelaza. Ogromne sale zapasowe obliczone na pół miliona tomów, a już dziś, po dwóch latach, w połowie pełne książek, urządzone są w ten sposób, że zapomocą metalowych platform, biegnących kilkopiętrowymi rzędami wzdłuż półek, z największą łatwością dosięgnąć można każdego tomu. Spis książek rzeczowy, imienny, ułożony nader praktycznie. Ilość urzędników, zawo-

dowo wykształconych, bardzo znaczna. A nietylko wykształconych.

Kto zna wielkie księgozbiory zagraniczne, ten wie, jakiej nieraz trzeba protekcyi, by w trudnych poszukiwaniach za materyałem źródłowym, rzeczywistej i skutecznej doznać pomocy. Poznańska biblioteka założoną została w celach prozelityzmu naukowego. Postępowi niemczyzny przeciw duchowi polskiemu ma służyć. To też od pierwszej chwili wydanem zostało przez czynniki miarodawcze hasło służenia, jak najliberalniejszego służenia publiczności. Instytucya germańska ma przyciągać ludzi, ma im być dogodną, przyjemną. W niej wszystko ma być łatwem, każda praca wygodną, technicznie uprzystępnioną. I to bez względu na narodowość. Kto wstępuje w progi gmachu, ten jest jego gościem, mile, chętnie witanym przybyszem. Urzędnicy przesadzają się w uprzejmości, zestawiają mozolnie spisy dzieł i dokumentów, potrzebnych do wskazanego im przez gościa przedmiotu. Sam dyrektor bezustannie jest na posterunku, służy każdemu objaśnieniami, oprowadza po gmachu i wypełnia każde niemal życzenie. Dzieło żądane, a nieznajdujące się w bibliotece, sprowadzonem bywa tak szybko, że do trzech dni znajduje się w rękach petenta. W mej obecności Polak, potrzebujący rocznika pewnego pisma polskiego, zapytuje się ostrożnie, czy wolno mu prosić o zamówienie go przez zarząd biblioteczny. Jeszcze nie skończył mówić, a już urzędnik pisze notatkę dla kancelaryi, by natychmiast owemu panu dostarczono, czego potrzebuje. Niech się i Polak przyzwyczai do myśli,

że w niemieckiej bibliotece mu najwygodniej. Potrzeba komu książek do domu? I owszem, w tej chwili, ile kto chce. Żadnych legitymacyj, żadnych długich formalności.

A gdy chodzi o zwrot dzieła, nie liczy zarząd na skrupulatną pamięć pożyczającego, nie żałuje marek pocztowych. Przypomina uprzejmnie listem raz i drugi, wreszcie posyła woźnego, który odnosi pożyczony tom do biblioteki. W stosunku do pożyczających książki Niemców, naraziła zarząd jego daleko idąca uprzejmość na znaczne, a nader niemiłe straty. W części biblioteki publiczność sama jest gospodarzem. Wolno jej brać książki z półek i odstawiać je tam po użyciu. Urzędnicy w tym oddziale pomagają tylko, gdy są do tego wezwani. Otóż zdarzyło się kilkakrotnie, że w sposób zaiste niewytłómaczony, wyniesiono z biblioteki na wieczne nieoddanie cały szereg wspaniałych edycyj, duże karty geograficzne i inne obszerne wydania. Wdrożono śledztwo, ile wiem, wykryto nie wszystkich winowajców, ale systemu w bibliotece nie zmieniono. Uczciwa publiczność niech nie cierpi za nieuczciwą.

Rozglądam się nieco wśród wydawnictw polskich. One stanowią w tej germanizacyjnej instytucyi oczywiście dział najmniejszy. Prasa jednak poznańska reprezentowaną jest dość licznie, szczególnie w magazynach bibliotecznych: *Dziennik Poznański*, *Orędownik*, *Wielkopolanin*, *Postęp*, *Przyjaciel ludu*, *Ziemianin*. Towarzyszy im niesłychanie ciekawy zbiór pism i wydawnictw hakatystycznych. Mówię „niesłychanie ciekawy" dlatego, że choć spotykamy się na naszych kre-

sach z tego rodzaju publikacyami co chwila, to jednak nie wiem, czy istnieje poza biblioteką cesarza Wilhelma drugie miejsce, w którem tak dogodnie i łatwo można rozporządzać całokształtem szowinistycznej, niemieckiej literatury. A warto doprawdy zagłębiać się w tej nieprzebranej kopalni szczerych, niesfałszowanych pobocznymi względami wytworów rasowej nienawiści. Jest tam materyał i do tragedyi i do satyry. Z łamów tych prawdziwych życiowych dokumentów widnieje żelazna ręka Bismarcka, ale wychylają się także postacie Falstaffa i Zagłoby. Słowa jednookiego szlachcica: „Panie Boże Ty to widzisz, a nie grzmisz“, znaleźliśmy już nieraz w dosłownem niemal brzmieniu, jako zakończenie długich lamentów na temat objawów polskiego życia.

Rozglądam się dalej. Uderza mnie wielka ilość darów. Dzieła stare, w pargamin oprawne i nowe, dopiero co wystawione w oknach księgarzy, darowane bibliotece, nieraz z wymownym dopiskiem ofiarodawcy. Ku chwale ducha niemieckiego, ku pokrzepieniu braci walczących na Wschodzie, przesyłają, co mają najlepszego, osoby prywatne i urzędowe z całych Niemiec. Wielkie firmy wydawnicze ofiarowują całokształt swoich nakładów. Walnym zasiłkiem są duplikaty wielkich bibliotek rządowych w Berlinie i innych miastach. Prócz tego zaś bogate subwencye pieniężne ułatwiają zarządowi zakupno co roku większej ilości książek w rozmaitych językach. Pieniędzy w bród, więc koszta nie odgrywają roli. Nieraz za jedno dzieło płaci się tysiąc marek i więcej. A jak z monetą, tak z czasem. Nie żałuje go biblioteka

swoim gościom. Do dziesiątej wieczorem otwarte jej sale, urzędnicy i woźni w pełnej służbie. Nawet niedziele i święta nie stanowią przerwy w ruchu bibliotecznym.

Wertuję publikacye, dotyczące założenia i programu działania instytucyi. Wciąż zaznaczają one istotny charakter tego walnego taranu niemieckości — opanowanie i podbój kulturalno-duchowy polskich kresów. Walka trudna, ale nie beznadziejna. Oto obszernie wykazanem, że kultura umysłowa polska, już za czasów Rzeczypospolitej polskiej, nie kwitnęła obficie na tej nadgranicznej ziemi. Wielkie środowiska naukowe polskie były w Krakowie, Warszawie, Zamościu i Wilnie. Wielkopolskie nie mogły z niemi się mierzyć. I teraz ruch umysłowy polski dalekim jest od kresów zachodnich. Więc podbój łatwy, droga utorowana. Słabym, odosobnionym wysiłkom polskim na polu umysłowości kresowej potrafi przecież stawić czoło, potrafi go zatrzymać i ubezwładnić potężny napór intellektualizmu germańskiego, poparty milionami rządu, podsycany zapałem i duchowem współdziałaniem potężnego, kulturalnego społeczeństwa niemieckiego.

Siadam w czytelni obok znajomego z szkolnych czasów profesora. Za chwilę dziesiąta, t. j. godzina zamknięcia biblioteki. Czytelnicy wychodzą jeden po drugim. Zostajemy sami, można rozmawiać. Przypominam mu czasy, gdy on sam, przez miesiąc, jako zastępca, wygłaszał nam wykłady z dziedziny literatury polskiej. To było lat temu kilkanaście. Zda się, że wczoraj, a jednak czasy te są dziś tak bardzo, bardzo odległe. To przeszłość

niemal już historyczna. Dziś i na korytarzu szkolnym język polski wzbroniony surowo. Dziś w internatach nauczycielskich rewizye po pokojach, szukanie po szufladach, kufrach, polskiego drukowanego słowa. Nawet w prywatnych mieszkaniach uczniów częste rewizye i poszukiwanie niebezpiecznych druków.

Profesor słucha, kiwa głową i uśmiecha się. Mówi o greckiej Ananke, o konieczności dziejowej. Odpowiada łagodnie, z wyrozumiałością, jak lekarz przemawiający do chorego, któremu zmuszonym jest zwiastować wyrok śmierci. I oględnie. Sam wskazuje na możliwe jeszcze drogi ratunku. Możliwe w teoryi, ale w praktyce? Zastanawia się nad tą praktyką spokojnie, niemal kojąco. I wykazuje w sposób trzeźwy, jasny, szeregiem argumentów logicznie związanych, że tu praktyka, rzeczywistość, musi zwyciężyć teoryę, że śmierć chorego jest nieuniknioną. Do ratowania i ożywienia ruchu umysłowego w zachodniej Polsce trzebaby pieniędzy — a jeszcze więcej zapału, impulsu z całej Polski. A o tem ani mowy. Każda dzielnica dba przedewszystkiem o siebie. Polacy zaś, mieszkający na zachodnich kresach, zajęci są przedewszystkiem walką ekonomiczną. Stąd podnieta nie wyjdzie w żadnym razie.

Ruch umysłowy ma swoje fale, jak morze, a fale i prądy umysłowości polskiej płyną teraz gdzieindziej. W zachodniej Polsce objawiają się tylko słabe ich odruchy. Zwycięstwo na polu kultury duchowej bliższem jest dla Niemców, niż na polu materyalnem. Niedawno cała falanga polskich

pracowników umysłowych wyemigrowała z zachodnich kresów do innych dzielnic swej ojczyzny. Tam sposobność do działania, tam środowiska odpowiednie. Więc lepiej nie łudzić się nadzieją daremnych prób wskrzeszenia polskiej kultury duchowej na kresach. Gdy zniknie ona zupełnie w warstwach wyższych, wtedy upadnie także budzenie polskiej kultury w ludzie. Tak już być musi, to bieg dziejów, konieczność historyczna. Na to rady nie ma. Więc lepiej myśleć o życiu przyszłem, o nowem zaraniu, które po śmierci przyjdzie, przyjdzie z pewnością.

I lekarz pociesza chorego, zamienia się w proroka i poetę. Ukazuje mu czasy nowe, lepsze, jutrzenkę światła wschodzącego, które już nigdy nie zgaśnie. Wprawdzie niezgrabna i drażniąca polityka hakatystyczna przedłuża konanie, jątrzy, orzeźwia chorego, ale obok niej działa lepiej i skuteczniej napór duchowy niemiecki. Powstają akademie, muzea, biblioteki. I one otworzą Polakom drogę do raju umysłowości germańskiej. W olbrzymiem i żywotnem środowisku wytwórczości duchowej germańskiej odzyskają stokrotnie to, co utracili na polu kultury rodzimej. Żyć będą wspólnem życiem duchowem, bez porównania żywszem i płodniejszem, niż to, do którego przyznają się dziś jeszcze.

Profesor zapala się i rozczula. Chwyta za rękę dawnego swego ucznia.

— Panie drogi, was wszystkich szkoda, wy jesteście zdolni, posiadacie naturę pojętną i bystrą, czemuż nie korzystacie z waszych zdolności, by wstąpić na świetny parnas umysłowości niemiec-

kiej? Mówicie już dziś po niemiecku, jak Niemcy, piszecie wyborną, klasyczną niemczyzną. Więc tylko trochę dobrej woli, trochę liczenia się z rzeczywistością i przyszłością. Wiem, że pan pracujesz piórem. Lecz czemuż w języku bezimiennym, nie znanym i nie zrozumianym w europejskim areopagu ludzi myślących. Synowie Prometeusza działają dziś duchowo w języku niemieckim, francuskim, angielskim, włoskim. Uczeni i nauczyciele tych narodów rozumieją się nawzajem. Lecz któż rozumie Polaka? Chyba jego rodak w Krakowie lub Warszawie, a ten ma dosyć kłopotu z własnemi sprawami. Na zajmowanie się kresami nie stać mu czasu i sposobności. A wreszcie choćby i chciał, znajdą się środki, by mu odebrać ochotę do działalności duchowej na kresach.

Profesor mówił coraz żywiej, zapalał się coraz bardziej.

Lecz oto wszedł do sali sługa biblioteczny i zwiastował nam, że nadeszła godzina zamknięcia gmachu. Nie było więc już czasu do repliki. Ale gdy wstawaliśmy od stołu, założonego książkami i gazetami, padł wzrok mój na niemiecką broszurę otwartą i zaopatrzoną notatkami, skreślonemi ołówkiem: *Der Wreschener Schulprocess.* Widziałem, że i profesor rzucił na nią okiem. I, jak gdyby zrozumiał myśli, które w tej chwili cisnęły mi się do głowy, żegnając się, rzekł półgłosem wielce zafrasowany:

— Tak te dzieci, te dzieci! A to pokolenie przecież dorośnie!

ORZEŁ CZARNY W POZNANIU.

Odwiedziny gościa z krwi królewskiej. Przegląd wojsk i wielka parada na placu mustry w Poznaniu. Z domów niemieckich i żydowskich powiewają chorągwie. Główne ulice, któremi przechodzić ma wojsko, opróżnione przez policyę. W innych ścisk tak wielki, że docieram z trudnością do miejsca, z którego widzieć mogę cały przebieg uroczystości.

A zobaczyć warto, bo rzecz taka zawsze jest ciekawą na poznańskim gruncie, na tej ziemi kresowej, na której wszystko nabiera osobnego zabarwienia.

Warczą bębny, grzmi kapela. W oddali, od strony śródmieścia, wysuwają się pierwsze oddziały wojska. Jeden za drugim, w lśniącym łańcuchu, jak wąż różnobarwny, ciągną ulicami na plac szwadrony i pułki, konnica, piechota, artylerya. Tam formują się w szeregi, w czworobok ogromny, którego ściany proste, jakby sznurem kto pociągnął.

Nad niemi sztandary. Chorągwie z pod Sadowy, z pod Paryża i Sedanu. Ozłaca je słońce, powiewają dumnie te świadki dni twardych i wiel-

kich, gdy z ognia i z miecza, wśród łuny pożarnej i potoków krwi stanęło zbrojne i straszne, zakute w stal i otoczone pierścieniem warowni, cesarstwo Hohenzollernów. I myśl odbiega w dal do chorągwi innych, także pruskich, także z dni walki o życie, o zdobycz, o chwałę, do sztandarów z pod Leuthen i z pod Rossbachu, gdy Fryderykowskie pułki toczyły rozpaczliwe boje o istnienie Prus. Tylko, że tamte sztandary były także potem pod Jeną i zwieszają się dziś w szeregu innych, z pod piramid i Marengo, z pod Austerlitzu i Eylau i Friedlandu, tam, gdzie nad Sekwaną, w marmurowym grobowcu spoczywa Prus pogromca. A do tego samego Poznania, bramą od zachodu, wkraczał, idąc na wschód, on, bożek wojny, zapowiedziany kometą, zjawisko dziejowe, po gruzach pruskiej zmiażdżonej potęgi. Zaiste, bieg spraw ludzkich, spraw Bożych, jest zmienny, a niezmiennem tylko tej zmienności odwieczne prawidło! Ale te znaki wojenne, które tu widzę przed sobą, nie zaznały jeszcze drugiej Jeny. Lśnią srebrno-czarne, nad krasną falą wojsk, które znów kiedyś poprowadzą na pole śmierci, na nieznane i tajemne drogi przeznaczenia.

Na placu cisza. Orkiestry zamilkły. Wszystko czeka przybycia jeneralicyi. Koło mnie, w szeregu patrzących, stoi oficer, którego znam z kwaterunku na wsi w roku zeszłym. Nie ma dziś służby i przyszedł razem z wielu kolegami przyglądać się widowisku. Wskazuje na lśniący czworobok i cieszy się obrazem, który mamy przed sobą. Bo w istocie widok przejmujący. W promieniach słonecznych płoną hełmy złociste, stalowe ostrza

bagnetów błyszczą jak dyamenty. — Germania *triumphans*.

Oficer cieszy się i raduje. Mówi o dzielności wojennej Prusaków. Inne państwa, inne narody, są potężne granicami naturalnemi. My, Prusacy, powstaliśmy z tego, co pan widzisz przed sobą, z miecza. On dał i daje nam prawo do życia w środku Europy, otoczonym zawistnymi, a w Niemczech samych przygłuszoną niechęcią braci, których przed laty czterdziestu, pod Langensalzą i Kissingen, kartacze pruskie zniewoliły do wspólności państwowej. Może Rosya przegrać wojnę i stracić część swych granic, mogła Francya znieść pogrom i niewolę swego cesarza. Mogą jedna i druga, a tak samo wiele innych państw na świecie, przebyć zapasy szczęśliwe i zamieszki wewnętrzne i rozsprzężenie władzy. Będą istnieć, jak istniały. Nam jednym, Prusakom, inne przekazane prawo, prawo miecza. Dla nas jedna wojna przegrana, to zaraz kwestya zniknięcia państwa naszego jako mocarstwa. Nam przegrać nie wolno, ani razu. Więc też u nas jest kraj, ponad inne, żołnierski, rzemiosło wojskowe w poszanowaniu tak, jak nigdzie w świecie, jest raj prawdziwy dla duszy wojackiej. Patrz pan na tę publiczność, która nas otacza. To nie gawiedź zwykła, ciekawa, tłum gapiów, towarzyszący gdzieindziej wojsku. Nie panie, to drugie wojsko bez mundurów. Ci, którzy już służyli, i ci młodzi, najmłodsi, którzy niebawem, lub kiedyś, przywdzieją mundur króla pruskiego. Oni patrzą na to wszystko, jako na rzecz swoją, bardzo im bliską.

I rzeczywiście. Oficer ma słuszność. Wojsko w społeczeństwie pruskiem, to *palladium* narodowe. Wzbudza nie czczą ciekawość, ale zajęcie się szczere, uszanowanie, cześć i podziw. Na każdym kroku życia codziennego spotkasz się z temi uczuciami. Rozmawiaj z chłopcami idącymi do szkoły. Nie wiele jeszcze wiedzą o Bożym świecie, ale wiedzą już dobrze, jakie pułki stoją w ich mieście, rozróżniają odznaki szarż wojskowych, mają swoje upodobania dla poszczególnych oddziałów. Brat starszy, zdobny już mundurem królewskim, bezustannie musi opowiadać, co się dzieje *im Regiment*. On sam zaś z chwilą, gdy przywdzieje barwy pruskie, staje się niejako młodszym kolegą ojca, a gdy panu majorowi pozasłużbowemu wypadnie zgromić syna, wtedy, choć w swobodzie kółka rodzinnego, usłyszy odpowiedź wojskową: *zu Befehl.*

Mówiąc o stosunkach życia rodzinnego Niemców w Prusiech, można stwierdzić, że wojskowość, to w tem życiu czynnik ważny i poważny. A później, gdy już odsłużona, łączy jednak na całe życie z kolegami, z pułkiem. Związki wojackie, zjazdy i zebrania okolicznościowe w siedzibie pułku z okazyi rocznic bitew i jubileuszów, to ciągła sposobność do utrzymywania łączności pomiędzy społeczeństwem a czynną armią. Naród i wojsko pod bronią, to dwa ciała, ale jedna dusza, jedno serce.

Tak jest w całych Prusiech, szczególnie na wschodzie. Ale cóż dopiero na samych kresach, na tej ziemi polskiej, na której owe prawo miecza stokroć bardziej jeszcze jest racyą bytu dla potęgi

pruskiej. Nasłuchuję uwag i rozmów sąsiadów. Wymieniają pułki po nazwisku, krytycznie zastanawiają się nad ich wyglądem. Najlepszym ten oto pułk piechoty. Najrówniejszy w nim wzrost żołnierzy, najlepiej wyprężeni, najbardziej marsowa postawa. Pan radca obok mnie spogląda na syna, oficera stojącego przed frontem swego batalionu. — Zawsze to samo, głowy nie trzyma dość do góry i pierś nie dość naprzód — mówi do żony. — A przecież młody porucznik, jak zdjęty z obrazka, typowy, wytresowany oficerek pruski. Ale ambicya ojcowska dostrzega usterek tam, gdzie ja ich żadną miarą dostrzedz nie mogę.

Oficerowie chodzą przed frontem. Okiem lustrują każdy szczegół, każdą drobnostkę, czekając na mające przybyć wielkości wojskowe. Jak zawsze w Prusiech, gdy chodzi o rzeczy dotyczące armii, przygotowano wszystko za wcześnie. — *Einen Posttag zu früh* — mówi z uśmiechem mój znajomy w mundurze. Ja zaś w duchu wspomniałem inne przysłowie, zwykle w innem państwie, zaczynające się tak samo, lecz kończące się słowami: *zu späth*. Ale nie dłuży się nikomu. Wojsko uszykowane pochłania uwagę wszystkich. Spoglądam na pułk kirasyerski, który w oddali stoi jak mur. Pytam o jego nazwisko, gdyż chcę wiedzieć, czy to ten sam, który przed laty pięćdziesięciu uciekał na polach Miłosławskich, za co na znak hańby odjęto mu na szereg lat po jednej ostrodze. Lecz nie, to inny. Ale mniejsza o to, owe wspomnienia, to przeszłość, z którą dnia dzisiejszego nie łączy już nic. Od tego czasu tyle zwycięstw, tyle chwały!

Nagle słyszę za sobą głośne słowa polskie. — Jak się macie, Sobczak. — To ktoś z widzów poznaje znajomego wśród żołnierzy, których najbliższy szereg tuż, tuż koło nas. Ale pozdrowienie przebrzmiało bez odpowiedzi. Z linii pułkowej nie odezwał się nikt. Oczywiście. Lecz, gdy badam okiem najbliższych, chcąc poznać swojego, choć po wyrazie twarzy, poznać nie mogę. U żadnego z tych, zda się wrosłych w ziemię, grenadyerów, nie zadrgał żaden muskuł twarzy, nie zwróciło się mechanicznie oko na głos krewnego, lub kuma. Stoją, jak ze spiżu ulani, nieruchomi, wpatrzeni, jak w hypnozie, na kaprala, którego komenda może za chwilę, za sekundę, zabrzmieć. I nie widzę go, ale jednak on tam jest, on, Maciek, czy Walek, czy Bartek Zwycięzca, on, który tysiącami, dziesiątkami tysięcy, nosi karabin w pierwszej armii świata, któremu, gdy na wzgórzach alzackich pułki pruskie cofały się przed drugą Samosierrą, zagrano szatańską suggestyą: „Jeszcze Polska nie zginęła!" — a on poszedł, jak burza, jak huragan, i bił i zabijał i zwyciężył, bo on także ze krwi bohaterów, z tych z pod Grochowa, Olszynki.

Czy wielu z tych tysięcy, tu obecnych, wie o tem, że pierwsze zwycięstwo swoje w wojnie francuskiej, pierwsze i najtrudniejsze, zawdzięczają Prusy polskiemu Bartkowi? I czy wielu zdaje sobie sprawę z tego, że dziś w armii pruskiej czynnej i w rezerwie, na wypadek wojny, staje w szeregu sto pięćdziesiąt tysięcy chłopa polskiego? Pięć razy tyle, ile nas niegdyś poszło pod Wiedeń!

Na zegarach miejskich bije godzina i w tej samej chwili ukazuje się na skręcie ulicy świetny orszak na koniach. To jeneralicya i sztab i gość dostojny. Okryci gwiazdami orderowemi nadjeżdżają dowódcy, świetni w swych mundurach galowych, w swych pióropuszach i hełmach srebrzystych. Ale w tej paradzie, pod tymi hełmami, twarze nie pierwsze lepsze. Twarze ludzi myślących, wytrawnych, poważnych. Znać pracę umysłu w tych rysach junkierskich. Wszystko szlachta staropruska z Pomorza, z Brandenburgii, z krzyżackich dzierżaw książęco-pruskich. Ludzie wyrośli z pokoleń żołnierskich, których dziadowie i pradziadowie nosili mundur i władali szablą, synowie tego środowiska junkierskiej szlachty, która dostarcza od wieków Prusom oficerów. Po tych ludziach, wodzach, znać, że to grono wybrane, że choć herb i pochodzenie dziś jeszcze jest warunkiem karyery wojskowej w feudalnych Niemczech, to jednak od dowódców wymagane są prócz tego warunki inne, ściśle i na seryo, jako że chodzi o rzecz najważniejszą z wszystkich. — Instrumentu tak doskonałego — tak pielęgnowanego, tak wyrobionego, jak armia pruska, podstawa i fundament państwa, nie powierza się rękom niedoświadczonym.

Świetny orszak stanął w środku czworoboku. Komenderujący jenerał odbiera raport. Coś mówi do otaczających go oficerów. Słów jego nie słychać, ale tłum widzów jednak stara się złowić je uchem. Komenderujący dowódca korpusu, to istota niesłychanie wysoko postawiona. — U nas, w Prusiech, komendant korpusu, to jak gdziein-

dziej król — zauważa rozmowny oficer-cicerone. I tak jest w istocie. W tej chwili oczy tych tysięcy żołnierzy, tych tłumów publiczności, wlepione w tę postać, śledzą każdy ruch tego człowieka, który w tym kraju dzierży dostojeństwo najznamienitsze. On tu po królu, cesarzu, najpierwszy — rangą swą ponad cywilnym wielkorządcą księstwa, ponad arcybiskupem katolickim i ponad luterską głową państwowego kościoła w Wielkiem księstwie.

Ekscellencya skończył mówić i skinął. Oficerowie rozbiegli się do swych pułków. Chwila pauzy. I potem dzieją się rzeczy dziwne, znane nam tutaj, ale warte poznania dla obcych. Na pozór bez komendy, sam z siebie, czworobok dzieli, rozpada się na bataliony, kompanie, dziesiątki. Powstają kwadraty, ósemki, linie poprzeczne, prostokątne, półkola, najrozmaitsze figury geometryczne z ludzi, z żywych ludzi, których jakaś siła niewidzialna posuwa mechanicznie, to w prawo, to w lewo, to naprzód, to w tył. A raczej widzialna, bo oficerowie dowodzą tem igrzyskiem dnia galowego. Ale niezrozumiała. Bo jak dowodzą! Nigdzie owych wrzasków, owych ryków ochrypłej kapralskiej komendy, tak często słyszanych na innych mustrach i paradach za granicą, a także nieraz z za murów pruskich koszar. Ale tu w dzień święta i parady, niema już nauki, niema poprawek, napomnień. Wszystko musi być i jest też doskonałe.

Sztab stoi w środku. Od niego promienieją, ku niemu zbiegają się w ciągłej przemianie te wszystkie ruchy, bez zgiełku, szybko i składnie,

a bez pośpiechu zarazem. Nic tu nerwowego, wymuszonego, niepewnego. Cały ten wielki plac, to jakby zegar ogromny, o mechanice misternej w swych najdrobniejszych kółkach i kółeczkach. Wszystko porusza się samo z siebie, bez usterki, bez pomyłki, w sposób zupełnie, zda się, naturalny.

Tuż koło nas rozwija się obraz doprawdy zdumiewający. Batalionem grenadyerów posuwają oficerowie to w tę, to w tamtę stronę, ruchem półkolistym, jak wahadłem od zegara. Patrzę na najbliższego siebie oficera. On wcale nie komenderuje. Żadnego głośnego wezwania. Zaledwie lekki ruch ręką, jakby od niechcenia i szereg żołnierzy z matematyczną precyzyą, gnie się i prostuje, rozprasza, skupia, zmienia front, jak fala pędzi naprzód i naraz staje jak wryty, bez drgnienia, zda się, skamieniały. A potem, jak puszczona sprężyna, zawija się jednym końcem w wężowaty zakręt.

To zabawka wyszukana, czy też arcydzieło — pytam sąsiada oficera. — To forma tylko, jedna z form, za którą kryje się głęboka treść systemu militarnego w Prusiech — brzmi odpowiedź. I słyszę dalej uprzejme tłómaczenie, że idealne wymustrowanie żołnierza, to pierwszy warunek spójni i dyscypliny wojskowej. Zaniedbują go bardzo w wielu innych armiach. Ale z drugiej strony nigdzie, tak jak u nas, nie dbają o wyrobienie indywidualizmu, decyzyi i pomysłowości w oficerze, kapralu, żołnierzu. Przypatrz się pan manewrom naszym, ale nie tym wielkim, cesarskim, lecz ćwi-

czeniom dywizyj, brygad, pułków. Tam się najwięcej można nauczyć.

Podchwytuję jego uwagę. — Dlaczego nie cesarskim! Czyż mniej dobre, mniej warte! Oficer zaprzecza, ale zbywa mnie ogólnikami, stara się widocznie zwrócić rozmowę na inne tory. Ja zaś wspominam w cichości ów sławny atak przed kilku laty Wilhelma II-go, gdy wobec zdumionych przedstawicieli mocarstw zagranicznych i zrozpaczonych sztabowców pruskich, poprowadził nagle, we wściekłej szarży, piętnaście tysięcy koni poprzez kilometrową gołą równinę na trzysta ziejących nieszkodliwym ogniem armat i dwadzieścia, ustawionych rzędem i dających salwę po salwie, pułków piechoty. Spierano się potem w kołach zawodowych, czy więcej, czy mniej niż dziesięciu ludzi byłoby, w razie prawdziwego strzelania, wyszło cało z tej fantastycznej imprezy. Rezultatem jej w każdym razie śliczny, porywający w swej prawdzie i plastyczności ruchów obraz Wojciecha Kossaka.

Lecz o tem oficer pruski z Polakiem rozmawiać nie będzie. Za to chętnie odpowiada na zapytanie dotyczące ostatnich artykułów dziennikarskich o gotowości do wojny z Anglią. — O żadnej wojnie niema mowy. — Ale każda przygotowaną jest w szafach jeneralnego sztabu w Berlinie. W razie zatargu z Anglią, jedyną możliwą taktyką jest przerzucenie w 24 godzin stu tysięcy wojska na brzeg angielski i zajęcie Londynu. Ale to musi iść z szybkością błyskawiczną, boć potem flota angielska zatamuje wszelką drogę.

Zapytuję, czy tak szybki atak jest wogóle wykonalnym. — Oficer uśmiecha się — dla czegożby nie. Trzeba tylko być zawsze gotowym i wiedzieć dyskretnie kilka dni naprzód, na co się zanosi. — Spoglądam na niego, czy wygląda jak *miles gloriosus* Plauta, który już starożytnym uosabiał blagę wojacką. Lecz nie. Mówi skromnie, bez cienia przechwalki, jako człowiek pewny swego i wiedzący, że ma podstawę do swych twierdzeń.

Zapytuję jeszcze o możliwą okupacyę innej krainy, bliższej nam, o parę mil od Poznania na wschód. Ale właśnie zagrzmiały trąby, zagrały marsza kapele, wojska stają w równych rzędach i defilują przed jenerałami, a potem kierują się ku miastu. Parada skończona.

Jeden za drugim ciągną pułki w tę stronę, skąd widnieją wieże katedry, w stronę, gdzie spoczywa w ziemicy swego ludu największy władca ziem słowiańskich, aż poza Berlin dzisiejszy, aż ku brzegom Łaby i Sali.

W podziemiach Kyfhausera, według baśni niemieckiej, śnił przez lat osiemset stary Hohenstauf, cesarz Fryderyk Rudobrody. Śnił w jaskini podziemnej, a nad górą, przez wieki, krążyły kruki, aż nie przyjdzie Orzeł i nie spędzi ich i dzień nie zawita nowy i moc Rudobrodego nie ukaże się znów zdumionemu światu. Śpiewali o nim poeci, marzył młodzieniec, tęskniła dusza niemieckiego narodu. Aż wreszcie nadszedł ten dzień, zaszumiały skrzydła orle i królewskie godło Hohenzollernów wzniosło się wśród zorzy od krwi

purpurowej, z blaskiem korony cesarskiej, nad krajami i ludami. Barbarossa zmartwychwstał.

A śni jeszcze, śni ciągle, w pomroku grobowca poznańskiego, w tajemnicy niespełnionych dziejów, żyjący w baśni wielkopolskiego ludu i czekający, aż dzień nowy zaświta, król olbrzym, majestat Chrobrego.

POLSKO-NIEMIECKI JUBILEUSZ
NA KRESACH.

Nie wielu pokładło się do snu 26 sierpnia roku pańskiego 1548 w Lesznie, warownem miasteczku, na kresach Rzeczypospolitej, a na pograniczu samem województwa Poznańskiego i ziemi śląskiej. Choć zbliżała się północ, ruch panował niezwykły na rynku i głównych ulicach, największy zaś przy bramie zachodniej, otwartej na oścież. Tam zgromadziło się sporo mieszczan i okolicznej szlachty. Przybył też, otoczony hajdukami, niosącymi pochodnie, pan leszczyńskich włości, potomek rodu możnego, Rafał z Leszna Leszczyński. Oczekiwano gości.

Lecz niezwykłymi być musieli spodziewani przybysze. Zwyczajnem bowiem odwiedzin zblizka i z daleka było miasto oddawna. Krzyżowały się tu trakty rozmaite, między dzierżawami Jagiellonów i Piastów lignickich i także Hohenzollernów, władających również blizką Brandeburgią. Słowem, było to miejsce, ponad inne, graniczne, i obca twarz nie dziwiła w niem nikogo.

A jednak tym razem czekali wszyscy, mimo spóźnionej pory, tak uroczyście, że wysokiem chyba musiało być dostojeństwo oczekiwanych.

Lecz oto już są blizko. Wysłany goniec wraca pospiesznie, wołając: idą, idą. I zaraz słychać, jak gdyby jakoweś wojsko zbliżało się do miasta. Coraz wydatniej tętnią miarowe kroki piechoty. Z mroku nocnego wysuwają się w światłokręg przed bramą pierwsze szeregi. Idzie zwartym ordynkiem spory oddział w strojach niemieckich, a nad nim powiewa sztandar, poszarpany niemal na strzępy. Wojownicy także snać nie z pokojowej wracają wyprawy. Niemal wszyscy obwiązali chustami ten głowę, ów rękę, niezdolną utrzymać miecza. A dalej szczupłe grono kobiet i dzieci i wozów kilka, z których wydobywają się jęki rannych. I nagle cała drużyna staje, pada na kolana, z tysiąca piersi wznosi się okrzyk błagalny.

To Husytów niedobitki po krwawej bitwie pod Mühlbergiem, zmuszone do ucieczki z ziemi czeskiej, w granicznem mieście Rzeczypospolitej szukają gościny i schronienia. Znajdą je bezpieczne i wspaniałe. Magnat polski przyjmuje ich z otwartemi rękami, obdarza prawami i przywilejami, tak hojnymi, że ludność rodzima nie posiada podobnych, zakłada szkołę, która głównie przyczyni się do sławy miasta i wiekowe mieć będzie istnienie. Przybysze zaś wdzięcznie korzystają z łaskawości gospodarza. Budują domy, biorą się do rzemiosła i handlu. Leszno, choć osada stara, bo jeszcze z czasów królowej Dąbrówki, lecz dopiero przez Zygmunta Augusta wyniesione do rzędu miast, rozkwita świetnie, a w następnych pokoleniach trwa pozornie pamięć łask doznanych i wdzięczność za nie przybranej ojczyźnie.

Trwa niemniej tradycya gościnności w rodzie Leszczyńskich.

W ośmdziesiąt lat później, 8 lutego r. 1628, znowu do Leszna wkracza orszak niedobitków z wojny jeszcze straszniejszej, niż owa poprzednia. Znów Husyci, którzy uszli z pogromu pod Białą górą, szukają schronienia pod skrzydłami Polski i znów Leszczyński podejmuje ich wspaniale, łączy równością praw z potomkami ziomków, przyjętych przez pradziada.

Ciekawy, acz nie współczesny dokument, dotyczący owej drugiej immigracyi husyckiej, posiadał zmarły przed dwudziestu laty profesor Karwowski, ostatni nauczyciel Polak w gimnazyum leszczyńskiem, a mianowicie rękopis dramatu, napisanego po polsku, w połowie dziewiętnastego wieku, przez ucznia Niemca. Utworu tego nie posiadamy w całości, lecz oto ustęp z niego, nader charakterystyczny:

Rafał Leszczyński, wojewoda brzesko-kujawski, sam kalwin zagorzały, przyjmuje zastępy swoich współwyznawców przed swoim pałacem. Pomiędzy nim, a wodzem oddziału, wywiązuje się następujący dyalog:

Wojewoda:

Skąd Bóg prowadzi?

Husyta:

My z pod Białej góry
Cudem ocaleni, chronim się w te mury.
Wroga nam zniszczyć nie dał wyrok Pana.

Wojewoda:

A gdzież jest reszta?

Husyta:

W krwi, pomordowana.

Wojewoda:

O zemstę, zemstę, zeszlij Boże mściwy!

Husyta:

Straszną zniósł dolę lud nasz nieszczęśliwy.
Spłonęły miasta i zamki i sioła,
Zrównany z ziemią i kościół i szkoła.
Kobietom naszym żywot rozpruwano,
Dzieci głowami o mury trzaskano.
A tych co uszli, z woli Ferdynanda,
Tropiła w lasach sług cesarskich banda.
Więc hufce nasze poszły na wygnanie
I dziś o łaskę Twoją żebrzą Panie.
Daj nam przytułek, daj zgłodniałym chleba,
A Polskę wiecznie błogosławcie nieba.

Tak pisano w Lesznie jeszcze przed pięćdziesięciu laty. Dziś, gdy szkoła Rafała Leszczyńskiego, następnie za rektoratu Amosa Comeniusza, sięgająca po miano *Academiae illustris*, święci 350 rocznicę swego założenia, wśród Niemców wielkopolskich inna modlitwa wznosi się ku niebu. Nie błogosławić ono ma Polakom, lecz spełnić pragnienie najgoretsze hakatystycznej rzeszy, zawarte w jednem słowie, a to słowo brzmi — *ausrotten*.

Lecz wróćmy do dni pamiętnych dla szkoły i miasta, których, jak słupów wytycznych, w jego historyi nie braknie i nadal.

W lat trzydzieści po owem drugiem przyjęciu husytów, jak wówczas, wojsko zbliża się do murów. Ale to wojsko polskie, a bramy miejskie przed niem zamknięte. Na murach szwedzka

załoga i zbrojni mieszczanie. Synowie gościnnie przytulonych zdradzili kraj, przeszli na stronę protestanckiego najezdcy i wpuścili do miasta załogę Karola Gustawa. Spotyka ich za to kara zasłużona. Polacy zdobywają miasto szturmem, wielu mieszczan pada pod mieczem zwycięzców. Ten dzień sądu i zemsty w dziele pod tytułem *excidium Lesnae*, opisany przez Comeniusza, zbiegłego wtedy do Holandyi.

A wreszcie wspomnienie z czasów najnowszych, z przed lat kilkunastu.

W klasie starodawnego gimnazyum Leszczyńskiego odbywa się lekcya. Na ławach siedzi garstka uczniów. Profesor wszedł do sali. Panuje cisza uroczysta. Nauczyciel otwiera książkę, wertuje kartki. Wreszcie znalazł, czego szukał, podaje książkę pierwszemu z uczniów i wzywa go po polsku, by głośno czytał.

Uczeń wstał, ale ręce drżą mu tak, że zda się, iż książkę upuści. A profesor czeka cierpliwie. Nie nagli. Owszem, odwraca się ku tablicy i coś ciągle poprawia około okularów.

Wreszcie uczeń opanował wzruszenie i zaczyna czytać. A czyta rzeczy piękne. To Zygmunta psalm nadziei. Jedna po drugiej płyną strofy natchnione, rozlega się cudnie melodya polskiego słowa w murach tej niemieckiej szkoły. Ale chłopak znów ma głos niepewny. Co chwila urywa, jakby tłumił łkanie. I cała ta lekcya ma jakiś wygląd dziwny. Chłopcy posępni, przygnębieni, słuchają, nieruchomi, jak posągi. Lecz i profesor jakiś nie swój. Opuścił katedrę, stanął przy oknie i uporczywie ogląda listek winogradu, którym

wiatr muska po szybie. Ani razu nie odwrócił się do klasy. A przecież przedmiot lekcyi taki wspaniały:

> Ni zmysł kupców, ni dłoń kata
> Przeciw prawdzie nie pomoże;
> O przyjdź prędzej wiosno świata,
> O przyjdź prędzej Duchu-Boże!

Uczeń nie może czytać dalej. Głos mu się urywa, na otwartą książkę pada łza. Lecz profesor nie rusza się od okna i w klasie całej panuje długie, głuche, milczenie. Wreszcie nauczyciel odwraca się i przemawia. Ale i jemu głos drży. Żegna uczniów serdecznie, potem zabiera książkę i odchodzi. Za nim, jeden po drugim, opuszczają chłopcy klasę w milczeniu. To ostatnia lekcya literatury polskiej, ostatniego przedmiotu, wykładanego po polsku w gimnazyum leszczyńskiem.

Na takiem tle przedstawia się Wielkopolanom znamienna uroczystość, którą szkoła w Lesznie obchodziła w dniach 19 i 20 października, roku 1905. I zaprawdę, jubileusz szkolny w Poznańskiem, to rzecz niepowszednia, bardziej niż gdzieindziej, ciekawa w tej krainie, w której właśnie szkoła stanowi arenę najzacieklejszego prześladowania, staje przed nami w krwawem oświetleniu tragedyi wrzesińskiej, jak baszta warowna niemieckości, najpierwej, najbezwzględniej zdobyta i strzeżona najzazdrośniej. Cóż dopiero taka szkoła, jak w Lesznie, która znów wśród zakładów naukowych wielkopolskich miejsce zajmuje osobne!

Najpierw swym wiekiem, półczwartaset-letniem, nieprzerwanem istnieniem. Jeszcze zaś więcej tem, że w ciągu czasów tak długich, była, do niedawna, potężnym łącznikiem obu ras i narodowości, stykających się na ziemi naszej.

Odrazu poważne, później zas główne ognisko kalwinizmu w zachodniej Polsce, Leszno, jako miasto, a w niem szkoła, stanowiła środowisko dla licznej niegdyś, dyssydenckiej szlachty wielkopolskiej. Spotykali się tam nasi kalwini z uczniami protestanckimi innych narodowości, szczególnie niemieckiej. Żadnej roli nie odgrywał fakt, że pierwotne odszczepieństwo w Czechach kwitnęło na gruncie słowiańskim. Wpływ północno-niemieckich współwyznawców, wcześnie okazał się przemożnym. Do Polski przybyli emigranci czescy już pod postacią kolonistów germańskich.

Z rozkwitem szkoły leszczyńskiej w w. XVII ponad znaczenie dzisiejszych szkół średnich, ściągała jej sława nauczycieli i scholarów z różnych stron. W starych spisach zachowane są dotąd nazwiska z Węgier, Gdańska i Berlina. Nie brakło i polskich z innych dzielnic, mianowicie z Małopolski, z Krakowa i z Warszawy. Poblizki Śląsk dostarczał uczniów polskich i niemieckich. Że zaś charakter szkoły był wyznaniowym, a nie narodowościowym, przeto wspólności duchowej pomiędzy uczniami podstawą była ich religia.

Razem trzymali się protestanci polscy i niemieccy, a znowu razem katolicy obu narodowości. Ale i ten rozdział nie był zasadniczym, przynajmniej, o ile wchodziły w grę władze szkolne. Gimnazyum było fundacyą polsko-kalwińską, ale

dopuszczano doń katolików. Gmina kalwińska była zawsze główną opiekunką szkoły, ale równolegle i równorzędnie z nią Leszczyńscy, nawróceni już od roku 1650 na katolicyzm, a po nich książęta Sułkowscy dzierżyli współpatronat. Większość uczniów obu narodowości była jednak stale protestancką.

Współczesny kronikarz nazywa leszczyńskie gimnazyum w wieku XVII akademią, która, jak córka, na łonie matki Rzeczypospolitej bezpiecznego zażywa schronienia. I dodaje, że daleko należy szukać innej szkoły, w której uczniowie znajdowaliby taką pełnię nietylko wiedzy, ale i życia studenckiego. O pierwszej i o drugim posiadamy świadectw ilość dostateczną.

„Zabrzmij dzwonie, w głośnym tonie, Comeniusza sławiąc cześć" — pisze panegirysta o szkoły leszczyńskiej przesławnym rektorze, a biografowie wyliczają laury, zbierane przezeń na szerokiej arenie światowej, gdy parlament angielski wzywał go do reformy szkolnictwa w Anglii, gdy z kanclerzem Oxenstierną pracował nad przekształceniem szwedzkich zakładów naukowych, gdy potem na drugi koniec Europy wiodły go Rakoczego zaprosiny, a później znów niestrudzony pedagog węgierskie laury zamieniał na holenderskie.

Wszystkich tych peregrynacyj środkowym punktem było Leszno. Tu przybył jako wygnaniec po czeskim pogromie, tu trzykrotnie sprawował rektorat. Dziełami leszczyńskiego rektora zajmował się niemal świat cały. Tłómaczono je natychmiast na inne języki. Jego *Janua linguarum*, po kilku latach przełożoną była na dwanaście

języków europejskich i kilka azyatyckich, między innymi na turecki, arabski i perski. *Orbis pictus*, ułożony i rysowany przez niego, tak był rozpowszechnionym i cenionym, że w lat sto pięćdziesiąt po śmierci autora służył jeszcze Goethemu. Bo Comeniusz, jako pedagog, był jednym z tych, którzy pierwsi zaczęli obalać podstawy średniowiecznego systemu naukowego, dziwnie trwałego mimo rozkwitu humanizmu, i torować drogę pedagogice nowożytnej.

Nie dziw też, że sława mistrza spływała na zakład, któremu on przewodniczył, a to tem bardziej, że zakładem swoim zajmował się rzeczywiście szczerze. Wydał ustawy i ułożył plan nauk leszczyńskiej szkoły, przeniknął ją swoim duchem i sposobem pojmowania nauki. W uczniach i profesorach obudził ruch literacki, objawiający się poza właściwym zakresem przedmiotów szkolnych. Ukazywały się pisma ulotne i większe, układano sztuki teatralne i grywano je wobec audytoryum z miasta i okolicy, często też na dworze Leszczyńskich. Sam Comeniusz napisał ich kilka, między innemi *Faber fortunae sive ars consulendi sibi ipsi*. Wielkiem uznaniem cieszyła się inna sztuka, również jego pióra, p. t. *Diogenes Cynicus*. Grano ją trzy razy na dworze Leszczyńskiego, wojewody bełzkiego.

Ale do zabaw mięszała się polityka. Wojny szwedzkie wzburzały umysły. Szkoła trzymała z dyssydentami. — Grywano sztuki tendencyjne zdarzeniach współczesnych, a prócz owych dość niewinnych, bawiono się także w niebezpieczniejsze polityczne zabawy.

Miasto przeszło na stronę Szwedów. I Comeniusz nie zbyt czyste miał sumienie, gdyż po odzyskaniu miasta przez Polaków wolał wynieść się co prędzej za granicę, tym razem już na dobre, aż do śmierci. Stamtąd zaś dawny, pod skrzydła Rzeczypospolitej chroniący się wygnaniec, teraz, dzięki uzyskanej sławie, obywatel światowy i wszędzie wspaniale przyjmowany, w zjadliwym opisie daje Polakom, wypędzającym Szweda z kraju, miano „psów wściekłych“.

Postać Jana Amosa Comeniusza pozostanie na zawsze jednym z dowodów, jak bardzo, na całych naszych kresach, protestantyzm jest równoznaczącym z niemieckością.

Sam urodzony z rodziców słowiańskich na Morawach, później złączony z ostatnimi odbłyskami ruchu narodowego w Czechach, jednak Jan Amos, jako protestant, zawsze dąży do świata germańskiego. A jak on, tak i reszta emigrantów leszczyńskich. W Czechach, walcząc z zastępami katolickiego cesarza, tu i owdzie wygłaszali hasła narodowe czeskie. Ale równocześnie węzły wspólności religijnej łączyły ich z całym światem północno germańskim. Od razu, od chwili, gdy postali na ziemi polskiej, przedstawiali na niej żywioł niemiecki, niebacznie przez heretyckiego magnata przywołany do kraju.

Tak więc stanowiło Leszno i jego akademia, jednę z tych licznych bram, które sami otworzyliśmy germanizacyi naszych kresów, owemu cichemu a trwałemu podbojowi, dziś służącemu za podstawę germanizacyi nowoczesnej, gwałtownej i jaskrawej.

Owe przeliczne polskie nazwiska wpośród pruskiej szlachty, to przeważnie te same, które spotykamy w spisach polskich rodzin kalwińskich. Te rody nasze, które nie powróciły na łono kościoła, niemal wszystkie zniemczyły się doszczętnie, a nawzajem można stwierdzić, że te wszystkie, które z biegiem czasu porzuciły protestantyzm, prawie bez wyjątku, pozostały szczerze polskiemi.

Dziś istnieją w Wielkopolsce tylko dwa lub trzy domy szlacheckie polskie, wyznania kalwińskiego. Ale im dalej wstecz, tem owych domów więcej. Protestantyzm bowiem tak bardzo był się w Wielkopolsce rozszerzył, iż z pomiędzy wszystkich starszych, a do dziś istniejących rodów polskich, tylko dwanaście nigdy żadnego protestanta nie posiadało w swem łonie.

Oczywiście też główny dyssydentów na zachodzie Polski zakład naukowy, pominąwszy jego znaczenie w chwili rozkwitu za czasów Comeniusza, miał zawsze, nawet w czasach przedrozbiorowych, gdy poziom nauk nie był już na dawnej wysokości, wielkie w kołach protestanckich zachowanie. Opiekowano się nim z różnych stron. Płynęły składki i subwencye z Niemiec, Angli, Szkocyi, Holandyi. Szczególniejszą opieką aż do rozbiorów Polski otaczali gimnazyum leszczyńskie Hohenzollernowie, w pierwszym rzędzie ojciec Fryderyka Wielkiego. Zawsze bowiem szkoła i miasto uchodziły jako posterunek protestancko-germański na ziemi polskiej.

Równocześnie nie brakło i sympatyj katolicko-polskich trwałe i stałe. Katolicka szlachta, nie

wiele mniej od protestanckiej, wspomagała zakład, a już po rozbiorach, w roku 1807, wysłany przez warszawską komisyę edukacyjną do zbadania stanu szkoły X. Kopczyński, prowincyał zakonu OO. Pijarów, przedstawia ją w swojem sprawozdaniu jako instytucyę wprost wzorową i godną ze wszech miar poparcia. Swoją drogą, w siedm lat później, musieli kalwini warszawscy subwencyą pieniężną zaradzić rosnącemu niedoborowi.

W roku 1821 gimnazyum przeszło pod zarząd królewsko-pruski, choć gmina kalwińska, dawniejsza właścicielka, zatrzymała do dziś wiele przywilejów, dotyczących n. p. opłaty szkolnego przez uczniów kalwińskich i głosowania przy egzaminach. Zrazu rząd pruski pozostawił szkole charakter polsko-niemiecki. Ustanowioną została rada nadzorcza, t. zw. ephorat, w którym prócz Niemców protestantów, brali udział z pomiędzy sąsiednich katolickich właścicieli ziemskich, jako członkowie honorowi, książe Antoni Sułkowski z Rydzyny i referendarz stanu Józef Morawski z Oporowa.

Jeszcze około r. 1830 przeważa w wykładach język polski. Na 21 godzin polskich przypadało 19 niemieckich. Później zwiększano stale liczbę tych ostatnich, aż później zniesiono zupełnie lekcye polskie. Ba, nawet na równi z innemi gimnazyami, panuje obecnie w Lesznie zakaz przemawiania po polsku, w obrębie murów szkolnych. Uczeń Polak, nieraz potomek tych, którzy gimnazyum niegdyś wspierali, nie ma prawa w ojczystym języku przemówić do kolegi Polaka.

Danem nam było niedawno temu zwiedzać leszczyńskie gimnazyum. W jednej z sal wisi wi-

zernnek Amosa Comeniusza. Towarzyszący nam uczniowie Polacy, dla obecności osoby urzędowej, po niemiecku rozmawiali o potężnej postaci, która sławę szkoły rozgłosiła w dalekie kraje. Nam zaś stanęły w pamięci zasady Comeniusza, przecież przyjaciela Niemców, zawarte w jego *Didactica magna* i w *Informatorium*, wydanem w Lesznie w r. 1633: podstawą pierwszą nauki jest wykład w języku ojczystym.

Sławie tego męża nowy postawili pomnik Niemcy z wszystkich stron germańskiej ojczyzny, dygnitarze pruscy wygłosili mowy i śpiewały sławę pruskiej kultury różne wielkości świata teutońskiego, dawni uczniowie, piastujący wysokie urzęda, zajmujący katedry w niemieckich wszechnicach.

A nam Polakom znów danem było podziwiać mistrzowstwo germańskiej hipokryzyi, gdy jak zawsze, tak i tym razem znamienny pomnik polskiej tolerancyi narodowej i religijnej ukazał nam się w świetle jakiejś nieprzerwanej seryi dobrodziejstw germańskich, spływających od wieków na jałową ziemię słowiańską.

W starych programach łacińskich leszczyńskiej szkoły, wyliczone są przedmioty naukowe. Widzimy tam, wśród wielu innych, filozofię i elokwencyę i logikę. Do nich dziś możnaby dołączyć przedmiot nowy, którego nauczyć się trudno lepiej, niż tam, gdzie pruski kwitnie system, a przedmiot ten zwie się *ars mentiendi.*

Na zakończenie słów kilka o dawnem życiu studenckiem w Lesznie. Objawy jego były bardzo liczne i ciekawe. Tak n. p. urządzali uczniowie,

w porozumieniu z profesorami, walki kogucie w auli. Stawały po obu stronach sali dwie partye. W środek wypuszczano koguty. Czyniono zakłady, zapalano się bardzo, a miasto i okolica brały też udział w tych zabawach. Czyj ptak zwyciężył, ten dawał wielką ucztę.

Inny zwyczaj polegał na tem, że uczniowie mieli prawo do jednego wolnego popołudnia raz na miesiąc, a wybór dnia przysługiwał im samym. Naradziwszy się, trzymali obraną chwilę w tajemnicy przed profesorami i dopiero, gdy nadeszła, wybiegali z wrzawą z klas, wołając *ferias! ferias!* Do rektora zaś szli posłowie z wieścią o tem, co zaszło.

Najciekawszą atoli była ceremonia wyboru króla uczniowskiego, dokonywana co roku około 16 października, a zaniechana dopiero po rozbiorze Polski. Zbierał się sejm uczniowski, a trzy najwyższe klasy miały w nim prawo głosowania. Króla koronowano koroną, przechowywaną u rektora. Że zaś rzecz cała miała być *simulacrum Rei publicae*, obrazem Rzeczypospolitej, przeto król mianował hetmanów, wojewodów, kasztelanów i starostów.

Na sejmie rozprawiano gorąco i ćwiczono się w sztuce oratorskiej. Następnie odbywały się wyprawy do miasta pieszo, w okolicę konno, z chorągwiami i muzyką. Wieczorem zaś urządzano w gimnazyum wielki bal dla uczniów, profesorów i proszonych gości z sutym poczęstunkiem, którego koszta ponosili rodzice króla. Ten ostatni zażywał też rozmaitych przywilejów wobec profesorów, siedział zawsze pierwszy w klasie i wolnym był od chłosty.

Z przechowywanych dotąd tekstów przemówień widać, że w owej Rzeczypospolitej studenckiej mło-

dzi szlachcice poważniej zapatrywali się na istotę władzy i szkodliwość anarchii, niż to zwykli byli czynić później, gdy w sejmie rzeczywistym przychodziło im radzić nad dolą ojczyzny. Mówiono — pragniemy widzieć *Rempublicam non deformatam sed reformatam*, a do tego potrzeba nam króla, któryby miał moc!

Ciekawemi są dzieje, świetnemi annale szkoły leszczyńskiej. Przetrwała ona burze wojenne i upadek odszczepieństwa w Polsce, przetrwała istnienie samej Rzeczypospolitej. Z obecnych szkół wielkopolskich najsławniejsza, nosi od niedawna tytuł szkoły Comeniusza. A, jak pisze o niej niemiecka gazeta, spełniła swoje powołanie do końca. Była przez wieki skutecznym łącznikiem protestanckiej Wielkopolski ze światem niemieckim, i dziś, gdy świat ten zawładnął wreszcie kresami słowiańskimi, wolno jej zawołać dumnie: *quorum magna pars fui*. Więc cześć jej za to i chwała i wdzięczność w każdej duszy protestanckiej i pruskiej.

Ale i my, Polacy, nazwać mamy prawo ten niedawny jubileusz naszym. Bo naszą jest część tego, czem była szkoła, jej powstanie, rozkwit i trwanie, część tak wielka, że bez niej nie byłaby się stała możliwą całość. Dziś już nie chroni polska prawica niemieckich exulantów, nie przechodzi w ich ręce drogą darów wielkopańskich ziemia i domy, nie płynie złoto polskie na podtrzymanie germańsko-protestanckiej twierdzy w naszym kraju, ale dzieci nasze dziś jeszcze, jak dawniej, siedzą na ławach starożytnej szkoły i uczą się w obcym języku oceniać potęgę zwycięzcy i czcić jego ducha.

A że wielki głos przeszłości, bądźcobądź z tego miejsca przemawia, że w szkole tej, przynajmniej w formie, w obchodzeniu się z Polakami panuje więcej przyzwoitości, niż gdzieindziej, więc radzi jesteśmy i temu. Leszno nie wzbogaca kroniki szowinistycznych występów, tak obfitych w Wielkopolsce.

Zaproszono nawet, *res miranda populo*, w grzeczny sposób Polaków do komitetu jubileuszowego i do udziału w uroczystości, a w prasie polskiej niezwykła ta uprzejmość została odpowiednio podkreśloną. Oczywistem jest jednak, że w obecnych warunkach nie wolno nam było z tego zaproszenia skorzystać i narażać się na słuchanie mów antypolskich.

Gdy zaś wspominamy błędy przeszłości, gdy spoglądamy na dolę dzisiejszą, tęsknota serca potrafi myśl o dniu przyszłym tylko temi oddać słowami, które przytoczyliśmy powyżej, a które były ostatniemi ostatniej lekcyi polskiej w gimnazyum leszczyńskiem.

MÓJ ZNAJOMY HAKATYSTA.

Znam hakatystę. I nic w tem dziwnego, bo niema chyba Polaka w Księstwie, który nie spotkałby co krok członków tego wspaniałego bractwa. Ale mój hakatysta góruje ponad innymi. Jest wzorowym, szczerym, prawdziwym wyznawcą hakaty, bez przymieszek innych uczuć.

Jego osoba stanowi syntezę, jest on kwiatem, storczykiem podwójnym, orchideą cieplarnianą i rasową, która kwitnie barwna i krasna wśród szarych roślinek, pnących się dokoła. Jest typem, a typ, to zawsze rzecz rzadka i cenna. Dla tego mu niniejszem poświęcam te słowa.

Poznalem go w wagonie, między Lesznem a Poznaniem. Wyglądał dobrodusznie, a okazał się gadatliwym. W Lipnie zdjąl trzewiki, wyciągnął z kuferka pantofle, na których szklannemi perełkami wyszytem było serce i monogram.

— Od mojej żony — oświadczył, zwracając się do mnie.

Za Bojanowem westchnął i objaśnił — tu urodził się mój ojciec. W Kościanie przeszedl na temat muzyki i powiedział mi, że ponad wszystko lubi piosnkę Schumanna do tekstu Heinego „*Im wunderschönen Monat Mai*“.

Dowiedziałem się, że cztery jego starsze córki śpiewają tę melodyę przy akompaniamencie fortepianu wieczorami w kółku rodzinnem. On potem na skrzypcach grywa tęskną piosnkę „*Heimweh*“.

Poczciwiec jakiś — pomyślałem sobie — Niemiec z czasów Lenaua, sentymentalny typ z przed 50 laty.

Ale od Czempinia przeszliśmy na politykę. U niego zaprawiona ona była goryczą.

— Ach panie — rzekł smutnie — dawniej było lepiej. Widzisz pan, ojciec mój był synem ubogich rodziców, nie miał grosza przy duszy. Na uniwersytecie poznał się z synem wpływowego radcy z Berlina...

— A za co — przerwałem — poszedł na uniwersytet, kiedy nie miał grosza przy duszy?

Niemiec się uśmiechnął.

— To była zabawna historya. Właściciel sąsiedniej wioski, bogaty hrabia polski, łożył na jego wychowanie. *Der dumme Pole*, wychowywał patryotę Niemca. Bo ojciec mój był patryotą panie. Ów syn radcy wpływowego zaprotegował go dalej tak, że później ojciec mój otrzymał zapomogę rządową na zakupno majątku polskiego. Potem kupił wieś drugą, także za pieniądze rządowe i był na najlepszej drodze zrobienia majątku. A przytem pracował zawsze dla niemczyzny. I to jak! Należał do wszystkich związków patryotycznych, wypędzał *die Polakei* ze służby, wyrobił u rządu założenie kościoła protestanckiego w katolickiem mieście. Był prawdziwym Niemcem, panie drogi.

— No cóż dalej? — zapytałem.

— Ach dalej, panie, było gorzej. Przygody, spekulacye nieszczęśliwe; przytem gospodarstwo nie przyniosło. Dość, że większość majątku rozeszła się znowu.

— A potem?

— Potem ja się wziąłem do roboty. Ale teraz, to nie tak już łatwo, jak dawniej. Konkurencya straszna. Z całych Niemiec cisną się ludzie do Księstwa, by pracować dla sprawy niemieckiej. Zarobić porządnie rzeczywiście trudno.

— A jakaż na to rada? — zapytałem z współczuciem.

Niemiec aż skoczył.

— Jaka rada panie! Ależ najprostsza w świecie. Gdyby rząd był energiczny, wypędziłby właścicieli polskich z wschodnich kresów i darowałby ziemię zasłużonym Niemcom. Wszystko inne, to tylko pozory do walki. Mnie chodzi o ich pieniądze, a nie o ich dusze. Duszą się nikt nie naje. — Na to zdjął po raz drugi kuferek z siatki i wyjąwszy z niego wielki butersznit, owinięty w gazetę, zaczął go zajadać z rzeczywistym apetytem.

— Tak panie — ciągnął dalej — być praktycznym, to grunt. Tak samo dla ludzi, jak dla narodów. Siła zwycięża i rasa mocniejsza powinna ze swego prawa korzystać. Przyjemność życia składa się z rzeczy realnych, z tego, co się zje i wypije, z pieniędzy na ubranie i na podróże i na dom wygodny, a potem z ziemi, którą człowiek gromadzi, lub kuponów, które obcina. To wszystko jest udziałem mocniejszego, rasy panów. Dla nich Pan Bóg stworzył rasy sług, które im służyć

winny. O tem jeszcze nasz rząd nie dość pamięta. Ciągle walczymy półśrodkami. Wywłaszczyć i kwita.

— Mówisz pan rzeczy ciekawe — zauważyłem — ale zapominasz o konkurencyi nieznośnej, o której przed chwilą pan mówiłeś. Gdyby tak naprawdę rząd postąpił według pańskiej rady, pytanie, czy wtedy właśnie panu, tak dzielnemu patryocie, dostałaby się należna gratyfikacya.

Mojemu Niemcowi zachmurzyło się czoło. Smutne myśli widocznie wstąpiły w jego duszę. Westchnął głęboko i zamilkł, a potem zaczął zcicha i smutnie nucić półgłosem jakąś melodyę, w której poznałem rzewną aryę z „*Trompeter von Säckingen*": *Es wär' zu schön gewesen, es hat nicht sollen sein.*

Zbliżał się Poznań. Zamigotały lampy elektryczne dworca. Pociąg stanął. Pokazało się, że obaj jedziemy dalej, ale konduktor otworzył drzwiczki od wagonu dla nowych przybyszów.

Wyszliśmy więc na peron, by się przejść trochę i kupić gazety. Nagle mój towarzysz wydał okrzyk radosny.

— Moja rodzina! Widzisz pan, idzie tam małżonka i córki moje i syn. Cóż za kochane istoty, że przyszli mnie odwiedzić. I pobiegł ku nim, a ja spoglądałem, jak ściskał i całował grubą Niemkę w kapeluszu, upstrzonym czerwonymi kwiatami i grono dziewic o płowych włosach i młodego Germana w burszowskiej czapce.

Lecz czas do odjazdu nadchodził. Niemiec pożegnał swoją rodzinę, a gdy pociąg ruszył, po-

wiewał jeszcze chustką przez okno i wołał: *Grüss Gott! Auf Wiedersehen!* Poczem usiadł i odwracając się do mnie, powiedział:

— Moim defektem jest, że mam czułe serce. Wszystko mnie wzrusza. *Ein wahrer Herzfehler.*

Jechaliśmy dalej. Niemiec zaczął znów rozmawiać. Tym razem o rodzinie.

— Ja kocham mego syna ponad wszystko — mówił rozczulony. — To też pragnę dla niego karyery jak najświetniejszej, lepszej niż moja

— A czemże pan się trudnisz, jeśli wolno wiedzieć? — zapytałem.

Mój towarzysz stał się nagle podejrzliwym.

— Pan pewno z Poznańskiego — zagadnął z swej strony, a gdy mu to potwierdziłem, zapytał jeszcze: I pewno w urzędzie?

Warto było fotografią błyskawiczną uchwycić przerażenie, które odmalowało się na jego twarzy, gdy usłyszał moją spokojną odpowiedź:

— Nie panie, bo jestem Polakiem.

— Co, Polakiem?! Pan jesteś Polakiem? I czemuż mi pan tego pierwej nie powiedziałeś?

Wstał, zaczął mi się kłaniać, przepraszać, że poprzednio mówił takie rzeczy, co nie są *für die Herren Polen.* Ale uspokoiłem go prędko, oświadczając mu, że właśnie dla tego rozmowa z nim była dla mnie cenną, bo lubię, gdy ludzie mówią to, co myślą. A jakżeby Polaka mogły nie zajmować myśli i uczucia prawowiernego hakatysty.

Niemiec ochłonął nieco, ale na moje zapytanie,czem się trudni, odpowiedział wymijająco. Dowiedziałem się tylko, że musi dużo jeździć i że

ma dużo interesów, ale że konkurencya coraz większa i że „geszeft“ się nie dosyć opłaca.

Zaczynałem odgadywać, a zresztą widziałem, że więcej się od niego w tej mierze nie dowiem. Sprowadziłem więc rozmowę znów na temat rodziny. Niemiec się odrazu ożywił i zaczął puszczać wodzę swej fantazyi. Karyera, urzędy, honory i pieniądze — wszystko to przesuwało się przed oczami jego wyobraźni, jak obrazki latarni magicznej. Marzył na jawie dla siebie i syna, szczególniej dla syna, o świetnych stosunkach.

— Bo ja już zostanę, czem jestem. Za starym na to, aby dojść do czegoś porządnego. Miał człowiek nieszczęście w życiu. Najlepsze rachunki nieraz zawodzą. Mój Boże, gdy pomyślę, że niektórzy koledzy moi z gimnazyum doszli dziś do stanowisk wysokich, są landratami, prezesami rejencyi, jeden nawet radcą ministeryalnym! I ma, panie, ten człowiek czerwonego orla drugiej klasy, tak, drugiej klasy! A ja co mam, niczego nie mam, nawet wstążeczki najmniejszej, by ozdobić butonierkę od surduta.

Rzekłszy to, posmutniał i chcąc widocznie zmienić tok swych myśli, począł wertować, kupioną na dworcu poznańskim, gazetę.

Ale snać w niej nie znalazł nic wesołego, gdyż po chwili odłożył ją znowu mówiąc: — jeszcze tylko brakuje nam wojny. Wtedy człowiek zbankrutuje do reszty.

Potwierdziłem jego pessymistyczne poglądy. Wojna to rzecz straszna dla kraju, takiego, jak Niemcy. Porty zbombardowane przez Anglików, blokada wybrzeży, zastój handlu, spadek cen ziemi,

a w kraju wzrost socyalizmu, może nawet, w razie niepowodzeń, anarchia.

Mój towarzysz już prawie płakał.

— Nie mów pan takich okropnych rzeczy. Ja tego nie mogę słuchać. Nie znoszę przykrych wrażeń. Mam od urodzenia naturę zbyt delikatną, zbyt uczuciową.

Mijaliśmy pierwszą stacyę za Poznaniem. W dali, z wyniosłości pagórka, widniały, na lazurowem tle sierpniowego nieba, czerwone dachy domków kolonizacyjnych, a wsród nich, jakby na straży, wysoka wieża nowego zboru luterskiego.

Niemiec rozweselił się i wskazał ręką na przesuwający się przed oczami krajobraz.

— Po cóż sobie zaprzątać głowę smutnemi myślami. Oto raczej cieszmy się tym widokiem pracy ludzkiej, kultury i dobrobytu. Patrz pan na tę żyzną krainę, to symbol szczęścia, ładu i porządku.

I dodał poważnie: — Chwała na wysokościach Bogu, a pokój ludziom dobrej woli na ziemi.

A potem zamilkł, snać sobie przypomniawszy, że mówi z człowiekiem, który nie potrafi ocenić błogosławieństw Bożych, spływających na tę szczęśliwą krainę.

W wagonie zapanowała cisza. Niemiec zasunął się w kąt i zaczął drzemać, a bujna jego wyobraźnia zapewne uniosła go na skrzydłach czerwonego orła drugiej klasy aż hen w krainę honorów i bogactwa...

Czytelniku polski, czyż nie warto było postaci tego Niemca uwiecznić piórem?

NIEMIECKIE MUZEUM
W POZNANIU.

Trzydzieści lat mija od chwili, gdy w Berlinie zakończył życie magnat wielkopolski, Atanazy hr. Raczyński, twórca znanej galeryi obrazów, którą ofiarował królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV, a która, dziwnem zrządzeniem losu, z woli germanizatorskiego rządu, powróciła do Poznania, na rodzinną ziemię fundatora, by stanowić podstawę otwartego przed rokiem muzeum im. cesarza Fryderyka.

Wielki to był pan, ale i dziwny pan, hr. Atanazy. Zrodzony z ojca i matki Polaków, ożeniony z Radziwiłłówną, brat dobroczyńcy miasta Poznania i gorącego miłośnika ojczyzny, hr. Edwarda Raczyńskiego, sam oficer wojsk polskich, weteran z pod Gdańska i Raszyna, strojny niegdyś barwami Tyszkiewiczowskich ułanów, znienawidził tak dalece swoje społeczeństwo, że nietylko odsądził od sukcesyi ogromnej ordynacyi Obrzyckiej rogalińską linię Raczyńskich, najbliższą sobie i jedyną polską, nietylko całą działalność swego bogatego umysłu obrócił na korzyść obcego społeczeństwa, ale nawet zbiory swoje artystyczne pozostawił w spuściźnie społeczeństwu

niemieckiemu. Ofiarował je królowi rozpaczliwemi słowy, które katalog muzealny z dumą zamieszcza na wstępie: „Dom królewski pruski i państwo pruskie są ostatnim symbolem i ostatnią kotwicą, jaka mi jeszcze pozostała z moich politycznych przekonań“.

I mimowoli przychodzi tu na myśl szczegół z jego młodości, rzucający trochę światła na niezrozumiałe przeobrażenia psychiczne, które się rozegrały w duszy tego dziwnego człowieka.

Wychowaniem jego zajmowała się przez czas dłuższy kobieta, wdowa, której tragiczne losy osobnego czekają kronikarza, wygnanka na bruku berlińskim, pani hetmanowa Ożarowska. Ileż żalu i goryczy musiało się w to wychowanie wsączyć na tle strasznych wspomnień z owych dni, gdy przed ratuszem warszawskim, zaciągnięty tam przez tłum, na wzniesionej szubienicy — zawisnął hetman polski.

Ale na dzieje narodów i ludzi zdradliwą jest rzeczą spoglądać w bengalskiem oświetleniu dramatycznych chwil. Toteż do charakterystyki hr. Atanazego wolę realniejszy dodać moment. Galeryę swoją chciał on pierwotnie darować Poznaniowi i nawet osobny gmach dla niej zakupić.

Lecz magistrat poznański, który widocznie z dawien dawna z pomiędzy wszystkich miejscowości na świecie czuł specyalną sympatyę do Abdery, odmówił po prostu przyjęcia wspaniałego daru, chyba, że hrabia Raczyński roczną opłatą na utrzymanie muzeum wynagrodzi Poznańczykom poświęcenie oglądania arcydzieł pędzla i dłuta. Po tak wiekopomnem orzeczeniu, hrabia Atanazy ofia-

rował swoje zbiory Berlinowi, który przyjął je z wdzięcznością, podjął się utrzymywać i ofiarował nawet grunt pod gmach muzealny.

Dziwne zaiste walki wewnętrzne przechodzić musiał ten wcale niepowszedni człowiek, zanim własną porzucił a obcą obrał ojczyznę. Był on renegatem, ale nie renegatem płaskim, pospolitym; nie ciągnął z nowej macierzy zysków; owszem, pracował dla niej i przysparzał jej korzyści, gdzie tylko mógł i potrafił.

A mógł i potrafił wiele. Wspaniałe dzieło jego o historyi sztuki niemieckiej, dotąd jest cenione przez świat artystyczny. Tak samo jego publikacye o sztuce portugalskiej. Jako poseł pruski w Hiszpanii, odznaczył się w swych pertraktacyach z Donozem Cortès, a listy jego i korespondencye utrwalił w r. 1880 francuski publicysta hr. d'Antioche w książce p. t. *Deux diplomates*.

Król Fryderyk Wilhelm IV mawiał nieraz, że nie wielu ma tak wiernych i światłych doradców, jak hr. Atanazego Raczyńskiego. Ale ten doradca nie korzystał ze swego uprzywilejowanego stanowiska, by cośkolwiek dobrego uczynić dla ojczystego kraju. Pozostał mu obcym przez długie lata, które spędził w stolicy Niemiec, i nawet na łożu śmierci rozporządził, aby zwłoki jego nie spoczęły na polskiej ziemi.

Pochowano go w kościele św. Jadwigi, w pobliżu zamku królewskiego. Dziś imię jego na nowo odżyło w Wielkopolsce, dla której brat jego, hr. Edward, dziad obecnego właściciela Rogalina, tak znamienite położył zasługi. A odżyło w sposób szczególny. Oto po całym szeregu iście barbarzyń-

skich środków antypolskich, wystąpił rząd pruski z fundacyą, która, chociaż przeciw nam zwrócona, jednak pod względem kulturalnym przedstawia się poważnie i której społeczeństwo polskie bacznej nie może odmówić uwagi.

Podstawę nowego muzeum stanowią zbiory hr. Atanazego. Gmach sam, tworzący róg ulic Nowej i Wilhelmowskiej, naprzeciw Bazaru, przedstawia się wcale nie źle w swej architekturze o liniach prostych i szlachetnych, nie rażących oka widza na wzór tylu wstrętnych okazów szablonowego renesansu niemieckiego, które szpecą wielkopolskie miasta. Wewnątrz, cały środek gmachu zajmuje ogromna oszklona hala, z której szerokie i jasne korytarze prowadzą do sal parterowych, a podwójne schody do gabinetów pierwszego piętra. Zdobi ten przedsionek pomnik starożytnej germanki, pod którą Niemcy podpisali „*Barbarenmutter*".

Rozpoczynamy naszą wędrówkę od galeryi hr. Raczyńskiego. Przybyły do Poznania malarz monachijczyk, określił jej wartość jednem słowem: Paradna. I rzeczywiście, jak na zbiór prywatnego amatora, przedstawia się ona imponująco. Wiele z obrazów, dawniej uważanych jako oryginały, oznaczyła dyrekcya berlińskiej *National-Gallerie*, która zajęła się urządzeniem muzeum poznańskiego, jako kopie, zresztą przeważnie dobre; ale poza niemi jest szereg utworów oryginalnych o nazwiskach bardzo dobrze brzmiących.

Z mistrzów włoskich reprezentowany Bronzino pięknym portretem Kosmy Medyceusza, dwoma płótnami Francia, jednem Borgognone, również

jednem Bellini, któremu towarzyszą inni mistrze ze szkoły weneckiej; między nimi Canaletto, którego płótno przedstawia elekcyę Stanisława Augusta na Woli pod Warszawą. Obraz ten w swoim czasie został darowany przez króla marszałkowi Bnińskiemu. Ze szkoły hiszpańskiej wymienimy trzy oryginały Velasqueza i trzy Zurbarana; z flamandzkiej Snydersa i piękną madonnę Quintyna Metsysa. Z obrazów szkoły francuskiej posiada galerya między innemi trzy płótna Ary Scheffera i jedno Pawła Delaroche.

Część tych płócien nabył hr. Atanazy ze zbiorów króla Francuzów Ludwika Filipa i z galeryi książąt Strozzich we Florencyi. Jednego z Velasquezów otrzymał w upominku od króla portugalskiego.

Najliczniej, oczywiście, reprezentowani są Niemcy. Cztery płótna Kaulbacha, jedno Achenbacha, dalej „Magdalena“ Böcklina, „Walka Centaurów“ i „Królowa Elfów“ Makarta, obrazy Menzla, Overbecka, Korneliusa. Do niemieckiej szkoły zaliczył także zarząd muzealny akwarelę hr. Atanazego Raczyńskiego, przedstawiającą katedrę w Akwizgranie.

W zacisznym kąciku jednej z bocznych sal, wisi kilka obrazów polskich, cztery akwarele Orłowskiego i jedna Piotra Michałowskiego, przedstawiająca kuźnię wiejską. Obok nich „Wypędzenie Agary“, pędzla Norblina, malowane *en grisaille.* Oprócz obrazów, pochodzących ze zbiorów hr. Raczyńskiego, zawiera galerya jeszcze pewną ilość płócien, nadesłanych przez zarząd królewskich muzeów w Berlinie, a także i przez prywatnych ofia-

rodawców, między innymi przez członków rodziny cesarskiej. Z rzeźb odznaczają się dwie Thorwaldsena i jedna Francuza Falguière'a.

Dalsze sale pierwszego piętra zapełnione są bogatym zbiorem ciekawych zabytków wielkopolskich. Rzeźby, nagrobki, piękne marmurowe kominki z XVI stulecia, makaty, bronie, starożytne wyroby żelazne, wielki zbiór przedmiotów rytualnych żydowskich, skrzynie cechów poznańskich, ołtarze, tryptyki, monstrancye, dzwony, krucyfiksy, składają się na całość, która warta jest osobnego studyum. Nie brak też i gablotek z monetami polskiemi, które ofiarowało Tow. numizmatyczne poznańskie.

Dostarczyły wielu zabytków ratusze: poznański, wschowski, koźmiński, międzyrzecki, babimojski. Cały szereg przedmiotów pochodzi też z kościołów katolickich, lub zborów protestanckich, w Strzelnie, Poniecu, Dolsku, Kcyni, Lesznie, Zaborowie, Bydgoszczy, Ostrowie, Pleszewie, Gostyniu.

Koło mnie przechodzi jakaś para niemiecka. On typowy *Professorengesicht* z okularami i brodą. Ona z pewnością krewna pani Buchholz, którą tak misternie uwiecznił Stinde.

— Karolku — powiada dama — doprawdy kultura naszego narodu niemieckiego, przynosi wielkie dobrodziejstwa temu krajowi i to działając nie tylko przed siebie, ale i wstecz, poza siebie, bo oto tyle wieków przed swem przybyciem do Polski, wydawała już tak piękne owoce w tej dzielnicy.

Ucieszony tem genialnem powiedzeniem, przystanąłem nieco, czekając odpowiedzi Karolka. Lecz

ten, obejrzawszy się niespokojnie i widząc, że słucham ciekawie, rzekł do żony:

— Wilhelminko, oglądasz od dwóch godzin muzeum. Teraz czas na obiad. Punktualność jest także oznaką kultury.

I poszli. Ja zaś dalej oglądałem zbiór pomników dawnej cywilizacyi, która za czasów polskich kwitnęła w tym kraju.

O całem muzeum można powiedzieć, że niemal wszystko, co w niem ciekawego i cennego, jest owocem polskiej kultury i polskiego znawstwa. Niemieckie w niem przedmioty zdają się dodatkiem tylko, by trochę charakteru germańskiego jednak przyczepić do rządowej instytucyi.

Ale nawet wśród rzeczy pochodzenia wprost niemieckiego, odzywa się tu i owdzie nuta polska. Pomiędzy obrazami, które z własnych zbiorów nadesłała berlińska *Nationalgallerie*, spostrzegamy dużą kopię portretu Stefana Czarnieckiego.

Z buławą w ręku króluje wielki obrońca Rzeczypospolitej w tym gmachu, którego przeznaczeniem jest uprzytomnić Polakom potęgę Niemiec.

A spogląda on jeszcze na inne komnaty, w samem sercu pruskiej przemocy. Oryginał bowiem poznańskiego wizerunku zdobi w zamku cesarskim w Berlinie jeden z salonów Wilhelma II.

Warto jeszcze rzucić okiem na parter, złożony z ośmiu sal. Skrzydło od ulicy Nowej zawiera odlewy gipsowe najsławniejszych posągów i rzeźb, znajdujących się w muzeach europejskich. Z punktu widzenia dydaktycznego rzecz znakomicie ułożona, jak wogóle całe muzeum. Wszędzie napisy dokładne, nie wymagające zaglądania do katalogu.

Wszędzie porządek wzorowy, a dodatkowe objaśnienia udzielane są chętnie przez urzędników dozorujących, doskonale ze zbiorami obznajomionych. Okazuje się to szczególniej przy zwiedzaniu zbiorów mineralogicznych, botanicznych, paleontologicznych i geologicznych, zamieszczonych w salach lewego skrzydła.

Tam, a więcej może jeszcze w gabinetach, zawierających wykopaliska z grobowców słowiańskich i w sali wystawy przedmiotów szkolnych, bezustanny odbywał się w mej obecności wykład ze strony urzędników, którzy ciekawej publiczności, przeważnie z niższych stanów, dawali treściwe objaśnienia. A publiczności tej przy niedzieli doprawdy nie brakowało. Co najmniej tysiąc osób równocześnie zapełniło sale. Widać, że muzeum jest popularne wśród niemieckich mieszkańców miasta. Ale i polskie dźwięki odzywają się tu i owdzie.

Zwiedzają muzeum także Polacy, oglądają i porównują ten przepych urzędowy, który powstał z dnia na dzień, jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej, ze skromnem, a nawet nędznem ulokowaniem naszych polskich zbiorów w gmachu Tow. przyjaciół nauk. Ale i tam zanosi się na lepsze i żywimy nadzieję, że nie zbyt długo przyjdzie nam czekać na przybudowanie nowego skrzydła, które ułatwi pomieszczenie biblioteki i zabytków. Nie będziemy jednak posiadali zapewne nigdy takiej galeryi obrazów jak ta, którą się szczyci muzeum niemieckie.

Lecz czyż doprawdy nigdy? Nie od dziś przecież jest mowa o przeniesieniu wspaniałych, euro-

pejskiego znaczenia zbiorów ś. p. hr. Izy Działyńskiej, a obecnie ks. Witolda Czartoryskiego do Poznania. Dziś spoczywają one samotnie w zamku gołuchowskim, o kilka godzin koleją od Poznania, znane tylko niewielu, a nie służące nawet właścicielowi, który nie mieszka w tej rezydencyi. Umożliwić korzystanie z nich naszej publiczności, byłoby odpowiedzią na założenie muzeum niemieckiego, a odpowiedzią dobrą i szlachetną, na ten, bądź co bądź, kulturalny i poważny nowy występ niemiecki.

Lecz wróćmy jeszcze do muzeum niemieckiego. Na zakończenie prowadzi urzędnik do osobnej salki, przeznaczonej dla wystawy sprzedażnej. Jest to oryginalny pomysł dyrekcyi, która nawiązała stosunki z różnemi firmami zagranicznemi i odbiera od nich cenne okazy przemysłu artystycznego na pokaz i na sprzedaż. Przesyłka, a w danym razie zwrot okazów, odbywa się na koszt muzeum. Wystawa ta jest rzeczywiście zajmującą. Zwracają przedewszystkiem uwagę porcelany i fajanse francuskie z Sèvres i majoliki paryskie firmy Delaherche, majoliki z fabryki w Glatigny, śliczne porcelany szwedzkie z Roerstrand i duńskie z Kopenhagi, stamtąd również artystyczne wyroby cynowe, secesyjne meble z fabryki Hubera w Dreźnie, tkaniny norweskie i wiele innych przedmiotów. Wystawa ta zmienia się i odświeża bezustannie.

Nowa instytucya niemiecka w grodzie Przemysławowym ma służyć dwojakim celom. Przy otwarciu muzeum mowy hakatystów stawiały mu jako zadanie przedewszystkiem szerzenie ducha

niemieckiego oraz wzbudzanie uszanowania i podziwu dla rządu założyciela. Przeciwnie enuncyacya dyrekcyi w sposób pełen taktu i przyzwoitości zaznaczyła ogólno-ludzkie zadanie kulturalne sztuki, której służyć, bez względu na spory i walki, będzie celem kierownictwa.

W polskich zaś sercach nowa ta instytucya wespół z nową akademią niemiecką oby wzbudziła dążenie do celu trzeciego, do pobudzenia ruchu artystycznego i umysłowego polskiego w naszej dzielnicy, który, choćby dlatego nie może podnosić ducha społeczeństwa, że niemal wcale u nas nie istnieje. Muzeum cesarza Fryderyka niech będzie dla nas *memento*, że i na tem polu germanizm trafnie poznał nasze słabe strony.

Opuszczający gmach muzealny, mimowoli zwraca oczy ku wspaniałej kolumnadzie przeciwległej biblioteki imienia Raczyńskich, ofiarowanej Poznaniowi przez hr. Edwarda.

Polską ona w swem założeniu, w myśli i celu fundatora, choć dziś zagarnięta przez obcych. Polską, tak jak polskiem było wszystko, co czynił jej założyciel, a bogatą i piękną, jak każde z jego dzieł dla miasta i kraju.

Razem z pomnikowemi wydawnictwami, z odnowioną kaplicą królewską w poznańskiej katedrze, postawionemi posągami Mieczysława i Chrobrego, założonym dla miasta wodociągiem, stanowi chwalebną spuściznę znakomitego obywatela.

I znów wspomnienia cisną się do głowy i porównania bolesne, jak jednego brata, który pracę swego życia oddał obcym, oni czcili, cenili i czczą jeszcze, a jak drugiego, który każdem drgnieniem

swego gorącego serca, każdem pragnieniem bogatego umysłu żył i pracował dla kraju, niewdzięczne społeczeństwo wielkopolskie przez całe życie zawziętą ścigało zazdrością i zapędziło aż do grobu.

Hrabiemu Edwardowi Raczyńskiemu należałby się w Poznaniu pomnik, a na nim napis, zdobiący posąg prześladowanego patryoty włoskiego: *Za krzywdy sprawione przez ojców, zbudowali potomni.*

ZBIORY W ROGALINIE.

Nie wielu zapewne Polaków z Galicyi i Królestwa, jadących do Poznania, wie o tem, że w pobliżu Mosiny, jednej z najbliższych stacyj kolejowych tuż obok stolicy Wielkopolski, leży rezydencya polska ze zbiorami dzieł sztuki, jakim, zdaniem wytrawnych znawców, nie wiele jest równych w prywatnych rękach w środkowej Europie.

Mam na myśli pałac w Rogalinie, siedzibę hr. Edwarda Raczyńskiego, prezesa krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych.

U obcych, w Berlinie, Monachium i Paryżu, posiada galerya rogalińska ustaloną sławę. Dzięki nieustającym zabiegom właściciela, wzrasta galerya wciąż i bogaci się nowymi nabytkami. Ponieważ jednak zbiory te znajdują się na wsi, są z natury rzeczy mniej dostępne szerszej publiczności. Toteż sądzę, że nie od rzeczy będzie poświęcić im słów kilka, zanim Rogalin doczeka się, jak na to zasługuje, monografii obszernej i gruntownej.

Pałac rogaliński, obszerny gmach w stylu odrodzenia, wznosi się wśród kilkusetmorgowego parku i stanowi ramy godne nagromadzonych w nim skarbów. Pomimo to — ponieważ złożyła

się na nie praca kilku pokoleń — najnowsze, a zarazem i najliczniejsze nabytki obecnego właściciela nie znajdują w nim już odpowiedniego miejsca i po części tłoczyć się muszą w pokojach, zamienionych w istne magazyny. Setki obrazów czekają tu na chwilę zawieszenia po ścianach i uwydatnienia całej swej wartości. By dać pojęcie o tem, co zawiera Rogalin, wystarczy powiedzieć, że same zakupna hr. Edwarda przewyższają o wiele pod względem swej wartości znaną i cenioną galeryę Raczyńskich w muzeum niemieckiem w Poznaniu.

Lecz przystąpmy do bliższego rozpatrzenia się w rogalińskiej Pinakotece. Parterowe apartamenta pałacu zawierają przedewszystkiem zbiory dawniejszych pokoleń tego kulturalnego rodu, który szlachetną tradycyę przekazuje z ojca na syna. W środkowym salonie, który, choć kształtu owalnego, zasługuje na nazwę rogalińskiego *Salon carré*, zwraca uwagę widza w pierwszym rzędzie „Chrystus“ Rembrandta, jedno z najznakomitszych dzieł tego mistrza. Przed siedmiu laty na wystawie dzieł Rembrandta w Amsterdamie, zachwycali się nim znawcy holenderscy i w swych publikacyach poświęcili mu, jak niemniej i wystawionemu przez hr. Tarnowskiego z Dzikowa „Lisowczykowi“ zaszczytne ustępy.

W tym samym pokoju widzimy dalej głowę kobiecą Łukasza Cranacha i przepiękny portret kobiecy, przypisywany przez jednych Tycyanowi, podczas gdy inni twierdzą, że jest on dziełem Veronesa. Towarzyszą tym obrazom między innemi Madonna Bonifazia i ciekawy karton do

gobelinu, przedstawiający Madonnę della Sedia, obróconą w przeciwieństwie do znanego obrazu Rafaela, z prawej strony na lewą. Mimowoli nasuwa się tu przypuszczenie, iż mamy w tym wypadku do czynienia z kartonem oryginalnym do zaginionego, lub raczej nie wykonanego gobelinu Rafaela.

W tejże komnacie, znajdują się inne, ciekawe obrazy z szkoły hiszpańskiej lub starej florenckiej, jest wenecko-polski Canaletto i dwóch dobrych znajomych z Drezna i Monachium: Mieris i Metsu. Z nowych obrazów, w salonie tym niema żadnego.

W komnacie przyległej mieszczą się głównie portrety rodzinne pędzla Lampiego, Bacciarellego, Grassiego, Battoniego i Rodakowskiego. W sali jadalnej zaś zwraca na siebie uwagę portret mężczyzny, dzieło Tintoretta lub jego szkoły, a w fumoirze głowa Minerwy, przypisywana przez krytyków Sebastyanowi del Piombo.

Inne pokoje parterowe zapełniają przeważnie dzieła malarzy współczesnych. Obok dużego portretu hr. Tyszkiewiczowej Malczewskiego, zachwyca nas tegoż samego mistrza „Skowronek“, istna perła malarstwa polskiego, witają nas ze ścian i sztalug Wyspiański, Axentowicz, Boznańska, Falat, Stachiewicz, Janowski.

Z obcych również same nazwiska znane, utwory, które przeszły zwycięsko przez krytykę kół fachowych zachodniej Europy. Obraz za obrazem, same znane i uklasyfikowane za granicą, najczęściej odznaczone medalem salonu paryskiego, lub innej z wielkich wystaw światowych —

„Uśmiech" Besnard'a, „Pejzaż zimowy" Thaulowa, „Homer" Menard'a, „Żniwo" Anglika Davis'a i portret kobiecy Ludwika Picarda.

Właściciel Rogalina ma istotnie szczęśliwą rękę. Rzeczy małej wartości w jego zbiorach niema, a twierdzenie to nabiera właściwego znaczenia, gdy zważymy, że hr. Edward zakupuje obrazy nieraz od malarzy młodych, w najlepszej chwili ich twórczości, lecz zanim ją uwieńczy ogólne uznanie.

Znawstwo hrabiego jest pod tym względem w Paryżu tak cenione, że dziś już zamówienie lub zakupno obrazu przez niego, stanowi dla nieznanego jeszcze talentu rzeczywistą reklamę. W stosunku do sztuki krajowej podnieść należy w działalności hr. Raczyńskiego tę okoliczność, że bezustanne zakupna dzieł polskich mistrzów stanowią przykład godny naśladowania. Niestety bowiem, niema może kraju, w którymby, jak u nas, ludzie majętni, tak bardzo żałowali grosza na popieranie sztuki rodzimej.

Cały Parnas malarski polski znalazł w Rogalinie gościnę. Przeszło pięćdziesięciu polskich malarzy odnajdzie tam swoje utwory i to często w liczbie bardzo znacznej.

Tak np. samego Malczewskiego posiada Rogalin 25 obrazów, Wyspiańskiego i Wyczółkowskiego po 7, Janowskiej, Boznańskiej i Józefa Czaykowskiego po 5, Mehoffera 4, Stanisławskiego, Podkowińskiego i Bąkowskiego po 3, Ajdukiewicza, Fałata, Bilińskiej, Kochanowskiego, Rapackiego i Stachiewicza po 2. Razem obrazów szkoły polskiej około 120.

Lecz wymieniając tę liczbę, spostrzegam się, że przekroczyłem zakres salonów parterowych, w których obrazy w odpowiedni sposób rozwieszone są na ścianach. Znaczna większość dzieł sztuki mieści się w górnych piętrach pałacu. Są tam sale dość obszerne, szczególnie wielka sala zbrojowni.

Dziś jednak przedstawiają one widok prawdziwych magazynów. Dużo obrazów na ścianach, niektóre na sztalugach. Ale dwie trzecie skarbów rogalińskich spoczywa w kilkuwarstwowych rzędach, oparte o urządzone w tym celu poręcze. Niektóre z górnych sal tak są w ten sposób zapełnione, że poprostu przejść przez nie trudno i co chwila potykamy się o jakąś pierwszą nagrodę salonu paryskiego. Prawdziwy tu jest *embarras de richesse*, a mimowoli strach przejmuje na myśl, że jedna nieostrożnie rzucona zapałka mogłaby zamienić w kupę popiołu milionową wartość.

Oczywistą jest rzeczą, że w takich warunkach oglądanie obrazów jest nadzwyczaj utrudnione i tylko wielkiej uprzejmości gospodarza zawdzięczam, iż w mozolnej wędrówce po salach najpiękniejsze płótna wydobywano dla mnie i wysuwano ku oknom, tak, że z ich wartości mogłem sobie zdać sprawę, choć pobieżnie. Dzięki temu, mogę obecnie kilku słowami określić niektóre z głównych znakomitości, przechowanych w owych magazynach.

Jasno się zrobiło w pokoju, gdy do światła przybliżono przepyszną kreacyę, podpisaną: La Touche, a noszącą nazwę: „La Vasque“. W strumieniach wody, spadającej z kamiennego basenu,

gra światło słoneczne wspaniałem bogactwem barw. Cały obraz, to jeden akord w cudownej harmonii kolorów. Mamy przed sobą wzór impressyonizmu w najwyższym stylu, impressyonizmu klasycznego. Wspaniałem także jest łamanie się światła elektrycznego z gazowem w Gierymskiego nocnym widoku bramy paryskiego Luwru. Zda się, że z obrazu wyskoczą „Źrebaki“ Besnard'a, opędzające się od much ruchami szalonego życia, a znów na „Sylfy“ Monoda złożyło się ciepło kolorytu Tycyana i Sebastyana del Piombo, powiewność ruchów Corota i prawdziwie rubensowska karnacya. Z tego obrazu zda się odzywać prośba: Pokażcie mnie ludziom i słońcu, nie więźcie mnie w szarym pomroku, bom życiem i światłem i barwą i radować mam ludzkie oczy.

A może jeszcze subtelniejszym w swej bogatej prostocie jest tego samego mistrza pastel *aux trois crayons*, zwany *La femme au paon*. Plastyczność rysunku i delikatność cieniowania jest w tym obrazie taka, że widz poprostu odczuwa ból nerwowy, gdy po oględzinach znów przepyszne płótno ginie w ciemności zakątka, w którym zwykle spoczywa.

Lecz zbyt wiele pięknych rzeczy przesunęło się przed memi oczyma w dwudniowej wędrówce po salach rogalińskich, bym poświęcić mógł wszystkim uwagę, na którą zasługują. Z pomiędzy innych obrazów wymienię tylko „Błędne koło“ i „Trzy głowy“ Malczewskiego, „Śnieg w Tatrach“ Witkiewicza, „Żniwo“ Tetmajera, portrety hr. Edwarda przez Horowitza i pani de Noailles Budry'ego, scenę z manewrów Ajdukiewicza, pejzaż Ruszczyca, dwa efekty wieczorne Wéry'ego, Zułoagi obraz rodza-

jowy, Ménard'a „Zatokę w Kergoz“, Eugeniusza Loup'a „Wyczerpanie“, Stucka portret własny i dwa portrety zbiorowe Lucyana Simon'a, stanowiące allegorye muzyki i malarstwa.

Wchodzimy do ogromnej sali bibliotecznej, obejmującej całą szerokość pałacu. Tu już kończy się królestwo pędzla, a za to znajdujemy się w dziedzinie drukowanego słowa! Ale jak drukowanego! Całe szafy zapełnione wspaniałemi edycyami *avant la lettre*, zdobnemi winietami i rycinami. Lubownik rzadkich i cennych publikacyj ma tu prawdziwe pole do zajmujących badań; śliczne urządzenie i rzeźby biblioteki są dziełem przemysłu krajowego. Pomysł do nich i rysunki dał p. Hendel z Krakowa, a wykonała je przed kilku laty firma Zeylanda w Poznaniu.

Już to wogóle w Rogalinie amator pięknych rzeczy nie wie, co wpierw podziwiać. Przywiodła go sława zbioru obrazów, a w każdym niemal pokoju, oprócz nich, nęci jego oko mnóstwo przedmiotów z innych dziedzin artystycznej twórczości. Niedawno temu przedstawiciel znanej firmy paryskiej Seligmanna wpadł poprostu w zachwyt na widok kosztownych mebli, makat, bronzów, rzeźb, zdobiących salony. Sam zbiór nowożytnych statuetek i naczyń z fabryki w Sèvres wart jest osobnego opisu.

Wychodzę z pałacu, zmęczony całodziennem zwiedzaniem. W cieniu rozłożystych dębów parku odpoczywają nerwy, wyczerpane nadmiarem wrażeń, doznanych w tej ateńskiej oazie, naszej pod względem artystycznym tak biernej i zaniedbanej Wielkopolski. I może właśnie to bezpośrednie

przejście z atmosfery ekonomicznej walki o życie, z prozy rozpaczliwej obrony kawałka chleba, wyrywanego nam przez obcych, do środowiska, przypominającego dawne rezydencye z epoki Odrodzenia, wywołuje wrażenie największe i zarazem stwierdzenie, iż dzielnica, która od innych naszej ojczyzny odróżnia się ubóstwem życia artystycznego, posiada jednak dom, który siedzibom ludzi bogatych całej Polski przyświeca przykładem popierania sztuki.

WIELKOPOLANIE W RZYMIE.

W ostatnich tygodniach roku 1904, dwa grona podróżnych wyruszały z obrębu cesarstwa niemieckiego w podróż do Rzymu. Oba nie w charakterze zwykłych turystów, oba *ad limina apostolorum*, a jednak wielce różniące się pomiędzy sobą.

Pierwsze z nich jechało z Berlina, a stanowił je książe Albert pruski ze swym orszakiem. Drugie, polskie, wiozło z Poznania grosz wdowi naszej dzielnicy Ojcu chrześciaństwa.

O tamtem rozpisała się prasa niemiecka obszernie. Prusko-liberalne pisma, podające, jak wiadomo, zawsze najnowsze fałszywe wieści z Watykanu, z szczególnym naciskiem zaznaczyły przyjazny charakter odwiedzin książęcych, dodając za inspiracyą z „dobrze poinformowanej strony“, że kurya rzymska znaczne poczyniła rządowi ustępstwa w sprawie polskiej. Mniejsze hakatystyczne „blatty“ dodawały tej niedołężnej kaczce dziennikarskiej lotniejszych skrzydeł, prawiąc o wzajemnych koncesyach: rządu na korzyść postulatów centrowych, Rzymu na niekorzyść żywiołu polskiego w sprawach religijnych naszych dzielnic.

Oczywiście, zaprzeczenia pojawiły się natychmiast w pismach katolickich, ale pochodzenia owej kaczki prasowej, nie można wywodzić jedynie ze znanego aksyomatu niemieckiego: *der Wunsch ist Vater des Gedankens*, lecz w pewnej mierze z niepokoju, ogarniającego sfery nam wrogie za każdym razem, gdy Polacy znajdą przystęp do czynników wpływowych w świecie. Bo choć o podróży rzymskiej poważnego grona Wielkopolan publicystyka prawie milczała, jednak wątpić nie można, że o fakcie tym odpowiednie „Berychty“ poszły, gdzie należy. Naczelny prezes W. Księstwa, p. von Waldow, zręczniejszy od swego poprzednika, p. Bittera, któremu mianowicie po tak kompromitującej dla rządu sprawie wrzesińskiej zarzucano wprost niezgrabność, nietylko w postępowaniu, ale i w informowaniu władz centralnych, nie omieszkał niewątpliwie o zbiorowej podróży do Rzymu kilku poważnych osobistości z Księstwa donieść swym przełożonym. Ci zaś przełożeni, jak wiadomo, w najbliższych pozostają stosunkach do czynników hakaty.

Świętopietrze zawieźli panowie wielkopolscy do Rzymu pod przewodnictwem hr. Teodora Żółtowskiego z Nekli, byłego ostatniego polskiego wicemarszałka sejmu poznańskiego.

Równoczesnym celem delegatów było wzięcie udziału w kongresie maryańskim. W Rzymie stanęli z początkiem grudnia, a 3 tegoż miesiąca uzyskali audyencyę u Ojca św. Posłuchanie odbyło się w apartamentach prywatnych, w pracowni Piusa X, o jeden pokój poza komnatą, w której prywatnych audyencyj udzielał Leon XIII.

Do grona pielgrzymów należało między innymi dwóch panów, piastujących godność szambelanów papieskich. Według ceremoniału watykańskiego, nie byli oni jednak wtedy, jako nie pozostający chwilowo w służbie, w mundurach szambelańskich, lecz we frakach z łańcuchami złotymi i odznakami godności szambelańskiej.

Gdy weszli, Ojciec św. przechadzał się po pokoju. Na ich widok stanął przy biurku, obok którego stały przygotowane dla deputatów fotele i powitał ich ruchem pełnym łaskawości. Delegaci przyklękli, Ojciec św. kazał im powstać. Jeden z delegatów w kilku słowach wyraził po' francusku cel przybycia pielgrzymów i gorące uczucia przywiązania i wierności naszych ziomków do Stolicy apostolskiej.

Ojciec św. wyglądał zdrów i pełen czerstwości. Pomimo 68 lat trzymał się prosto. Wyrazem swych oczu przypomina wielce Piusa IX. Ta sama bystrość i ruchliwość wzroku, a zarazem ta sama słodycz i łagodność. Gdy spogląda na przemawiającego, wtedy ma się uczucie, że to oko matki troskliwie bada potrzeby i troski dziecka.

Pius X słuchał stojąc przemowy Polaków. Słuchał uważnie, starając się widocznie nie uronić ani słowa. Szczególniej, gdy w przemowie poruszonym został temat stosunków w naszych dzielnicach, widać było, że to przedmiot, który blizkim jest jego ojcowskiemu sercu.

Przekonali się też delegaci nasi ponownie o nieprawdziwości zdania szerzonego w pierwszych chwilach panowania Piusa X, jakoby nie rozumiał języka francuskiego. Owszem, rozumie go dobrze,

byle przemawiający mówił wolno i wyraźnie. Sam Ojciec św. jednak po francusku nie przemawia. Delegatów naszych zapytał się po skończonej ich przemowie, czy wolą, by odpowiadał im po łacinie, lub też po włosku. Zapewniono Ojca św., że w języku włoskim będzie należycie zrozumianym, poczem dalsza rozmowa toczyła się po włosku.

Odpowiedź Ojca św. była tak serdeczną, tak rozczulającą, z każdego jej słowa tchnęła taka troska o nas, takie zrozumienie naszych potrzeb i naszej niedoli, że delegatom łzy stanęły w oczach, a wdzięczność gorąca napełniła ich serca wobec tego jedynego dziś monarchy w świecie, dla którego prawowierny naród polski nie przestał tworzyć całości duchowej i społecznej.

Mówiąc o kraju naszym, okazywał Ojciec św. najzupełniejszą znajomość naszych stosunków. Nazwiska episkopatu naszych obu archidyecezyj wymawiał tak dobrze, iż widać było, że są mu wybornie znane. A powtarzam, nie tylko nazwiska naszych dygnitarzy kościelnych, ale i stosunki, ale nasze biedy i żale, nasze troski dnia dzisiejszego i troski o jutro. O wszystkiem tem mówili delegaci z Ojcem św., jako z dobrze i gruntownie poinformowanym. Podniosłe wrażenia z audyencyj u Leona XIII, powtarzały się w rozmowie z Piusem X w całej pełni.

Audyencya skończyła się. Pobłogosławieni przez papieża, pokrzepieni na duchu, opuszczali delegaci komnaty watykańskie. W salach przyległych do pokoi papieskich, czekał już cały szereg osób na dalsze posłuchania, biskupi z różnych

części świata, delegacye z blizka i z bardzo daleka, żywy obraz łączności katolickiego świata, uprzytomniający zarazem ogrom i rozległość władztwa papieskiego.

Kto przez pół godziny z papieżem rozmawiał o swych sprawach rodzimych, z kim on rozprawiał o jego domowych biedach i żalach, ten podziwia tem bardziej wszechstronną znajomość stosunków, okazywaną przez Ojca św., gdy widok czekających wiernych pięciu części świata uprzytomniał mu, że, jak przed chwilą w jego sprawy, tak niebawem Ojciec chrześciaństwa wnikać będzie w sprawy Danii lub Portugalii, Meksyku lub Indyj wschodnich.

Wracającym do hotelu przyniosła poczta najświeższe numera pism niemieckich z dokładnemi informacyami o stanowczym zwrocie Watykanu przeciw Polakom wielkopolskim i o szczególnej niechęci Papieża do „polsko-katolickich podszczuwaczy poznańskich!“

Lecz na audyencyi papieskiej nie skończyły się wrażenia watykańskie naszych pielgrzymów. W tym samym dniu, w którym byli u Papieża, przyjął ich kardynał, sekretarz stanu, Merry del Val.

Kanclerz papieski zajmuje te komnaty, w których niegdyś mieszkał kardynał Ledóchowski, zanim się przeniósł do gmachu propagandy; przyjmuje zaś w t. zw. apartamentach Borgia, odnowionych niedawno staraniem Leona XIII. Pokoje te, położone na pierwszem piętrze, pod stanzami Rafaela, zdobne przepięknemi freskami Pinturicchia, stanowią najpiękniejszy chyba apartament ministeryalny w Europie.

Gdy deputacya polska przybyła, zastała już czekających na posłuchania wiele osób, między niemi kilku biskupów. Niedługo jednak czekali polscy panowie. Po chwili przyjął ich kardynał. — Następca Rampolli był, jak wiadomo, odrazu przedmiotem nietylko żywego zainteresowania się prasy europejskiej, szczególnie liberalnej, ale i niemniej żywej krytyki *a priori*. To ksiądz — pisał półurzędowy *Temps* francuski — a nie dyplomata.

Ze śmiercią Leona XIII i upadkiem Rampolli, przestał Watykan być czynnikiem obliczalnym — zapewniał największy organ z nad Sprewy, *Berl. Tageblatt*. Opinia o nowym ministrze papieskim urabiała się niekorzystna.

Nie zważano, że prasa włoska, nawet silnie liberalna, a chyba najczulsza na punkcie zewnętrznej akcyi kuryi, od pierwszej chwili liczyła się z kardynałem Merry del Val, jako z mężem stanu bardzo wytrawnym a poważnym. Lecz niebawem, zwrot w opinii światowej zaczął się dokonywać nieznacznie, ale konsekwentnie. Ten sam organ liberalnej *haute volée* w Berlinie nazwał wkrótce ministra papieskiego *einen recht schlauen Priester*, a znów nieco później zaczął mu podsuwać swoje projekta, lub te, które razem z subwencyą rządową nadchodzą do jego redakcyi z kanclerskiego pałacu na Wilhelmstrasse. Kardynał Merry del Val siłą rzeczy zajął w opinii światowej miejsce równorzędne z tem, które w niej zajmował jego poprzednik, choć nie jest tylko jego naśladowcą, lecz bardzo samoistną indywidualnością. A raczej właśnie dlatego. Po ciekawym osobniku w jednym

rodzaju, mamy teraz w Rzymie na czele kuryi równie ciekawą postać w rodzaju odmiennym — pisał rzymski korespondent organu ks. Bülowa, *Nordd. Allg. Ztg.*

W niemieckim języku istnieje słowo, którego nie można oddać jednym wyrazem w tłómaczeniu. Słowo to brzmi: *dummdreist* — naiwno-przebiegły. Zastosować je można wybornie do sposobu traktowania spraw rzymsko-polskich przez prasę półlub ćwierć-urzędową niemiecką, a najlepszą tego illustracyą, powtarzające się peryodycznie, zapowiedzi zmiany frontu ze strony Rzymu wobec Polaków. Kto uważnie śledzi skalę tonów w tych enuncyacyach berlińskich, ten spostrzega z łatwością, że są one tylko wyrazem chwilowych uczuć, chęci lub niechęci kół niemieckich. Wszystkie te informacye są podmiotowe w braku, lub wobec niedogodności, informacyj przedmiotowych. Po pierwszych odgłosach, lekceważących nową reprezentacyę kuryi, przyszedł peryod pochlebstw i podsuwania projektów, następnie, gdy to zawiodło, znów dąsania się i naiwnych gróźb.

Nie dalej, jak również częsta zapowiedź pism berlińskich, że rząd uderzy wobec Rzymu w ostry ton, by go zmusić do ustępstw w sprawie polskiej, wywołać może tylko uśmiech na ustach ludzi, znających położenie. Co innego bowiem specyalnie ostry ton wobec dyecezyj polskich (ten zapewne nie prędko się odmieni u nas), a znów co innego wojowniczość rządu wobec Rzymu na tle stosunków ogólnych, a zatem przedewszystkiem ogólno-niemieckich. Tą drogą dziś presyi na Rzymie rząd wywrzeć nie może. Przeszkadzają temu

stosunki parlamentarne niemieckie, skład stronnictw i całokształt spraw wewnętrznych w Niemczech. Pomimo zatem wszelkich szumnych zapowiedzi prasy półurzędowej wiadomo dobrze, że wszystko na razie pozostanie po dawnemu. Pokój trwać będzie pomiędzy kuryą a Niemcami na tle stosunków specyalnie niemieckich. Nasze zaś sprawy będą nadal *causa excepta*, w której rząd będzie po swojemu broił, nigdy jednak nawet najlżejszego poparcia ze strony Rzymu nie doznając, gdyż poparcie to w miarę możności z pewnością dla nas jest zachowane.

Lecz powracam do naszych pielgrzymów. Szli do kardynała tak samo, jak poprzednio do Papieża, z świadomością, że spotka ich przyjęcie życzliwe, ale jak tam, tak i tu przewyższyło ono ich oczekiwania. Charakter obu przyjęć był jednak odmienny. U Piusa X płonęły serca, zwilżały się oczy, wzbierały uczucia w litanię naszych bied i żalów i w akt wdzięczności i wierności dla tej władzy, która zawsze pozostała nam wierną, jak wszystkim, którzy cierpią a ufają. U ministra papieskiego słowa delegatów wielkopolskich szły przedewszystkiem przez alembik autokrytyki. Nie tyle skargi, ile jasnego, rzeczowego przedstawienia spraw naszych.

Kardynał sekretarz stanu sam swojem zachowaniem się wobec gości zdaleka ułatwia im i wskazuje sposób przedstawienia rzeczy.

Mówiono o Napoleonie III, że odchodzący z posłuchania u niego, oczarowani byli jego darem rozmowy. A gdy ktoś pewnego razu zagadnął cesarza na temat tego przymiotu, odpowiedział

Napoleon: „Cały mój sekret polega na tem, że umiem słuchać“. Tym samym przymiotem odznacza się kanclerz papieski. Syn dyplomaty, znanego ambasadora hiszpańskiego i matki angielki, łączy w sobie giętkość i układność dyplomatyczną z powagą i gruntownością rasy anglo-saskiej. I umie słuchać. Widać, że przejmuje się przedmiotem, przedkładanym mu przez opowiadającego, że wnika w jego usposobienie i w jego stan duszy, że stara się, gdy rozmawia z przybyszem z daleka, przejść na jego teren. Od czasu do czasu kilku słowami okazuje, że sprawa nie jest mu obcą, że zajmował się nią już niejednokrotnie i badał ją szczerze. Mówiący z nim, według słów jednego z uczestników posłuchania, czuje się odrazu w domu. Nadewszystko jednak kardynał umie słuchać. Pomimo nawału pracy i nawału czekających na dalsze audyencye, panów polskich zatrzymał kardynał długo — i słuchał, słuchał tak, że widać było, iż każde słowo zapisuje sobie w pamięci. A po tej audyencyi nastąpiła w kilka dni później druga, równie długa i treściwa.

Delegaci wielkopolscy opuszczali za każdym razem podwoje watykańskie z uczuciem podniosłem, że ich pielgrzymka nie była tylko aktem hołdu, ale że w Watykanie mile i chętnie przyjmowane są relacye ze strony obywatelstwa krajowego. A wogóle dla całokształtu naszych interesów w Watykanie niewątpliwie jest rzeczą pożądaną, a nawet wielkiej wagi, by poważne czynniki krajowe jak najczęściej kierowały swe kroki *ad limina Apostolorum*. Niejednokrotnie podnoszono też u nas pożyteczność stałego spędzania

zimy w Rzymie choćby jednego poważnego domu wielkopolskiego. Na pozór wprawdzie postulat ten został już urzeczywistniony od czasu, gdy prezes naszego koła parlamentarnego, książe Ferdynand Radziwiłł, nabył na własność dom w Rzymie; w rzeczywistości jednak, nie wyniknęła stąd dla nas oczekiwana korzyść. Książe prezes bowiem, zajęty sprawami parlamentarnemi, nie może odrywać się na czas dłuższy za granicę.

Na zakończenie kilka luźnych notatek z pobytu Wielkopolan w Rzymie. Uderzającą była troskliwość, z którą w sferach watykańskich dopytywano się nawet o drobne szczegóły życia katolickiego u nas. Czuć było, że to nietylko zwykły wyraz uprzejmości wobec dyecezyan poznańskich, ale że w kilkakrotnie powracających pytaniach tkwi troska głęboka, troska o jutro.

O polityce Papieża i kardynała sekretarza stanu, przytoczyłem powyżej kilka cytatów z prasy liberalnej. Niech mi wolno będzie dodać krótką jej charakterystykę, wyrażoną wobec jednego z panów polskich, przez znanego z rozumu i bystrego sądu prałata rzymskiego. W rozmowie o różnych enuncyacyach prasy o polityce papieskiej, odezwał się ów prałat: „Oni wszyscy nie rozumieją istoty rzeczy. Tu się prowadzi politykę Ducha świętego“. Jak na ocenę, przyznać trzeba, że krótka i charakterystyczna.

Do składu delegacyi wielkopolskiej, należał także hr. Marceli Czarnecki z Rakoniewic; będąc szambelanem papieskim, zgłosił się do służby w Watykanie i pełnił przez tydzień funkcye szambelańskie.

I zdarzyło się tak, że w owych dniach przybyło do progów watykańskich drugie grono, spieszące do Rzymu z granic cesarstwa niemieckiego, owe grono, o którem wspomniałem na wstępie. Zapowiedziana przez całą prasę niemiecką, komentowana w sposób najfantastyczniejszy, odbyła się podczas pobytu w Rzymie polskich delegatów wizyta księcia Alberta pruskiego u Papieża. Dumnie i sztywnie, w przeciwieństwie do innych książąt z domów panujących, którzy wtedy Papieża odwiedzali, kroczył potomek Albrechta brandenburskiego przez krużganki i sale watykańskie. Wskutek ciekawego zaś zbiegu okoliczności, szambelanem, pełniącym właśnie wtedy służbę u podwoi papieskich był — szlachcic wielkopolski.

300 MILIONÓW POLSKICH.

Ulicą Wilhelmowską w Poznaniu kroczy wysoki i barczysty mężczyzna. Z pod długiego płaszcza wygląda rewerenda. To ksiądz. Ale snać ksiądz nie obcy sprawom świeckim. Bo oto, gdy idzie, zatrzymują go co chwila znajomi. A ci znajomi, to znajomi wszystkich w tym wielkim Poznaniu, w którym, jak w malem miasteczku, znają się wszyscy. Więc też rodowity Poznańczyk odrazu potrafi skategoryzować owych znajomych wysokiego księdza. Tu zatrzymuje go dyrektor jednego z polskich banków, tam urzędnik drugiego, rzuciwszy krótkie zapytanie i otrzymawszy zwięzłą odpowiedź, rusza dalej. *Time is money.*

Na placu Wilhelmowskim przystępuje do wysokiego księdza dwóch ziemian, a gdy kapłan, któremu widocznie czas drogi, tłómaczy się angielskiem przysłowiem, odpowiadają:

— „Ksiądz nie masz czasu, a my monety. Prosimy o godzinkę konferencyi“. — „To co innego. Na interes czas znajdzie się zawsze“. — Więc spotkanie naznaczone na popoludniu — i do widzenia. — Wreszcie ksiądz znika w drzwiach „Banku spółek zarobkowych“.

Poznańczyk, czytając ten wstęp, odgadł już dawno, o kim tu mowa; czytelnika z innych dzielnic objaśnię, że towarzyszy przez chwilę X. prałatowi i szambelanowi Wawrzyniakowi, pierwszemu z rangi i zasług finansiście na ziemi polskiej pod panowaniem pruskiem, twórcy potężnej instytucyi spółek zarobkowych.

A potężnej nie na żarty. Czem wśród bankierów naszych ogromna postać księdza Patrona, tem wśród banków jego instytucya. Przerasta inne o głowę.

Trzysta milionów rocznego obrotu, sześćdziesiąt milionów samych depozytów — to cyfry, które wzbudzają uszanowanie, nawet niefachowca. Lecz cóż dopiero fachowców — i to nietylko naszych, ale tamtych, najserdeczniejszych, tych, których oko pilnie śledzi każdy objaw polskiego życia. Ci sądzą nasze rzeczy z pewnością bez okularów stronniczości. Im jasno przedstawia się prawdziwa wartość wszystkiego, co polskie, i gdy jeden z nich wyrzekł o Związku słowa: „On jest potęgą może największą wielkopolskiej ziemi“ -- to ocena ta jest nietylko pochwałą znakomitą, ale czemś jeszcze większem: jest prawdą.

Ksiądz Wawrzyniak jest w swoim banku, tem sercu stu czterdziestu spółek, rozsianych po całem Księstwie, a także i w Prusach zachodnich i na Śląsku. Tu już nie, jak na ulicy, poszczególni interesanci, ale całe ich grupy czekają na niego; ten z interesem, ów z prośbą o radę, inni ze sprawozdaniem o spółkach na prowincyi. Ksiądz patron załatwia się z każdym po kolei, szybko, jasno, a dokładnie. I choć zdawało się, że godziny biu-

rowe na to wszystko nie starczą, jemu pozostaje jeszcze poddostatkiem czasu, by służyć całym szeregiem odpowiedzi literackiemu gościowi, który zabłąkał się w tę krainę finansów.

— Dla użytecznie ciekawego znajdę zawsze czas — powiada uprzejmie X. Wawrzyniak.

Więc korzystam z tej uprzejmości, ile mogę, informuję się o życiu instytucyi u jej twórcy, a znów u innych o nim samym, o szczegółach codziennych jego działalności. I jak zdumiewającym jest rozwój olbrzymiego związku spółek zarobkowych, tak prawie niepojętym zasób pracy i energii, który im poświęca X. Patron. W tej chwili jest on w swoim banku centralnym. Za dwie godziny będzie rewidował spółkę w Śmiglu, a wieczorem jeszcze czeka go konferencya gdzieś nad granicą Pomorza.

Kontrola, najczęściej niespodziewana, spółek należących do związku, pomoc i udzielanie rady w sprawach ważniejszych, a prócz tego przyłączanie do związku tych spółek, które do niego dotąd nie należą i zakładanie nowych — oto przyczyny, dla których X. patron, gdy nie jest w swoim banku, żyje w wagonie. A przyczyn tych wyniki uwydatnią najlepiej cyfry następujące: Lat temu czterdzieści trzy, była spółka jedna; w roku 1880 spółek 66 a dziś 141! Po za związkiem istnieje dziś u nas spółek zaledwie 20. Z należących do związku spółek 24 jest z poręką ograniczoną, a 117 z nieograniczoną. Lecz nie same spółki zarobkowe, pod postacią banków, przyjmujących depozyta i udzielających pożyczek w Poznaniu i na prowincyi, należą do związku. Tak n. p. w Brusach

istnieje stowarzyszenie kupieckie, w Gnieznie drukarnia, w Grudziądzu bazar, w Krotoszynie fabryka wyrobów woskowych, w Poznaniu spółka stolarska i związek ziemian.

Wszystkie te członki jednego wielkiego organizmu, posiadają znakomity łącznik w banku Związku. W nim składają swe zbytnie kapitały, których na razie nie mogą ulokować na miejscowych hipotekach; z niego czerpią nawzajem kredyt, niekiedy bardzo wysoki. Razem wziąwszy, związek przedstawia najpotężniejszą z instytucyj finansowych prywatnych obu narodowości w naszej dzielnicy i stanowi przedmiot podziwu i zazdrości Niemców.

Lecz nietylko dlatego, że obraca dużemi kwotami i wzorowo jest prowadzonym, ale także i może głównie z tej przyczyny, że powstał z idei samopomocy obywatelskiej, że nie wspierali go możni tego świata, nie działała przy jego powstaniu i rozwoju ofiarność dusz szlachetnych. Nie! on powstał na zdrowej zasadzie interesu.

Ktokolwiek do związku należy, czyni to nie z ofiarności patryotycznej, ale dlatego, że znajduje w tem dla siebie korzyść. A znów banki spółkowe dopomagają tylko takim, o których wiedzą, że procent zapłacą, banku na szkodę nie narażą, lecz owszem, wprost również przyniosą mu korzyść!

Cała instytucya powstała na gruncie rodzimym, wyrosła z tej ziemi wielkopolskiej, tych warsztatów, handli i stowarzyszeń, które są objawem budzącej się energii rasowej, opartej na technice zawodowej. To potęga wielka, bo na

podstawach życiowych stojąca. A jak wszystko, co żyje, tak i ona z własnego życia rodzi wciąż życie nowe. Skupia siły rozstrzelone, pobudza energię i twórczość, ułatwia jej działanie i otacza je opieką tak potężną, że niejedno przedsięwzięcie, niejedna inicyatywa, która chromała, nie mogąc dostroić sił do zamiarów, dziś zamiary nowe może powziąć, gdy siły przerosły dawne, zbyt szczupłe ramy.

X. patron i jego związek, jest usposobiony nader ostrożnie pod względem narodowościowym. Owszem, ze spółkami niemieckiemi żyje na dobrej stopie, niejednemu Niemcowi udzielił już kredytu, a jednak, gdyby p. Roman Dmowski, pisząc swoje myśli nowoczesnego Polaka i sławiąc konieczność energii rasowej, był chciał przykładami poprzeć swoje wywody, na pierwszem miejscu byłby musiał przytoczyć ten wspaniały obraz sześćdziesięciu tysięcy Polaków, złączonych w jedno ciało, jeden organizm pracy i powodzenia.

Oczywistą jest rzeczą, że tak wielkie dzieło nie powstało bez trudności i przeciwieństw rozmaitych. Gdy lat temu kilkanaście X. Patron objął przewodnictwo Związku i nowe w niego wlał życie, nie brakowało takich, którzy niedowierzająco kiwali głową. Znaleźli się i tacy, którym rzecz sama wprost się nie podobała. Takiemi nieraz losy początkowe spraw mających przyszłość. Ale od czego żelazna dłoń księdza Wawrzyniaka. Co wziął w rękę, to i przeprowadził mocno, sprężyście, z energią, ale jak sam mówi: z dobrym humorem.

I oto ten humor, złoty, szczery, staropolski humor, stanowić będzie kiedyś dla biografa dzielnego prałata moment wielce charakterystyczny jego osobistości. On dał mu tę pogodę umysłu, która pozwoliła mu nie tracić głowy w najtrudniejszych chwilach jego działalności; on sprawił, że nieraz przeciwnik z wielkim impetem i większą jeszcze uroczystością, występujący z tym lub owym argumentem, zamiast wywołania sensacyjnej debaty, w której obie strony zazwyczaj są poszkodowane, ustępował rozbrojony spokojną i dowcipną odpowiedzią, jeżeli nie przekonany jasnym i treściwym dowodem.

Były już dla Związku czasy tak ciężkie, że strach padł na przyjaciół i obawa, że wielkie dzieło runie w sposób tragiczny. Były ataki i szturmy na tle najgorszem, bo powątpiewań o wypłacalności i kredycie banku. Była i chwilowa, nagle wywołana panika, ta próba ogniowa wartości finansowej instytucyi. — W całym Poznaniu i całej dzielnicy naszej jest jej wspomnienie jeszcze żywem, wspomnienie niedawne, bo z lat ostatnich.

Ale pamiętają też wszyscy, jak wówczas wśród ogólnego przerażenia i bezgłowia, potężna postać X. Wawrzyniaka stanęła opoką naprzeciw fali popłochu, zawsze spokojna, panująca nad sobą — i nad drugimi. A przytem zawsze wesoła i uśmiechnięta, jak przystoi dobremu pracownikowi, który wie, że jego dzieło jest zbudowane mocno i potrafi przetrzymać burzę.

I gdy potem burza przeleciała, gdy ogniowa próba skończyła się tryumfem świetnym, a przy-

jaciele zewsząd przychodzili z powinszowaniami, wtedy znowu powitał ich ten sam spokój, ten sam uśmiech wesoły, w którym jest jednak tyle powagi i z którego tchnie tyle energii, że ten chorąży potężnej falangi pracy narodowej miałby słuszne prawo zamieścić na swoim sztandarze hasło, którego sława w innej zabrzmiała krainie: *sempre avanti.*

Chcąc poznać należycie, czem jest Związek dla kraju, trzeba informować się o skutkach jego działalności w miasteczkach i większych wsiach, w których posiada on filie. Informacye te napełniają podziwem badającego. Nawet ze strony wprost rządowej przyznano już niejednokrotnie, że rosnący przemysł i handel w księstwie zawdzięcza swój rozwój w przeważnej części działalności związku. Z rozwojem zaś sprawy idzie w parze wyrabianie się indywidualności, budzenie drzemiących energij osobistych i zbiorowych. Bo patron posiada w wybitnym stopniu dar dobierania ludzi odpowiednich do przedsięwziętego zadania.

Widzimy dziś w związku cały szereg osobistości dzielnych, które tem są dla swej spółki, czem patron dla związku. I u wszystkich to samo hasło: naprzód, naprzód, nie zrażając się przeciwnościami.

Dziś swoją drogą tych przeciwności już coraz mniej. Z silnym liczą się ludzie i silnemu nie brak przyjaciół. Minęły czasy, gdy urzędnicy pruscy straszyli gminy, że jeżeliby przystąpiły do związku, w takim razie rząd odbierze im subwencye na

szkoły i ukarze większemi podatkami. Kilka procesów, świetnie przeprowadzonych, oddało w tej mierze walne usługi.

Związek spółek zarobkowych i kółka rolnicze — oto dwa wielkie filary naszej pracy narodowej na zachodnich kresach.

WIELKI POZNAŃ.

Do stolicy Wielkopolski przybył sędziwy obywatel z prowincyi. Powitawszy miłego gościa, ułożyłem z nim przejażdżkę po mieście.

Spacer ten utkwił mi na długo w pamięci. Gość, znający miasto nasze od dawna, bardzo dawna, odwzajemniał się swojemu przewodnikowi odtwarzaniem mu obrazów z dawnego wyglądu miasta, z przed laty pięćdziesięciu. Tu, w tem miejscu, gdzie główna arterya, łącząca dworzec z śródmieściem, pełną jest życia i ruchu, a otoczoną z obu stron wysokiemi kamienicami, rozciągały się zaciszne ogrody, wśród których tu i ówdzie wychylały się z zieleni białe ściany nizkich dworków. Tam, gdzie, przy obszernym placu, wznoszą się potężne rządowe gmachy, błotniste bagno wydzielało cuchnące wyziewy — a znów gdzieindziej, w miejsce łanów żyta i pszenicy, sterczą dziś kominy fabryczne i nowe ulice wydłużają się w Kampanię poznańską. Zmiany wielkie, ogromne, miasto więcej niż zdwojone, utrzymane porządnie, przedstawiające widok dobrobytu i postępu. I nie zdała mi się dziwną uwaga sędziwego przybysza, że przecież Niemcom odmówić nie można zasług około podniesienia miasta.

Istotnie; rzecz jednak wymaga bliższego wniknięcia i określenia. Na uwagę mogłem dać odpowiedź rzeczywiście „fachową“. Właśnie bowiem ukazał się w druku referat zasłużonego polskiego członka rady miejskiej, p. Józefa Kużaja, o gospodarce niemieckiej w naszem mieście. Zanim jednak przytoczę najciekawsze dane z tego referatu, zamieszczę kilka ogólnych uwag o roli, którą odegrała i odgrywa administracya niemiecka w Poznaniu.

Że miasto pod jej rządami podniosło się wielce, zaprzeczyć trudno, jak również z drugiej strony, że nie uczyniono dla Poznania nic więcej, a po części o wiele mniej, niż dla innych miast monarchii. Im dalej sięgamy wstecz, tem więcej uwydatnia się owa różnica. Im bliżej ostatnich czasów, tem bardziej ona maleje. Obecnie rząd dla Poznania czyni rzeczywiście wiele, ale wszystko niemal, co czyni, przesiąknięte jest ideą polityczną, germanizacyjną, która ekonomiczno-kulturalne przedsięwzięcia spacza i skrzywia, pozbawia je znacznej części ich naturalnej celowości, nieraz wprost na szkodę dobrobytu miasta.

Wzrosło w zastraszający sposób obdłużenie Poznania, a z niem podatki miejskie; mnożą się nieproduktywne nakłady, bardzo kosztowne pomimo bezustannej pomocy ze strony państwa. Tak więc owych zewnętrznych porządków czarne strony przedstawiają się wybitnie, a prócz tego, w aktywach wzrostu i wyglądu miasta, nader poważną odgrywa rolę praca i zasługa polska, począwszy od wielu gmachów publicznych (w pierwszym rzędzie kościołów), a skończywszy na budowlach pry-

watnych, w znacznej i okazałej części będących dziełem i własnością Polaków.

„Wielki Poznań“, zwany przez Niemców, w łączności z miastem osad przedmiejskich, *Gross-Posen*, liczy, według spisu ludności, około 140.000 mieszkańców, z tych 80.000 Polaków, a 60.000 Niemców i Żydów. Większość zatem polska jest znaczna, a tem znaczniejsza, że na część niemiecką mieszkańców przypada potężna falanga urzędników wszelkiego rodzaju, nasłanych z wszystkich stron Niemiec.

Lecz przejdźmy do referatu p. Kużaja. Rządzi miastem rada miejska z magistratem. Rada liczy 60 członków, z tych 11 Polaków. Ten stan rzeczy powoduje głównie trzyklasowy system wyborczy, znaczną zapewniający przewagę wyżej opodatkowanym. Magistrat liczy członków 18, z tych 8 płatnych, 12 bezpłatnych. Płatni bez wyjątku są Niemcami, jak również burmistrz i nadburmistrz. Wśród bezpłatnych widzimy jednego tylko Polaka. Za to czterech żydów i siedmiu Niemców. W komisyach rady panują podobne stosunki. W komisyi szkolnej na 15 członków jest 2 Polaków, w szpitalnej na 13 jeden Polak. Tak samo jeden na dziewięciu w podatkowej.

Teatr niemiecki pobiera od miasta subwencye w naturze i 32.000 marek rocznie gotówki. Teatr polski ani grosza. Obecnie stanąć ma nowy teatr niemiecki w pobliżu przyszłego pałacu cesarskiego koło bramy berlińskiej. Teatr ten kosztować będzie przeszło milion marek, a koszta ponoszą rząd i miasto. Przytem, wobec manii wielkości, która opanowała rządców Poznania, wszelkie kosztorysy

okazują się złudnymi. Tak np. budująca się hala towarowa obliczoną była na jednę trzecią miliona, a kosztowała okrągły milion. Jak tego rodzaju „pomyłki“ niebezpieczne są dla finansów miasta, można ocenić, przypatrując się wielkości poszczególnych pozycyj w budżecie miasta. Między innemi np. koszta przystani dla okrętów i innych robót wodnych obliczono na przeszło pięć milionów, a subwencyę miejską na zniesienie wałów fortecznych na milion.

Milionami szafuje się w prawo i w lewo, a tymczasem co chwila jakaś dziwna sprawa szafunek ten czyni zajmującym dla ciekawych. To grunt zakupiony przez miasto od patryoty germańskiego po cenie wygórowanej, to znów jaskrawy fakt nadużyć w dziale straży ogniowej. Z tej ostatniej pousuwano prawie wszystkich Polaków, posprowadzano Niemców, Bóg wie skąd. Jednym z objawów tych zmian było odkrycie brzydkich defraudacyj w zarządzie straży. Defraudantem był Niemiec. Przyznano mu kilka tysięcy marek emerytury. Budowle miejskie oddaje się przedsiębiorcom tylko niemieckim, a po części zamiejscowym, często bez submisyi, a raz nawet wogóle bez umówienia ceny. Budujący ten wypadek gospodarstwa niemieckiego na polskiej ziemi, rzuca drastyczne światło na nasze stosunki.

Przeglądam dalej sprawozdanie polskiego rajcy. Ton oględny, widoczna ostrożność w słowach. Ale fakty same przemawiają za siebie. Oto znów defraudacya, tym razem zakończona uwięzieniem głównego kasyera miejskiego; dalej znów obłowienie się Niemca, sprzedającego swój grunt ma-

gistratowi, znów kosztorys fantastyczny. Zajrzyjmy do szpitala miejskiego. Na siedmiu lekarzy jeden Polak Na 16 Sióstr dozorujących ani jednej Polki, ani nawet katoliczki. Same zakonnice protestanckie, a wśród nich panuje duch taki, że — jak dyskretnie zaznacza sprawozdanie, — nie brakło kłopotu z powodu starań z ich strony o pozyskanie dla swych uczuć męskiej wzajemności...

Jeszcze smutniejsze, już wprost przerażające stosunki panują w sprawach opieki miejskiej nad sierotami i dziećmi, oddanemi na przymusowe wychowanie. Dreszcz przebiega czytającego wstrząsające szczegóły referatu. Sierót jest 194 polskich katolickich, a tylko 59 niemieckich i 5 żydowskich. Tymczasem, tak w miejskim zakładzie sierót, jak w drugim Dra Jacoba, subwencyonowanym przez miasto, polskie katolickie dzieci pozostają pod opieką wyłącznie tylko niemiecko-luterskiego dozoru. Dla modlitwy katolickiej niema w tych zakładach miejsca, a zastępuje ją jakiś pacierz „symultanny".

Na przymusowe wychowanie wywiozły władze 94 dzieci poza Poznań. Serce się ściska, gdy się zważy, że pobyt tych nieszczęsnych dzieci po największej części trzymany jest przed rodzicami w tajemnicy. Tylko gazety niemieckie — mówi referat — przynoszą czasem wiadomość, że skazaniec taki, uciekłszy z miejsca banicyi, błąkał się po okolicy, aż, znów pochwycony, odesłany napowrót został na miejsce swego niedobrowolnego przeznaczenia.

Smutnym jest wogóle los dzieci polskich w Poznaniu. Aż nazbyt ostrożny w wyrażaniu się

referent, zaznacza jednak, że w „szkołach poznańskich kij zawsze jeszcze, jak nad zwierzętami, jest w robocie“. Wszystkie szkoły miejskie są symultanne, ani jednej katolickiej, choć dwie trzecie dzieci katolickich. Pod tym względem lepszy tu jest nieraz los dzieci wiejskich. Przy niektórych obchodach muszą dzieci katolickie w Poznaniu śpiewać kantyczki luterskie, modlitwy czytają się z biblij protestanckich.

Wracając do spraw ekonomicznych, podnoszę z referatu szczegół ważny o zakładaniu przez władze fabryk niemieckich, które wkrótce zbankrutowały i o subwencyach, udzielanych wielu przemysłowcom i kupcom niemieckim, które także wręcz odwrotny od zamierzonego sprowadziły skutek, a mianowicie zmarnowanie grosza publicznego. Zajmującą jest też wiadomość, że kursa dla wydoskonalenia rzemieślników urządzane bywają przez władze w tajemnicy, by nie skorzystali z nich Polacy. Majstrów niemieckich zapraszają organa rządowe w drodze poufnej.

Tak oto wygląda gospodarka niemiecka w oświetleniu nader ciekawej relacyi, opracowanej przez polskiego rajcę miejskiego. Spisał ją i wygłosił człowiek sumienny i spokojny, należący do żywiołów najbardziej umiarkowanych. Tem cięższym jest ten akt oskarżenia przeciwko władzom miasta, głoszącym dumnie postępy niemieckiej kultury. Rośnie, co prawda, zewnętrzna okazałość miasta, ale kosztem podwójnym, lub potrójnym od rzeczywiście potrzebnego. Rośnie za to w równej mierze obdłużenie stolicy, obławia się bezustannie z kieszeni opodatkowanych zgraja spekulantów,

sprowadzonych przez hakatę, a szowinizm narodowo-religijny w wychowaniu, obniża poziom moralny i intellektualny ludności. Statystyka przestępstw, popełnianych przez małoletnich, wykazuje procentową przewagę po stronie dzieci katolickich.

Idąc elektrycznie oświetlonemi ulicami, koło coraz to paradniejszych wystaw sklepowych, wśród nęcącego oko dobrobytu i zbytku, warto przypomieć sobie odwrotną stronę tej lśniącej powierzchni. „Wielki Poznań“ jest także „smutnym Poznaniem“, jest sceną, na której odgrywa się jeden z aktów naszej tragedyi dziejowej.

ŻANDARMI PRUSCY
U WNUCZKI ALEKSANDRA FREDRY.

W południowej części Wielkopolski, na pograniczu Śląska i Królestwa, leży piękna wioska Siemianice, siedziba hrabiów Szembeków, obecnie własność Maryi z hr. Fredrów hr. Szembekowej, wdowy po ś. p. hr. Piotrze a córki i wnuczki obu Fredrów. Właścicielka Siemianic odziedziczyła po przodkach zamiłowanie do pióra, które też niejednokrotnie znalazło wyraz w utworach, ogłoszonych drukiem. Ta to cicha wioska wielkopolska stała się widownią zajścia, którego szczegóły warte utrwalenia drukiem.

Kto dwa lata temu, w chłodny poranek listopadowy, znajdował się na drodze, prowadzącej z poblizkiego miasteczka do pałacu siemianowskiego, ten miał sposobność oglądania niezwykłego orszaku.

Jechali urzędnicy sądowi w towarzystwie tłómacza, a za nimi ciągnęła siła zbrojna, pod postacią pruskich żandarmów, których pałasze i pikelhauby nadawały całemu gronu wygląd wielce wojowniczy. Jechali ostrożnie, oglądając się w prawo i w lewo. Zapewne z poza drzew parku zabrzmi

nagle pobudka wojenna i stu dziarskich Krakusów wyskoczy naprzeciw Niemcom, podchodzącym do wsi polskiej!

Lecz nie. Wszędzie cicho, ani śladu przygotowań strategicznych. Dziewczyna, niosąca wodę, wytrzeszcza oczy i z przerażeniem spogląda na groźną wyprawę, której celu nie może zrozumieć. W pałacu także cisza. Ale to nie żaden fortel wojenny. Siłę wroga przedstawiają w nim dwie kobiety, matka z córką, hrabina Marya z młodą hrabianką.

Lecz na wojnie ostrożność nigdy nie zawadzi. A nuż zaczną nagle walić w dzwony kościelne, nuż wieś powstanie i chłopy wielkopolskie rzucą się na ratunek swojej hrabinie? Padają więc rozkazy ciche, krótkie, praktyczne. Żandarmi obsadzają park, chowają się w krzakach. Reszta wyprawy rusza prosto ku pałacowi. Teraz niema już wahania. O cofaniu się niema mowy. Na śmierć i na życie! Może zwyciężą!

Pierwszy atak uwieńczony powodzeniem. Służący, wystraszony, otwiera drzwi szeroko. Czyni słusznie, albowiem w odwodzie, zaopatrzony w potrzebne narzędzia, czeka już ślusarz, gotowy do wysadzenia bramy, w razie oporu. W samej twierdzy powodzenie jeszcze większe. W komnatach pałacowych rynsztunki po przodkach i bogato oprawne karabele spoczywają spokojnie na swojem miejscu. Właścicielka ich, hrabina Marya, przyjmuje sama dziwnych gości.

Teraz dopiero pokazuje się, jakim jest cel ich przybycia. Szukają niebezpiecznych polskich książek.

Na hrabinie ciąży już fakt, wzbudzający podejrzenie władz. Córka jej rozdawała chłopom polskie książeczki, a nawet syn, gimnazyalista, bawiący poprzednio na wakacyach w domu, wyjechał konno na spacer i przy tej sposobności był świadkiem zbrodniczej czynności swej siostry. I on za to odpokutuje. W Prusiech spacery wakacyjne bywają niebezpieczne.

Ale, na razie, niema młodzieńca na placu boju. Uczy się w szkole gramatyki greckiej.

Rozpoczyna się szukanie mozolne, bo książek w Siemianicach dużo, a przedstawiciele władzy chcą być sumienni. W pierwszym salonie przykuwa ich uwagę *Tygodnik illustrowany*. Przerzucają go kartka po kartce. Hrabina zwraca im uwagę na fakt, że w pałacu jest tomów kilka tysięcy. Jeżeli każdy chcą wertować tak sumiennie, muszą chyba zamieszkać w Siemianicach. Uznają słuszność widoczną tej uwagi i spieszą się bardziej.

Nagle dzieje się coś strasznego. Wśród książek znajdują numer jubileuszowy *Czasu*. Przebóg, Niemcy zagrożone, *Czas* ulega konfiskacie natychmiastowej, stanowczej. Nie dość na tem, w tym samym salonie znajdują objaw strategii polskiej, *Wspomnienia jenerała Kołaczkowskiego*. Dowiadują się, że to dzieło pożyczone, własność sąsiadki, hr. Kręskiej. Nic nie szkodzi. Owszem, niech i sąsiadka pozna, co to potęga germańska. — *Wspomnienia* skonfiskowane i kwita.

Salony przedstawiają obraz pobojowiska. Szuflady pootwierane, na stołach, kanapach, podłogach, porozrzucane książki. Hrabina posuwa swą

uległość tak daleko, że spracowanym dygnitarzom niemieckim dodaje do pomocy swą służbę. Znoszą książki z półek, ułatwiają, jak mogą, pracowitą czynność wysokich władz.

Po salonach przychodzi kolej na bibliotekę. Dwie szafy z książkami francuskiemi wychodzą cało z imprezy. Z Francyą lepiej nie zadzierać. Gorszym za to los szaf polskich. Ogromna ilość tomów, ustawionych w dwa rzędy, zalega całą podłogę. Trzy długie godziny trwa inkwizycya w sali bibliotecznej. Skonfiskowane *Opowiadania historyczne* i kilka starych książek i broszurek.

Lecz na tem nie koniec. Następuje rewizya pokoju hrabianki Zofii, potem sypialni hrabiny i pokoju toaletowego. Meble otwierane, szuflady wyciągane, każdy przedmiot przetrząsany z osobna. Rewidowano pokoje gościnne, a nawet miejsca... niedyskretne. Niemcy są *immer gründlich*.

Oporu nie znajdują żadnego. Odbierają klucze od strychu i od kufrów z futrami. Szukają, badają z zapałem ogromnym. Taksamo w suterenach pałacowych. Schodzą do piwnicy, przeglądają rądle kuchenne. Zmęczeni są bardzo, albowiem rewizya trwa już szóstą godzinę.

Ale podniety duchowej nie brak. Znaleziona szczęśliwie książka z r. 1760, ozdobiona orłem polskim. *Regulamin wojska polskiego*, wzbudza wielkie zaniepokojenie. To coś bardzo niebezpiecznego! Hrabina prosi, by pozwolono przyglądać się kulturalnej czynności pruskich gości Angielce bawiącej w pałacu. Ona w swoim kraju nic podobnego nie widziała, niech zobaczy, że co kraj, to obyczaj.

I córka wolnego Albionu przygląda się sprawności niemieckiej, stwierdza dobry apetyt, z którym goście spożywają po pracy polski, narodowy podwieczorek.

Nareszcie wizyta zakończona. Goście odjeżdżają, żandarmi wyłażą z za drzew i krzaków parku, cały orszak znika w oddali.

W trzy tygodnie później hrabianka Zofia zawezwana przed sąd do Kempna. Dnia 17 grudnia dwugodzinne przesłuchy młodego hrabiego w Ostrowie, gdzie uczy się w gimnazyum. Dnia 18 epilog, wiadomość, że dla braku dowodów postępowanie sadowe przeciw hrabiance zaniechane. — Wkrótce potem w niemieckiem piśmie *Berliner Ztg.* zaprawny solą attycką artykuł posła do parlamentu von Gerlacha, wyśmiewający bohaterstwo Niemców, odnoszących tryumfy nad bezbronnemi kobietami.

A wrażenie w kraju? Ot, zwykłe, codzienne. Ubolewają wszyscy, nie dziwi się nikt. Siedziała w więzieniu przed kilku laty pani jenerałowa Zamoyska, wtargnęła moc żandarmska do kościoła w Dobrzycy, odbił się w całej Europie krzyk dzieci i matek wrzesińskich, rewizye co chwila, procesy i więzienia bez końca, cóż dziwnego, że wyprawa wojenna do siedziby dwóch kobiet wydaje się rzeczą zwykłą u nas i naturalną. Wszak żyjemy w państwie kultury i bojaźni Bożej, w ojczyźnie Goethego i Schillera.

Niema co mówić, życie w naszej dzielnicy bywa urozmaicone!

HUMOR W SZOWINIŹMIE.

Jeżeli kiedyś dzieje walki rasowej u nas opisywać będzie historyk, nie należący ani do polskiej, ani do niemieckiej narodowości, którego boleć nie będą nasze rany, ni cieszyć tryumfy, lub pseudotryumfy, naszych wrogów, w takim razie znajdzie on w tragedyi politycznej obecnych czasów sporo materyału do komedyi, zamieniającej się w tem połączeniu w tragikomedyę. Bo obok realnych momentów walki, sili się szowinizm na coraz to dziwaczniejsze występy. Różnica w tej mierze pomiędzy Polakami a Niemcami jest zasadnicza. Nam dziwactw robić nie wolno, bo każde z nich przynosi nam rzeczywistą szkodę, podczas gdy potężna falanga niemiecka może sobie pozwolić na niejeden zbytek i niejednę swawolę, która ją wprawdzie ośmiesza, ale jej mocy nie zachwieje.

Tragikomicznych występów niemieckiego szowinizmu jest tyle, że doprawdy nie krótki artykuł, ale całe tomy możnaby nimi zapełnić. Na czele pod tym względem kroczy prasa hakatystyczna. Czytamy w niej projekty i uwagi takie, że chyba ich autorowie pisali je na stole restauracyjnym pod wpływem licznych kufli ciężkiego bawarskiego piwa.

Pełen powagi i patryotycznego oburzenia, przestrzega n. p. Niemiec z pod Bydgoszczy swoich współrodaków przed polskiemi mamkami, które, o zgrozo, często w domach niemieckich znajdują zajęcie. Niech dzieci nasze nie karmią się mlekiem polskiem, które jadem polonizmu zatruje ich organizm — woła w świętem oburzeniu. Wtóruje mu drugi, który oświadcza, że w razie potrzeby, sprowadza z odległego miasteczka niemieckiego cyrulika, byle bliższy, polski, nie wkroczył do jego domu.

Znów inny proponuje zupełnie na seryo, by dzieciom polskim w szkołach ludowych darowywano zabawki patryotyczne niemieckie, a więc małe pikelhauby i chorągiewki czarno-białe, cesarza Fryderyka Rudobrodego z porcelany kolorowej i z tegoż materyału lalki, przedstawiające innych sławnych mężów z historyi niemieckiej — a także polskiego żyda z pejsami i pół-nagiego, obszarpanego chłopa z przed rozbiorów, by pokazać dzieciom, w jakiej to nędzy żyła nasza dzielnica, zanim ją wycywilizowali Prusacy. Ba, nawet karmelki, owinięte w różnobarwne papierki i papierki strzelające, na których zamieszczone mają być zwrotki niemieckiej pieśni *Ich bin ein Preusse, will ein Preusse sein!*

Rekord jednak śmieszności osiągnął jakiś przygodny astronom, który jest niesłychanie zgorszony tem, że na wielu niemieckich kartach astronomicznych jedna z konstellacyj na firmamencie nosi dotąd nazwę „tarczy Sobieskiego“.

— Jakto? — pyta się — więc nawet wieczorem, gdy po kolacyi z cygarem w ustach prze-

chadzam się w ogrodzie, mają polskie gwiazdy oświecać mój spacer! To poprostu nieznośne! Imię Polski zostało wymazanem z karty historyi i nic nadal nie powinno nam go przypominać!

Daleko łagodniej usposobionym jest starszy obywatel germański, zamieszkujący oddawna nasze dzielnice. Radzi on, by wędrownym grajkom nakazano odgrywanie na swych katarynkach melodyj niemieckich na przemian z polskiemi.

To już chyba nasz przyjaciel — pomyśli czytelnik polski. Gdzież tam. Posłuchajmy, jak ów pan uzasadnia swe muzykalne żądanie.

Niech porównuje ludność różnicę tonów niemieckich a polskich. Nasze, germańskie, są tak słodkie, rzewne, upajające. Nęcą słuchacza do wszystkiego, co niemieckie! A gdy zaraz po nich zacznie rozbrzmiewać dzika, barbarzyńska melodya polska, porównanie musi wypaść koniecznie na naszą korzyść. Wychowujmy lud na każdy sposób, więc wychowujmy go także uchem. Bo to biedne niekulturalne ucho polskie, od setek lat przyzwyczajone do wrzaskliwych pisków słowiańskich, musi wkońcu okazać się wdzięcznem, pozna wreszcie, jakim rajem nietylko dla ciała, ale i dla duszy, jest wielka społeczność teutońska.

I powiedziawszy to, wpada dzielny Niemiec w zachwyt. Proza dziennikarskiego artykułu dźwięczy coraz liryczniej, zamienia się w rymy.

Idż Germanio śpiewająca,
Z harfą w ręku, z lutnią w dłoni,
Niech melodya twa roztrąca
Szyki Orła i Pogoni!

Idź i śpiewaj! Niech twe tony
Poprzez pola i zagony
Płyną, poprzez lasy, niwy,
Hen za Wisły nurt zdradliwy!
Wszędzie, gdzie ich głos doleci
Niech słuchają starce, dzieci
I niech Polska cała słucha
Niemieckiego pieśni ducha!

Tak piszą hakatystyczni komedyanci. A jak działają? Oto n. p. wskutek ich wpływów zakazały berlińskie władze grywania sonat i nokturnów Szopena, a mianowicie w salach szkolnych, wynajmowanych często przez Towarzystwa muzyczne, w celu dawania w nich koncertów. Grano kilka razy utwory Szopena — zachwiało się cesarstwo niemieckie i odtąd władza przeglądać będzie zawsze programy koncertowe.

Polskiemu właścicielowi majątku rycerskiego zakazała władza, wskutek denuncyacyi żandarma, zdobienia liberyi swego woźnicy wypustkami czerwono-białemi, pomimo, że dowiódł on, iż są to jego kolory herbowe. W tym wypadku jednak Polak, udawszy się do instancyi wyższej i zabezpieczywszy się świadectwem berlińskiego urzędu heraldycznego, że owe kolory są rzeczywiście jego barwami herbowemi, wygrał sprawę.

Któż nie pamięta niesłychanego zdarzenia w wielkopolskim szpitalu, którego szczegóły obiegły niedawno prasę polską, a po części także niemiecką. Umierającego Niemca złożono na łożu sali szpitalnej. Lekarz, który go opatrywał, był przypadkowo Polakiem i przemówił kilka słów po polsku do innego Polaka, wchodzącego do

pokoju. Na odgłos słowiańskich dźwięków zerwał się umierający, zawołał -- *Hier wird nur deutsch gesprochen* — poczem opadł na posłanie i zakończył germański żywot.

Za to pełnym życia był otyły Niemiec, który między Poznaniem a Berlinem wsiadł do wagonu, zajętego przez towarzystwo polskie. Usłyszawszy, że Polacy rozmawiają ze sobą w swoim języku, objawiał z tego powodu żywe niezadowolenie, marszczył brwi i półgłosem śpiewał coś po niemiecku. To nie skutkowało, więc obawiając się widocznie zwrócić się z napomnieniem wprost do czterech rozmawiających Polaków, wyciągnął z kieszeni ołówek i napisał na ścianie wagonu tesame słowa, z któremi na ustach skończył ów Niemiec w szpitalu.

Polacy, oburzeni, już chcieli mu dać odpowiednią odprawę, gdy jeden z nich, były poseł do parlamentu, uspokoił swych towarzyszy, oświadczając, że sam tę sprawę załatwi.

Nadmienić trzeba, że wagon, w którym odbywało się to zajście, opatrzony był wszelkiemi wygodami. Otóż ów poseł zniknął na chwilę, poczem powrócił z miną wielce tajemniczą.

Dopiero krótko przed Berlinem wyjaśniła się tajemnica, zniknął bowiem także na chwilę butny Niemiec i powrócił potem pieniąc się ze złości. Przeczytał był bowiem tam, gdzie się tego najmniej spodziewał, wielkiemi literami skreślony napis: *Hier wird nur deutsch... gesprochen.*

Gniew tego rodzaju junaków hakatystycznych osłodzić może chyba przysmak, podany nam

pewnego razu w cukierni zachodnio-pruskiego miasteczka, mianowicie tort hakatystyczny, *Ostmarkentorte!*

Oto przykłady śmiesznego szowinizmu niemieckiego. Atmosfera niezdrowa, panująca u nas, wyprowadza z równowagi nawet germańskiego filistra.

Na zakończenie wymowny dowód urzędniczej *Schneidigkeit*, wytwarzającej się na wschodnich kresach:

Pierwszy prokurator gnieźnieński, p. Langer, znany ze swego stanowiska w rozmaitych procesach przeciw Polakom, ogłasza w prasie niemieckiej obszerny artykuł, w którym domaga się zaprowadzenia w sądownictwie niemieckiem rozmaitych kar średniowiecznych.

Żąda on wznowienia kary pręgierza, zmuszania przestępców do ukazywania się w osobnym stroju, zwanym ubiorem głupców, pragnie, by ich obwożono po mieście na grzbiecie osła. Prócz tego upatruje p. Langer wielkie korzyści w chłoście z ramienia władzy, a poleca także, jako rzecz pożyteczną, karę zesłania do kolonij afrykańskich.

Że jednak pobożne życzenia p. prokuratora wkraczają w dziedzinę ustawodawstwa ogólnego i dotyczą taksamo Niemców jak Polaków, więc wolnomyślna prasa niemiecka rozprawia się z niemi w sposób odpowiedni. Kwiaty takie pruskiego ducha, chcąc mieć powodzenie, muszą rosnąć wyłącznie na gruncie polityki antypolskiej.

BAWARCZYK O HAKATYSTACH.

Do Poznania przybył z Bawaryi pewien Niemiec, katolik, aby załatwić kilka interesów. W rozmowie, jaka się między nami wywiązała, usłyszałem z ust jego charakterystyczną ocenę „rządu ubocznego“, jak się wyrażał, czyli rządu hakaty.

Gospodaruje on dziś samowładnie — mówił ów Niemiec — dzięki sprytnemu wyzyskaniu położenia i oparciu się na szowiniźmie narodowym, który jest następstwem powodzeń wojennych z przed 30 lat i rozkwitu ekonomicznego. Impuls w tej mierze narodu jest znacznym, a ta grupa polityczna, która potrafiła swoim dążeniom nałożyć jego stempel, oczywiście ciągnie z tego niepomierne korzyści. Dziś hakatyzm: antypolski, antyduński, czy antywelficki, czy nawet wogóle antyautonomiczny, — przeciwny samodzielności państw pomniejszych Rzeszy, sprowadzony jest do jednego mianownika z powagą rządu i władzy cesarskiej.

I ta kombinacya moralna dwóch czynników w rzeczywistości niekoniecznie identycznych, stanowi siłę niepospolitą. Ale ta siła jest raczej potężną przez swoją spoistość i jednolitość, ani-

żeli przez oparcie na rozumowych podstawach. — Gdyby można zebrać prywatne, nieskrępowane zewnętrznymi względami zdania myślących jednostek w narodzie niemieckim, przekonanoby się, że wcale nie podzielają one zapatrywań kliki rządzącej.

O samym kanclerzu ks. Bülowie mówią, że zdaje sobie sprawę z czczości tromtradratyzmu hakatystycznego i przewiduje złe skutki, które jego panowanie za sobą pociągnie, ale że woli nie objawiać swego zdania. To za wielkie ryzyko na tak pięknem stanowisku.

O cesarzu Wilhelmie, który przecież rozpoczął swe panowanie od prób w kierunku przeciwnym hakatyzmowi, nieraz słyszeć można zdanie, że powód, dla którego tak bardzo hakatyzmowi sprzyja,leży w przekonaniu, że naród niemiecki, lubiący rezonować i spekulować, w braku przedmiotu, któryby owładnial jego *Nervenpsychologie*, zanadto by się zajmowal rosnącą kwestyą społeczną, niebezpieczną ewentualnie także ze względów dynastycznych. Trzeba dać ujście zbytniej żywotności narodu, poddając mu przedmioty ponętne dla mas.

Takim przedmiotem najlepszym jest walka z obcymi żywiołami w państwie, lub z takimi, które, choć swojskie, jednak z ideą państwową niezasymilowane. Więc coraz większe asymilowanie państw południowych Rzeszy, a przedewszystkiem otwarta walka z wyraźnie obcymi żywiołami, jak polski i duński. To zajmuje naród, odwraca jego uwagę od innych, niepotrzebnych rozumowań.

Tak przedstawiał ów Niemiec sfery, dziś pozostające u steru. Nie wchodząc w to, czy charakterystyka ta wyczerpuje rzecz, stwierdzić trzeba, że jest ona często wśród Niemców napotykaną.

Gdy go dalej pytałem o zdanie o Niemcach, nie należących wprost do hakaty, oświadczył mi, że tam stanowczo wewnętrznej, nie ujawniającej się opozycyi, jest więcej, niż ogólnie przypuszczają. Niechby raz pękła żelazna obręcz *prestige'u* pruskiego, a zobaczylibyśmy, jak mało system pruski rzeczywistych liczy przyjaciół. Po trzydziestu latach współpożycia w południowych Niemczech, mówi się z przekąsem o pruskich parweniuszach, którzy arystokratycznym Wittelsbachom dyktują dziś prawa.

Z drugiej zaś strony socyalizm, rosnący tak ogólnie, będący dziś partyą legalną i na legalnej drodze dążący do rozwoju, nieprzejednanym jest wrogiem junkierskiego systemu państwowego.

— A katolicy, jako tacy? zapytałem.

— Rząd pruski, idąc w ślady Bismarcka, postępował od lat nader mądrze — brzmiała odpowiedź. — Bismarck poszedł do Canossy, a jego następcy starannie w niej pozostali. W sprawach katolickich rdzennie luterski rząd pruski, choć oczywiście wprost katolicyzmu nie popiera, jednak stara się nie drażnić i nie krępując się wielkiemi ustawodawczemi koncesyami, okazuje jednak wielką uprzejmość w praktyce administracyjnej.

Duch kulturkampfu żyje wprawdzie w dzielnicach polskich, ale starannie przyoblekа szatę

walki narodowościowej i kieruje się głównie przeciw Polakom. Niemiec-katolik w W. Ks. Poznańskiem pewnym być może jak najgorętszego poparcia ze strony rządu, byle nie objawiał uczuć polonofilskich.

Całe to rozumowanie Niemca-południowca notuję dla tego, że nie jest ono odosobnionem.

POCZCIWY NIEMIEC.

Było to przed laty pięciu.

Przechadzka zaprowadziła nas daleko. Aż na ziemię sąsiada, Niemca, który tam od lat kilkunastu siedział na paruset morgach, w białym dworku, otoczonym sadem wiśniowym. Kupionym był dworek i folwark przyległy i ziemia wokoło od Polaka, szlachcica, znanego w swoim czasie z konceptów i jowialności, a także z wielkiej siły w ręku. Przysłowiem jego było, że Polak rodzi się z ostrogami, a Niemiec w szlafmycy. I długi czas jedną tylko trapił się chmurką na swoim swobodnym widnokręgu. Drwił bowiem sobie często z niego dwór sąsiedni, że choć patryota zapalony, germanizmami szpikuje swe dowcipy.

Lecz to czasy minione, bo potem rozeszło się wszystko, tak, bez wyraźnych przyczyn, samo z siebie, najpierw jeden folwark, potem drugi, wreszcie trzeci z białym dworkiem.

I po ostrogach nastała szlafmyca. A właściciel jej rzeczywiście był zupełnie innym od poprzednika. Dobrego humoru nie miał za grosz, ani butności junkierskiej, która, jak wiemy zbyt dobrze, zaprzecza wszędzie przysłowiu wesołego

szlachcica. Owszem p. August Kraft do nas z nad Renu przybył jak na ścięcie. I choć kupił sobie folwarczek za pół ceny, choć, jak przebąkiwano, i tej połowy część większą uzyskał w drodze rządowego zasiłku, jednak żywot swój trawił w utrapieniu widocznem.

A tem dziwniejszemi były owe smutki p. Augusta, że oprócz dobrobytu, który zawdzięczał korzystnym okolicznościom zakupna i dobremu potem gospodarowaniu, posiadał on zalety charakteru dość znakomite.

Był przyjacielem całego powiatu. Najpierw oczywiście Niemców, szczególnie urzędowych, różnej wagi i znaczenia, począwszy od landrata, a skończywszy na pedagogu miejscowej szkółki.

Z panem landratem popijał piwko w kasynie miasteczka. Sekretarza powiatowego, który lubił myśliwstwo, zapraszał jesienią na kuropatwy, a zimą na zajączki, nauczyciela zaś w swej wiosce klepał po ramieniu i nieraz zaszczycał rozmową przy spotkaniu, poufale i bez wyniosłości. Był bowiem liberalnym w swych pojęciach i zwyczajach, a zarazem z przyrodzonego poczucia dobrze świadomym najsubtelniejszych odcieni w stopniowaniu swych uczuć wobec różnych szczebli rodzimego społeczeństwa.

Więc choć liberalizm swój posuwał tak daleko, że wobec blizkich sobie najwyższem szlachectwem nazywał szlachetność duszy, to jednak, odzywając się do kolegi barona na posiedzeniu sejmiku powiatowego, przemawiał tak właśnie, jak właściciel ziemski bez herbu przemawiać powinien do właściciela ziemskiego z herbem i ty-

tułem, a znów do kolegów sobie równych w sam raz tak, jak się mówi z równymi. Wszystko w miarę, bez trudności i przymusu, z wrodzonej właściwości odczuwania wszelkich półtonów i odcieni.

Lecz właściwość ta jego nie ograniczała się na rodakach i dlatego była niezwykłą. On i z Polakami żyć potrafił na dobrej stopie. W sprawach publicznych, a te dla niego zamykały się w ramach powiatu, trzymał się stale jednego tylko drogowskazu. Tym zaś była wola objawiona, lub odgadnięta, pana landrata. Ale prywatnie, gdzie mógł, okazywał Polakom uczucia przyjaźni i zupełnej wyrozumiałości wobec ich przekonań.

Sam na sam z Polakiem, mawiał nieraz, że biada nad walką rasową w dzielnicach wschodnich pruskiej monarchii i twierdził nawet, że hakatyzm, to największe nieszczęście dla obu sąsiednich narodów. Widać było wtedy, że mówi szczerze, z najgłębszego przekonania. Głową kiwał smutnie i wzdychał: „Poczynają sobie jak szaleńcy, podpalając dom, w którym chcą zamieszkać“.

Najbardziej gniewało go to, że sam należał do związku trzech liter.

– Musiałem, szanowny panie, musiałem, jestem Niemcem i dbam o uznanie władzy. Ale przeciwnym jestem całą duszą polityce drażnienia Polaków, uprawianą przez ten związek nieszczęsny. Rozumiem, że to może podobać się komuś, co mieszka w Berlinie albo w Saksonii. Ale my, którzy tu siedzimy wśród Polaków, postradaliśmy chyba rozum, przypominając im tę walkę rasową, której i bez tego przypominania byłoby dosyć.

Takich rozumowań wynikiem było, że gdy p. August łajał swoich robotników w polu; wołał: „Ty galgan“, a znów, gdy chwalił, nie obyło się nigdy bez: „Dobri chlop, dobri“. Kiedyś nawet, wstąpiwszy za interesem do wikarego i ujrzawszy tam wizerunek Kościuszki, oświadczył, że wie dobrze, kim jest „pan general Koszuszko“ i że Polacy mogą być dumni z takiego rodaka.

Arcydziełem atoli polityki p. Augusta była jego taktyka w czasie wyborów. Należał do komitetu niemieckiego i w myśl życzeń landrata, wygłaszał nawet przed zebranymi w szkole chłopami mówkę patryotyczną. Gdy jednak odrazu spotkał się z opozycyą, nietylko później nie mścił się na przeciwnikach, ale owszem, głównego z nich, służbistego zresztą fornala, mianował bezpośrednio potem włodarzem. Ten czyn wysoce polityczny przyniósł obfite owoce. Podczas każdych wyborów pan dziedzic głośno zaznaczał swoje niemieckie usposobienie i agitował za kandydatem hakatystą, a już nikt we wsi nie patrzał nań za to krzywo. Owszem, słuchali go grzecznie, a potem głosowali tak, jak kazał komitet polski.

A jednak smutnym był artysta, który z niedźwięcznej harfy powiatowej polityki poznańskiej tak piękne wydobywał tony. Był smutnym, choć szanowali go ziomkowie, a Polacy nieraz nadawali mu miano „poczciwego Niemca“. I nietylko smutnym, ale jakby wiecznie strwożonym, niepewnym jutra. On, który właśnie ostatni dług spłacał ze swego folwarku.

Bo wiedzieć trzeba, że p. August także pod tym względem był osobliwością pośród Niemców sąsia-

dów, przeważnie zadłużonych po uszy i czerpiących coraz natarczywiej z niewyczerpanego rogu obfitości rządowej. Pessymistą był skończonym, on, którego życie rodzinne mogło służyć za wzór w całej okolicy. Żonę miał dobrą, miłą, kochającą męża nad życie i darzącą go niedawno piątą już latoroślą.

Takie oto rozpamiętywania na temat usposobienia szanownego p. Krafta snułem, znając go od dawna, wobec przyjaciela, z którym w jesienny wieczór przechadzałem się wzdłuż jego pól.

Zdala widniał biały dworek. Robotnicy wracali już ku wsi, po dniu skończonym, i wozy wracały ostatnie, ciężarne burakami, chlubą tegoroczną p. Augusta. A niebawem i on sam ukazał się na widnokręgu. Sylwetka czarna wózka zaprzężonego jednym koniem, a w nim otyła postać pana tych buraków i tej ziemi.

Zbliżał się powoli, jadąc stępa i puszczając dym z krótkiej fajeczki, przedstawiającej głowę z porcelany o typie, znanym ogólnie, i nasrożonych wąsach, wiecznie kurzącą się od rozpalonego w niej niedrogiego knastru. P. August był oszczędny.

Kończyliśmy właśnie jego charakterystykę twierdzeniem, że melancholiczny Niemiec choruje chyba na jakiś atawistyczny *Weltschmerz*, gdy jednokonny ekwipaż, popędzony raźniej na nasz widok, skręcił z dróżki polnej i zatrzymał się przed nami.

— *Grüss Gott* — odezwało się z powozu grubym basem głośne pozdrowienie.

P. Kraft wysiadł, przywitał się po sąsiedzku i, przeplatając polskimi wyrazami, zaczął koniecznie zapraszać nas do siebie.

— Kochany hrabio — odezwał się do mego towarzysza — mam do pana pilny interes. Wiesz pan, w sprawie tej spornej granicy z sołtysem Ratajczakiem. Nie możemy dojść z nią do ładu, choć ją traktujemy od pół roku. Chłop nie chce iść do sądu, z powodu kosztów, a ja, taksamo, wolę uniknąć wmięszania się adwokatów, nietylko dla kosztów, ale także dlatego, że to zaraz stałaby się sprawa o ziemię. Byłoby dużo gadania po wsi. To dziś rzeczy drażliwe. A znów dobrowolny układ bardzo trudny, bo każdy dba o swoje. Więc zgodziliśmy się na sąd polubowny i pana wybraliśmy jako sędziego. Właśnie jutro zamierzałem odwiedzić pana, by prosić o usługę, której nam przecież nie zechcesz odmówić. Ale gdy mam szczęście panów spotkać tuż pod moim domem, proszę, proszę koniecznie na pogadankę i kieliszek węgrzyna. Mam jeszcze buteleczkę tokaju po moim poprzedniku, a znam też wasze przysłowie: „Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki".

Ostatnie słowa powiedział bez zająknięcia się po polsku. Wiedzieliśmy już od wikarego, że lubił popisywać się tym cytatem, ilekroć Polaka gościł w swoim domu.

Trudno było zaproszenia nie przyjąć. Chodziło przecież o sprawę polskiego chłopa. Prócz tego zaś zaciekawiał nas od dawna typ niepowszedni Niemca ugodowca, uosobiony w postaci p. Augusta. Warto było zobaczyć go w domu, w środowisku własnem.

Przyjęliśmy więc zaproszenie i wsiadłszy do powoziku. p. Augusta, który sam umieścił się na koźle obok woźnicy, znaleźliśmy się niebawem

przed dworem. Na pozór nic tu nie było zmienionem. Dom stary i nizki zachował swój dawny wygląd. Tylko duża kula z niebieskiego szkła, zatknięta na patyku wśród klombu przed zajazdem, jako szczerze niemiecka ozdoba, odzwierciadlała skurczony i przekrzywiony obraz otoczenia. Wskazując na nią, szepnął mi przy wysiadaniu mój towarzysz: „Ot, masz symbol światopoglądu naszego gospodarza“.

Lecz już p. August zeskoczył był z kozła i pomagając nam wysiadać, wołał na cały głos:

— Luizo, Luizo kochana, mamy gości, przybywaj co przędzej.

Jakoż w otwartych drzwiach ukazała się przystojna Niemka w fartuszku gospodarskim, którą nam, zwyczajem niemieckim, p. Kraft pierwszą przedstawił, jako swoją żonę.

Udaliśmy się do wnętrza domu, poczem pani Luiza opuściła nas, by przygotować kolacyę. Salon państwa Kraftów wyglądał dość skromnie, ale bardzo czysto. Podłoga, pomalowana jakimś pokostem jaskrawym, żółto-czerwonym, lśniła się jak szkło. Na stołach ani odrobiny kurzu, choć salon widocznie nie służył do codziennego użytku. Był bowiem zamknięty na klucz i otworzono go dopiero na naszą cześć.

P. Kraft wyszedł do swego pokoju po dokumenty, dotyczące swego sporu granicznego. Zastąpiła go panna Elsa, najstarsza córka, *mein Liebling*, jak zaręczył nam ojciec.

Liebling na zapytanie oświadczył nam, że ma lat szesnaście i że wkrótce ma jechać z matką na *Kaffee-Kränzchen* (podwieczorek proszony, wyłą-

cznie damski), do pani landratowej. Miał to być pierwszy występ panny Elsy, która też zapatrywała się na to ważne zdarzenie z należytą powagą.

Lecz niebawem powrócił jej ojciec z pliką papierów i map i zaczął przedkładać memu towarzyszowi szczegóły swego sporu z sołtysem. Obaj panowie, wertując papiery, rozprawiali żywo. Powoli robiło się ciemno. Podano więc lampy, a wkrótce potem druga córka, panna Gertruda, oznajmiła nam, że mama prosi na kolacyę.

Przeszliśmy więc do sali jadalnej, gdzie prócz pani domu oczekiwała nas reszta rodziny: troje młodszych dzieci i starsza kuzynka, pełniąca funkcye guwernantki.

Podczas kolacyi p. Kraft zaczął rozwodzić się nad zaszczytem, który go spotkał przez nasze odwiedziny.

— Tak, panowie, to nietylko radość dla mnie, ale i zaszczyt. Bo nie wiele jest takich niemieckich domów, w których dziś można spotkać Polaka. Ja to najzupełniej rozumiem i wcale się Polakom nie dziwię. Tak nierozsądnie zachowujemy się wobec nich, że nie może być inaczej.

Po kolacyi, gdy wróciliśmy do salonu i przyniesiono zapowiedzianego węgrzyna, gospodarz wypił nasze zdrowie.

— Piję na cześć moich przyjaciół polskich. Oby na tej ziemi nieszczęsnej zakwitnęły nareszcie czasy pokoju i zgody. Oby nam wspólnie jak najdłużej danem było tu pozostać — i powtórzył raz jeszcze półgłosem — jak najdłużej.

Jakiś dziwny nastrój zapanował w pokoju. Wszyscy milczeli. P. Kraft stał ciągle i trzymał

w ręku kieliszek, jak gdyby chciał dalej mówić. A potem nagle wychylił go duszkiem i usiadł. I znów wszyscy milczeli. Zdawało się, że jakiś duch złowrogi przeleciał przez pokój.

Spojrzałem na Elsę, która siedziała naprzeciw mnie. Dziewczyna wpatrzona była w ojca. W oczach jej widniało jakieś przerażenie i prośba zarazem. Filisterska atmosfera schludnego saloniku przesiąknięta była dramatem.

A p. Kraft wciąż milczał, nie zwracając zupełnie uwagi na gości.

Przerwała coraz przykrzejszą ciszę p. Ludwika.

— Daj pokój, Auguście kochany, tym smutnym myślom. Ot lepiej, powiedz tym panom, jak pięknie obrodziły nam tego roku buraki.

P. August oprzytomniał, przetarł ręką po czole i zwrócił się z przeproszeniem do gości. Ale o burakach rozprawiać nie chciał. Zaczął dowodzić, że nawet najlepszy sprzęt, to jeszcze wcale nie jest szczyt szczęścia.

Trzeba mieć pewny grunt pod nogami, to rzecz najważniejsza. A tego właśnie nam tu brak. Darujcie panowie, że na ten temat rozmowę sprowadzam, ale czego serce pełne, to i z ust musi płynąć. Jest źle, bardzo źle na świecie. A raczej tu jest źle, bo gdzieindziej, miły Boże, jest owszem bardzo wesoło. Pamiętasz, Luizo, jak ładnie było tam u nas nad Renem, koło Heidelbergu. Jacy wówczas byliśmy młodzi i szczęśliwi. Tak, tam dobrze jest żyć.

Zaprotestowaliśmy.

— Źle tu jest, to prawda, ale nam, Polakom. Wam zaś, Niemcom, czegóż jeszcze tu brakuje?

Macie wszystko. Rząd was obsypuje złotem, prawa kuje coraz nowe na waszą korzyść. I jeszcze skarżycie się niewdzięczni!

P. August aż podskoczył.

— A właśnie że i nam źle, może jeszcze gorzej niż wam. Bo was podtrzymuje na duchu miłość do kątów rodzinnych. A zresztą wy, to co innego. Jesteście zwyciężonymi i nauczyliście się znosić przeciwności. Ale my, naród zwycięzców! W całym świecie przywykliśmy do hołdów lub strachu przed naszą potęgą, w domu zaś do miłego uczucia dobrobytu i pewności siebie. Tu zaś na wschodzie dobrobyt wprawdzie jest, ale pewności niema. Cóż z tego, że ja siedzę tu w tym dworze, że w sądzie leży świstek, zapewniający mi prawa hipoteczne na tej ziemi. To świstek i nic więcej. Bo w tej samej oto wsi jest trzystu innych mieszkańców. Z nich każdy wyrósł z tej ziemi, czuje się tu u siebie, jak roślina, którą ten grunt wydaje i zawsze wydawać będzie, póki słońce nie przestanie świecić i deszcz padać i gleba rodzić. A jam tu drzewem z innej strefy, przesadzonem sztucznie, pielęgnowanem przez rządowego ogrodnika. Takich drzew sadzą coraz więcej, choćby całe lasy, ale utrzymanie ich coraz trudniejsze, coraz kosztowniejsze. Gwałcenie przyrody jest zawsze tylko rzeczą przejściową. Gdzie tylko zostanie choć trochę nasienia dawnej roślinności, wciska się ona w każde wolne miejsce, wraca wciąż obcinana i wciąż odrośnięta. Aż nareszcie, gdy ogrodnika zabraknie, wtedy obce drzewa osłabi i wyniszczy nieswojski im klimat. Wtedy z mocą żywiołową powróci na dawną siedzibę to,

co z niej rugowano nadaremnie. I otoczy, zadusi wszystko, co obcego, zapanuje znów wszechwładnie na ziemi, której jest przyrodzonym owocem. Oto widzicie panowie zmorę, która mi wiecznie stoi przed oczami. Tu nagina się naturę, a natura zemści się prędzej czy później.

P. August chciał mówić dalej, ale mu przerwała żona, wskazując na papiery, dotyczące sporu granicznego, a rozłożone na stole.

Powrócono zatem do dyskusyi, rozpoczętej przed kolacyą. P. August rozłożył mapę, porównywał świadectwa i dokumenty, uzasadniał swoją pretensyę, zapewniając, że sołtys zgłosi się do mego towarzysza nazajutrz.

Tymczasem reszta rodziny opuściła salon. Ja zaś przysłuchując się dyskusyi, zacząłem wertować duże album, pełne zasuszonych kwiatów i naklejonych obrazków. Niektóre stronnice poświęcone były pisanym wspomnieniom, skreślonym widocznie przez domowników i gości. Z dedykacyi zamieszczonej na karcie tytułowej wynikało, że album to stanowi własność panny Elsy, która też licznemi własnemi dopiskami wzbogaciła treść książki.

Jeden z nich zaciekawił mnie. Był to wierszyk Bürgera: *An die Hoffnung*, przepisany piękną kaligrafią podlotka, a pod nim data i dopisek: „Kochanemu ojcu, by przestał tak smutno dumać“. O czem zaś dumał rodzic panny Elsy, można się także było dowiedzieć z rodzinnego albumu. Bezpośrednio bowiem przed wierszem o nadziei był wiersz inny, ułożony, jak świadczył podpis, przez samego p. Augusta, opatrzony ró-

wnież datą i dopiskiem, świadczącym, że powstał podczas choroby Karolka, najmłodszego syna. Tytuł brzmiał: *An der Wiege meines Kindes* (nad kołyską mego dziecka).

Przeczytałem wiersz i zrozumiałem teraz dopiero, co mówiły oczy panny Elsy, gdy przed chwilą z takim smutkiem wpatrzona była w marzącego o przyszłości ojca. W tym dyplomacie powiatowym, w tym zawołanym producencie buraków, tkwił romantyk-pessymista. Oczywiście romantyk na sosie pruskim, ale, bądźcobądź, odsłaniający rąbek swej duszy, a czujący to, co odczuwać dzisiejsza niemiecka dusza nie zdaje nam się zdolną.

Obaj panowie tak byli zajęci dyskusyą, że nie zwracali na mnie uwagi. Wyciągnąłem notatnik i przepisałem sobie kołysankę „poczciwego Niemca“.

Oto jej wierny przekład:

Czego płaczesz, dziecko moje?
Ojcze, ojcze, ja się boję,
Idzie biały wróg!
Tam od wschodu jasna łuna,
Polak dosiadł już bieguna,
Niech nas broni Bóg.

Dziecko moje, dziecko moje,
Ja, twój ojciec, tutaj stoję,
Kord przy boku mam.
A wraz ze mną są miliony,
Cały lud opancerzony,
W bój nie pójdę sam.

Ojcze, ojcze, strach mnie chwyta,
Krwawa łuna tam już świta,

Straszny idzie sąd!
A tu z ziemi rosną kosy,
Coraz wyżej, pod niebiosy!
Uciekajmy stąd!

Synu, nie patrz na te mary,
Jeszcze żyje Bóg nasz stary,
Spędź złowrogi sen,
Wrócim, wrócim do ojczyzny,
Gdzie lud dobry i kraj zyzny,
Nad zielony Ren.

Takie zatem były smutki p. Krafta, taką dusza jego naga, szczera, ujawniona w uczuć serdecznych wylewie. Takiemi jego dumania, gdy na polach swoich przejeżdżał wzdłuż szeregów żniwiarzy, kładących polskie zboże do stóp niemieckiego pana. I oto na kartce następnej pieśń, którą mu wydzwoniły lśniące kosy w południowym upale. P. Kraft oczami duszy widzi, jak tryskają z nich błyskawice.

Sensen hier, Sensen her,
Garben fallen goldesschwer,
Aus den Klingen strahlen Blitze
In der Gluth der Mittagshitze.

A potem znów kartka *Myśli prozą*. Ta proza jednak niemniej pessymistyczna od rymów. Zaczyna się od uwag na temat wielkości ducha niemieckiego. On ze środka Europy promienieje wokoło, przenika ludy i kraje sąsiednie. Germańska żywotność sprawiła wielkość i potęgę Anglii i przez nią zakwitnęła w Ameryce północnej. Germańska zapobiegliwość wzbogaca szczęśliwą Hollandyę, sprawia, iż w Belgii ruch flamandzki coraz

skuteczniej ujawnia się przeciw rządzącej kulturze łacińsko-wallońskiej. Niemiecka swoboda uszczęśliwia wolną Szwajcaryę. Czemuż i na wschodzie nie może się obecnie duch germański podobnemi poszczycić wynikami?

Bo wysiłku i w tę stronę było dużo. Przeszłość bardzo chwalebna. Dwie trzecie monarchii pruskiej powstało na gruzach słowiańskich. Skolonizowany cały brzeg Bałtyku od Szczecina aż niemal po Petersburg, a, nawet i poza nim, Finlandya, choć nie wprost niemiecka, jest jednak germańską (!). Emigracya niemiecka na wschód była ogromną. Zalała pół zachodniej Polski, osadziła nawet przez czas pewien niemieckich królów na tronie polskim. A w Rosyi jakże potężnym był jej wpływ, jak niezaprzeczenie królowało już władztwo niemieckiego ducha w całym ustroju tych ogromnych dzierżaw między morzem Białem a Czarnem. Jak na wyspach brytyjskich najazd Anglów i Sasów zupełnie przetrawił miejscowych Celtów, tak i na wschodzie zdawało się, że powstanie druga, ogromna, córa Germanii, przetrawiona i zniemczona Sarmacya.

I oto bieg historyi zaczyna iść innym torem. Najpierw obudził się w Polsce duch samoistności i oporu. A i w Rosyi tu i ówdzie już odzywa się poczucie przeciwieństwa do idei germańskiej. To wszystko bardzo niepokojące. Bo gdy raz już obudzonym duch niesforności w wielkiej szkole germańskiej na wschodzie, będzie on wzrastał bezustannie. W Polsce, szczególniej w jej dzielnicach podległych berłu pruskiemu, rozwielmożnił się ten duch już straszliwie.

Niemiec odgrywa tam rolę, już nie mentora i patrycyusza, otaczanego przez klientów, lecz dozorcy więziennego, który trzyma pod kluczem buntownicze żywioły. To źle, to stan nienaturalny. Bo niech tylko sprężystość dozorcy osłabnie, a odrazu zniknie też jego przewaga. On sam chronić się będzie musiał przed zemstą tych, którzy nigdy nie przebaczą mu jego rządów więziennych.

I po takich rozpatrywaniach, pełnych melancholii, zadaje sobie p. Kraft dwa pytania: najpierw, dlaczego stan rzeczy na wschodzie nie jest takim, jakim być powinien? a następnie, co będzie dalej, jakiemi będą wyniki obecnego położenia?

Pierwsze pytanie wymaga odpowiedzi historycznej. Zawinili w pierwszym rzędzie Krzyżacy. Kolonizowali dobrze, ale politykowali źle. Pozwolili wrogom wzrosnąć ponad miarę, nie zniszczyli ich, póki to było względnie łatwem, a potem, gdy mieli przed sobą siły przepotężne, drażnili niepotrzebnie, nadmiernie ufali w swoją siłę. Tego wynikiem były Płowce i Grunwald, nazywany przez p. Krafta, jak zwykle przez Niemców, Tannenbergiem.

Drugim wielkim błędem była i jest polityka pruska nowożytna. W niej znów te same niedorzeczności, które zniweczyły dzieło krzyżackie. Wysiłek kolonizacyjny od zaborów bardzo poważny, ale polityczna nierozwaga jeszcze większa. Zamiast skupienia odrazu całej siły na wywłaszczenie większej własności, pozbawienia chłopa, jeszcze nie uświadomionego, intelligencyi polskiej i łatwego potem, jeżeli nie zniemczenia, to przynajmniej sprusaczenia ludności wiejskiej, wal-

czono ciągle półśrodkami. Drażniono, krępowano z pokolenia na pokolenie warstwy wyższe, a tolerowano ich istnienie.

Tymczasem rozwinęła się świadomość chłopa, powstało mieszczaństwo polskie i teraz już mają Niemcy do czynienia nie z warstwą jedną, ale z narodem całym, organicznie żyjącym i czującym od góry do dołu. Taka zaś siła jest niezwyciężoną. A prócz gwałtownej expropriacyi była przecież jeszcze inna taktyka, może równie dobra, a może nawet lepsza: pozostawienia Polakom wszelkiej swobody pod względem językowym, traktowania ich grzecznego i uprzejmego na każdem polu, a popierania tylko kolonizacyi niemieckiej prywatnej. Na tej drodze, zdaniem p. Krafta, można też było zajść daleko, bardzo daleko. W dodatku zaś była to droga sympatyczna, miła, wcale nie niebezpieczna. Polak jest odpornym tylko, gdy podrażniony. Przecież dawniej sam nas tu sprowadzał.

I p. Kraft przechodzi do wniosków na przyszłość. Wschodnie kresy napełniają teraz nowożytni Krzyżacy hasłem, że mocniejszy winien panować. To hasło ma zawsze dwa ostrza. Bo siła polityczna, to rzecz zmienna. Tensam naród jest dziś politycznie mocnym, jutro słabym. Jedna wojna przegrana odmienia nieraz zupełnie postać rzeczy. Więc prawo mocniejszego dobrze jest stosować do przeciwnika, którego można zupełnie wytępić, nigdy zaś do takiego, który, choć ranny, jednak pozostaje przy życiu. Dłuższem jest życie narodów od trwania konstellacyj politycznych. Ono czekać umie długo, ale wkońcu upomni

się o swoje prawa. A wtedy biada nam, biada Niemcom, którzy swoją przyszłość ugruntowali na kresach!

Chciałem jeszcze dalej wertować ciekawe album panny Elsy, lecz dyskutujący panowie zakończyli swoją sprawę i gospodarz zwrócił się do mnie z przeproszeniem, że w tak nudny sposób spędzam czas w jego domu.

— Pozostawili gościa z albumem Elsy i poszli sobie wszyscy — zrzędził niezadowolony. — Doprawdy, ładnego wyobrażenia nabiorą panowie Polacy o niemieckiej gościnności.

Lecz pocieszyłem go, mówiąc, że owszem, zbiorek jego córki zajął mnie nadzwyczajnie, najbardziej zaś utwory jego własnej wyobraźni. P. Kraft zmięszał się nieco i zapytał, co mianowicie wyczytałem w albumie. A gdy mu wskazałem przytoczone powyżej wiersze i prozę, zaczął się rozwodzić nad trudnem życiem niemieckiego osadnika na wschodzie.

— Widzicie panowie, ja jestem szczery i mówię co myślę. Nie ukrywam bynajmniej tego, że mi tu na ziemi polskiej wcale nie swojsko. Inni tają się z podobnemi uczuciami, ale wierzcie mi panowie, oni także mają ich poddostatkiem. Tylko, że u nich obawa przed przyszłością przeradza się w zdwojoną nienawiść, w nerwową, namiętną chęć zagłuszenia, zgnębienia wszystkiego, co polskie. Nasz wielki poeta niedarmo powiedział, że przekleństwem złego czynu jest to właśnie, iż, dalej rodząc, wciąż nowe zło musi wytwarzać. A tu czyny były nietylko złe, ale i głupie. Przyznaję zupełnie, że racya stanu i egoizm narodowy nie

liczy się w świecie z etyką. Więc na przekór wszelkiej etyce, byłoby pożarcie zupełne i strawienie polskości przez potęgę niemiecką, wzmocniło tę ostatnią. Ale myśmy was nie pożarli, myśmy was tylko pogryźli boleśnie, krwawo, stokrotnie. To też wy patrzycie na nas tak, jak się patrzy na... wściekłego psa.

P. Kraft powstał, wyszedł do swej kancelaryi i powrócił stamtąd z pożółkłym świstkiem w ręku.

— Patrzcie panowie — zawołał — oto dokument, który stwierdza, że wcale nie z swej wyobraźni wysnułem sobie to, co mówiłem przed chwilą.

I rozwinął przed nami pomięty list, pisany widocznie ręką niewprawną.

— Tu macie panowie życzenia, któremi obdarzono mnie na powitanie, gdy przybyłem w te okolice.

Rzeczywiście list był dokumentem *sui generis*. Życzono w nim nowonabywcy polskiego majątku siedmiu plag egipskich, i choroby, i złego wszelkiego.

A p. Kraft mówił dalej:

— Te przekleństwa, panowie, wyszły z tej wsi, gdy ją kupowałem. Dziś nikt mnie w niej nie przeklina. Zapoznaliśmy się, zrozumieliśmy się wzajemnie. Ale obcym jestem tu dotąd i będę nim zawsze, a nawet coraz bardziej. Bo na cóż przyda się takt osobisty i porozumienie z najbliższymi sąsiadami, gdy wokoło coraz wyżej, coraz groźniej, piętrzą się fale nienawiści plemiennej. Moi ziomkowie drażnią coraz zajadlej, Polacy nienawidzą coraz ciszej, coraz ostrożniej i skryciej, ale za to

coraz głębiej i rdzenniej. Wiedzą o tem nasi, wie urzędnik w powiecie, wie najlepiej właściciel Niemiec we dworze, niegdyś polskim, wśród wsi, dotąd polskiej, a coraz goręcej czującej po polsku.

— Więc mu obco i niedobrze wśród obcych mu serc, a gdy sam wobec siebie to stwierdza, wtedy woła, *Ausrotten*. Wygubić ich, wytępić do szczętu, tych, którzy są nam wiecznem *memento*, wiecznym wyrzutem sumienia, wieczną groźbą na przyszłość. To jedno umieją sobie powiedzieć nasi, gdy odczuwają całą fałszywość dotychczasowej polityki antypolskiej. To jedno potrafią, pod rozmaitą postacią, wygłaszać na zewnątrz, na arenie publicznej.

— A nakrzyczawszy się tak dowoli, cóż czynią? Oto kto może, kto tylko posiada tu z naszych wieś lub folwark, stara się sprzedać go za jak najwyższą cenę kolonizacyi lub innym instytucyom rządowym i wrócić, skąd przyszedł. Gdy tu przybyłem, było nas dwudziestu samoistnych właścicieli niemieckich w powiecie. Dziś, jak wiecie panowie, jest nas zaledwie sześciu. A mówię „zaledwie“, bo sąsiad mój, baron, już podobno dobija targu z zarządem domen królewskich. Będzie nas więc tylko pięciu. Zniknęło zaś piętnaście niemieckich dworów, germańskich posterunków. A wiecie również, kto te posterunki zastąpił.

Tu p. Kraft westchnął głęboko i głosem zbolałym ciągnął dalej:

— W trzech wypadkach po dziedzicu Niemcu nastąpili Polacy, w dwunastu płatni ekonomowie z ramienia rządu i kilkuset osadników chłopskich, sprowadzonych z głębi Niemiec. Ekonomowie są

płatnymi urzędnikami, ptakami przelotnymi, niezwiązanymi niczem z miejscem, w którem przebywają, niemającymi najmniejszego wpływu na ludność polską. Osadnicy zaś nasi, jak wam również wiadomo, to żywioł tak samo nie trwały. Przeważnie ludzie zrujnowani w swych stronach rodzinnych, zachęceni łatwym zyskiem z państwowej kieszeni i do reszty zdemoralizowani bezustannem oglądaniem się na ciągłą pomoc ze strony władzy. Gospodarzą kosztownie, bez poczucia odpowiedzialności, pozbawieni energii, którą wyrabia przedsiębiorczość, oparta na przymusowem napięciu wszystkich sił jednostki. Niechby tylko wolno im było sprzedawać swą ziemię, a dwie trzecie z pomiędzy nich odprzedałoby ją najchętniej i powróciłoby z napełnionym mieszkiem do stron rodzinnych.

Patrzcie panowie na urzędników. Czyż który, uzyskawszy emeryturę, osiedla się w tych stronach na stare lata, czy zżył się z tym krajem, z temi stosunkami? Nie. Kto może, ten wysłużywszy swój czas, wraca do swoich, a nawet w czasie służby uważa przeniesienie na wschodnie kresy jako rodzaj wygnania. Rząd i hakata przypędza tu naszych coraz więcej, ale te rzesze coraz liczniejsze idą coraz niechętniej, obliczają coraz skrupulatniej bezpośredni brzęczący zysk z emigracyi na wschód.

— Rząd nazywa chłopa z Hesyi lub Saksonii, którego tu sprowadza, osadnikiem, *Ansiedler*. Lud zaś niemiecki nazywa idących na wschód wychodźcami. *Auswanderer*. Już z tej różnicy nazw widoczną jest różnica pojęć i zrozumienia.

— A jeszcze ciekawszą jest różnica w określaniu istoty tego kraju. Rząd mówi: „Idziecie na wschodnie kresy, *in die Ostmark*“. Oni zaś mówią: „Idziemy do Polski, *nach Polen*. Mówi tak nawet niższy urzędnik u nas nad Renem, gdy ma być przesiedlony na wschód. Wyższemu oczywiście nie wypada tak mówić, ale i on tak myśli. Bo to dla nich wszystkich kraj obcy, w którym łatwo jest zbogacić się lub uzyskać awans, ale z którego należy koniecznie kiedyś powrócić z pieniędzmi lub odznaczeniem.

Łatwo sobie wyobrazić zajęcie, z którem słuchaliśmy wywodów naszego gospodarza. Poznańczykowi znane są różne typy Niemca, od brutalnego wszechgermana, do chytrego i podlizującego się agenta kolonizacyi. Znanym niemniej typ Niemca statysty, rachującego z ołówkiem w ręku wzajemny stosunek sil i obliczającego na zimno czas i okoliczności ostatecznego pogromu polskości przez germanizm. Częstym typ obłudnego katolika, który chodzi na niemieckie kazania dopiero od czasu, gdy sobie tego życzy pan landrat.

Ale rzadkim jest okaz Niemca wystraszonego, Teutona, którego sumienie gryzie, który czuje, że po takich krzywdach, po takich winach, wybić musi kiedyś, dziś jeszcze niewidoczna, godzina sprawiedliwości. A rzadkim nie dlatego, żeby te uczucia nie były zmorą dla wielu, ale dlatego, że trudno jest spotkać Niemca, któryby je wyjawił, przyznał się do nich szczerze i otwarcie i to w dodatku przed Polakiem.

Więc też każde słowo p. Krafta chwytaliśmy chciwie, przedłużając nasz pobyt w jego domu

znacznie ponad zamierzone pierwotnie, krótkie odwiedziny dla interesu. Ale wyznaniom tak zajmującym położył koniec powrót pań do salonu. P. Kraft, zobaczywszy w drzwiach, nietylko swoją córkę, ale i swoją małżonkę, zmienił temat rozmowy. Pomimo to pani Luiza zapytała nas podejrzliwie, czy jej mąż nie fantazyował znowu po swojemu i dodała:

— On zawsze zajmuje się takiemi rzeczami, które go nic nie obchodzą. Dla nas tu ważnem jest gospodarstwo i kwita. Politykowanie zostawmy innym. Z tego doczekać się można tylko rozmaitych nieprzyjemności.

To mówiąc, wyjęła z szufladki talię kart i zaczęła nas namawiać do partyi whista.

— Nasi niemieccy panowie lubią najbardziej „skata“, ale wiem, że Polacy tej gry nie znają.

Podziękowaliśmy, zapewniając, że wogóle nie grywamy w karty i wobec późnej już pory pożegnaliśmy się z gospodarstwem i ich córką. Elsa koniecznie jeszcze prosiła, byśmy zapisali się w jej albumie. Mój towarzysz oświadczył jej, że zamiast naszych podpisów, wyrysuje jej portret króla polskiego, Władysława Jagiełły, bardzo znanego w swoim czasie także wśród Niemców. Tak córce, jak ojcu, spodobał się ten projekt. Ale pani Luiza aż ręce złożyła z przestrachu.

— Zmiłujcie się panowie, przecież tu u nas bywają Niemcy, my nie możemy narażać się na to, że który z nich zobaczy u nas wizerunek polskiego króla.

Elsa upierała się przy swojem, p. Kraft sprzeciwiał się małżonce, tłómacząc jej, że ten król

zwłaszcza dlatego dobrze znanym był przez Niemców, że ich wielką ilość wygubił.

— *Ach um Gotteswillen* — zawołała na to przerażona pani Luiza — i to jeszcze takiego króla chcielibyście nam panowie wyrysować. Miły Boże, żeby się tylko pan landrat o tem nie dowiedział. A ty Elso pamiętaj, żebyś wogóle nie wspominała o wizycie tych panów, gdy jutro pojedziemy na *Kränzchen* do landratowej. Ale ty się wygadasz. Ja się tego bardzo obawiam.

Zanosiło się na dłuższą przemowę wylęknionej pani domu, więc po ostatecznem pożegnaniu i pomimo nalegań p. Krafta, który nas koniecznie chciał swoim powozem odesłać do domu, wyruszyliśmy w drogę.

Pełnia była i jasno jak w dzień. We wsi, choć już zbliżała się dziesiąta, świeciło się jeszcze w wielu oknach. Przed jedną z chałup siedział na ławce parobczak i grał na harmonice wesołego krakowiaka. Wtórowały mu dziewczęta, stojące w pobliżu.

Tych nie trapiła zmora niespokojnego sumienia, która zagościła w niemieckim dworze. Przez jasną smugę ulicy wiejskiej płynęła fala życia, młodości i nadziei. I choć niezwyczajnych wesołej myśli o losach naszej biednej, znękanej dzielnicy, objęła ta fala i nas.

Zaiste p. Kraft miał słuszność. Ta wieś, ten lud, to całość nierozłączna z tą ziemią, to tak z niej wyrosłe, jak łany zboża i drzewa przydrożne. I jak tej gleby, która je wydała, nikt z posad nie ruszy, jak po każdej zimie, za każdą wiosną nowa ruń ją pokrywa, tak i dzieci tej

polskiej ziemi przetrwają krzyżacką nawałnicę, będą tu jeszcze, gdy p. Krafta już nie będzie i gdy zabraknie pana landrata i nauczyciela, uczącego dziś naszą dziatwę gotyckich liter i obcego pacierza.

Tak się skończyła nasza wyprawa do białego dworku melancholicznego polakożercy.

W kilka lat później danem mi było powtórzyć ją w odmiennych okolicznościach. Po p. Auguście pozostało tylko wspomnienie. Majętność swoją sprzedał był za drogie pieniądze jakiemuś bankowi niemieckiemu i powrócił w strony rodzinne, nad zielony Ren. We dworze gospodarzył ekonom, Prusak zapalczywy, wyzywający służbę folwarczną od *polnische Hunde*. Miał już z tego powodu kilka zatargów i raz nawet awanturę, zakończoną wypędzeniem ze służby całego szeregu parobków. Gospodarzył drogo, bo wkońcu ze wsi niemal nikt nie chciał już chodzić na robotę do dworu i pan inspektor musiał sprowadzać ludzi z daleka. Było o tem dużo gadania w okolicy, a bank, zniechęcony, wszelkiemi sposobami starał się o nowego nabywcę na niewygodny majątek.

I znów pewnego wieczora zaprowadziła nas przechadzka do dawnych włości ojca panny Elsy. Był to właśnie czas wyborów do sejmu pruskiego. Prawybory były już zakończone, a w dniu tym odbywało się w miasteczku powiatowem zebranie t. zw. *walmanów* t. j. wyborców właściwych.

We wsi panował nastrój poważny. Nie odzywał się już wesoły krakowiak, jak niegdyś, gdy wracaliśmy od p. Krafta. Ale gdy zapytaliśmy spotkanych włościan, czy też wszyscy *walmani*

z ich wioski stawili się, jak należy, do urny wyborczej, odpowiedziano nam: „Wszyscy, bez wyjątku. A starego Kosińskiego, co chory na zapalenie, wsadziliśmy na wóz, by głosował razem z innymi. Sam chciał koniecznie i mówił, że choćby miał zemrzeć, to głos swój musi oddać!“

Wracając do domu, przypominaliśmy sobie nasze poprzednie odwiedziny tej wioski i wywody jej ówczesnego dziedzica.

Zaprawdę, pod Heidelbergiem jest inaczej.

TESTAMENT KRWI.

Pułkownika armii pruskiej p. v. X. poznałem podczas ćwiczeń wojskowych na kwaterunku wiejskim.

Przybył samotrzeć, z lekarzem pułkowym i żołnierzem do posługi. Poczet był skromnym i wobec nieziszczonej obawy przymusowego goszczenia, jak już nieraz poprzednio, oficerów kilkunastu, stanowił miłe rozczarowanie.

To też, gdy, zazwyczaj, wiadomość o grożącym kwaterunku jest dla polskiego właściciela i jego rodziny hasłem do opuszczenia domu na czas pobytu nieproszonych gości, tym razem postanowiono oszczędzić sobie kłopotu i przyjęto ich osobiście.

Obaj oficerowie byli zresztą dość grzeczni, przeprosili za niewygodę, którą sprawiają, zachowywali się cicho i wyszli ze swych pokojów dopiero pod wieczór, na obiad. I w tem odróżniali się przyjemnie od prawdziwego najazdu swych kolegów w roku poprzednim, gdy dom cały zdawał się zamienionym w obóz wojenny.

W dodatku pułkownik dobrze, a i lekarz wcale nie źle władał językiem francuskim i gdy pani domu oświadczyła, że po niemiecku nie rozumie,

ani razu już, z wyjątkiem do służby, nie odezwali się w języku, w którym, co prawda, pisał Goethe, ale który dla Wielkopolan jest dzisiaj brzmiącą wstrętnie, gwarą hakatystów.

Rozchmurzył się nawet stary klucznik domowy, Antoni, który, obejrzawszy sobie dokładnie przybyszów, zawyrokował, że choć to, za przeproszeniem, Prusaki, ale z oczu im nie patrzy tak źle, jak innym. A to było wiele, bardzo wiele, ze strony Antoniego, który mawiał zwykle, że Niemców stworzył Pan Bóg w piątek, na umartwienie dla ludzkości.

Po obiedzie, w salonie, zajęła pułkownika karabela, zawieszona na ścianie. Gdy się dowiedział, że ona jeszcze z pod Wiednia, oświadczył, że Sobieski to był wódz, od którego i dziś niejednego można się nauczyć. Szczególniej ta szarża kawaleryi ze stoków Kahlenbergu aż na miejsce obecnego Währingu, po terenie bardzo łamanym i trudnym, to świetny epizod wojenny. I zaręczał, że, pomimo doświadczeń z wojny japońsko-rosyjskiej, ataki konnicy na zdemoralizowane już szyki nieprzyjacielskie, nie straciły wcale swej racyi bytu.

Zaczęliśmy mówić o wojsku polskiem. Chwalił bitność Polaków w roku 1830, a rozwodził się obszernie nad niedołęstwem ogólnego prowadzenia kampanii. Z tego tematu wywiązał się drugi, o duchu wojskowym wśród Polaków. Niemiec upatrywał w charakterze naszym narodowym dziwną sprzeczność.

— Żołnierz polski dobry, a nieraz i wódz dobry, jak np. Czarniecki, Chodkiewicz, Sobieski,

i kilku późniejszych. A pomimo to, naród zasadniczo nie wojskowy, w gruncie rzeczy nie lubiący wojny i wojskowego rzemiosła.

— Niema drugiego większego narodu w Europie — twierdził — któryby do takiego stopnia, jak polski, prowadził niemal jedynie wojny obronne. Trzeba sięgać aż do średnich wieków, by znaleźć w historyi polskiej przykłady rzeczywistych wojen, expansywnych, zdobywczych.

I dodał — Prusy i Polska, oto dwie potęgi, które rozwijały się w dość podobnych warunkach. Ale z innym skutkiem, bo na podstawie innego charakteru narodowego. Oba państwa nie miały naturalnych granic, oba miały przed sobą do wyboru dwie drogi: zdobywać, lub być przedmiotem zdobyczy. A jakże różnie pokierowały się ich losy! Jakże daleko zaszły dziś Prusy i Niemcy, a cóż stało się z ich sąsiadką!

Pani domu oburzyła się.

— Tak! sąsiadka zginęła, to prawda, ale przez kogo? Przecież głównie przez was, Prusaków!

— Nie zaprzeczam bynajmniej — odparł na to pułkownik z uśmiechem. I rozumiem najzupełniej, że Polacy nie mogą nam być za to wdzięczni. Ale pozwólcie państwo, że jako Prusak, sądzić będę te sprawy z pruskiego punktu widzenia. Otóż porównuję zarodek potęgi pruskiej przed laty trzystu z ówczesnym zasobem sił polskich. Porównania tego najlepszym wyrazem jest hołd pruski na rynku krakowskim, zapisany na zawsze w pamięci i sercach tak polskich jak i niemieckich, a uwieczniony obrazem Matejki.

Posypały się zapytania.

— Gdzież pan ten obraz widziałeś? On jest w Krakowie. Czy pan byłeś w Krakowie?

Lecz pułkownik odpowiedział wymijająco.

— Już nie pomnę, gdzie go widziałem. Podróżowałem wiele. Dość, że obraz ten pragnąłbym pokazać każdemu Polakowi, gdy gniewa się na pruską politykę. On sam starczy za odpowiedź.

— Pozwól pan — wtrąciłem — że odpowiedź tę nazwę, co najmniej, oryginalną.

Lecz Niemiec nie dał się zbić z tropu.

— Przeciwnie, nazywam ją wyraźną, jasną, oczywistą. Nie możecie się skarżyć na Opatrzność. Nie upośledziła was bynajmniej. Dała wam stokroć więcej niż nam, dała wam pierwszeństwo potęgi i siły. Wtedy na rynku krakowskim siedział na tronie wasz król jako mocarz, równy niemal rzymsko-niemieckiemu cesarzowi. A klęczało przed nim książątko, jeszcze nawet nie udzielne. Na kolanach, jako wasal i sługa, musiał składać hołd Hohenzollern przemożnemu Jagiellonowi. A jednak wtedy już losów przyszłych rozgrywka istniała w zarodku. Ten król na tronie, w szatach miękkich, wspaniałych, złocistych, a przed nim ten rycerz cały w stali, twardy i zbrojny, czyż to nie symbol dwóch pierwiastków, dwóch pojęć życiowych i dwóch ras. On jeszcze klęczy ten rycerz, ale zda się, że za chwilę zerwie się z kobierca, na którym się ukorzył i mieczem przetnie cały hołd i przysięgę i wstyd niemieckiego książęcia, że przed polskim ukorzył się panem.

Tu pułkownik powstał i zaczął chodzić po pokoju, jak gdyby dręczyła go owa wizya przeszłości.

— Tak proszę państwa — ciągnął dalej — wam Polakom było danem wiele, bardzo wiele. I wy z pewnością mieliście misyę do spełnienia wśród narodów. Wasz duch, wasz pierwiastek, był widocznie przeznaczonym do odegrania roli znakomitej w ludów i krajów współzawodnictwie. Ale, jak ludzki osobnik nieraz nie spełni tego, do czego jest zdolnym i zmarnuje swój kapitał życiowy, tak i Polacy nie spełnili swej misyi, zmarnowali kapitał swej siły. Dlaczego wzrosła pruska potęga? Bo pracowała na życie rękami i nogami, całem napięciem swej energii. Jej było źle na świecie, ale ona się przegryzła przez świat i życie i przez wszystkich, co ją chcieli zadusić. Bo byli i tacy, było nawet wielu, tylko nie wy. Dusiła nas Austrya i Francya i nawet wami od nas rozgraniczona Rosya. A wy jedni, najbliżsi, najbardziej dotknięci naszym rozrostem, nigdy naprawdę nie zabraliście się do zniweczenia nas. Więc czegóż teraz biadacie? Czegóż się dziwicie? Nie chciało wam się żyć, to też nie żyjecie. A my posiadaliśmy i posiadamy instynkt życia, to też żyjemy i żyć będziemy. Że zaś dzieje się to w znacznej części waszym kosztem, to rzecz zupełnie naturalna. W przyrodzie także trzeba zjadać, albo być zjedzonym. To jest prawo odwieczne.

Wymowny syn Marsa przerwał na chwilę swe wywody, gdyż doktór, który żadnego nie brał udziału w dyskusyi, oświadczył, że jest bardzo zdrożonym i udał się do swego pokoju. Pułkownik

zapewnił, że niebawem podąży za swoim towarzyszem, ale, że zapędziwszy się tak daleko w rozmowie, pragnie jeszcze dorzucić konkluzyę. A konkluzya ta była nagłą i niespodziewaną. Teorya o przykazaniu pożerania się nawzajem, stanęła przed nami w nowej szacie. Pułkownik zaczepił nas namiętnie, a jednak w taki sposób, że zrazu wytrącił nam broń z ręki. Wygłosił przeciw Polsce i Polakom formalny akt oskarżenia o zbytnią względność wobec Prus.

— Czemuż teraz pruskie pułki manewrują na waszej ziemi. Czemuż ja sam oto jestem dla państwa niewygodnym gościem. Czemu? Poprostu dlatego, że polski garnizon nie stoi dzisiaj w Berlinie, lub Magdeburgu. A mógłby stać, mógłby, jako żywo. Tylko trzeba było chcieć, mieć trochę woli, energii, przedsiębiorczości. Trzysta lat temu mały wysiłek byłby wystarczył. Przecież cały prawy brzeg Odry był wówczas słowiański, jeżeli nie wprost polski. A i na lewym duże obszary jeszcze nie zniemczone. Lecz wyście o to wszystko nie dbali. Taki Śląsk naprzykład w znacznej części sami Piastowie zapisali naszym królom. Czy kiedy wasze sejmy zajmowały się temi sprawami? Czy ktokolwiek dbał u was o te ówczesne wasze kresy. A potem w końcu zabraliśmy was samych, tak jak się podnosi dojrzałe jabłko, gdy spadło z drzewa.

Ostatnie słowa wymówił z zapałem, podniesionym głosem. A potem zaczął nas przepraszać, że tak w naszej obecności odzywa się o rzeczach polskich.

Lecz uspokoił się niebawem, usłyszawszy z naszej strony zapewnienie, że owszem, tego rodzaju wywody coraz częściej słyszeć można właśnie wśród Polaków. Bezustannie bowiem wzrasta w społeczności polskiej przekonanie, iż wielkim jej historycznym grzechem było dopuszczenie do rozwoju Prus, wroga dziedzicznego i najstraszniejszego. To też, jeżeli przedmiotem rozmowy ma być tylko sprawność narodowa, nikt z Polaków narodu swego nie będzie uniewinniać. Owszem, każdy wyrazi tylko szczery żal, że w samym jądrze i zarodku nie zdusiliśmy rodzącej się potęgi pruskiej.

Pułkownik godził się na takie pojmowanie sprawy.

— Kto dzielniejszy, ten zwycięża. Ale proszę także uznać dalsze moje twierdzenie, wynikające z poprzedniego, że jedynie ten, co zwycięża, ma prawo do życia. Wy straciliście to prawo, a my, Prusacy, zyskujemy je coraz bardziej.

Ale teraz pani domu przerwała potok jego wymowy.

— Pan mówisz o prawie, a poprzednio zrównałeś prawa, rządzące ludzkością, z temi, które rządzą zwierzęciem lub rośliną. Zapominasz pan widocznie, że nas obowiązuje jeszcze inny zakon, prawo moralne, sprawiedliwość, a ta chyba nie przepisuje zjadania słabszych przez mocniejszych.

Niemiec zamyślił się i nie odpowiedział odrazu. Przez chwilę zapanowała cisza. Byliśmy rzeczywiście ciekawi, jak na ten zarzut odpowie sofistyka pruska.

Odpowiedziała w sposób zaiste godny siebie. Pułkownik, powoli, podkreślając każde słowo, zaczął nam tłómaczyć, że owego prawa zwycięzcy nie należy rozumieć jako teoryę ludożercy, pożerającego wziętych do niewoli przeciwników, lecz raczej jako odwieczną zasadę eliminacyi sił gorszych przez lepsze, czynników słabszych i chorych przez mocniejsze i zdrowsze.

— Prawo postępu jest także prawem moralnem zapewniał. — A wybijanie się szczepów tęższych ponad inne, stanowi oczywisty postęp dla ludzkości...

Nie dano mu dokończyć.

Przypomnieliśmy zwolennikowi Nietschego ruszczenie niemieckich dzielnic nadbałtyckich i madiaryzowanie Niemców na Węgrzech. Czyż i to wszystko podpada pod kategoryę tak miłego mu postępu mocnych na koszt słabszych?

Lecz pułkownik nie zawahał się ani chwili.

— I owszem. Choć to, co wymieniliście państwo, działo się, lub dzieje, na przekór interesom niemieckim, nie odstępuję dlatego od mej zasady. Gdzie Niemiec słabszy, niech ulega. Ale zato, gdzie mocniejszy, tam zwycięża. Naszą rzeczą jest starać się o to, by coraz był mocniejszy i by w końcu zwyciężał zawsze i wszędzie. Równe prawo dla wszystkich.

— Równe bezprawie — odpowiedziano. A potem zapytano go jeszcze, jak się zapatruje na samoobronę polską w Prusiech. Czy i ta jest mu objawem sympatycznym.

— Daleko mniej niż, poprzednio wymienione, przykłady energii ludów, nam wrogich.

Tamci zwalczają nas w interesie własnym. Ufam zresztą, że daremnie, bo niebawem potęga niemiecka chronić będzie skutecznie nasze interesa narodowe na obczyźnie. Ale wy, Polacy, czynicie zupełnie co innego. Wasze istnienie już skreślone z księgi narodów. Wy teraz, po niewczasie, próbujecie wstrzymać nieuchronny bieg dziejów. Psujecie porządek i harmonię postępu światowego, bez najmniejszych widoków powodzenia. Nam przecież nie poradzicie. Więc taki bezcelowy, spóźniony, opór jest sam w sobie złym. Szkodzicie sprawie ogólnej, ale także i sobie. Inni mogą się jeszcze łudzić, wam tego nie wolno.

To powiedziawszy oświadczył, że na zakończenie zachowuje najlepszy argument, bo zaczerpnięty aż z biblii.

— Żydzi wiedzieli, że są narodem wybranym i to im dawało ogromną energię życia. Nie pytali o środki, wiedząc, że uświęca je cel, przepowiedziany w proroctwach. Przykład Judyty jest miarodawczym. Mając w swej mocy bezwładnego Holofernesa, ucięła mu głowę. I dobrze zrobiła. Świat cały do tej pory uważa ją za bohaterkę. Z tego zaś wynika...

— Że nas tu, Polaków kresowych, należy co prędzej wytępić — dokończyła za niego pani domu.

Pułkownik ukłonił się.

— Rozprawiamy po akademicku o rzeczach nam blizkich. Byłbym niepocieszonym, gdybym miał uczucie, że przekroczyłem granice, zakreślone mi przez względy, należne państwu, jako Polakom. Przypominam jednak, że zacząłem od przyznania

Polakom, co prawda w przeszłości, zupełnego prawa potraktowania nas taksamo, jak nam dzisiaj logika dziejowa każe was traktować. Wyznaję teoryę równości praw, w czem różnię się od wielu z moich ziomków, starających się przekonać innych, a może i siebie, o rzekomo najlepszych, a przez samych Polaków udaremnianych zamiarach rządu i ludu niemieckiego wobec nich. To jest hipokryzya, niegodna wielkiego narodu. Dzięki Bogu, że w przemowach naszych polityków coraz mniej tego rodzaju frazesów. Ja otwarcie przyznaję, że, jako mocniejszym, przysługuje nam też prawo mocniejszego. Czyż nie mówię przedmiotowo?

— Najzupełniej — odparł na to pan domu — i w myśl pańskich wywodów pozostaje nam słabszym jedynie nadzieja, że pod obuchem ciosów, które nam zadajecie, potrafimy przetrwać w naszej niedoli tak długo, aż w świecie znajdzie się siła większa od waszej, która owo prawo mocniejszego zastosuje z kolei do was. Gdy stawiam kwestyę w ten sposób, nie zarzucisz mi pan, że upieram się przy uwielbianiu bezowocnego oporu słabszych. Bo przecież fortuna toczy się kołem. Zgnębiono nawet Napoleona. I was kiedyś ktoś zgnębi.

Pułkownik żachnął się.

— Ciekawym, gdzie pan upatrujesz tego mocniejszego. Bo ja go dziś nie widzę na horyzoncie europejskim. Zresztą wszystko jest możliwe. Zwyciężyła przecież słabsza Japonia, wbrew wszelkim przewidywaniom, mocniejszą w rzeczywistości, Rosyę. Więc i nas może zwyciężyć który z naszych sąsiadów. Zbieg rzeczy bywa czasami fatalnym. To też nam, Prusakom, strzedz się należy przed

nim i działać tak, by on nie nadszedł. Jeżeli chcemy zachować prawo życia i rozwoju, miejmy się na baczności i żyjmy z szablą w ręku. Żadnych przywilejów nie żądam dla swego narodu i powtarzam raz jeszcze: równe prawo dla wszystkich.

Pomimo całej sofistyki swego rozumowania widać było, że pułkownik mówi szczerze, a nawet, że przekonanym jest o zupełnej bezstronności swoich wywodów.

Okazało się to najwyraźniej, gdy pani domu znów powróciła do prawa moralnego i zapytała go, czy moralnie uprawnionem nazywa zmuszanie Polaków do płacenia podatków, za które potem Niemcy od nich wykupują ziemię.

— Tu państwu przyznam nieco słuszności. Hakatyzm państwowy i prywatny nie jest rzeczą wytworną. Pytanie też, czy właśnie jego występy są dla nas samych szczęśliwe. Może owszem, inne środki prowadziłyby lepiej do celu. Ale o to mniejsza. Chodzi nam o prawo, o uprawnienie z punktu widzenia moralnego. Otóż niestety, stwierdzić muszę, że moralnie uważam nawet przykre i, choćby wstrętne, występy antypolskie Prusaków jako uprawnione. Posuwam się tak daleko, że, gdy ganię niektóre z występów hakatystycznych, czynię to tylko dlatego, że w nich widzę nieraz brak rozumu politycznego. Ale i wtedy nie mogę ich potępiać w imię prawa moralnego.

— Wracamy do prawidła eliminacyi — wtrąciłem.

— Tak panie — ciągnął dalej — i do przykładu Judyty, działającej dla wzniosłego celu.

Ale, jeżeli to wszystko państwu nie wystarcza, może uwzględnicie to, co teraz wam opowiem.

I zaczął nam wykładać teoryę o kompensatach moralnych.

— Nieraz zło, tkwiące w jednym czynie danego osobnika, lub społeczności, zniesionem zostaje przez cnotę i dobro, tkwiące w czynie drugim, albo nawet w tym samym. Tak np. wojna, choć niszczy ludzi i kraje, jest dobrą, jako podjęta w interesie ojczyzny. W tym wypadku i zło i dobro tkwi w jednym czynie. Za to na kompensacie wzajemnej, z różnych źródeł pochodzącej, opiera się uprawnienie represyi żywiołu polskiego przez Prusaków. Czyny hakaty są nieraz nieładne, ale to samo społeczeństwo, z którego ona wyrosła, wydało z siebie tak wielki plon cnoty społecznej, że ogrom zasługi osobistej i zbiorowej znosi tu najzupełniej brzydkie strony w działaniu jednego z czynników narodowych. Trzeba brać czyn niemiecki jako całość. Ta zaś jest znakomitą i ma prawo do nagrody choćby na koszt tych, którzy, swą cnotą społeczną nigdy, nawet w przybliżeniu, nam nie dorównali. Zresztą, w każdem gospodarstwie, są czynności wzniosłe i podrzędne. Ziarno na rolę królewskim ruchem dłoni rzuca siewca, a stróż zamiata podłogę. Oni obaj potrzebni, choć czynność stróża mało jest ponętną.

— Rozprawiamy po akademicku — przerwał pan domu — a w dodatku metaforami. Pozwól więc pułkowniku, że gdy wspominasz o rolach, to siewcy dobrego, to stróża, który zamiata polską kurzawę, ja użyję porównania innego, mianowicie pomiędzy złodziejem kieszonkowym a bandytą,

mordującym na rozstajnych drogach. W takich akademickich rozprawach im więcej metafor, tem lepiej.

Pułkownik drgnął. Zdawało się, że zakończy rozmowę, coraz bardziej drażliwą.

Ale gospodarz mówił tonem spokojnym i swobodnym i oto częstował gościa papierosami, a gość, po sekundowem wahaniu, sięgał do pudełka. Nie zaszło nic, oczywiście. Ale jednak uważałem za stosowne odwrócić rozmowę na inne tory. Zapytałem więc pułkownika o jego podróże, o których był wspomniał na początku dyskusyi. Dowiedziałem się, że podczas urlopów jeździł dużo jako turysta po Europie.

— Także po wschodniej? — zagadnąłem.

— Bywało i to — brzmiała odpowiedź — ale najciekawszym krajem są stanowczo Włochy, ileż tam dzieł sztuki, jakie krajobrazy!

Poczem zamilkł i wpatrywał się w ogień, huczący na kominku wśród ciszy ogólnej.

Milczeliśmy także. Nikt nie miał ochoty wznawiać przerwanej rozmowy. Aż sam pułkownik podjął ją na nowo.

— Pamiętna dziś dla mnie rocznica — rzekł półgłosem i po chwili dodał:

— To było pod Gravelotte. Miałem wtedy 17 lat, mój brat Erich 19. Prosto ze szkół poszliśmy w ogień. To była nasza pierwsza bitwa. To jest moja pierwsza, bo dla niego była zarazem ostatnią. Dzielny chłopak!

— Został ranny? — zapytałem.

— Nie, panie. On zginął. Ale bardzo ładnie, trafiony kulą prosto w serce. Szarżowaliśmy razem.

Gdy spadał z konia, nie mogłem się zatrzymać, bo to było w ataku, a potem, gdy wróciłem do niego, leżał bardzo porządnie, jak na żołnierza przystoi, twarzą do góry. W tej kampanii padło jeszcze dwóch z mej rodziny, bracia stryjeczni, jeden równocześnie pod St Privat, a drugi, w końcu wojny, na forpoczcie, pod Orleanem. Mieliśmy też wówczas czterech rannych w rodzinie.

— Wojskowy ród — zauważyłem.

Pułkownik ożywił się.

— Z pewnością, że wojskowy. Na ostatnią wojnę poszło nas dwunastu. Wróciło pięciu zdrowych, a czterech mniej lub więcej uszkodzonych. W innych zaś wojnach bywało podobnie. Od czasów starego Fryca padło nas 22 na różnych polach bitwy. A nie myśl pan, by moja rodzina stanowiła jakiś nadzwyczajny wyjątek. Nasza pruska szlachta cała taka. Niemal każdy z nas odziedziczył po przodkach taki testament krwi.

— Dlaczego nazywasz pan te wspomnienia rodzinne testamentem? — zapytaliśmy.

— Bo są nim w rzeczywistości — odparł uroczyście. Szlachcie najbardziej, ale całej wogóle ludności pruskiej przekazali ojcowie taką spuściznę poświęcenia za swój kraj, która zarazem jest testamentem tychsamych prawideł na przyszłość. Trzeba być wychowanym w niemieckim, a raczej pruskim domu, by odczuć i zrozumieć atmosferę, wytworzoną przez tę przeszłość. Tam i tradycya i pamiątki uczą młodzieńca, że Prusy mają być wielkie, wspaniałe, potężne i że dla tego celu tylu z tego domu wylało swą krew. A prawie nigdy w walkach beznadziejnych, w chorobliwych odru-

chach narodów podbitych. Nie, choć przebieg walki bywał dla nas rozmaitym, to jednak celem jej, założeniem wojny, było zawsze zdobywanie, był zawsze podbój. Te zasady, te wspomnienia, przemawiają z dziejów naszych pruskich rodzin i z dziejów całego narodu. W tem środowisku wytwarza się ów spartański, wielki patryotyzm, który dał nam naszą potęgę obecną. — I wierzajcie mi państwo: pomimo pewnego sybarytyzmu, który powodzenie takie wśród nas wytworzyło, mianowicie w wielkich miastach, jednak tego patryotyzmu pozostało u nas jeszcze dosyć. Jeszcze nasz orzeł czarny nie stał się tucznym gąsiorem. On jeszcze serce ma prawdziwie królewskie, orle, wojownicze, i oko bystre, jak dawniej, i dziób ostry i stalowe pazury.

Pułkownik przemawiał z coraz większym zapałem i zdawał się upajać dźwiękiem własnych słów. Nie spostrzegał wcale, że jego ostatnie argumenty wywierały na słuchających wrażenie, którego się spewnością nie spodziewał. Wreszcie pan domu przerwał lirykę natchnionego Niemca.

— Daruj, szanowny panie, ale to, co nam opowiadasz, choć niewątpliwie bardzo groźne i przerażające dla każdego nieprusaka, budzi w nas jednak również echa nieco odmienne. Wspomniałeś o spartańskim patryotyźmie Prusaków. Pominąwszy fakt, że w Sparcie kradzież była cnotą, cóż robisz ze znanem, a wielkiem, zepsuciem, nietylko miast stołecznych, ale właśnie tych kół, którym przypisujesz kapłaństwo idei narodowej? Znaną Ci zapewne niejedna z bezustannie pojawiających się niedyskretnych publikacyj, które

najdokładniej opisują życie „małych garnizonów“, owych spartańskich junkrów, czczących tak gorąco Bachusa i Wenerę. Procesy, wytaczane z tego powodu wykazały, że spartańskość pruska często operetkowe przybiera kształty.

Pułkownik zerwał się z miejsca.

— To prawda, co pan mówisz — zawołał. — Wiem o tem doskonale. Ale właśnie takie objawy zgnilizny okazują wszystkim prawdziwym miłośnikom ojczyzny konieczność odświeżenia junackich tradycyj naszego społeczeństwa. Prusy wznoszą się w środku Europy, jak zamek średniowiecznego rycerza wznosił się niegdyś, panując nad dolinami rzek i równiną, leżącą u jego stóp. Wart był taki zamek tyle, ile wartą była jego załoga, ciągle ćwiczona życiem wojowniczem. Gdzie zapanował błogi spokój i broń zardzewiała, tam prędzej, czy później, ludność okoliczna pozbywała się gnuśnego władcy. Podobnie mają się rzeczy i z nami. Już zbyt długo gnuśniejemy w niebezpiecznym spokoju. Czują to patryoci, czuje ogromna większość naszej wspaniałej armii. I z wszystkich stron odzywa się dziś wołanie: „Już czas, już czas“. Cesarz wie o tem dobrze, że nasze wojsko pali się do boju, do zwycięstw, do nowych, a chwalebnych zdobyczy. Niestety, dotąd wpływy kupieckie i bankierskie wstrzymują nasz miecz w pochwie. Ale spodziewać się trzeba, że bieg wypadków zmusi nas jednak do wyciągnięcia go wkrótce. Zgodnie z powołaniem swojem Prusy znów wkroczą na rycerskie szlaki, na których tyle chwały zdobyły poprzednie pokolenia.

Wygłosiwszy taki rapsod wojenny, Niemiec znów usiadł. Zapomniał snać, że już przed godziną

zabierał się do odwrotu. I nam, słuchającym, mimo późnej pory, czas nie zdawał się długim. Rozwijały się przed nami w swej ponurej szczerości, jak w kalejdoskopie, straszne obrazy nowożytnego krzyżactwa. Mieliśmy przed sobą żywy okaz tego typu, który rzeczywiście stanowił i dotąd stanowi jeden z głównych czynników potęgi, będącej dziś zmorą dla całej Europy. A choć z objawami tego typu spotykamy się często w niemieckiej publicystyce i występach polityków germańskich, to jednak bezpośrednie zetknięcie się z okazem jego nieurzędowym, zupełnie swobodnym i naturalnym, jest dla mieszkańca naszych kresów nader zajmującem. Nawet pani domu, z początku bardziej oburzona, niż zajęta wywodami pruskiego gościa, teraz z niekłamaną ciekawością przyglądała się wytwornemu oficerowi, wygłaszającemu nader poprawną, jak na Niemca, fracuzczyzną, iście ludożercze zasady pangermańskiego katechizmu.

A gość stawał się coraz wymowniejszym. Powrócił znowu do wspomnień rodzinnych i z głębokiem przekonaniem powołał się na głos przodków poległych, wołający synów do boju.

— Ci umarli wołają nas żywych do wspólnej zasługi, wspólnej chwały. Ich głosy liczne, surowe, napominają nas, byśmy wypełnili ich testament krwi. Z grobów walecznych na polach Danii i Austryi i Francyi odzywa się pieśń bojowa, stare melodye, które prowadziły na śmierć hufce naszych ojców i te nowe, niedawne jeszcze, przy których dźwięku wkraczaliśmy do Paryża. I ja tam byłem szanowni państwo. I pamiętam te chwile, gdy nasz chorał wspaniały, gdy *Wacht am Rhein* zabrzmiała

na Polach Elizejskich, a my z pałaszem w ręku przychodziliśmy Francuzom dawać odpowiedź za Jenę. Kto takie chwile przeżył, ten nigdy nie nawróci się do socyalistycznych teoryj o pokoju światowym. Jak niegdyś, tak śpiewa nam dzisiaj w duszy piosenka wojacka:

Du Schwert an meiner Linken
Was soll dein heitres Blinken!

O zabłyśnie nam ona jeszcze, zabłyśnie szabla nasza, w promieniach tryumfu pruskiego.

— Prorokujesz pan bardzo pięknie — odezwała się pani domu. — A znasz pan owe, nieraz przytaczane proroctwo św. Brygidy o mocy krzyżackiej, której zęby będą wyłamane i kości pogruchotane?

— Nie znałem tej przepowiedni — odrzekł — ale zaznaczam, że Prusak, marzący o przyszłości, opiera się na podstawie bardzo realnej, bo na dwumilionowej, doskonałej armii, wojsko zaś św. Brygidy dotąd nie jest uformowane. Zresztą, gdzie wojna, tam musi być i przeciwnik. Wolno zatem św. Brygidzie, czy komukolwiek, nas zaczepić. Owszem, sami nawet poszukamy sobie partnera w tej grze na pałasze.

Pułkownik wygłosił te słowa z widocznem poczuciem wyższości swego społeczeństwa ponad wszystkie inne, mniej wojskowe, a zatem i mniej warte. Nie zbiła go nawet z tropu uwaga nasza, że zamaszystość krzyżacka, której nam przedkłada panegiryk, jest nie od dziś rzeczywiście znamieniem Prus wobec reszty ludzkości i że to znamię wpływa coraz widoczniej na stosunki krajów i na-

rodów do tak uroczego sąsiada. Na zapytanie, co sądzi o możliwem zniweczeniu marynarki niemieckiej i handlu, w razie wojny z Anglią, odpowiedział, że się nad tem wcale nie zastanawia, zapędy bowiem marynarskie swej ojczyzny uważa jako rzecz nawskróś błędną. Straty na tem polu pokryć mogą dziesięćkrotnie zyski na stałym lądzie.

— Na wodzie nic nie znajdziemy. Na lądzie wszystko. U jednych miliardy, u innych ziemię, u wszystkich chwałę i zdobycz.

Zbliżała się północ. Pułkownik zakończył rozmowę całym szeregiem frazesów o uroku towarzyskim rasy słowiańskiej. Chciał widocznie nieco zatrzeć wrażenie nazbyt szczerych wylewów swej germańskiej duszy.

— Słowianie — zapewniał — to rasa kobieca, ale posiadająca zarazem cały urok niewieści. Prusak, to kirasyer w grubych butach i ciężkiej zbroi. Polska zaś bogdanka śliczna. Jaka szkoda, że ta para, zamiast nienawidzić się wzajemnie, nie pobierze się przykładnie. Jakże pięknym byłby ten związek naszej mocy z waszą delikatnością i urokiem.

— Trzeba przyznać, że zaloty kirasyera są osobliwe — przerwała ironicznie pani domu.

— Przyznaję — odparł Niemiec — ale cóż robić. My musimy rosnąć, nie możemy się udusić w naszych ciasnych granicach.

Pan domu podziękował mu za ciekawe wynurzenia, któremi nas zajął przez cały wieczór.

— Oby jaknajwięcej takich szło w świat z samych ust pruskich. Oby każdy, kto ma do czynienia z Prusakiem, wiedział coraz dokładniej, kogo ma przed sobą, tak, jak my wiemy na na-

szych kresach. I oby Europa zrozumiała, że w razie zapanowania nad nią przewagi pruskiej, ewangelię Chrystusową zastąpi nowa, przemocy i grabieży, ewangelia pruska.

Pułkownik uśmiechnął się i na pożegnanie dorzucił:

— Ewangelia! To wielkie słowo. A zresztą któż jej słucha? Wszak ona mówi: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego“. A Polacy, szanowni państwo, czyż kochają Prusaków, tak jak siebie samych?

W PARAFII FEODALNEJ.

Z norymberskiego zamku spoglądałem w noc księżycową na miasto uśpione.

Las wież i wieżyczek, śpiczaste dachy, wązkie ulice i skryte zaułki zdały się czekać, rychło się ukaże wśród nich doktór Faust i towarzysz Mefisto.

I oto sen staje się jawem. Z za wieżycy, srebrnej od promieni miesiąca, głos męski zanucił piosenkę, a naprzeciw otwiera się wązkie okno rzeźbionego erkeru. Gretchen słucha.

Dwie godziny przedtem byłem na zebraniu robotniczem w dziedzińcu wielkiej fabryki przedmiejskiej. Poseł socyalistyczny przemawiał o sprawie zabezpieczenia od wypadków. Obradowano nad nowym wnioskiem do izb ustawodawczych.

A znów dnia tego opuściłem mury feodalnej siedziby niemieckiego książątka, udzielnego monarchy na wsiach kilkunastu, otoczonego gwardyą przyboczną, szambelanami, paziami, etykietą surowszą, niż na dworze cesarskim, a w dodatku wroga swemu sąsiadowi, książątku drugiemu, potentatowi, patrzącemu nań z góry, bo władcy całego powiatu. W mocarstwie zaś, w którem gości-

lem, władza książęca dzielona przez część szlachty dziedzicznie i ziemia prawie cała w rękach ordynackich i znów poseł socyalistyczny jako przedstawiciel tej krainy w berlińskim parlamencie.

I poznałem dnia tego, że można od dzieciństwa sąsiadować z Niemcami, a jednak nie znać ich istoty i narodowego ustroju. Bo Polak styka się tylko z zewnętrznemi tego ustroju objawami, sam życiem swego społeczeństwa tak nawskróś inny, że trudno może zestawić dwa narody w Europie, tak sobie blizkie sąsiedztwem, a tak odległe różnością stosunków wewnętrznych. Polska to kraj demokracyi zasadniczej, szlacheckiej, czy innej, tkwiącej w duchu narodu, kraj od wieków jednolity w życiu i pojęciach swych warstw myślących, a dopóki stało państwa, także w swym anarchicznym ustroju państwowym. Niemcy to kraj arystokracyi zasadniczej, kraj odgraniczeń, przywilejów rodzinnych, kastowości szczegółowej w obrębie każdej z głównych warstw narodu, dzielącej kastę na kasty pomniejsze, kraj dziedziczności praw i pierworodztwa, jedyne dziś w Europie środowisko feodalizmu średniowiecznego, który współżyje i współdziała z najbardziej może posuniętą akcyą na polu socyalnem.

I zaiste ciekawym jest widok tego wielkiego ciała o duchu dwoistym, w którem prądy, gdzieindziej zamarłe, krzyżują się z najnowszemi i miara czasu zmienioną się zdaje, łącząc w rozhoworach dnia bieżącego, zamierzchłą przeszłość z zaraniem przyszłości.

Walka dziejowa na kresach słowiańskich skupiła naszą uwagę tak, że na jej tle tylko zwy-

kliśmy badać objawy zewnętrzne niemieckiego życia. To też może nie płonną, bo nową po części, rzeczą, będzie rzut oka na jeden z najciekawszych objawów wewnętrznych tego życia, na toczącą się w Niemczech całych walkę pomiędzy feodalizmem a niwelującym duchem wieku.

Dzisiejsze Niemcy porównał przed kilku laty socyalistyczny poseł Vollmar do kantoru kupieckiego, założonego w zamku średniowiecznym. Ruch w kantorze ogromny, wchodzą ludzie i wychodzą, ale przez most zwodzony, a za kantorem, w głębi zamku, siedzą w niedostępnych komnatach rycerze z dawnych czasów, którym publiczność składa haracz i hołd.

Pominąwszy tendencyę, w której je wygłosił socyalistyczny mowca, jest w tem obrazowem przedstawieniu społeczności niemieckiej sporo prawdy. Feudalny, rdzennie germański duch żyje w Niemczech i działa równocześnie i równolegle z duchem postępu na polu ekonomicznem i społecznem. Nieraz powstają między nimi przeciwieństwa; ewolucya dziejowa kroczy swoim torem, ale nie posiada w sobie znamion i zarodku rewolucyi. Pozostałości dawnego ustroju opierają się na naturze niemieckiego ludu i skutkiem tego czynniki, na pozór niesłychanie sprzeczne, współdziałają częściej, niż sobie przeciwdziałają, a pomiędzy publicznością kantoru i feodalizmem rycerzy zamkowych wytworzył się stosunek małżeński, nie zawsze czuły, ale ostatecznie w sprawach życiowych dosyć zgodny.

Rzut oka na społeczność niemiecką z tego punktu widzenia jest dla nas Polaków zajmują-

cym w wyższym może stopniu, niż dla innych, nietylko dlatego, że znaczna część naszego narodu żyje w obrębie niemieckiego cesarstwa, ale i dlatego, że w ustroju dzielnic polskich, podległych berłu pruskiemu, niejeden czynnik z ustroju społecznego niemieckiego w sposób trwały zapuścił korzenie. Oczywiście stosunki wielkopolskie są pod tym względem tylko słabem odbiciem się stosunków w dzielnicach niemieckich i przedstawiają ciekawe momenta jedynie w porównaniu do innych dzielnic polskich. To też chcąc ocenić należycie zabytki, a raczej nabytki feodalizmu u nas, przypatrzyć się wpierw musimy źródłu, z którego one wyszły, Niemcom samym.

Podniety zaś do badań w tym kierunku dostarczają poddostatkiem tak rozprawy w izbach, jak głosy publicystyki niemieckiej, dając świadectwo ważności zagadnienia, które stanowi przedmiot niniejszej pracy. Odgrywają tu rolę przedewszystkiem partykularyzm państw Rzeszy, dalej kwestya ogólnego stanowiska szlachty w Niemczech i poszczególnych tejże szlachty kategoryj, a wreszcie sprawa ogromnego rozrostu ordynacyi. Tego też porządku rzeczy trzymać się będziemy w naszem badaniu.

I.

KORONY Z BOŻEJ ŁASKI.

Jak mozaika różnobarwna, tak wygląda karta cesarstwa niemieckiego. Na obszarze, o jedną piątą mniejszym od Austro-Węgier, istnieje dotąd 25

rozmaitych ustrojów państwowych. Dzierży w Niemczech władzę monarszą 4 królów, 6 wielkich książąt, 11 książąt i, do niedawna, hrabia regent. Prócz tego istnieją 3 wolne miasta. Razem zatem 22 monarchie i 3 rzeczpospolite. Większa ich część niema swych posiadłości w jednym zwartym obszarze. Owszem, wszystkie prawie składają się z całego szeregu wcale ze sobą nie graniczących, czasem znacznych, nieraz też zupełnie miniaturowych dzielnic. Brunszwik dzieli się na 8 części, Anhalt liczy ich 6, Schwarzburg-Rudolstadt 5, Meiningen aż 15 i t. p. Wędrując przez Turyngię, można z łatwością, pieszo, w jednym dniu, przejść 4 lub 5 granic.

Tak n. p. z Jeny, położonej w w. księstwie Sasko-weimarskiem, dziesięciominutowy spacer prowadzi do Lichtenhain, w księstwie Meiningen. Dwie odnogi tej samej drogi prowadzą w pół godziny do wioski w księstwie Altenburskiem, a nim upłynie godzina, wkracza znów wędrowiec na ziemię weimarską.

Czasem taki organizm państwowy składa się tylko z zamku, sterczącego na złomie skały, z wsi przytulonej do jego stóp i kilkuset morgów lasu. To niezależna baronia lub rycerskie feodum, dzierżone przez jednego z panujących książąt niemieckich. Nieraz z okien rezydencyi widać ziemię aż trzeciego sąsiada.

Zdarza się, że monarcha, rezydujący w głównem swojem dziedzictwie, pragnąc odwiedzić jedną z mniejszych swych posiadłości, ma do niej przystęp tylko przez most, należący do drugiego książątka. Jeden z małych potentatów ro-

dziny saskiej znanym jest z tego, że będąc w nieprzyjaźni z dworem bawarskim, ani razu nie odwiedził swego pobocznego hrabstwa, otoczonego zewsząd ziemią bawarską, bo nie chce w charakterze urzędowym przekraczać granicy niemiłego sąsiada. A gdy go zapytano, dlaczego jeździ co roku przez Bawaryę na Rivierę, odpowiedział: To co innego, wtedy jadę *incognito*, jako człowiek prywatny.

Zmarły niedawno książę Lippe, którego całe księstwo mniejszem jest od dóbr galicyjskich hr. Romana Potockiego, nabywszy armatę, chciał ją wypróbować, ale pokazało się, że, kula, wystrzelona w pobliżu stolicy, spadnie już na ziemię pruską. I rad nie rad, musiał książęcy właściciel armaty prosić króla pruskiego o pozwolenie wydzierżawienia na jego terrytoryum pola, potrzebnego do owego armatniego strzału.

Pod powłoką ogólnego zwierzchnictwa cesarskiego, kwitnie w tych drobnoustrojach silne i żywotne poczucie autonomii lokalnej. Mój sąsiad — mówi o królu pruskim, lub bawarskim, taki drobny potentat. Ale i cesarz nazywa go sąsiadem, a w szczególności cesarz obecny, o ile dąży chętnie do usuwania różnic ustawodawczych pomiędzy Prusami a większemi monarchiami Rzeszy, o tyle znów stara się o popularność w mniejszych i najmniejszych państewkach swego cesarstwa. Przy każdej sposobności zaznacza on prawno-państwową udzielność swych mikroskopijnych sprzymierzeńców. Przybywając w odwiedziny do zamku westfalskiego książątka, wyrzekł Wilhelm II słowa, które głęboko ujęły serca miejscowej ludności:

Ja i wasz książę, przyrzekliśmy sobie przyjaźń dla dobra obu sprzymierzonych ludów. W roku 1904, będąc gościem wolnego miasta Bremy, zawołał cesarz w toaście obiadowym: Ojciec mój, Fryderyk III, bawiąc u was, czuł się zawsze, jak w domu, jak u siebie. I to jedno słowo „jak" wywołało taki zapał wśród ludności wolnej republiki, że mowcę cesarskiego niemal obnoszono na rękach.

Zato tam, gdzie Prusy występują z żądaniami, objawia się odrazu ostra opozycya. W Bawaryi, wszystko co pruskie, jest wprost niepopularnem, z Wirtembergią także nierzadkiemi są nieporozumienia, mianowicie na tle stosunków obu dworów królewskich. W księstwie Lippe Detmold, które zagarnąć pragnął szwagier cesarski, książę Schaumburg Lippe, całe miejscowe społeczeństwo stanęło w obronie hrabiego regenta, z linii hrabiowskiej Lippów. Nawiasem mówiąc, jedyny ten dziś w Europie hrabia, będący panującym monarchą i to nie na hrabstwie, lecz na księstwie, został niedawno, po zakończeniu sporu, także księciem. Bardzo zaś liczne udzielne hrabstwa w Niemczech należą tak samo, jak udzielne baronie i wogóle udzielne feoda o różnych tytułach, wszystkie, bez wyjątku, do panujących książąt, wielkich książąt i królów.

Kto nie zna dobrze stosunków niemieckich, temu trudno sobie wyobrazić, jakie ta mnogość państw i dynastyj wytwarza środowisko pojęć i interesów. W sprawach polityki zewnętrznej przewaga Prus sprowadza wszystko do jednego mianownika. Gdyby jednak kiedykolwiek Prusy z biegiem okoliczności zachwiały się w swej potędze,

wątpić nie można, że, szczególnie w południowych Niemczech, separatystyczne dążności okazałyby się nader żywotnemi. Ale pominąwszy te rozpatrywania, należące obecnie zupełnie do dziedziny abstrakcyi, stwierdzić należy na polu stosunków wewnętrznych w Niemczech objawy feodalnej autonomii, istniejące w bardzo wysokim stopniu. Spory tom nie wystarczyłby na objęcie ich całokształtu. Oprócz parlamentu i rady związkowej książąt Rzeszy istnieją we wszystkich państwach cesarstwa własne sejmy, senaty, a po części też izby wyższe. Systemów wyborczych do tych ciał ustawodawczych różnorodność jest wielka, nieraz w poszczególnych częściach jednej monarchii, wybitna. Ustawodawstwa krajowe także nieraz bardzo rozmaite. Poszczególne księstwa, hrabstwa, baronie, choć podlegają temu samemu władcy, posiadają osobne przywileje, zazdrośnie strzeżone przez ludność miejscową.

Tworzą się nawet przywileje nowe. Tak np. w ostatnich czasach księcia koburskiego, który posiada równocześnie księstwo gotajskie, zaskoczył niemiły spór pomiędzy owemi, podległemi mu księstwami o to, w którem z nich rezydować będzie stale dwór książęcy. Książę skłaniał się ku żądaniom Gothy, lecz wtedy Koburg zapłonął gniewem. Zaczęły się swary coraz ostrzejsze, ministeryum książęce czuło, że zbliża się przesilenie gabinetowe. Wreszcie Jego Ekscellencya pan minister stanu zwrócił się do hojności kasy książęcej i postanowiono utrzymywać stale dwie rezydencye i dwa dwory. Podobno przekonał księcia ostatecznie argument, że i cesarz austryacki po-

siada ich dwa, w Wiedniu i w Peszcie, czemużby więc książę koburski nie miał zadowolnić obu ludności swego dualistycznego mocarstwa.

Dwór wogóle, to rzecz tem ważniejsza w państewkach niemieckich, im one mniejsze. Dwór, to środowisko towarzyskie miejscowej arystokracyi, źródło tytułów i urzędów szlacheckich, a także i mnogich godności, przystępnych dla mieszczan, jak radców i dostawców nadwornych. W jego pobliżu łatwa i częsta sposobność do uzyskania orderów.

Tych ostatnich istnieje w Niemczech liczba nader wielka, np. w obu księstwach Schwarzburg jest rozmaitych odznak honorowych 17, w obu księstwach Reuss aż 20, a tak samo w księstwach Lippe. Większe monarchie niemieckie posiadają ich szereg o wiele znaczniejszy.

Pomimo to w Niemczech noszenie dekoracyi nie jest wcale, jak np. we Francyi, rzeczą pozbawioną znaczenia i przywilejem tak ogólnym, że dziś legię honorową nazywają żartobliwie *le ruban indispensable*. Owszem, w Niemczech statuta orderowe wyraźnie przepisują normy, niekiedy bardzo surowe, według których odznaczenia te bywają udzielane. Wysoki urzędnik, zwłaszcza dworski, lub członek arystokracyi, posiada ich nieraz kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt, ale urzędnik niższy, lub przeciętny mieszczanin, choćby nawet bogaty, ma przystęp tylko do niektórych orderów, i to zazwyczaj dość nizkiej rangi.

Charakterystycznem jest zdarzenie, które w roku 1905 powtórzyły wszystkie gazety niemieckie. — Radca kancelaryjny *(Kanzleirath)*

Döring, obchodząc 25-jubileusz służby, otrzymał od monarchy order czwartej klasy. Nazajutrz nie przybył do biura. Posłano do mieszkania i zastano go, siedzącego przed lustrem, z orderem na piersiach. Nie ruszył się, nie odpowiedział wchodzącemu. Był martwy. Serce mu pękło z radości. Zato kuchmistrz księcia koburskiego posiadał różnych krzyżyków i medali aż 6. Blizko wielkiego ołtarza, choćby na najniższym stopniu, obfitość łask zawsze jest wielką.

Ale bywa też zmienną. Wsławił się pod tym względem książę Waldeck. Przyjęty bowiem nie dość grzecznie przez króla hiszpańskiego w jednej z rezydencyj europejskich, odebrał mu prawo noszenia orderu domowego książąt Waldeck.

Dwór wreszcie utrzymuje prawie wszędzie, na własny koszt, teatr, często muzea i biblioteki. A że takie dwory nieraz odległe są od siebie zaledwie o kilka mil, więc nie brak i sąsiedzkiego współzawodnictwa w świetności trybu dworskiego życia.

Ram, rzeczywiście wspaniałych, dostarczają temu życiu pałace i zamki, pełne często zbiorów wielkiej wartości artystycznej, a zawsze mnóstwa ciekawych zabytków. Znane są turystom liczne rezydencye dworu bawarskiego i innych większych potentatów niemieckich. Ale i mniejsi i najmniejsi z pomiędzy nich, choć państwa ich zmieściłyby się nieraz dwukrotnie w jednym powiecie Królestwa Polskiego, cieszą się rezydencyami godnemi podziwu (w obszarze ordynacyi Zamoyskiej zmieściłyby się księstwa Schaumburg Lippe, Waldeck, dwa księstwa Reuss i księstwo Schwarzburg Rudolstadt). Jakiemi zaś są dochody tych zaścian-

kowych monarchów, tego najlepszym przykładem jest okrągły milion marek, przysługujący rocznie panującemu hrabiemu regentowi w Lippe Detmold, jako przychód z listy cywilnej i z dóbr koronnych.

Na polu wojskowości zachowała najwięcej przywilejów Bawarya. Wszędzie jednak panujący jest z urzędu naczelnym dowódcą swego kontyngensu do armii Rzeszy. Swoją drogą cesarz, jako głowa najwyższa tej armii posiada wpływ rozstrzygający, nawet w Bawaryi, podczas gdy np. ministeryum wojny w Saksonii stanowi, choć nie w formie, lecz w istocie rzeczy, wprost filię pruskiego ministeryum. W Wirtembergii toczy się od dość dawna spór z Prusami o to, że cesarz nie chce zgodzić się na zamianowanie dowódcą tamtejszego wojska, jednego z książąt domu królewskiego, lecz wydelegował do objęcia naczelnej komendy jenerała pruskiego. Niezadowolenie stąd wielkie na dworze wirtemberskim, a niemniej i wśród korpusu oficerów, który przejęty jest duchem miejscowego patryotyzmu i niechętnie słucha dowództwa „obcego“.

Bardzo licznem jest też ciało dyplomatyczne, pośredniczące pomiędzy poszczególnemi państwami Rzeszy. Oczywistą jest rzeczą, że np. Jego Ekscellencya, pan poseł bawarski, przy dworze wirtemberskim, nie zajmuje stanowiska bardzo znakomitego w dyplomacyi europejskiej. A jednak on znów jest wielkością w swoim rodzaju w porównaniu do reprezentacyi np. księstwa Meiningen wobec Prus. Księstwo to bowiem utrzymuje wprawdzie konsula w Prusiech, ale nie całego. Dygnitarz ten

tylko w jednej trzeciej swego urzędu i pensyi jest przedstawicielem owego księstwa. Równocześnie bowiem reprezentuje on w. księstwo weimarskie i księstwo koburskie, i to stale, na mocy układu, zawartego przez te trzy państewka.

Bywa jednak inaczej. Dwa mocarstwa zaściankowe dzieli pewna antypatya. Czasem polega ona na plotce, którą zrobiono na jednym dworze o drugim, sąsiednim, czasem też poważniejsza sprawa jest powodem oziębienia stosunków. I oto stosunki dyplomatyczne pomiędzy sąsiadami zerwane, pan reprezentant odwołany, a że on najczęściej jest równocześnie przedstawicielem „potęg" innych, więc pozostaje na miejscu i zawiadamia tylko dwór, że już przestał istnieć jako reprezentant tego lub owego księcia Jegomości. Na tem wszakże kończą się kroki nieprzyjacielskie. Jedynym rekursem w sporach książęcych jest rada związkowa książąt Rzeszy. Samemu sobie wyrządzać sprawiedliwość nie wolno nikomu, a przemożna opieka Prus powstrzymuje wszelkie w tej mierze zapędy.

Gdyby tej opieki nie było, widzielibyśmy nieraz operetkowe wojny na tle zaściankowych sporów. Tak np. dwaj kuzyni, siedzący na romantycznych zamkach pięknej Turyngii, książę Rudolstadtu i książę Sondershausen zapałali do siebie nienawiścią. I gdyby nie wdanie się Bismarcka, którego to zdarzenie wielce ubawiło, byłby Rudolstadt z trzystu żołnierzami wyruszył na zdobycie Sondershausenu. Podobnie w ostatnim sporze pomiędzy księciem na Schaumburgu a hrabią na Lippe. Jeden z nieprzejednanych Lipeńczyków

zawołał z radością: „Schaumburg dlatego tak dokazuje, bo czuje się bezpiecznym, ale gdyby tak wolno, zaraz wyruszylibyśmy przeciwko niemu i nauczylibyśmy go nieco uszanowania. Jakiemi są wzajemne stosunki pomiędzy owemi dwoma księstwami, łatwo sobie wyobrazić.

Te międzyzaściankowe spory, przybierają jednak cechę poważniejszą, gdy wchodzą w grę większe państwa rzeszy. I wtedy wzajemna dyplomacya, bardzo nieraz trudnych zmuszoną jest podejmować się zadań. Poseł pruski w Bawaryi i jego kolega w Wirtembergii, mają tam stanowiska, które wcale nie są synekurami. Jedno z pism niemiecko-południowych użyło trafnego porównania, mówiąc o analogii poselstwa pruskiego w Monachium z reprezentacyą angielską w Egipcie. I dodało: poseł pruski w Monachium, powinienby nosić urzędowy tytuł opiekuna ministeryum bawarskiego. Zdarzało się atoli już nieraz, że rola opiekuna nie była łatwą, gdyż pupil dąsał się i kwasił co niemiara, jak np. w znanej sprawie odezwania się cesarza Wilhelma z krytyką uchwał sejmu bawarskiego.

Znane w grze potęg światowych ze swej jednolitości w polityce zagranicznej, a sprężystości i porządku w swych stosunkach wewnętrznych, cesarstwo niemieckie opiera się, jak widzimy, na podstawach wcale niejednolitych. Spójnię i łącznik przemożny stanowi daleko więcej, niż poczucie solidarności szczepowej, potęga i powodzenie Prus. Wiadomo przecież, jakimi środkami owa teoretyczna solidarność została wprowadzona w życie.

Czterdzieści lat temu miażdżyły kartacze pruskie na polach Frankonii młodzież bawarską, walczyły rozpaczliwie pułki hanowerskie pod Langensalzą za swobodę swego kraju, wypędzonym został przemocą armat i bagnetów kurfirst, a taksamo i landgraf heski i książę Nassawii ze swych posiadłości. Żyją dziś ludzie, którzy te czasy pamiętają i synowie tych ludzi, którym ojcowie w kółku rodzinnem opowiadają o walkach z Prusakiem. Welfowie w Hanowerze dotąd tworzą w niemieckim parlamencie osobne stronnictwo, wierne swej dynastyi, a pamiętną jest płomienna mowa księcia z domu Wittelsbachów, który przed kilku laty, bawiąc w Petersburgu, zaznaczył, także w stosunku do zagranicy, udzielność i nieprzedawnione prawa Bawaryi.

Zmarły król Ludwik bawarski nigdy nie złożył wizyty cesarzowi niemieckiemu. Obecny król wirtemberski był w Berlinie raz jeden. Wielki książę meklembursko-strelicki, gdy przed kilku miesiącami objął rządy, wysłał urzędowego posła do księcia Cumberland, donosząc mu, jako księciu Rzeszy, o swem wstąpieniu na tron. Wiadomo zaś, że Prusy, zagarnąwszy Hanower dla siebie, a w księstwie brunszwickiem osadziwszy kuzyna cesarskiego ks. Albrechta pruskiego, nie uznają pretendenta do tych obu tronów, jako panującego członka Rzeszy. Wielki z tego powodu zapanował gniew w Berlinie, załagodzony dopiero zaręczynami niemieckiego następcy tronu z księżniczką z drugiej linii domu meklenburskiego.

Pamiętnym także ów wjazd cesarza do Monachium, krótko po przytłumionych sporach z Ba-

waryą na tle ustawodawczem. Jechał wtedy Wilhelm II otwartym ekwipażem przez ulice Monachium razem z księciem rejentem. Sto tysięcy ludu wyległo na place i ulice miasta, tworząc gęste szpalery, wśród których zwolna posuwał się pojazd monarszy. I w miarę, jak orszak dostojny zbliżał się do królewskiego zamku, grzmiały okrzyki powitalne, coraz głośniejsze, coraz ogólniejsze. Ale brzmiało z nich jedno tylko nazwisko, jedno tylko powitanie: *Hoch Luitpold!* Powiewano chustkami, kobiety rzucały kwiaty, wołając: „Niech żyje nasz regent!“ A Wilhelm II. blady jak ściana, odbył wtedy taki wjazd do praniemieckiego miasta, że brukowa piosnka określiła wjazd ten w sposób nader impertynencki:

> Zapal sobie świeczkę i poszukaj wszędzie
> Tego, co Prusaków u nas kochać będzie.

Jak dalece ustroje państwowe w Niemczech różnią się pomiędzy sobą, tego dowodem najskrajniejszym jest Meklenburgia, nieposiadająca wogóle rzeczywistej konstytucyi, a natomiast średniowieczną reprezentacyę stanową, w przeważnej swej części dziedziczną. Niedawne rozprawy w parlamencie niemieckim rzuciły ciekawe światło na stosunki tego kraju, odległego zaledwie dwie godziny od stolicy pruskiej. O stosunkach tych wypadnie nam jeszcze w dalszym ciągu obszerniej pomówić.

Prawnopaństwowe te odrębności poszczególnych państw Rzeszy, będąc jednym z objawów ducha narodu niemieckiego, wyłoniły się z prze-

szłości, z którą są złączone organicznie. Sto lat temu, w chwili upadku św. imperyum rzymsko-niemieckiego, było w Niemczech około 1800 państw i państewek najrozmaitszych kategoryj. Członkami związku Rzeszy były takie potęgi, jak Austrya i Prusy, ale także cały szereg mniejszych księstw, hrabstw, baronij, wolnych miast, biskupstw i opactw. Niezależnemi były całe setki rycerzy św. imperium, a w roku 1803 istniało nawet jeszcze 5 wsi niezależnych *(Reichsdörfer)*, których chłopska ludność dzierżyła osobne, terrytoryalnie odgraniczone państewka.

Ogromna większość tych drobnoustrojów państwowych leżała w obrębie dzisiejszej Rzeszy niemieckiej. Centralizujący wpływ potęgi domu austryackiego od dawna zniwelował był autonomię feodalną w krajach, stanowiących rodzinne dzierżawy Habsburgów. W pozostałej części św. imperyum, w obecnem cesarstwie niemieckiem, dopiero epoka napoleońska położyła koniec wybujałości autonomicznej. Nie zniweczyła jej jednak ostatecznie. Owszem, uzdrowiła ją i utrwaliła przystosowaniem do nowoczesnych warunków życia. Feudalizm niemiecki poświęcił największą część swych, dzielących się w nieskończoność, członków, by uratować i wzmocnić pozostałą resztę. Z ogromnej liczby niezależnych władztw utworzyło się kilkadziesiąt państw i państewek, których liczba znów w ciągu dziewiętnastego stulecia zmalała do połowy, po części skutkiem wojny w roku 1866, po części zaś drogą wymierania poszczególnych linij domów panujących i łączenia prawem dziedzictwa dwóch lub kilku monarchij w jedną. Po

wojnie prusko-austryackiej zagarnęły Prusy królestwo Hanowerskie, księstwo Nassawskie, ziemię kurfürsta oraz landgrafa Heskiego i wolne miasto Frankfurt. Od tego czasu stan posiadania dynastyj niemieckich pozostał niezmienionym.

Ale owo walne przeobrażenie stosunków wewnętrzno-niemieckich pod wpływem prądów, które przed stu laty, razem z orlami napoleońskimi, torowały sobie drogę przez Europę, było nietylko zmianą administracyjnego ustroju Rzeszy niemieckiej. Ono było także dramatem, a nieraz nawet tragedyą miejscową, katastrofą rodzinną, której skutki i echa trwają po dziś dzień. Były bilansem interesów i pretensyj, który do tej chwili nie został podpisanym przez jednę z interesowanych stron. Medyatyzacya większości feudalnych rodzin arystokracyi niemieckiej, to czarny rok w kronice tych dynastyj zdetronizowanych, to źródło przywilejów, co prawda nieprzedawnionych, ale niemniej i żalów dziedzicznych, protestów wracających i nawet nadziei, śmiesznych może w swym anachronizmie, lecz wzruszających nieraz w swej naiwności, jak westchnienia staruszka do szumnych i dumnych wspomnień młodzieńczych, do miłostek z lat dawnych i piosenki śpiewanej przez ojców lub dziadów żyjących dziś ludzi. Całe to środowisko uczuć i pojęć utrzymało się do tej chwili i stanowi czynnik znamienny w obrębie feodalizmu szlacheckiego w Niemczech. Jemu też należy poświęcić w rozpatrywaniu feodalnych pozostałości niemieckich osobne uwagi.

II.

ZAKLĘTA KASTA.

Jak na górze wyniosłej dwie są strefy, oddzielne swym wyglądem i istotą, jedna niższa, pokryta bujnym drzewostanem, druga wyższa, na której srebrne błyszczą lodowce i mieszkają orły, tak i Olimp niemieckiego rycerstwa na dwie odrębne dzieli się części. Podgórze jego zieleni się od pięknych świerków i buków, od rodzin, rozgałęzionych szeroko i odmładzających się wciąż nowemi, dosadzanemi krzewami. To szlachta niższa, rycerstwo szeregowe w szyku braci herbowej dziedzin niemieckich. Szczyty zaś samotne zamieszkane są przez ptaki królewskie, których heraldyczne dziedzictwo, niedostępne i niezmienne. Kraj to czarodziejski odwiecznych pamiątek. Nieliczni jego mieszkańcy strzegą tajemnicy wieków, klejnotu i treści samej rycerskiego prawa. To szlachta wyższa, kasta prawnie u nas tylko istniejąca, zakon dziedziczny o bramach zamkniętych, w którym zawsze rody tesame sprawują kapłaństwo szlacheckiego znaku.

Takiemi słowy na zebraniu rocznicowem południowo niemieckiej rodziny książęcej rozpoczęła się przemowa patryarchy rodu do zebranych krewnych. Charakteryzują one wybornie, niezrozumiały dla naszych pojęć, stan usposobień, a niemniej i rzeczywisty stan prawny feodalizmu, na obszarze postępowego, przemysłem swym coraz potężniejszego, cesarstwa niemieckiego.

Szlachta niemiecka, licząca ponad dwakroć sto tysięcy głów, dzieli się rzeczywiście na dwie, pod względem prawnym, zupełnie od siebie odrębne, kategorye, szlachtę wyższą i niższą. Pierwsza składa się z członków wszystkich panujących dynastyj niemieckich i członków rodzin medyatyzowanych o tytułach rozmaitych. Druga kategorya mieści w sobie całą resztę rodzin szlacheckich. Do niższej szlachty należy zatem, według pojęć i prawa niemieckiego, taksamo niemedyatyzowany książę, jak prosty szlachcic. Rozgraniczenie tych dwóch działów niemieckiego szlachectwa jest zupełne, większe nawet, niż pomiędzy szlachtą niższą, a mieszczaństwem.

Do szlachectwa niższego otwiera wstęp patent monarchy. Szlachta zaś wyższa jest po wsze czasy w sobie zamknięta. Do niej nikt, nawet cesarz, nie zdolen wprowadzić nowego przybysza. Posiada ona własne prawa, wspólne wszystkim jej członkom. Rodziny bowiem medyatyzowane, choć pozbawione swej niezależności państwowej, rangą swą stoją na równi z rodami panującymi. Członkowie ich nie podlegają obowiązkowi służenia w wojsku. Służą swoją drogą niemal wszyscy, ale dobrowolnie. Do niedawna nie płacili żadnych podatków ze swych dóbr medyatyzowanych. Dopiero przed kilkunastu laty, w drodze dobrowolnego układu, zgodzili się na opłatę należytości skarbowych, w zamian za jednorazową wypłatę ze strony Rzeszy niemieckiej, kwoty siedmnastokrotnego rocznego podatku. Nadewszystko zaś cenionym w sferach panów medyatyzowanych jest przywilej równorzędności małżeńskiej z rodami panującymi.

Medyatyzowana hrabianka, poślubiając panującego, ma prawo do korony, choćby cesarskiej, podczas gdy księżniczka, należąca do szlachty niższej, zostaje w tym wypadku żoną morganatyczną.

To też duma rodowa członków owej najwyższej, najbardziej uprzywilejowanej kasty, nigdy nie odznaczała się umiarkowaniem. Tak samo przed stu laty, gdy jeszcze cała wyższa szlachta posiadała na swych ziemiach władzę monarszą, jak dziś, gdy znaczna jej część opiera się tylko na przywilejach. Niedawno jeszcze stał nad brzegiem Menu posąg własny, wystawiony w ośmnastym wieku przez drobnego dynastę na granicy swej baronii, prototyp może beranżerowskiego Marquis de Carabas z napisem:

Hüte ab, da steh ich hier
Von Gottes Gnaden Cavalier.

Z czasów ostatnich znaną jest stanowcza odpowiedź medyatyzowanego hrabiego, gdy obecny następca tronu niemiecki objawiał żywe zainteresowanie się jego córką i przyjaciele pana domu zwracali mu uwagę na bezcelowość tych zalotów, które tylko rozmarzają pannę i utrudniają rolę rzeczywistym konkurentom.

— Zapominacie — rzekł dumnie hr. T. — że córka z mego domu ma prawo zostać cesarzową.

Cały szereg kobiet z medyatyzowanych domów nosił też istotnie w ostatnich dziesięcioleciach korony monarsze w Niemczech. W roku ubiegłym została jedna z nich wielką księżną heską, a temsamem bratową cesarzowej rosyjskiej.

Zdarza się nawet niekiedy, że okoliczności oddają znów władzę w ręce medyatyzowanego pana. Przez kilka ostatnich lat był regentem księstwa sasko-kobursko-gotajskiego jeden z Hohenlohów i teraz dopiero, gdy kuzyn jego, panujący książę z domu saskiego, z nadejściem pełnoletności objął rządy, regent ustąpił z zajmowanej godności, żegnany uroczyście przez sejm i ludność księstwa. Książęta Hohenlohe są też w danym razie uprawnionymi do dziedzictwa agnatami domu Badeńskiego, książęta Thurn Taxis i hrabiowie Toerring bawarskiego, książęta Bentheim posiadają prawo dziedzictwa monarszego w wielkiem księstwie heskiem i księstwie Waldeck. Takich przykładów możnaby przytoczyć i więcej.

Cała wyższa szlachta jest pomiędzy sobą spokrewniona, a pokrewieństwa te nie są nieraz bez znaczenia. Hohenlohowie, blizcy krewni cesarzowej niemieckiej, nigdy tyle nie piastowali wysokich urzędów, ile za panowania Wilhelma II.

Nie brak jednak i cierni wśród tych róż, z których na pozór splecioną jest dola członka wysokiej szlachty. Po pierwsze, w gronie tak nielicznem, bo liczącem około 2000 osób, nie zawsze łatwo jest o małżeństwo równorzędne. Pomimo wszelkich przywilejów i praw, wyższa szlachta podlega tak samo, jak reszta śmiertelników, odwiecznemu prawidłu, iż do małżeństwa potrzeba koniecznie dwojga istot ludzkich. Otóż ta druga często brakuje pierwszej, gdy tejże losy poskąpiły fortuny i urody. Posagi medyatyzowanych panien bywają zazwyczaj bardzo małe. Majątek bowiem rodowy składa się nieraz wyłącznie z posiadłości

ordynackich, a tak samo i w niektórych rodzinach panujących, choć w tych ostatnich lista cywilna głowy rodziny walną bywa w tych wypadkach pomocą. Ale i ona jest tylko dochodem, nie zaś kapitałem. Dochody zaś w tych sferach, częściej może niż w innych, niekoniecznie stanowią przedmiot oszczędności, lecz wydawane bywają na życie, odpowiednie stanowisku społecznemu. W dodatku, pomimo równorzędności małżeńskiej, istnieją oczywiście wśród wysokiej szlachty ogromne różnice znaczenia i godności. Panny z większych domów panujących, pewne są zawsze dobrej partyi. Uboga zaś panienka z dynastyi mniejszej lub medyatyzowanej, jeżeli nie chce opuścić swej kasty, a pięknością swą nie może oczarować młodzieńca, równego sobie pod względem stanowiska rodowego, skazaną jest na dozgonne panieństwo w domu rodzicielskim lub jednym ze „*Stiftów*" arystokratycznych.

Podobnie i mężcy członkowie wysokiej szlachty. Jeżeli rodzina nie posiada majątku allodyalnego, posiadłości wszystkie przypadają w udziale najstarszemu bratu, młodsi zaś zadawalniać się muszą skromnym nieraz apanażem rocznym. Biada im zaś, jeżeli szukają szczęścia rodzinnego w związku z panną nienależącą do ich kasty. — Pod tym względem przepisy prawne nie są równe, przeważnie jednak bardzo ostre, a niekiedy wprost drakońskie. W rodzinach panujących prawa domowe *(Hausgesetze)* orzekają niemal zawsze, że małżeństwo z jakąkolwiek osobą, nie należącą do wyższej szlachty, jest związkiem morganatycznym. Nie wolno żonie nosić nazwiska męża, dzieci tracą

wszelkie prawa do spadku dynastycznego, uważane są, jako będące z pochodzenia mieszczańskiego i tylko z łaski monarszej mogą, wraz z nowem nazwiskiem, uzyskać wstęp do niższej szlachty. I to nawet wtedy, gdy ich kościelnie poślubiona matka pochodziła z rodu starego, posiadającego liczne tytuły i ordynacye.

W ostatnich czasach zakończonym został proces hr. Aleksandra Welsburga przeciwko wielkiemu księciu oldenburskiemu o przynależność hrabiego do panującego w Oldenburgu domu. Akta tego procesu czytają się jak kartki powieści, zdającej się nieprawdopodobną, a jednak oddającej wiernie rzeczywiste zdarzenia. Ojciec hrabiego, książę Elimar oldenburski, poślubił w swoim czasie córkę barona z niższej szlachty, baronównę Friesenhof. Od tej chwili znosił prawdziwe prześladowanie ze strony swej rodziny. Wyrządzano mu najrozmaitsze przykrości, narażano na bezustanne upokorzenia. Żonę jego, w kościele poślubioną, uważano niemal jako nałożnicę. Biedny książę, który uległ był popędowi serca, miał życie złamane, pomimo, że wstawiał się za nim sam Bismarck, który, choć obdarzony tytułem książęcym, należał do niższej szlachty, a prócz tego rodził się z matki mieszczanki i zawsze oburzał się na niesłychaną kastowość szlachty wyższej. Wreszcie syn księcia Elimara, po długich sporach, z łaski obdarzony nazwiskiem hrabiego Welsburga, upomniał się o swoje, jak twierdził, niesłusznie pokrzywdzone prawa. Dowodził, że ród jego matki był starodawnym, opierał się na niejasnych paragrafach rodzinnej ustawy Oldenbur-

gów. Nic nie pomogło. W roku 1905 sąd wydał wyrok i hr. Welsburga nadal dzielić będzie od blizkich krewnych nieprzeparta zapora kastowości.

Medyatyzowane rodziny nie mogą oczywiście trzymać się z równą ścisłością zasad tego rodzaju. W niektórych tylko poślubienie prostej szlachcianki pociąga za sobą dotkliwe skutki prawne dla zawierających nierówne małżeństwo. W całej atoli kategoryi wyższej szlachty, związek z osobą nieszlacheckiego pochodzenia, pozbawia dzieci wszelkich praw i przywilejów dynastycznych. Podstawa świeżo zakończonego sporu o tron pomiędzy hrabiowską linią rodziny Lippe, a książęcą Schaumburg Lippe, opiera się na wzajemnem udowodnianiu sobie antenatek, pochodzących z niższej szlachty. Zaprawdę, fantastycznie wygląda ta walka pozagrobowa dwóch kobiet, których potomstwo spiera się o herbowe pierwszeństwo swych prababek.

Historycznym jest sławny proces rodziny hr. Bentincków, który wywołał całą literaturę prawniczą. Naczelnik tego rodu ożenił się w roku 1800 z córką właściciela ziemskiego nieszlachcica. Epoka napoleońska nie sprzyjała kłótniom heraldycznym, to też przez cały szereg lat nikt z krewnych nie zaprotestował. Dopiero w roku 1829 potomstwo brata zgłosiło się z pretensyami przeciw dzieciom wolnomyślnego hrabiego, dowodząc, że wskutek pochodzenia z nierównego małżeństwa nie należą one do wyższej szlachty i tracą prawo dziedziczenia przywilejów i medyatyzowanych posiadłości ojca. Nastąpiła skarga o nieprawne przywłaszczenie sobie cudzego mienia.

Oskarżeni bronili się zacięcie. Twierdzili, że hrabiowie Aldenburgowie, którzy owe dobra niegdyś byli przekazali Bentickom, nie należeli do wysokiej szlachty, nie posiadali nigdy praw dynastycznych w obrębie rzeszy niemieckiej. Na to znów odpowiedziano im, że przecież Bentickowie mieli prawa monarsze, że zatem i własności ich z przed chwili medyatyzacyi, podlegać muszą prawom dynastycznym.

Sporem zajęły się sfery prawnicze w całych Niemczech. Sześciu autorów wystąpiło z publikacyami w obronie oskarżonych, sześciu przeciwko nim. Dwóch zaś, a pomiędzy nimi taka powaga, jak Bluntschli, uważało proces, jako sądownie nierozwiązalny i rozstrzygnięcie go pragnęło powierzyć pozasądowym czynnikom. Sprawa zabagnila się zupełnie. W roku 1836 jeden ze skarżących, hr. Karol Antoni, uzbroiwszy liczną drużynę, najechał swego kuzyna, usunął go przemocą z posiadania ordynacyi i wobec wahania się sądów, utrzymał się w posiadaniu spornych majętności. Z tego wywiązał się istny prawniczy Lewiatan. Obustronne skargi i dowodzenia posypały się w nieskończoność. Wmięszały się rodziny panujące, spokrewnione z Bentinckami, dwory angielski, oldenburski i holenderski. W roku 1842 oświadczył się fakultet prawniczy w Jenie za uznaniem praw własności synów matki mieszczanki. Zaprzeczyło im w trzy lata później zgromadzenie związkowe Rzeszy niemieckiej, przyznając Bentinckom, o ile pochodzenie ich jest „czyste“, przynależność do szlachty wyższej. W roku 1849 władza związ-

kowa potwierdziła akt gwałtu, dokonany przez hrabiego najezdcę.

Ale po stronie przeciwnej stanął wtedy wielki książę oldenburski, jako monarcha państwa, w którem po części leżały sporne włości i pomimo zaciekłych protestów doprowadził wreszcie do tego, że w roku 1854 dobra owe zostały mu sprzedane, a cena kupna, w wysokości 2 milionów talarów, potem rozdzieloną pomiędzy obie walczące strony. Sprawa zasadnicza pozostała jednak nierozstrzygniętą, a załatwienie sporu tylko materyalnem. Żale zaś i niechęci przetrwały akt podziału.

Istnieją jednak w sferach szlachty wyższej jeszcze bardziej zawikłane komplikacye. Po pierwsze kwitnie dotąd cały szereg rodzin, których przynależność do zaklętej kasty jest dla innych powodów sporną. Medyatyzacya przed stu laty przecięła węzły gordyjskie rozmaitych ówczesnych zatargów o władztwo poszczególnych ziem. Urzędowo uznanymi zostali *beati possidentes*. Reszta stron procesujących się uzyskała, co najwyżej, stwierdzenie charakteru jako pretendentów. Stąd położenie dla owych rodzin niejasne, tłómaczenie ich praw bardzo rozmaite. Jak między niebem a ziemią, tak wiszą te familie pomiędzy dwiema kastami szlacheckiemi — mówi o nich A. Mengers w swej rozprawie na temat dziedziczności przywilejów w Niemczech.

Prócz tego sporną jest przynależność do szlachty wyższej, wielu rodzin, których prawa monarsze, już przed medyatyzacyą, były okrojone przez potężniejszych sąsiadów, jakkolwiek niezupełnie zniesione. I tych położenie kastowe jest niejasne,

a że do tej kategoryi należą przeważnie rodziny zdawna mniej zamożne i wpływowe, przeto i w związkach małżeńskich wyłączność ich najczęściej była niezbyt surową, co znów zwiększyło przedział między niemi, a wyraźnie prawa wyższego szlachectwa posiadającą bracią. Niezaprzeczenie i urzędowo należą do stanu medyatyzowanych tylko te rodziny, które w chwili medyatyzacyi miały prawo do całego lub częściowego głosu w Collegium św. Imperyum. Ale i one, choć na najwyższym znajdując się szczeblu hierarchii arystokratycznej, liczą wśród swych przedstawicieli wielu niezadowolonych.

Pod względem kastowym równe rodom panującym, nie mogą się jednak z niemi mierzyć na polu zewnętrznego znaczenia rodziny. Tamte posiadają władzę państwową, okrojoną co prawda przez Prusy, operetkową nieraz, ale bądźcobądź władzę, połączoną z rozdawnictwem urzędów i godności, podniesioną w oczach ludności świetnością dworu, ozłoconą coroczną daniną krajową, pod postacią listy cywilnej. Medyatyzowanym zaś pozostał tylko żal za utraconą władzą, wspomnienia lepszych czasów i zazdrość nieraz wobec szczęśliwszej braci kastowej.

Do uczuć tych przyłącza się nienawiść, tam gdzie medyatyzacya uskutecznioną została pod wpływem sąsiednich większych potentatów. W niejednym medyatyzowanym zamku, panujący monarcha ziem okolicznych, nazywanym bywa w rozmowach poufałych uzurpatorem. Dziewięćdziesiąt lat nie wystarczyło, by uczucia te i pojęcia poszły

w niepamięć. Wcale niedawno temu zdarzały się protesty medyatyzowanych panów przeciw przemarszowi wojsk przez ich ziemię i dopiero wielki podmuch uczucia narodowego w roku 1870 uniemożliwił tego rodzaju objawy. Nie brakło też skarg ze strony medyatyzowanych, gdy w ciągu ostatnich dziesięcioleci ukrócano ich prawa sądownicze. Dopiero przed laty 20-tu zakończoną została sławna sprawa pomiędzy królestwem saskiem, a hrabiami i książętami Schönburg. Echa jej trwają dotąd. Spór ten tak jest typowym dla stosunków arystokracyi niemieckiej, że wypada z nim zapoznać czytelnika.

Od XI wieku siedzą Schönburgowie na swych dziedzicznych ziemiach. Lecz już w roku 1559 sąsiednia Saxonia wystąpiła wobec nich z pretensyami zaborczemi. Przez dwieście lat hrabiowskie zamki opierały się częstym napadom elektorów saskich. Za Augusta II, króla polskiego, sejm Rzeszy wezwał panów niemieckich do obrony praw nieszczęśliwego hrabstwa. Po śmierci Augusta III, gdy na tronie polskim zasiadł Poniatowski, a zmniejszyła się potęga domu saskiego, Schönburgów nowe ożywiły nadzieje. Przez lat kilka zbroili się po cichu, aż w r. 1776 wykonali śmiały napad na Saksonię, oczywiście zakończony nieszczęśliwie.

Jak mówi kronika rodzinna, zgasła wtedy gwiazda hrabiowskiego domu. Saxonia zawładnęła niemal zupełnie hrabstwami Schönburgów, Glauchau i Meerane. Ale związek Rzeszy nie uznał nigdy tego zaboru, owszem, zwiększył nawet godność rodziny, przyznając starszej linii głos w kuryi książąt Rzeszy. To też podbita rodzina od czasu

do czasu próbowała napowrót wykonywać swe prawa monarsze. W roku 1813 uzbroiła własny oddział wojska i oświadczyła się przeciw Napoleonowi. Kongres wiedeński, w nagrodę za to, uznał w pełni jej teoretyczne prawa, gdy przeciwnie, książąt Isenburg i von der Leyen, nie objętych medyatyzacyą napoleońską, pozbawiono niezależności państwowej. Ale prawo swoją drogą, a Saksonia znów swoją. Schönburgowie jeszcze przed laty trzydziestu zażądali, by, gdy już nie należą do Rady związkowej książąt Rzeszy, król saski także był pozbawionym tego prawa.

Obcemu zdają się takie feodalne rozhowory śmiesznemi w nowożytnych czasach. W Niemczech atoli miewają one nieraz podstawę praktyczną. Dowodem tego, że za odstąpienie ostateczne praw sądownictwa, zapłaciła Saksonia Schönburgom w r. 1878 półtora miliona marek. A sprawa ogólnych pretensyj hrabiów i książąt tego domu, dotąd istnieje w teoryi. Leży przed nami publikacya, wydana przed 8 laty kosztem rodziny, omawiająca roszczenia upośledzonych dynastów.

Niemal każda z medyatyzowanych rodzin ma swoje dynastyczne biedy i kłopoty. Niektóre przestały dochodzić swych pretensyj i odłożyły swoje żale do rzędu wspomnień, zadowalniając się wysokiem swojem stanowiskiem towarzyskiem i honorami dziedzicznemi, które gdzieniegdzie polegają np. na odmawianiu w kościołach zaraz po modlitwie za panującego, modlitwy za medyatyzowanego pana, a także na obowiązkowem biciu w dzwony przez dni 8 po jego śmierci. Hohenlohowie mają prawo rozdawać własny order „Feniksa“. Inne,

choć od trzech pokoleń utraciły państwowość, dotąd niechętnie godzą się z swym losem.

Monachijskie pismo humorystyczne porównywa wiecznie żalącego się ex-dynastę do starej panny, która, wciąż zajęta sobą, bezustannie obraża się o każdą drobnostkę i upatruje obrazę tam, gdzie nikt nie myślał jej uchybić. Wielce np. nielubianym w kołach wyższej szlachty jest regulamin dworski w Berlinie, t. zw. *Hofrang reglement*. Według niego naczelnicy rodów medyatyzowanych rangą swą przy uroczystościach dworskich następują po kanclerzu i feldmarszałkach. Osładza im co prawda to „upokorzenie" pierwszeństwo przed ministrami i wysokimi dygnitarzami dworskimi, a niknie wobec nich, stojąc niżej o dziesięć rang dworskich, zwykła Ekscellencya. Pomiędzy sobą muszą się na dworze pruskim medyatyzowani panowie także trzymać przepisanego porządku. Jedna rodzina następuje po drugiej według swego dynastycznego znaczenia. Tytuł nie odgrywa przytem żadnej roli. Po części hrabiowie idą przed książętami, oczywiście, równie jak oni, medyatyzowanymi. Ale bo też takiemu hrabiemu, gdy jest głową domu, przysługuje tytuł panującego, choć w rzeczywistości nie panuje nad niczem.

Jedynym hrabią, *de facto* dzierżącym władzę monarszą, był do roku 1905, jak już zaznaczyliśmy, hr. Lippe-Detmold. Pomimo to, na bilecie wizytowym pseudo-panujących hrabiów, nie brak nigdy tytułu *regierender Graf*. Nie posiadają oni dziewięciopałkowej korony, lecz mitrę podobną do książęcej, a przysługuje im kwalifikacya *Erlaucht*. Istnieją też w rodzinach hrabiowskich, należących

do wyższej szlachty, tytuły: „Landgraf", „Rheingraf" i Wildgraf". Tytuł Reichsgrafa jest wspólnym obu kastom szlacheckim. Używają go bowiem także ci z pomiędzy hrabiów, należących do szlachty niższej, którzy tytuł swój otrzymali od cesarzów rzymsko niemieckich.

Część rodzin medyatyzowanych mieszka poza granicami Niemiec, nie używając tam żadnych prawnych prerogatyw, z wyjątkiem równorzędności małżeńskiej z domami panującymi. Przywilejowi temu zawdzięcza księżniczka Cröy, że poślubiwszy arcyksięcia Fryderyka, została zarazem arcyksiężną austryacką, podczas gdy córka prastarego czeskiego rodu hrabiów Chotków jest tylko morganatyczną żoną następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, a dzieci jej pozbawione są rodowego nazwiska ojca i dziedzictwa korony.

Znaną jest wyłączność feodalnych pojęć niemieckich wobec rodzin, należących do innych narodowości. Wiadomo, jaki powstał zgiełk w publicystyce pruskiej, gdy książę Wilhelm, późniejszy cesarz, zapragnął poślubić księżniczkę Elizę Radziwiłłównę z Nieświezkiej, ordynackiej linii tego domu. Pisano o tem dużo, rozprawiano gorąco. Oczywiście odgrywały w tym wypadku poważną rolę względy polityczne. Małżeństwo z Polką brata następcy tronu, nie mogło być miłem uczuciu niemieckiemu. Ale cała zewnętrzna argumentacya przeciwników niedoszłego związku polegała na twierdzeniu, że małżeństwo to nie byłoby równorzędnem *(ebenbürtig)*, gdy, zdaniem ich, szlachta kilkowioskowa, byle posiadająca uznanie swej istniejącej lub medyatyzowanej udzielności państwo-

wej, odpowiadała wymaganym warunkom. Mogą dynastye niemieckie wydawać swe córki za obcych magnatów — twierdzili owi zapamiętali stróże feodalnej tradycyi — to nie uchybia ich rodzinnym ustawom, ale nie wolno im przenigdy wprowadzać do swego łona córek z domów niepanujących. A przecież właśnie w owych czasach córka polskiego pana, zresztą wywodzącego swój ród od byłych władców litewsko-ruskich, nosiła książęcą mitrę wirtemberską, a z lat dawniejszych wystarcza przypomnieć Franciszkę Krasińską, która również poślubiła *aequo matrimonio* dynastę pochodzenia germańskiego.

Ale owe wyjątki nie wystarczyły, by obalić zakorzenione pojęcia, które z Niemiec przeniosły się w większym lub mniejszym stopniu do innych dworów europejskich. Nigdzie jednak pojęcia te nie znalazły tak podatnego gruntu, jak w ojczyźnie Marksa, Lassale'a i Bebla, nigdzie tak nie kwitną w coraz to nowych objawach na tle środowiska, jakiemu równych w Indyach chyba należy szukać.

III.

W SZEREGU RYCERSKIM.

Cudzoziemiec, przejeżdżający przez Berlin i widzący olbrzymi rozwój najbardziej nowożytnego z wielkich miast europejskich, ani się domyśla, że tuż obok, o dwie godzin drogi, pomiędzy metropolią Niemiec a brzegami Bałtyku, żyje społeczność skamieniała w ustroju feodalnym, który

polega nietylko na pozostałościach prawnych i poszczególnych przywilejach rodzinnych, ale stanowi rdzeń i podstawę państwa. W Meklenburgii, rządzonej przez dwóch wielkich książąt z słowiańskiego, ale zupełnie zniemczonego domu Przybysławitów, a zamieszkałej przez szczep, również niegdyś słowiańskich, Obotrytów, feodalizm niemiecki zachował się w swej najczystszej postaci. Oba księstwa, choć położone tak blizko serca potęgi pruskiej, zachowały dotąd nietylko swą niezależność, ale niemniej najwybitniejsze cechy odrębności w swoich urządzeniach społeczno-państwowych.

Przedewszystkiem nie posiada Meklenburgia konstytucyi wewnętrznej, na wzór wszystkich innych państw Rzeszy. Podlega tylko ogólnej konstytucyi niemieckiego cesarstwa, ograniczonej, jak wiadomo, do stosunkowo nielicznych, wspólnych wszystkim państwom, dziedzin życia publicznego. Lecz pomimo to, wielcy książęta nie są bynajmniej władcami absolutnymi. Owszem, *sui generis* reprezentacya stanowa krępuje ich władzę w dość znacznym stopniu, na korzyść przedewszystkiem miejscowego rycerstwa. Meklenburgia, o połowę mniejsza od wielkiego księstwa Poznańskiego, stanowi eldorado drugiej z rzędu w Niemczech kasty szlacheckiej, rycerstwa niższego. Znaczenie tego ostatniego należycie można ocenić dopiero po wglądnięciu poprzedniem w najbardziej typowe stosunki meklenburskie.

Cała niemal większa własność ziemska w księstwach jest w ręku szlachty, lub w posiadaniu obu wielkich książąt. Na sejmie stanowym chłopi

nie są reprezentowani wcale, miasta posiadają tylko znikającą liczbę głosów, a przeciwnie, właściciele dóbr rycerskich mają prawo głosu wszyscy, bez wyjątku, w liczbie kilkuset. Patryarchalne też zaiste stosunki panują w owem dziwnem ciele ustawodawczem. Ponieważ przedstawia ono tylko jednę warstwę społeczną, więc o zasadniczych przeciwieństwach nie może w niem być mowy. Rycerstwo, spokojne w swej zupełnej przewadze, nie kwapi się bardzo do mozolnej i nudnej pracy ustawodawczej. Dziedziczni posłowie w nader niewielkiej liczbie przybywają na sesye sejmowe, a szczupła garstka obecnych załatwia się, by czasu nie marnować na czcze gadaniny, po wojskowemu z przedłożeniami wielkoksiążęcego rządu. Zdarzało się, mianowicie w czasie polowań jesiennych, że musiano natarczywie prosić junkrów meklenburskich, by choć kilkunastu z pomiędzy nich raczyło pofatygować się do miasta. Trudno bowiem nawet w Meklenburgii uchwalić ustawę, gdy nikogo nie ma w Izbie. Sejm to najliczniejszy na świecie liczbą swych członków, a zarazem najczęściej przerywający swe sesye dla braku kompletu.

Nie brak swoją drogą i opozycyi w meklenburskim zaścianku, a nawet i bardzo liberalnej. Lecz nie obawia się jej rycerstwo *(Ritterschaft)*. Do sejmu może się dostać liberał jedynie z miast. Ale i te niechętnie występują przeciwko potężnej korporacyi rycerskiej, dobrze wiedząc, że nieliczne ich głosy mogą wprawdzie podrażnić okolicznych junkrów, ale nie są w stanie zaważyć w danym razie na szali. Pozostaje prasa ogólno-niemiecka, szczególniej berlińska, oraz parlament, do którego

cała ludność meklenburska wybiera posłów. W tych też czynnikach opinii publicznej odzywają się od czasu do czasu głośne skargi. Posłuchajmy tych, które dotyczą szkolnictwa. Prawdziwe to obrazki rodzajowe na temat „co kraj to obyczaj".

Oto w zameczku swoim siedzi z dziada i pradziada meklenburski baron. Sam średnio wykształcony, a „filozofowanie", czyli naukę, mający w głębokiej pogardzie, skończył tyle właśnie klas gimnazyalnych, ile potrzeba do uzyskania szlif oficerskich. Syn najstarszy pomaga mu w gospodarstwie. Wszyscy inni, a jest ich kilku, służą w pułkach kawaleryjskich. Ordynacya bowiem jest niewielką, liczy zaledwie kilka tysięcy mórg, więc i dochody szczupłe. Z nich zaś trzeba płacić podatki, co prawda niezbyt uciążliwe, ale niewygodę sprawiające panu baronowi, który uważa, iż daleko odpowiedniejszem byłoby obciążyć niemi handlarzy, mieszczuchów i tego rodzaju pospólstwo *(Gesindel)*. To też na szkołę w swej wsi brak zawsze baronowi pieniędzy.

A szkoła w jego ręku. On płaci nauczyciela, on mu daje mieszkanie, on wreszcie ma nadzór nad naukami. Więc „filozofia" w jego uniwersytecie wiejskim kwitnie odpowiednio. Pan profesor pracuje więcej na swoim zagonie, niż w szkole. Dzieci jego wraz z resztą uczniów przez cały sezon polowań spędzają dzionek od rana do wieczora na polach i w lasach, służąc jako naganiacze. W czasie robót polnych starsza młódź bez ceremonii odkomenderowana jest do gospodarstwa, najczęściej ku swej wielkiej uciesze, gdyż woli to od ślęczenia nad książką. Rodzice cieszą się, że

dzieci przyniosą im trochę zarobku. Profesorowi zaś ani w głowie protestować przeciwko takiemu stanowi rzeczy. On woli być w łaskach pana barona i zadowalnia się najzupełniej, gdy dzieci nauczą się czytać, pisać, trochę rachować i we wsi niema analfabetów. Na tem kończy się mądrość meklenburska. Historya, geografia, wypracowania na dany temat i wszystko inne, co należy do programu szkół ludowych w Niemczech, traktowanem jest tylko *pro forma*. Naganka na zające rzecz ważniejsza.

Tego rodzaju skargi nie wywierają jednak spodziewanego skutku. Przedstawiciel Meklenburgii w radzie związkowej książąt Rzeszy, oświadczył niespełna rok temu w parlamencie, że bardzo się zastrzega przeciw krępowaniu autonomii swego kraju przez czynniki berlińskie. Wszelkie nawoływania ze strony liberalnej o przymusowe nadanie zacofanym księstwom nowożytnej konstytucyi, okazały się dotąd bezowocnemi. Co prawda, nikt w Niemczech nie staje w obronie opłakanych stosunków meklenburskich. Owszem, nawet ze strony pruskich zachowawców zwrócono uwagę sfer miarodajnych w nadbałtyckiej Abderze na konieczność reform. Ale poczucie autonomistyczne w tym wypadku stale zwycięża nad zrozumieniem istotnej potrzeby i nie wcześnie zapewne dozwoli na wmięszanie się parlamentu niemieckiego w wewnętrzne sprawy meklenburskie. Byłoby to naruszeniem konstytucyi cesarstwa, która znów na tej samej zasadzie zabezpiecza właśnie bardzo postępowy ustrój wewnętrzny niektórych monarchij Rzeszy.

Że w takiem środowisku przechowały się pojęcia feodalne silniej niż gdzieindziej, rzeczą jest oczywistą. Różni się przytem Meklenburgia od innych krajów Rzeszy tem, że gdy w tamtych feodalizm nie stanowi jaskrawego przeciwieństwa do idei postępu, owszem, nieraz w dziwnej z nią pozostaje harmonii przez wzajemne uzupełnianie się pozornie sobie przeciwnych czynników, w ojczyźnie Obotrytów ciąży on jak zmora na całokształcie życia publicznego. Tamuje rozwój handlu i przemysłu, sprawia, iż kraj podległy jego wpływowi jest obecnie nietylko najmniej oświeconym, ale z natury rzeczy także stosunkowo najuboższym wśród państewek niemieckich. Niema tam nawet bogatej i świetnej arystokracyi. Wielkimi panami są tylko wielcy książęta i książęta domu panującego. Poza tem szlachta, której gospodarstwa nie dorównują przedsiębiorstwom rolnym sąsiednich prowincyj pruskich, posiada przeciętnie majątki bardzo średnie, po części zabezpieczone prawem ordynackiem, po części zaś mocno obdłużone, a przy lichym trybie gospodarczym narażone na niebezpieczeństwo licytacyi. Niejeden też majątek przeszedł już w ręce berlińskiego kapitalisty. Ale zazwyczaj nie na długo.

Osiedlenie się w Meklenburgii na majątku rycerskim nowej rodziny, szczególniej nie szlacheckiej, przedstawia dla niej mało korzyści, a przeciwnie, bardzo wiele niedogodności. Cała szlachta miejscowa, to jeden duży związek pokrewieństw i wspólnych tradycyj. Obcy przybysz traktowanym jest niechętnie, niemal wrogo. Odosobnionym się staje wśród społeczeństwa, które upatruje w nim

intruza. Dla większego właściciela mieszczanina niedostępne są najrozmaitsze przywileje, cały szereg honorowych urzędów. I jeżeli względy materyalne nie wymagają wprost dłuższego zatrzymywania wsi w swojem ręku, nowonabywca najchętniej pozbywa się jej znowu na rzecz jednego z junkrów.

Wobec stosunków meklenburskich, blednie znaczenie niższej szlachty w innych krajach Rzeszy. Pomimo to stwierdzić należy cały szereg objawów, które nadają jej znamiona kasty, mniej zamkniętej w sobie, niż środowisko szlachty wyższej, ale jednak bardzo odrębnej, a w swojem własnem znów łonie podzielonej na cały szereg grup i kategoryj, znanych każdemu Niemcowi.

To różniczkowanie się, ta dążność do separatyzmu społecznego jest jedną z zasadniczych podstaw charakteru niemieckiego. Lecz na polu pozostałości feodalnych wcale nie odgrywa wyłącznej roli szlachta. Stary patrycyat miejski, szczególniej na zachodzie i południu cesarstwa, ale gdzieniegdzie i na wschodzie, istnieje dotąd w pełni swych tradycyj. Cały szereg takich nieszlacheckich rodzin posiada jednak własne herby, urzędowo przyznane i dba o nie, na równi ze szlachtą. W wolnych miastach istnieje rzeczywista arystokracya mieszczańska, oparta nietylko na majątku, ale i na długoletniej, nieraz wiekowej tradycyi rodzinnej. Stare rodziny senatorskie w Hamburgu, Lubece lub Bremie, razem z patrycyatem tych miast, które utraciły swą niezależność, jak n. p. Frankfurt nad Menem, tworzą, na wzór kasty szlachty wyższej, rodzaj kasty wyższego mieszczaństwa,

bardzo wyłącznej, a bronionej w swych granicach rzeczą silniejszą niż prawo, mogące stać się anachronizmem, bo żywotnem poczuciem stanowego separatyzmu.

Kasty szlacheckie są tylko ogniwami łańcucha wyodrębnionych środowisk społecznych w Niemczech, ogniwami, które same składają się z części drobniejszych, mających swą racyę bytu w usposobieniu narodowem. One nie są bynajmniej czemś ideowo oderwanem od reszty narodu. Sprawami na pozór czysto szlacheckiemi interesują się ludzie wszystkich stanów i zawodów, nawet tacy, których stanowisko, według pojęć innych narodów, nie bardzo licuje z tego rodzaju usposobieniem.

Wśród spisu członków heraldycznego związku p. t. „Herold", którzy nadesłali składki pieniężne w celu uświetnienia 25-letniego jubileuszu istnienia Towarzystwa, spotykamy, obok nazwiska hr. Eulenburga, mistrza ceremonii na dworze pruskim, nazwisko mieszczańskie aptekarza z Hildesheimu, dalej sędziów, studenta chemii, kupców z Berlina i różnych innych miast. Obok ordynata księcia Carolath nadsyła swój grosz wdowi ekonom folwarczny i pastor z Altony i urzędnik kolejowy. A wśród tych wszystkich mieszczańskich przyjaciół heraldyki niema ani jednego nazwiska, które świadczyłoby, że dany osobnik pochodzi z rodziny, niegdyś należącej do środowiska szlacheckiego, a z niego przeciwnościami losu usuniętej. Nie, to prości mieszczanie, nawet nie herbowi, ale cieszący się rozwojem nauki heraldycznej w Niemczech! Trzeba się Niemcem urodzić, by należycie ocenić takie usposobienie.

Gdy zaś ono takiem jest w sferach nieszlacheckich, o ileż silniej objawia się tam, gdzie rzeczywiście dotyczy spraw własnych, kastowych. To świat osobny, a dziwny, interesów, pojęć, przywilejów, z własną literaturą, bardzo obfitą i wciąż czynną, z własnemi związkami, organizacyą zasobną w fundusze, a także z nieodłącznemi od rzeczy ludzkich, przeciwieństwami wewnętrznemi, nieraz daleko ostrzejszemi od zewnętrznych. Nierówny bowiem w obrębie drugiej kasty rycerskiej szlachcic szlachcicowi, a że u Niemców indywidualizm zawsze pochłonięty jest przez poczucie zbiorowości, więc nierówną wśród szlachty niższej jedna grupa grupie drugiej.

Na czele stoją owe, wyżej już przytoczone, rodziny, które miały, lub mają, uzasadnione, acz nie uznane, pretensye przynależności do szlachty wyższej. Rodziny te, zamieszkałe przeważnie na zachodzie i południu Niemiec, noszą się bardzo wysoko i związek z niemi wielce jest cenionym. Nieraz to prosta szlachecka familia bez tytułu, ale przodkowie jej byli rycerzami udzielnymi św. imperium. Rodowody tam pierwszorzędne, siedziby rodowe zazwyczaj utrzymane przy nazwisku, majątek przeważnie oparty na ordynacyach. Tacy np. hrabiowie Dohna uważają się za coś lepszego od rodziny Hohenzollernów. Znanem jest dowcipne powiedzenie króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV, gdy powtórzono mu przechwałki jednego z Dohnów. Zaprosiwszy hrabiego do siebie, odezwał się król do niego: — Podobno twierdzisz pan, że twoja rodzina starszą jest od mojej. Zgoda na to, ale przyznaj nawzajem, że nam, Hohenzoller-

nom, udało się jednak jeszcze lepszą zrobić karyerę, niż wam, Dohnom. — Obecny cesarz poprawił zresztą tę karyerę, nadając jednemu z Dohnów tytuł książęcy.

Do niższej szlachty zalicza się wielu prawdziwych magnatów, np. książę na Pszczynie, jeden z największych panów, nietylko na Śląsku, gdzie posiada potężne księstwo pszczyńskie, ale w całych Niemczech. Tak samo śląscy książęta Karolath, Hatzfeld, Henckel, dalej książę Putbus, westfalski książę Münster, książęcy naczelnicy rodzin Eulenburgów, Bismarcków, Bülowów itd. Oczywiście, że z takim panem nie może równać się jednowioskowy junkier, choćby starego rodu.

Zato stoi hierarchicznie niżej od staroszlacheckich junkrów, cała, dość liczna kategorya szlachty t. zw. mianowanej, czyli takiej, która swój początek wywodzi od nobilitacyi z ramienia monarszego. W rzeczywistości, zdaniem wielu autorów, przeważna część dziś żyjących rodów szlacheckich powstała w ten sposób. Gdy jednak uszlachcenie gubi się w pomroce dziejowej, gdy żadnych jego śladów już niema, a przeciwnie, udowodnionem jest, że dana rodzina istniała już w średnich wiekach, wtedy szlachcic niemiecki uważa się jako należący do t. zw. *Uradel*, t. j. szlachty odwiecznej, pochodzącej jeszcze od wojowników pragermańskich, niekiedy też słowiańskich. Tak np. rodzina obecnego kanclerza, głównie w Meklenburgii osiadła, wywodzi się od szlachty wendyjskiej. Nawiasem mówiąc, rodzina Bülowów jest jedną z najliczniejszych w Niemczech. Przed pięciu laty, z okazyi wielkiego zjazdu rodzinnego, ukazała się broszura

pamiątkowa, według której ogólna liczba żyjących Bülowów wynosi z górą 1000 osób.

W ostatnich czasach ujawnia się coraz bardziej dążność członków *Uradel*'u do wyodrębnienia swej grupy z pośród reszty szlachty. W tym celu wychodzi corocznie, drukowany przez Perthesa w Gocie, spis osób, należących do owej kategoryi. Niełatwo dostać się do tego spisu, należy bowiem przedstawić wydawcom uwierzytelnione dokumenta. Obecnie widzimy w szóstym roczniku już 443 rodzin. Najnowsza to odmiana kalendarzów gotajskich, których, jak wiadomo, istnieje kilka rodzajów.

Pierwszym z rzędu jest *Gothaischer Hofkalender*, wychodzący także w języku francuskim p. t. *Almanach de Gotha*. Początek jego sięga XVII wieku. W roku 1740 nadano mu nazwę kalendarza genealogicznego. W roku 1765 księgarz Emanuel Klüpfel połączył go z drukowanym przez siebie również w Gocie, francuskim kalendarzem pod tytułem *Almanach de Gotha contenant diverses choses curieuses et utiles*. Od tej pory kalendarz gotajski wydawanym jest stale w dwóch językach, francuskim i niemieckim. Ciekawemi są stare roczniki, mianowicie z końca XVIII wieku. Dużo tam pięknych sztychów Daniela Chodowieckiego, a obok genealogij rodzin niemieckich powiastki, nieraz treści bardzo lekkiej, według wzoru francuskich *contes de la reine de Navarre*.

Rewolucya francuska i czasy napoleońskie były epoką przesilenia dla kalendarza, rozpowszechnionego już po całym świecie i zamieszczającego także genealogie znakomitych rodów zagranicznych.

W roku 1807 zaopiekował się nim sam Napoleon i kazał skonfiskować nakład za umieszczanie rodzin medyatyzowanych na równi z panującemi. Z rozkazu cesarza osobne, rewidowane przez cenzurę, wydanie, wyszło w Paryżu. Po bitwie pod Waterloo, powrócił kalendarz do dawnej świetności. Ale z nią przyszły nowe kłopoty. Zaczęły się spory bez końca pomiędzy panami medyatyzowanymi, a książętami niemedyatyzowanymi. Pierwsi oburzali się, że ich umieszczano razem z tamtymi. Wreszcie zgodzono się na zasadę, że kalendarz zamieszczać będzie 3 oddziały. Jeden dla panujących wszystkich krajów, drugi dla książąt i hrabiów medyatyzowanych, trzeci dla książąt z niższej szlachty i dla książąt zagranicznych. Ten rozkład pozostał niezmieniony do dziśdnia. W r. 1824 zaczął wychodzić osobny niemiecki kalendarz dla hrabiów, a w r. 1847 dla baronów.

Najmłodszem wreszcie z tych wydawnictw, pozostających w ręku firmy Perthesa, jest podręcznik dla praszlachty. Komplet owych publikacyj stanowi dziś rzadkość bibliograficzną, wielce poszukiwaną w Niemczech. Jeden z najlepiej zachowanych kompletów, wystawionym był na wystawie heraldycznej w Berlinie w r. 1882. Z wydanej wtedy monografii dowiadujemy się, że redakcya ma nieraz wielkie przykrości z powodu różnych pretensyj, które nie zawsze można uwzględniać. Tesame skargi ujawniają się i następnie w łamach czasopism, poświęconych heraldyce. Niejedna rodzina pragnie być zamieszczoną w spisie *Uradel*'u, a dowody przez nią przedstawione, nie są wystarczające. Stąd gniewy i zawiści, które jednak w oczach

licznych znawców zwiększają tylko wagę wydawnictwa.

W dawniejszych czasach nawet prawo dzieliło szlachtę nobilitowaną od szlachty odwiecznej. W XVII wieku cesarz Ferdynand osobnem rozporządzeniem ustanowił, że „nowa“ szlachta ma się zachowywać wobec starej z należytem uszanowaniem. W sto lat później meklenburski książę Fryderyk Franciszek niesłychanie surowemi prawami karał tych, którzy nieprawnie starali wcisnąć się pomiędzy starodawne rycerstwo. Dziś jeszcze w kołach staroszlacheckich małżeństwo z osobą świeżego szlachectwa bardziej jest potępianem, niż związek z dawną rodziną mieszczańską.

Nie jest rzeczą szlachcica żenić się z nieszlachcianką — zaręcza w organie związku szlachty niemieckiej, autor artykułu o nierównych małżeństwach. — Ale dziś, gdy życie nad stan zmusiło niejednego już potomka starego rodu do wprowadzenia w dom swój córki nadętego pychą parweniusza, niechby raczej młodzież szlachecka starała się o rękę panien z patrycyatu mieszczańskiego, bogatego, a przynajmniej mającego własne rodowe tradycye i zrozumienie dla tradycyj warstw innych, ale — dodaje smutnie — takiej panny rękę może trudniej uzyskać.

Wśród rodzin nobilitowanych nie na wszystkie jednak zapatruje się stara szlachta okiem niechętnem. Tak np. cenioną jest szlachta miecza, *Schwertadel*, rodziny uszlachcone za wojskowe zasługi jednego ze swych członków, których również wychodzi w druku osobny spis. Do nich zaliczają się przedewszystkiem te, które uszlachcili monar-

chowie niemieccy po wojnach napoleońskich. Następnie po bitwie pod Sedanem i wzięciu Paryża, obdarzył Wilhelm I szlachectwem 42 oficerów sztabowych. Tak samo uczynili i inni monarchowie niemieccy. Od tego czasu co roku przybywa po kilka nowych rodów z kół oficerskich. Do końca swego panowania uszlachcił Wilhelm I jeszcze 73 rodzin oficerskich, syn jego 5, a dziś panujący wnuk już przeszło 80.

Te rodziny, choć bardzo świeżego pochodzenia, i najczęściej średnio zamożne, pod względem towarzyskim mają lepsze stanowisko od takich uszlachconych bogaczów jak np. rodzina znanego hakatysty Hansemanna, która nawet posiada ordynacyę w Poznańskiem. Bo rzemiosło wojenne jest zawsze w oczach niemieckiego szlachcica otoczone wielkim urokiem. Czem ma służyć rycerstwo nasze nowożytnemu państwu — zapytuje *Adelszeitung* — i odpowiada: — Jak dawniej, tak i teraz dostarczaniem mu oficerów wiernych, karnych, pełnych poświęcenia, kochających swoje rzemiosło.

Lgnie też starym trybem niemiecka szlachta do wojska i to tak dalece, że nawet inne warstwy społeczne czują się upośledzonemi. Niemal cały korpus gwardyi, posiada samych tylko oficerów szlacheckich. Poza gwardyą w czterech pułkach kirasyerskich niema ani jednego oficera nieszlachcica. Tak samo w siedmiu dragońskich, czterech huzarskich, czterech ułańskich. Nawet w zwykłej niegwardyjskiej piechocie są pułki prawie zupełnie wolne od żywiołu nieszlacheckiego, tak n. p. w meklenburskim służy tylko jeden oficer miesz-

czanin, w badeńskim i 11 śląskim po dwóch. W celu ułatwienia niezamożnej szlachcie dość kosztownej służby wojskowej, rozpoczął w ostatnich miesiącach książę Henckel Donnersmark zbieranie funduszu dziesięciomilionowego, z którego odsetki przysługiwałyby wyłącznie ubogim oficerom stanu szlacheckiego. Wielką z tego powodu polemikę rozpoczęły niektóre pisma liberalne, wyrażając nadzieję, że projekt księcia spełznie na niczem. Berlińskie pisma prowadziły w roku ubiegłym regularną kampanię prasową w sprawie większego uwzględniania żywiołu mieszczańskiego w wojsku, kampanię zresztą równie bezskuteczną, jak polemika książkowa, która dosięgła swego szczytu w znanej powieści p. t. *Erstklassige Menschen.*

Zwolennicy szlacheckiego korpusu oficerskiego wskazują zawsze na istotnie świetny rozwój militaryzmu pruskiego w dotychczasowych warunkach i zaznaczają z dumą, że widocznie ustrój obecny jest dobrym, skoro takie wydaje owoce. Sam cesarz usposobionym jest w tych sprawach dość liberalnie, ma jednak ręce skrępowane prawem zwyczajowem, które wymaga, by kandydat do stanu oficerskiego balotowanym był przez korpus oficerski danego pułku. I zdarzyło się już nieraz, że aspirant nieszlachecki, choć protegowany z góry, nie został przyjęty do jednego z bardzo wyłącznych pułków, szczególniej, gdy odgrywało pewną rolę wybitne stanowisko finansowe ojca.

Także i w służbie administracyjnej wyższej przeważają urzędnicy stanu szlacheckiego. Na dworze cesarskim, taksamo jak na wszystkich dworach niemieckich, posady i godności są bez wyjątku

w ręku szlachty, a prawie w tym samym stopniu w dyplomacyi. Mają więc gdzie umieszczać swych synów licznie zazwyczaj rozrodzone familie szlacheckie. Nad utrzymaniem zaś wśród nich ducha stanowego pracuje bujnie krzewiąca się literatura heraldyczna, pracują związki kastowe, silne swemi wpływami i szereg instytucyj, będących wyłącznym szlachty przywilejem. Najpotężniejszemi są stowarzyszenia szlacheckie p. t. „Nobilitas“ i „Adelsgenossenschaft“, zajmujące się ogólnymi interesami stanu rycerskiego. Specyalnie heraldyce poświęcone są związki „Herold“, powstały w Berlinie w r. 1869, „Roter Löwe“, istniejący w Lipsku od r. 1875 i „Kleeblatt“ hanowerski — od r. 1889.

Ad multos annos — woła im hr. Leiningen, popularny autor heraldyczny, w książce poświęconej tym sprawom. Niech herb twój rycerzu niemiecki, wita gościa na bramie twego domu, niech z baszty powiewa sztandar z herbowym znakiem starożytnym. Niech świeci ten klejnot w promieniach słońca wschodzącego i w purpurze zachodu, a na noc, starodawnym zwyczajem, jak zacnej przystoi tarczy, ściągaj twoją flagę. Zdób godłem swem komnaty, na stołach je rzeźbij i krzesłach, lej w szkle i wypalaj. Czyż nie lepiej smakuje wino z roztruhana, zdobnego rodzinnym klejnotem — i czyż nie droższym podarunek przyjaciela, gdy na nim jaśnieją herbowe kolory. A później, kiedyś, na stare lata, gdy może przyjaciela zabraknie, gdy legnie on może na polu bitwy za lubą ojczyznę, jakże miłem klejnot jego wiernemu druhowi będzie wspomnieniem!

Do najgorliwszych apostołów heraldyki należą także ks. Fryderyk Karol Hohenlohe, właściciel ogromnej biblioteki heraldycznej i mieszczanin Dr Grote. Wspomniane już wystawy heraldyczne stanowią pole popisu dla całej falangi badaczów na tem polu. Najbujniej kwitnie jednak w publicystyce i pracach tego rodzaju dział specyalny genealogiczny. Opiera się on po części na gruncie bardzo realnym. Opatrzony dokumentami rodowód to podstawa, nietylko do zawikłanych nieraz spraw spadkowych, mianowicie w ordynacyach, ale także do używalności rozmaitych przywilejów. Trzeba wykazać cały szereg przodków, by uzyskać wstęp do jednej z licznych instytucyj sekularyzowanych, niegdyś kościelnych, po części zaś dotąd zależnych od władzy kościelnej, katolickiej lub protestanckiej. Znaczną jest mianowicie liczba świeckich kanonij męskich i kobiecych.

Kanonikami luterskimi są jeneralowie, wysocy urzędnicy i wogóle wielu członków starych rodzin szlacheckich. Kanonikiem między innymi kanclerz, książę Bülow. — W arystokratycznym „Unionclubie" berlińskim stwierdzono pewnego razu, że przy wspólnym stole zasiadło do gry w karty dziesięciu kanoników. A posady to wcale przynośne. Czynność bowiem świeckiego kanonika polega najczęściej na tem, że raz lub dwa razy do roku zjeżdża na zebranie kapituły, spożywa razem z kolegami dobry obiad i za to pobiera piękne honoraryum, nieraz po kilka tysięcy marek. Rodowodów także wymagają zakony rycerskie, mianowice maltański katolicki i protestancki.

Ciekawemi są ceremonie przyjącia, szczególniej do niektórych kobiecych *stiftów*. Jednym z najbardziej ekskluzywnych jest opactwo Fischbeck w hrabstwie Schaumburg. Liczy ono 1000 lat istnienia, a zostało zlutrzonem w XVI wieku. Ceremonia przyjęcia nosi tam miano *Aufschwörung*. W kościele romańskim z XII wieku, zbierają się wysoko urodzone zakonnice w stroju klasztornym. Przed niemi staje kandydatka, prowadzona przez członków najstarszej szlachty okolicznej. Na dany znak otwierają się boczne drzwi wielkiego ołtarza i wchodzi ksieni, przed którą zgromadzeni składają głęboki ukłon. Duchowny odbiera z rąk towarzyszów kandydatki jej rodowód, spisany na pargaminie i zaopatrzony potwierdzeniem heroldyi państwowej. Ale ten dowód nie wystarcza. Z kolei przystępuje szlachta do stopni ołtarza i przysięga na ewangelię, że rodowód ów istotnie zgadza się z prawdą i że kandydatka rzeczywiście nie ma skazy w swem pochodzeniu. Dopiero wtedy uzyskuje ona wstęp do zgromadzenia, poczem następuje w opactwie tradycyjna uczta.

Dawniej wymagano też często rodowodów przy udzielaniu orderów, a jednym z najsurowszych był statut orderu, rozdawanego przez hulaszczego księcia Sachsen-Querfurt, noszący miano *Orden der Noblen Passionen*. Należało nosić go zawsze, „jako że pasye szlachetne ustawać nie powinny ani na chwilę“.

O wszystkich objawach życia kastowego donoszą skrzętnie organa prasy związkowej. Spotykamy w nich wiadomości o otwierających się stypendyach dla szlachty, a także artykuły inne, do-

tyczące interesów stanowych. Niekiedy są one wielce oryginalne. Tak np. zastanawia się *Adelszeitung* nad tem, czy szlachcie wypada wstępować do zakonu Jezuitów, „znanego z nierycerskich zalet“. Protestuje przeciwko temu katolicki abonent, ale argumentami, których się doprawdy nie spodziewał obcy czytelnik. Nie zadaje sobie bowiem szanowny oponent fatygi zbijania obelżywych twierdzeń, lecz występuje z obroną *sui generis,* wyliczając szereg staroszlacheckich nazwisk, które uświetniły zakon jezuicki. Miażdży zaś zupełnie przeciwnika, przytaczając księcia Massimo, członka jednej z nastarszych rodzin na świecie, który wstąpił do zakonu Jezuitów i sięga aż do św. Stanisława Kostki, który, jako potomek nadzwyczaj znakomitego rodu polskiego, nie byłby chyba wstąpił do zakonu nieodpowiedniego dla szlachcica.

Heraldyka niemiecka zajmuje się dość często rodzinami polskiemi. Rozpatrywania na temat wartości *(sic)* polskiej szlachty opierają się głównie na tem, że przeważna część tytułów w Polsce jest pochodzenia niemieckiego.

To zbliża do nas polskie rycerstwo, choć zresztą nie może ono nam być sympatycznem — twierdzi niemiecki autor rozprawy w piśmie heraldycznem i zaznacza z uznaniem, że niejeden dzisiejszy książę z wyższej szlachty niemieckiej był prostym szlachcicem wtedy, gdy Radziwiłłowie, Sapiehowie, Lubomirscy, byli już książętami. Przytacza Lanckorońskich, których tytuł z ramienia niemiecko-rzymskich cesarzy sięga czternastego stulecia, przypomina, że Tarnowscy zostali hrabiami polskimi w r. 1547 a medyatyzowani książęta Thurn

Taxis dopiero w pięćdziesiąt lat później baronami, również zaś medyatyzowani książęta Windischgraetz dopiero w sto lat po Tarnowskich osiągnęli tytuł hrabiowski. O Potockich i Zamoyskich mówi, że potęgą swą równali się monarchom i kończy swe uwagi następującym klasycznym zwrotem — że Polska upadła, właściwie jest podziwienia godnem, ponieważ kraj ten wydał tak stare i znakomite rody!

W kraju, zdawien dawna przesiąkniętym feodalnemi pojęciami, zdawałoby się rzeczą łatwą ułożenie rodowodu szlacheckiego. Profesor Ottokar Lorenz w książce na ten temat, wydanej przed 10 laty, udowadnia nam, że rzecz ma się przeciwnie. Łatwą jest sprawa, jeżeli chodzi o rodowód tylko w linii ojca, najgłówniejszej w dziedziczności naturalnej. Trudną zaś bardzo, jeżeli ma on być całkowitym, tj. wymieniać wszystkich przodków po mieczu i kądzieli. Wtedy rodowód rzadko tylko dosięga dziewiątego pokolenia. Gdy bowiem liczba przodków mnoży się przy każdem pokoleniu wstecz przez dwa, wynosi ona w pokoleniu dziewiątem już 512 osób, a w dwunastem 4096. Dla cesarza Wilhelma pracują obecnie uczeni nad rodowodem do 12 pokolenia, jak dotąd bezskutecznie, a szerokie koła interesują się tem arcyważnem przedsięwzięciem. Tylko do dziesiątego jest ów rodowód zupełnym, a dalej brakuje wielu nazwisk.

Zachodzi zresztą w tym wypadku łamigłówka genealogiczna, którą prof. Lorenz rozwiązuje. Mianowicie, podwajając dalej liczbę przodków za każdem pokoleniem, dochodzimy do wyniku, iż dzisiejszy człowiek musiałby mieć za czasów wojen

krzyżowych przeszło dwa miliardy równocześnie żyjących przodków, t. j. więcej, niż wynosi obecne zaludnienie całej kuli ziemskiej. Zagadkę rozwiązuje stwierdzone prawidło, że im dalej pokolenie wstecz, tem częściej są tesame osoby po kilkanaście lub kilkadziesiąt razy przodkami jednego potomka. Dwadzieścia razy np. jest pradziadem cesarza Wilhelma Filip Wspaniałomyślny, książę heski, szesnaście razy rycerz Wolfgang von Barby.

Także mieszczańskie rodziny starają się nieraz o jaknajdokładniejsze rodowody, a zawsze dokument taki ma wartość tylko wtedy, gdy potwierdzony jest przez heroldyę jednego z państw niemieckich. Równie ścisłem jest też traktowanie przez władze kwalifikacyj szlachectwa. W Poznańskiem w ostatnich czasach całemu szeregowi zubożałych rodzin polskich zaprzeczono praw szlachectwa pomimo, że nazwiska ich znajdują się w herbarzach polskich. Właściwy dowód szlachectwa w Poznańskiem stanowi fakt złożenia przysięgi homagialnej po rozbiorach przez przodka, właściciela wsi. Rodzinom już wówczas zubożałym, lub też później do Wielkopolski przybyłym, którym władze nie potwierdziły później szlachectwa, zaprzeczanem ono bywa obecnie. Antypolski charakter tych zarządzeń zmniejsza się okolicznością, że wszędzie w Niemczech postępują władze z równą surowością. W wielu bowiem państwach Rzeszy szlachta ma dotąd osobne prawa wyborcze do ciał ustawodawczych. W Badenii i Hesyi cała szlachta osiadła na roli, wybiera własnych posłów do sejmu. W Prusiech wybierają osobnych przedstawicieli do Izby panów hrabiowie, posiadający dobra ry-

cerskie. W kuryi hrabiów wielkopolskich Polacy posiadają dotąd znaczną większość głosów, a przedstawicielem ich w tej kuryi jest obecnie hr. Seweryn Bniński, właściciel Gultów.

Feodalną pozostałością, a raczej, o ile chodzi o polską ziemię, feodalnym nabytkiem, jest również kurya wyborcza do Izby panów z dawno utwierdzonej większej własności. Dla księstwa poznańskiego istnieje norma 50-letniego posiadania dziedzicznego dóbr rycerskich i to tak samo dla szlachty, jak dla nieszlachty. I w tej kuryi mają Polacy po części większość, którą rząd stara się zmniejszyć tworzeniem nowych ordynacyj niemieckich, mających zawsze prawo głosu. Nie mają go tylko dziedziczni członkowie Izby panów, należący *ipso facto* do Izby wyższej. Tak samo istnieją dziedziczne krzesła w sejmach prowincyonalnych. Z polskich rodzin posiadają je w sejmie poznańskim Radziwiłłowie i Sułkowscy. Niektóre rodziny niemieckie uzyskały przywilej wybierania jednego ze swych członków do ciał ustawodawczych. W innych znów najstarszy wiekiem z rodu posiada stale ten przywilej.

Ciekawym objawem wpływu feodalizmu niemieckiego na stosunki w dzielnicach polskich pod zaborem pruskim są prawa i ustrój większej własności ziemskiej w Wielkopolsce. W chwili rozbiorów ustrój ten był u nas taki, jakim był w całej Rzeczypospolitej. Sto dwadzieścia lat panowania niemieckiego wycisnęło atoli na nim wybitne swe piętno.

Większa własność ziemska dzieli się na dobra rycerskie i nierycerskie. I pod tym względem

Księstwo przewyższa nawet inne dzielnice pruskie, choć nie wszystkie niemieckie. Gdy bowiem w całych Prusiech zniesiono przywileje dóbr rycerskich, w Księstwie pozostawiono im kilka bardzo ważnych. Tak np. wszyscy szlacheccy i nieszlacheccy właściciele dóbr rycerskich, choćby najmniejszych, należą do sejmiku powiatowego, nie należą zaś do niego właściciele, choćby daleko większych dóbr nierycerskich. Są majątki rycerskie, obejmujące 120 hektarów, a nierycerskie dziesięćkrotnie większe. Dalej posiadają dobra rycerskie osobną reprezentacyę w sejmie prowincyonalnym W. Ks. Poznańskiego. I to w tym stopniu, że własność rycerska wybiera 22 posłów, wszystkie gminy wiejskie i własność nierycerska razem 8, a miasta 16 posłów. Jedynie w Meklenburgii prawa dóbr rycerskich są większe. Tam bowiem zaledwie jedna piętnasta część członków sejmu wybieraną jest przez miasta, a gminy wiejskie wcale nie są reprezentowane.

Lecz powróćmy jeszcze do sejmików powiatowych. Należą do nich, jak już zaznaczyliśmy, wszyscy właściciele dóbr rycerskich, którzy z konieczności zawsze mają większość na posiedzeniach. Jest ich bowiem uprawnionych do głosowania nieraz 30 do 40. Wszystkie zaś gminy wiejskie i większa własność nierycerska rozporządza stałą normą trzech głosów, do których doliczyć trzeba po jednym głosie dla każdego z miast w powiecie. Rzadko tylko głosy nierycerskie przekraczają liczbę siedmiu, są zatem w mniejszości. Wobec walki rasowej w Księstwie nie zaznacza się jednak podział głosów pod względem społecznym. Zazwyczaj Niemcy

tworzą jednę zwartą grupę, a Polacy drugą, tak samo i w sejmie prowincyonalnym.

W sejmikach trzech powiatów istnieją też głosy wirylne, z których jednym, w pow. leszczyńskim, rozporządza książę Sułkowski, ordynat na Rydzynie, drugim, w pow. ostrowskim, książę Radziwiłł, ordynat na hrabstwie przygodzickiem, a trzecim, w pow. krotoszyńskim, książę Thurn Taxis, ordynat na księstwie krotoszyńskiem.

Nader feudalnie brzmi także ustęp pruskiej *Statistische Correspondenz*, omawiający stosunki większej własności w księstwie. Dowiadujemy się z niego, że w dzielnicy naszej posiada królewska rodzina Hohenzollernów 21 majątków z obszarem 35.000 hektarów, inni panujący książęta niemieccy 21 majątków (36.000 hektarów, książęta niemieccy nie panujący 28 majątków (42.000 hekt.), hrabiowie niemieccy 32 majątki (41.000 hekt.). Taką samą statystyką obdarzeni są Polacy. Książęta polscy posiadają majątków 44 (35.000 hekt.), rodziny hrabiowskie polskie 175 majątków (188.000 hektarów).

Jest też w księstwie, jako jedyny okaz, jedna medyatyzowana posiadłość, a mianowicie księstwo krotoszyńskie, o którem wspomniano powyżej. Nosi ono tytuł męskiego lenna koronnego. Potężny obszar tego księstwa, wynoszący około pięciu mil kwadratowych, stanowił niegdyś królewszczyznę i długi czas znajdował się w ręku Potockich, a mianowicie Józefa Potockiego, wojewody poznańskiego i hetmana wielkiego koronnego. Później, zagarnięty przez rząd pruski, został przyznany w r 1819 jako medyatyzowane księstwo

Turntaxisom w zamian za ustąpienie przez nich, na rzecz korony, monopolu pocztowego.

Zbyt szczupłemi są ramy niniejszej rozprawy, byśmy mogli dać zupełny obraz pozostałości feodalnych w Niemczech i w Poznańskiem. To jednak, co przytoczyliśmy wystarcza, by okazać, jak bardzo feodalizm ugruntowanym jest w poczuciu narodu niemieckiego, stanowiąc jednę z najistotniejszych jego odrębności rasowych. I tylko na mocy tego usposobienia narodowego wytłómaczyć sobie można objaw, któremu w następnym rozdziale poświęcimy kilka uwag, objaw na pozór najbardziej antydemokratyczny w postępowem państwie, a mianowicie ogromna rozciągłość i bezustanny a coraz szybszy wzrost liczebny instytucyj ordynackich.

IV.

ORDYNACYE.

„Podobne do skał wśród rozhukanego morza, stanęły wśród prądów naszej kapitalistycznej epoki, niewzruszone i potężne, warownie ordynacyj szlacheckich w Niemczech“.

Oto znów charakterystyczny cytat z gorącej odezwy niemieckiego stowarzyszenia szlacheckiego do rycerstwa germańskiego, by powiększało nadal i wzmacniało tę walną podstawę stałej i nieobdłużonej własności ziemskiej. Obeznany z niemieckiemi stosunkami z łatwością oceni doniosłość sprawy, którą porusza odezwa. Bez przesady można powiedzieć, że społeczne znaczenie niemieckiej

szlachty opiera się przedewszystkiem na fideikomisarnie zabezpieczonej własności ziemskiej. Ona stanowi podporę, ona pień główny, z którego rozchodzą się konary, daleko i szeroko, w inne dziedziny życia społecznego w Niemczech. Zapewniając szlachcie właściwą jej podstawę, władanie ziemią, kieruje zarazem przez swą niepodzielność cały zastęp młodszych jej synów na drogę urzędów wojskowych i cywilnych.

Przypatrzmy się rozwojowi i stanowi obecnemu tej instytucyi społecznej, nie mającej sobie równej w żadnem innem państwie kuli ziemskiej, nie wyjąwszy nawet Anglii. Ordynacye niemieckie nie są pochodzenia starożytnego. Początki ich sięgają zaledwie trzech wieków wstecz. W wiekach XVII i XVIII, gdyześrodkowanie władzy państwowej w większych monarchiach św. imperium utrudniało niezależne istnienie mniejszym potentatom, a krępowało coraz zupełniej dawną autonomię rycerstwa Rzeszy, zrozumiała w swem praktycznem usposobieniu szlachta niemiecka, że jedynie dostrojeniem się do zmienionych warunków życia i wykorzystaniem ich, potrafi zachować dotychczasowe znaczenie i wpływ. Zamiast stanąć w bezpłodnej opozycyi do większych dynastyj Rzeszy, stała się owszem przeważnie znakomitą ich podporą, a w zamian za to, użyła ich rosnącego absolutyzmu do zapewnienia sobie stale znacznych korzyści stanowych. Pomiędzy temi ostatniemi utrwalenie posiadłości ziemskiej w ręku rodzin szlacheckich należało do najgłówniejszych.

Kto nie czuł się na siłach utrzymania niezależności swego feodum rycerskiego, hrabiowskiego,

lub książęcego, ten zabezpieczał się w inny sposób. Na mocy władzy absolutnej swego państwowego zwierzchnika, ustanawiał w jego władztwie własną, nienaruszalną warownię, posiadającą, z wyjątkiem zewnętrzno-państwowych prerogatyw, znamiona wszelkie dawnej, feodalnej autonomii, po części zaś nawet rdzenniej jeszcze zapewniającą byt i świetność rodu. W określonym statutami ordynacyi majątku dziedzicznym, wszystko przypominało *en miniature* istotę władzy większego potentata, w którego kraju ordynacya powstawała. Główną rolę odgrywały w tej mierze 1-o niepodzielność dobytku rodzinnego, 2-o zasada niesprzedajności, 3-o dziedzictwo na podstawie pierworodztwa, 4-o stałe pierwszeństwo potomków męskich przed żeńskimi, 5-o utrzymanie odrębności stanowej przez warunek kardynalny i dopiero później tu i owdzie uchylony, małżeństw z kobietami równego pochodzenia. Wreszcie swoboda ustanawiania własnych praw rodzinnych.

W ten sposób szlachcic niemiecki stawał się, jeżeli nie zupełnym monarchą w swojem dziedzictwie, to przynajmniej pół monarchą, a gdy to dla niejednego stanowiło zrzeczenie się aspiracyj do niezależności zupełnej, to za to dla większej części szlachty niższej było nawet postępem na drodze rozwoju potęgi rodowej.

Toteż z biegiem lat widzimy rosnącą dążność szlachty niemieckiej do tworzenia ordynacyj, dążność, która, dziś jeszcze, nietylko nie zmniejszyła się, ale nawet istnieje w zwiększającem się stadyum. Bardzo ciekawe dane w tej mierze zawiera statystyka ordynacyi w Prusiech, zestawiona przez

królewskie biuro statystyczne w Berlinie, wydana w roku 1901, a niemniej i inne publikacye w tej mierze. Dowiadujemy się z nich, że ordynacyj w samych tylko Prusiech istnieje liczba ogromna, bo aż 1102, w ręku 983 właścicieli. Obszar tych dóbr wynosi 2,140.000 hektarów, t. j. około 4 milionów mórg polskich, a 8 milionów mórg pruskich. Dzielą się te własności według stanu właścicieli w sposób następujący:

	właścicieli	hektarów
członkowie domów panujących	24	199.000
książęta i hrabiowie medyatyzowani	38	286.000
Razem szlachta wyższa	62	485.000
inni książęta	25	236.000
hrabiowie	243	772.000
baronowie, rycerze imp. Rzym. i szlachta	556	609.000
Razem szlachta niższa	824	1,617.000

Prócz tego posiada także drobną część obszaru ordynackiego mieszczaństwo. Ustawa bowiem dzisiejsza pruska, w przeciwieństwie do bawarskiej, pozwala na zakładanie fideikomisów także osobom pochodzenia nieszlacheckiego. Mieszczanie atoli widocznie nie okazują zbytniej gorliwości w tym kierunku, posiadają bowiem tylko 97 ordynacyj i to bardzo małych. Łączny ich obszar wynosi tylko 38.000 hektarów. Odgrywa tu zapewne rolę także okoliczność, że zakładanie ordynacyj większych zależnem jest od zezwolenia monarchy, w sferach zaś rządowych pruskich zezwolenie to, o ile chętnie udzielanem jest szlachcie, o tyle niechętnie mieszczaństwu. Parlamentowi, ani też sejmowi sprawy te nie podlegają wcale. Pod tym

względem różnią się zasadniczo stosunki pruskie od sąsiednich, również niemieckich, w Austryi.

Tam bowiem tworzenie nowych ordynacyj jest rzeczą niesłychanie trudną, a wskutek tego i rzadką, gdyż potrzebną jest, według ustawy, osobna uchwała parlamentu. W Prusiech wolno tworzyć fideikomis z własności ziemskiej, przynoszącej ponad 7.5000 marek dochodu. Jestto norma tak nizka, że niema prawie wsi nieobdłużonej, którąby jej nie dosięgała. Wolno też dołączać do ordynacyi kapitały. Wtedy jednak najniższy z nich dochód musi wynosić w chwili deponowania papierów wartościowych w sądzie, co najmniej 30.000 marek. Zawsze jednak część własności ordynackiej musi stanowić posiadłość ziemska.

Prawo ordynackie jest pod pewnym względem uciążliwsze dla szlachty wysokiej, niż dla szlachty niższej. Członkowie bowiem pierwszej, zakładając ordynacyę, muszą zabezpieczyć żonie każdego ordynata, oraz młodszym jego dzieciom, apanaże. Przy ordynacyach szlachty zwykłej prawo i w tem nie krępuje założyciela. Jeżeli w statutach ordynackich poczyni on zastrzeżenia w tym kierunku, czyni to dobrowolnie. Następcy jednak, zmuszeni są, w takim razie, ustanowione apanaże wypłacać.

Istnieją rozmaite formy ordynacyj, a mianowicie senioraty z następstwem najstarszego wiekiem w całym rodzie (zakładanie nowych ordynacyj z tego rodzaju dziedzicznością jest atoli obecnie prawnie wzbronionem), dalej junioraty, z następstwem najmłodszego w rodzie, minoraty, z następstwem najmłodszego syna ordynata i wre-

szcie majoraty, najczęstsza forma ordynacyj, z następstwem syna najstarszego. Prócz tego zaś t. zw. lenna dziedziczne.

Nadzwyczaj ciekawą jest statystyka wzrostu ilości ordynacyj w Prusiech. Jak już zaznaczono, pierwsze z nich powstały w XVII stuleciu. Aż do czasów rewolucyi francuskiej i wojen napoleońskich założono ich około 500. Potem wskutek przeobrażeń państwowych w Niemczech i demokratycznych prądów, płynących z zachodu, ustało przez szereg lat wiązanie fideikomisarne ziemi prawie zupełnie. Po rewolucyi roku 1848 zostało nawet przez dwa lata zabronionem z ramienia rządu. Lecz niebawem przyszła reakcya. Od r. 1850, aż po dzień dzisiejszy, stwierdzamy wciąż rosnącą ilość zakładanych corocznie majoratów. Równolegle z wzrostem przewagi kapitału i przeradzaniem się Prus w państwo przemysłowe, równolegle z przesileniem rolniczem i obdłużeniem własności ziemskiej w drugiej połowie ubiegłego stulecia, szło zabezpieczanie fideikomisarne posiadłości tych rodzin, których stan majątkowy jeszcze był dodatnim. Objawiło się i objawia dotąd jeszcze w wysokim stopniu poczucie solidarności, cechujące rodziny niemieckie. Znane są wypadki zrzeczenia się schedy przez dorosłych już synów młodszych na korzyść najstarszego brata, sukcesora, a także darowizna kapitałów ze strony krewnych, w celu oczyszczenia z długów majątku rodzinnego, należącego do głowy rodu i umożliwienia tejże trwałego zabezpieczenia swych posiadłości. Ludzie, posiadający własny niezależny majątek, odstępowali go na rzecz przyszłego ordynata

i skazywali się dobrowolnie na konieczność zarabiania na życie w służbie państwowej, byle utrzymać świetność i stanowisko rodu w osobie jego naczelnika.

Tak daleko posunięty zmysł samozachowawczy wydał też obfite owoce. W r. 1850 było ordynacyj w Prusiech 514. W r. 1900 przeszło dwa razy tyle, bo 1102. W ciągu dwudziestolecia 1881—1900 założono ich 274.

W księstwie Poznańskiem i przyległych dzielnicach był stan ordynacyj z początkiem bieżącego stulecia następującym:

	ordynacyj	hektarów
W. Ks. Poznańskie	42	161.000
Śląsk	170	572.000
Prusy Królewskie	21	85.000
Pomorze	103	183.000
Brandeburgia	118	303.000

Co roku powstaje obecnie w obrębie monarchii pruskiej około 20 majoratów, a prąd w tym kierunku nietylko nie zmniejsza się, ale nawet rośnie. Organa związków szlacheckich wciąż nawołują do utwierdzania fideikomisarnego posiadłości.

Odezwały się też głosy, żądające tworzenia z majątków, nabywanych przez komisyę kolonizacyjną na wschodnich kresach, setek ordynacyj dla zasłużonych oficerów i urzędników państwowych pochodzenia szlacheckiego i wcale niemożliwem nie jest wprowadzenie w życie tego projektu ze strony rządu, choćby pod postacią sprzedaży owych majątków poszczególnym, z góry upatrzonym, nabywcom, po nadzwyczaj korzystnych warunkach

kupna. Byłby to rodzaj *Militärgrenze*, granicy obronnej, w niegermańskiem zaś zrozumieniu rzeczy, zaczepnej, na wschodniej granicy. Przyjaciele tego projektu zaznaczają, że wykonanie go byłoby najskuteczniejszą zaporą przeciw rosnącej tendencyi ze strony niemieckich właścicieli pozbywania się swej własności na rzecz państwa. A jeżeli już darowiznom, upozorowanym taniem kupnem, stawiłaby tamę niechęć ciał ustawodawczych, które w takim wypadku, ponieważ chodziłoby o ziemię, należącą do skarbu państwowego, miałyby głos rozstrzygający, to przynajmniej, zdaniem owych apostołów germanizmu, należałoby w jaknajwiększej mierze ułatwiać zabezpieczenie wszystkich większych majątków niemieckich na wschodzie.

W sprawozdaniach i rozprawach na ten temat podane są cyfry, rzucające jasne światło na stan obdłużenia większej własności w prowincyach na wschodzie od Elby położonych, a będących dotąd głównem siedliskiem żywiołu rolniczego na polu większej własności w Niemczech. Powyżej przytoczyliśmy dane, dotyczące ilości ordynacyj w księstwie Poznańskiem i graniczących z niem prowincyach, Śląsku, Prusach królewskich, Pomorzu i Brandeburgii. Doliczywszy do nich Prusy książęce, stwierdzamy razem w sześciu wschodnich prowincyach monarchii pruskiej ordynacyj 550. Ogólem zaś w dzielnicach tych jest 10.712 większych właścicieli ziemskich, z pomiędzy nich zaś 3644 należy do rozmaitych kategoryj stanu szlacheckiego. Z około 7.000 właścicieli dóbr stanu mieszczańskiego posiada w tych dzielnicach fideikomisy tylko 20 i to obszary bardzo małe (z tych

3 w księstwie Poznańskiem). Najczęściej zresztą założenie fideikomisu przez nieszlachcica, jest tylko środkiem do łatwego w takim razie uzyskania szlachectwa, a nie celem samym w sobie. Stąd teraz kwestya ordynacka w Prusiech jest niemal wyłącznie kwestyą wewnętrzną stanu szłacheckiego, a znaczenie jej zewnętrzne w stosunku do państwa i jego ustroju ekonomicznego, równomiernem ze znaczeniem szlachty w monarchii Hohenzollernów.

Przegląd stanu obdłużenia większej własności w Prusiech jest tego najlepszym dowodem. Ordynacye są prawie wszystkie zupełnie wolne od długów hipotecznych. Nie wolno ich zaciągać bez pozwolenia licznych zazwyczaj agnatów oraz władzy państwowej. Tylko 3% obszaru ordynackiego obciążone są długami poważniejszymi, a niestety na cząstkę tę niezdrową własności fideikomisarnej składają się przeważnie ordynacye polskie. I w tym wypadku jednak obciążenie majątku nie może być groźnem.

Jakże inaczej za to przedstawia się stan większej własności nieordynackiej i to tak samo szlacheckiej, jak mieszczańskiej. Cyfry rzucają tu światło wprost straszne. Przeglądając je zrozumieć trudno, jakim sposobem przesilenie agrarne nie przybrało większych jeszcze rozmiarów, od tych, które rzeczywistość bezustannie przed oczy stawia. I tak, według statystyki urzędowej, przeszło 70% dóbr nieordynackich obciążonych jest ponad normę, umożliwiającą racyonalne gospodarstwo. Uwzględniając przeciętne ceny, płacone w ostatnich latach za rozmaite klasy gruntu, w poszczególnych dziel-

nicach monarchii, dochodzimy do rezultatu, że ogromna większość dóbr nieordynackich obciążoną jest hipotecznie do $^3/_4$ a nieraz i $^5/_6$ swej sprzedażnej wartości. Że zaś w majątku wolnym wchodzą w rachubę także niehipoteczne długi właściciela, przeto w bardzo znacznej części wolni właściciele są tylko rzeczywistymi rządcami swoich wierzycieli.

Jeszcze wymowniejszym staje się ten obraz, gdy zważymy, że na mniej zadłużoną część własności wolnej składają się także znaczne obszary dóbr fiskalnych i rozmaitych instytucyj o hipotece zupełnie czystej. Nieobdłużony zatem właściciel ziemski prywatny, nie będący ordynatem, jest prawdziwym wyjątkiem. Z natury rzeczy wynika też, że lasy nieordynackie, o ile nie należą do państwa lub instytucyj publicznych, znajdują się najczęściej w stanie opłakanym. Gospodarstwo leśne w lasach nieordynackich w Niemczech prowadzonem jest porządnie, o tyle tylko, że niema nieużytków i że każda parcela lasu zasadzoną jest w sposób racyonalny. Ale zapas na czarną godzinę, ale kapitał w drzewie rębnem jest prawie wszędzie znikająco małym. Las, zaledwie dorosły do jakiegokolwiek użytku, pada pod siekierą, służąc jako spłata długów wekslowych, jako pokrycie niedoborów mniej korzystnego roku gospodarczego, będąc także zawsze pierwszą ofiarą w razie nierządu właściciela lub życia nad stan. A że tych różnych okoliczności jest dużo, las zaś rośnie powoli, więc też do niekorzystnego stanu obdłużenia większej własności nieordynackiej dołączyć trzeba, jako drugi czynnik ujemny, stan również nader

smutny przeważnej części lasów prywatnych, stanowiących własność wolną.

Oprócz lasów fiskalnych, lasy ordynackie są podstawą bogactwa leśnego całego kraju. W dobrach ordynackich obszar lasów jest stosunkowo bardzo znacznym. W całej monarchii pruskiej wynosi on 41% ziemi ordynackiej, w siedmiu wschodnich prowincyach 45%. Normę tę, która już jest wysoką, przekraczają jeszcze niektóre powiaty bardzo znacznie. W Poznańskiem odznacza się pod tym względem powiat odolanowski, w którym lasy ordynackie ks. Radziwiłłów i ks. Thurn Taxisów wynoszą 86% całego obszaru leśnego w powiecie. W sąsiednim krotoszyńskim 56% obszaru leśnego należy również do ordynacyi Thurn Taxisów. Na Śląsku widzimy także kilka powiatów, w których lasy ordynackie są wielce rozległe. Powiaty: jeleniogórski, raciborski i tarnowicki liczą 67%, milicki 69%, kozielski 72%, a pszczyński 79% lasów ordynackich. W tych wszystkich powiatach drzewostan jest prawdziwie świetny i nie pozostawia nic do życzenia.

Jak surową zaś bywa kontrola rodziny i władzy państwowej nad dobytkiem leśnym ordynata, dowodzi fakt, że w jednym z majoratów brandeburskich, gdy ordynat sprzedał znaczną ilość drzewa ponad normę przepisaną przez zatwierdzony plan gospodarstwa leśnego, rodzina zabroniła żydowi, nabywcy, wyrębu zapłaconych już parcel leśnych. Żyd zażądał zwrotu pieniędzy, lecz te już były przez ordynata zaprzepaszczone. Wierzyciel zatem, nie mogąc rąbać lasu, zasekwestrował dochody. Lecz już po roku ordynat umarł. Żyd stracił swoje pieniądze, a las pozostał lasem.

Toteż cały szereg ekonomistów niemieckich upatruje w zakładaniu ordynacyj jedyny ratunek przeciwko ostatecznemu upadkowi większej własności ziemskiej. E. Moritz w dziele swojem *Die Fideicomisse Preussens*, a tak samo i inni autorowie twierdzą, że tym czynnikiem, który dotąd najskuteczniej reguluje stosunki rolnicze większej własności, są właśnie ordynacye.

Ziemia, to nie fabryka, należąca do setek akcyonaryuszy, z których najczęściej każdy ma majątek, a temsamem i ryzyko, rozdzielone na różne przedsiębiorstwa. To nie fabryka, której prowadzenie jest zawsze w możliwie najlepszych rękach, zastępowanych w razie potrzeby zawsze nowemi siłami. To czynnik przeznaczony swą istotą na trwanie długie, posiadający ustrój, w którym skutek zależy najczęściej od przyczyn, leżących daleko wstecz. W rolnictwie od indywidualnych zdolności właściciela, będącego, szczególniej przy obszarach niezbyt wielkich, zarazem technicznym kierownikiem, zależy w znacznym stopniu dochód. Właściciel zaś ten, jakże często nie jest bynajmniej człowiekiem zdolności wybitnych.

Prócz tego zależnym jest dochód od warunków klimatycznych i innych zmiennych. Stałym zaś i niezmiennym jest ciężar opłacanych rocznie odsetek od długów. Z tego wynika, że racyonalnem jest jedynie to gospodarstwo, które, nie będąc obdłużonem, nie wymaga koniecznie zejścia się przypadkowego wszystkich korzystnych okoliczności, jak zwłaszcza, dzielności właściciela i dodatnich warunków klimatycznych, które jednem słowem przetrwać może nawet zbieg okoliczności

najniekorzystniejszych. Może zaś to uczynić jedynie ordynacya. Niezadłużona, posiadająca pewny i stały dochód z zabezpieczonego ustawą przed gospodarstwem rabunkowem lasu, jest ona własnością jednego z członków rodu, i, jeżeli ten członek jest dzielnym i sprawnym osobiście, stanowi ostoję i podporę społeczną, a w danym razie też materyalną dla całej rodziny. Jeżeli zaś ordynat osobiście nie jest zdolnym do dobrego prowadzenia przedsiębiorstwa rolniczego, w takim razie ustawa państwowa, a prócz niej, w jeszcze większym stopniu, statuta ordynackie, nie dozwalają mu niszczyć substancyi majątku, lecz oddają kierownictwo techniczne w inne, lepsze ręce.

Łatwem stosunkowo i normalnem jest gospodarstwo w majątku nieobciążonym długami. A nietylko łatwem dla zarządu, ale, zdaniem wielu autorów, także społecznie korzystnem dla kraju. Stwierdzoną jest rzeczą, że płace robotników rolnych i innych w ordynacyach, są wogóle wyższe niż w majątkach, walczących z ciągłym niedoborem finansowym. Wskutek tego też trwalszemi są w ordynacyach stosunki służbowe. Nie zmienia się ten stan rzeczy w folwarkach ordynackich wydzierżawionych. Zarząd ordynacyi, nie przyparty do muru grozą wysokich opłat od długów hipotecznych, nie naciąga też zbyt wysoko struny w kwestyi tenuty dzierżawnej. Baczy raczej na sprawność ekonomiczną i dzielność osobistą dzierżawcy, który, znów uzyskawszy względnie korzystne warunki, staje się trwałym pracownikiem na dzierżawionej ziemi i nie opuszcza łatwo przedmiotu sobie powierzonego.

To samo stwierdza dowodnie statystyka niemiecka o dzierżawach mniejszych. Parcelacya dzierżawna gruntów pomiędzy włościan jest i w ordynacyach częstą, a przedstawia się nader korzystnie. Tenuty nie są wysokie, dzierżawy bardzo poszukiwane, a przez to samo dobór materyału w ludziach łatwy i korzystny. Obie strony, i dzierżawca i właściciel, mają się dobrze. Są majoraty, w których cała niemal rola rozparcelowaną jest między włościan, jak np. dobra Neudeck na Śląsku, należące do hr. Henckla. Wytwarza się w takich razach stosunek patryarchalny pomiędzy właścicielem a parcelantem, oparty na wzajemnym dobrobycie [1]).

Statystyka rolnicza, wydawana przez cesarskie biuro statystyczne w Berlinie stwierdza, że w tych 20 powiatach monarchii pruskiej, które największy zawierają procent ziemi ordynackiej, ludność wiejska najmniejszy okazuje pociąg do wędrówek w dal. Stałość ekonomiczna tak potężnego czynnika w powiecie, jakim są majoraty, sprowadza także stałość w produkcyi i pobycie czynników innych. Nietylko autorowie prywatni, ale i statystyki urzędowe stwierdzają, że ordynacye wprost wpływają na zamożność i kulturę ludu okolicznego. Gustaw Schmoller w swojem dziele *Grundriss der allgem. Volkswirtschaftslehre* twier-

---

[1]) Jako drastyczne przeciwstawienie przytoczyć można przykład majątków, sąsiadujących z powyżej wymienionym, rozparcelowanych chłopom przez żydów i spekulantów po cenach arcywysokich. Lud tam zadłużony w sposób straszny, dzierżawy i własność parcel podlegają ciągłym zmianom, a społeczne stosunki ciągłym naprężeniom.

dzi, że stan śmiertelności dzieci nieletnich jest najlepszą normą do ocenienia stopnia kultury ludności. Otóż wedle publikacyj z ostatnich lat biura statystycznego berlińskiego śmiertelność dzieci nieletnich wynosi 19·6% z ogółu ludności siedmiu wschodnich prowincyj pruskich; ani w jednym zaś z 20 powiatów, zawierających największy obszar ziemi ordynackiej śmiertelność ta nie jest tak wysoką, owszem, przeważnie znacznie niższą, bo schodzącą po części aż do 9%.

Wpływ społeczny własności fideikomisarnej, stwierdzają nawet wyniki wyborów. Wszędzie tam, gdzie ordynacyj najwięcej, stwierdzić można najmniejszą ilość głosów socyalistycznych po wsiach. Wyjątek stanowią tylko ordynacye, zawierające wielkie przedsiębiorstwa kopalniane lub fabryczne na Śląsku i w kilku księstwach środkowych Niemiec.

Niesłychanie znamienną jest okoliczność, że, jak wprost przyznają niektórzy autorowie socyalistyczni, ordynacye są największą zaporą do rozwoju przeciwieństw społecznych na wsi, a temsamem zaostrzenia się kwestyi socyalnej. Karol Kautsky, występując przeciwko coraz częstszemu zakładaniu fideikomisów, przyznaje zupełnie otwarcie, że czyni to głównie ze względów politycznych. Toteż zakładanie majoratów, nie napotykając z żadnej strony na poważne trudności, postępuje szybkim krokiem. Już dziś siódma część całego obszaru większej własności na Śląsku wolną jest od długów i zabezpieczoną fideikomisarnie. A jak tam, tak w całych Prusiech każde dziesięciolecie wykazuje rosnącą liczbę nowych majoratów. Skala

postępująca przedstawia się w cyfrach bardzo wymownych. Nowych majoratów założono

od roku		1850–60	40
„	„	1860–70	70
„	„	1870–80	84
„	„	1880–95	194

Tragiczny dla nas temat stanowi kwestya ordynacyj polskich w Prusiech. Przez całą drugą połowę ubiegłego stulecia, zakładanie majoratów przez Polaków nie napotykało na poważne trudności. Owszem, system pruski, mimo wzrastającej zajadłości antypolskiej, w tej jednej dziedzinie gospodarstwa krajowego, okazywał się raczej bezstronnym. Ogólny prąd w państwie przeważał pod tym względem nad specyalnym bojkotowania rolnictwa polskiego. Nawet uchwalenie funduszów kolonizacyjnych i walka na życie i śmierć, wypowiedziana większej własności polskiej, zrazu nie zmieniła tego stanu rzeczy. Wykupywano dobra od Polaków, a równocześnie zezwalano do ostatnich czasów szlachcie polskiej na zabezpieczanie swych posiadłości statutem ordynackim. Z pomiędzy bardzo nielicznego szeregu istniejących majoratów polskich, kilka powstało w ostatniem ćwierćwieczu. Od czasów *Kulturkampfu* i rozpoczęcia najostrzejszej akcyi antypolskiej, powstało 9 majoratów polskich, a z tych 7 od czasu uchwalenia przez Izby pierwszych sum na kolonizacyę. Obecnie toczą się rozprawy trzech rodzin polskich z rządem o założenie majoratów.

Lecz jakże skorzystali Polacy z tej jedynej niemal, a dziś już także utrudnionej sposobności zawarowania i utwierdzenia swej własności ziem-

skiej! Upadały wskutek działów lub dla innych powodów potężne fortuny jedna po drugiej. Kurczyła się ziemia ojczysta, a prawie nikomu nie przychodziło na myśl, że łatwem jest tę ziemię w sposób trwały zabezpieczyć w ręku rodziny.

W polskich rękach pozostaje obecnie w księstwie poznańskiem tylko 16 z pomiędzy 42 istniejących ordynacyj. Z tych posiadają po dwie, rodziny Potockich, Łąckich i Kwileckich, a po jednej: Radziwiłłów, Czartoryskich, Sułkowskich, Potulickich, Bnińskich, Czapskich, Węsiersko-Kwileckich, Skórzewskich, Taczanowskich, Twardowskich. Niegolewo-Niegolewskich jest minoratem. Do niemieckich zaliczać należy od niedawna wielką ordynacyę obrzycką, Raczyńskich, wskutek rodzinnych niechęci założyciela przekazaną zniemczonej linii tego rodu, z pominięciem bliższej polskiej. Na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej polskiej, większym półtrzecia raza od monarchii pruskiej, liczba polskich ordynacyj, włącznie z temi, które położone są w Poznańskiem, wynosi około czterdziestu, a zatem cztery razy mniej, niż liczba ordynacyj niemieckich w samym tylko Śląsku. Najstarszą z ordynacyj polskich w księstwie jest majorat Rydzyński Sułkowskich, założony w r. 1783, najmłodszą majorat Dąbecki Bnińskich, zatwierdzony przed pięciu laty. Ordynacyami objętą jest dziesiąta część całej większej własności ziemskiej, a mniej więcej dziewiętnasta część całego obszaru W. Księstwa. Niestety, większość ich jest niemiecką.

Ciążyło jakby jakieś fatum na usposobieniu szlachty wielkopolskiej. Razem liczą majoraty polskie w księstwie tylko 78.000 hektarów. Dzieje

poszczególnych rodów rzeczywiście są tragiczne. Sam jeden ród Mycielskich stracił w przeciągu ubiegłego stulecia szereg wspaniałych kluczów, obejmujących blizko 100 folwarków, a jeżeli sięgamy do czasów dawniejszych, cyfra ta zdwaja się jeszcze. Dość powiedzieć, że posag córki Józefa Mycielskiego, wojewody inowrocławskiego, obliczano na 15 milionów złp. Dziś z całej tej świetności pozostało w ręku wielkopolskich członków rodziny 24 wsi i folwarków z obszarem 10.000 hektarów.

W tymsamym okresie czasu, t. j. w ciągu ubiegłego stulecia, w sąsiednich dzielnicach sam ród książąt Hohenlohów, posiadający już wiele ordynacyj innych, założył 3 nowe, potężne majoraty, liczące 100.000 hektarów obszaru, a zatem, bez mała tyle, ile wszystkie dobra galicyjskie, najbogatszej w tej dzielnicy, rodziny Potockich.

Drastycznym jest także przykład rodziny ks. Sułkowskich, posiadającej ordynacyę rydzyńską. Ród ten stracił co do jednej wszystkie liczne włości, które jeszcze przed 40 lub 50 laty posiadał w księstwie, stracił między innemi hrabstwo leszczyńskie, dziś dziedzictwo hakatysty Hansemanna. W rękach Sułkowskich pozostało wyłącznie to tylko, co było związanem statutem ordynackim, t. j. sama Rydzyna z miejską Górką, a i te włości, w razie śmierci bezdzietnej obecnego ordynata, wskutek niedość jasno ułożonego statutu, zagrożone są przejściem w obce ręce. Ogromne obszary stracili Potuliccy, Grabowscy, Szołdrscy, i wiele innych rodzin. Tak więc nie umieliśmy

skorzystać z tego jedynego, dla nas wartość mającego, objawu ducha feodalnego.

Bardzo surowemi są zazwyczaj w ordynacyach szlacheckich przepisy dotyczące szlacheckiego pochodzenia potomstwa. Zawsze niemal syn mieszczanki, choć prawowitej małżonki, pozbawionym jest spadku po ojcu.

Zdarzają się w tej mierze wypadki bardzo dramatyczne, szczególniej tam, gdzie ordynat ożeniony z mieszczanką, nie pozostawia majątku alodyalnego. Wtedy jedynym spadkobiercą staje się oznaczony statutem krewny, nieraz bardzo daleki, własne zaś dzieci zmarłego i żona, pozostają oczywiście bez grosza, bez jakichkolwiek praw do apanażów, stają się z dnia na dzień nędzarzami.

W polskich ordynacyach księstwa Poznańskiego raz tylko, i to w ostatnich czasach, zdarzył się wypadek poślubienia nieszlachcianki przez ordynata. Małżeństwo to atoli dotąd jest bezdzietne. Za to w rodzinach niemieckich tak księstwa jak innych dzielnic, nie brak pod tym względem drastycznych przykładów.

Znaną jest sprawa hrabiego Pappenheima, który poślubił córkę amerykańskiego milionera Wheelera. Hrabia nietylko że był ordynatem, ale należał do wysokiej szlachty. Toteż karę poniósł niesłychaną. Nietylko, że dzieciom zaprzeczono wszelkich praw do sukcesyi i godności ojcowskich, ale nawet hrabiego samego zmuszono do zrzeczenia się ordynacyi. Został wykreślony z listy medyatyzowanych panów, stracił tytuł *Erlaucht*, w kalendarzu gotajskim spadł do rzędu zwykłych hrabiów z niższej szlachty, a żonie jego tak doku-

czano, że uciekła do Ameryki i zamieszkała przy ojcu w Filadelfii.

Ostrożniejszą była córka innego milionera zamorskiego, pana Pullmanna, t. zw. króla wagonowego, zaręczona z księciem Isenburgiem. Dowiedziała się już po zaręczynach, że według praw domowych medyatyzowanego rodu Isenburgów, od dnia ślubu nietylko nie będzie księżną, ale zostanie obdarzoną jakiemś osobnem mieszczańskiem nazwiskiem,i to z łaski, bo właściwie nawet do tego nie będzie posiadała prawa. Dowiedziała się dalej, że dzieci jej będą wydziedziczone, ona sama nie przyjmowaną na żadnym dworze niemieckim.

Zrozpaczona opowiedziała to wszystko ojcu, który kazał jej natychmiast odesłać pierścionek, sam zaś z feodalnym narzeczonym rozprawił się podobno w sposób bardzo amerykański, a mało dla tak wysoko urodzonego młodzieńca zaszczytny. Najciekawszem zaś to, że następnie stary Krezus amerykański odebrał od rodziny Isenburgów powinszowania, że słusznie skarcił chciwego złota młodzika. Nie dziw też, że nikomu nie jest tak trudnem ożenić się w sferach finansowych, jak członkom niemieckiej szlachty wyższej, a niemniej i ordynatom szlacheckim wogóle.

Nieraz nawet w rodzinach, nie posiadających ordynacyj, małżeństwo z nieszlachcianką pociąga za sobą ten skutek, że dzieci z takiego małżeństwa tracą prawo do tytułu ojcowskiego, choć zatrzymują nazwisko.

W Poznańskiem, w trzech polskich rodzinach Ponińskich, Żółtowskich i Czarneckich istnieją tytuły, których dziedziczność zależną jest od po-

chodzenia szlacheckiego matki, a prócz tego od posiadania oznaczonego majątku i to nie ordynackiego, a więc narażonego na działy. Przepisy te są oryginalną pozostałością z dawnych ustaw, zabraniających szlachcie żenić się z nieszlachciankami.

Jeszcze w r. 1739 król pruski Fryderyk Wilhelm I wydał edykt grożący surowemi karami kawalerom stanu szlacheckiego, którzyby chcieli poślubiać „córki kramarzy, piwowarów i — artystów!“ W przekonaniu, że spełnia święty swój obowiązek, dodał nawet zapalczywy monarcha osobne rozporządzenie przeciw pastorom, którzyby w takich wypadkach udzielili ślubu. Karą naznaczoną było odrazu pozbawienie urzędu i pensyi.

Znaczna ilość ordynacyj nie stanowi rzeczywistej własności rodziny, lecz podpada pod prawa lennicze. Takie lenno, po wygaśnięciu rodu, któremu zostało nadane, nie przechodzi na dalszych spadkobierców, lecz wraca do korony. Do tej kategoryi należą najstarsze majoraty, istniejące już w czasach, poprzedzających powstanie właściwej instytucyi ordynackiej. W historyi niemieckiej szlachty przez Strantza i w gruntownem dziele Lüniga p. t. *Corpus iuris feud. germ.* znajdujemy zazwyczaj ciekawe szczegóły dotyczące obowiązków lenników. Istniały lenna jastrzębie (*Habichtslehen)*, których właściciel składał corocznie sokoła. Lenno szubieniczne (*Galgenlehen)*, obowiązywało do dostarczania, w razie potrzeby, przyborów do wieszania. W okolicach Darmstadtu istniało lenno ośle z obowiązkiem dostarczania corocznie pary osłów. Takie lenna rozmaite nadawano jeszcze w XVIII wieku w południowych Niemczech n. p.

w Hessyi. Z wszystkich tych obowiązków lenniczych nie pozostało dziś ani śladu. Pozostało natomiast prawo sukcesyi monarchy lub państwa po wygaśnięciu rodziny. Takiem lennem jest między innemi wymienione już księstwo krotoszyńskie w południowej części Wielkopolski, należące do książąt Turntaxisów. Niekiedy i z wolnej woli fundatora ordynacyi, sukcesya korony bywa zabezpieczoną. Ogółem wziąwszy, lenna, co do swej używalności, nie różnią się od rzeczywistych majoratów i w statystyce urzędowej stale są do tych ostatnich zaliczane. Ogólna liczba lenn w Prusiech wynosi 285.

Jak rozmaitym jest obszar poszczególnych ordynacyj, tego dowodem, że w 94 majoratach wynosi on poniżej dwustu mórg polskich, czyli czterystu pruskich, a tylko w 89 ponad dwadzieścia tysięcy tych ostatnich. Co prawda, należą do nich takie dobra, jak księstwo pszczyńskie na Śląsku, mające obszaru ponad 100.000 mórg polskich i w tej dzielnicy położone księstwa Hohenlohów na Raciborzu i Ujeździe, razem od poprzedniego o połowę większe.

W epoce naszej, gdy z rosnącą przewagą kapitału, ziemia coraz bardziej staje się towarem, gdy przez rozwój komunikacyj światowych rozszerza się z roku na rok zakres międzykrajowej konkurencyi, feodalizm niemiecki na tem właśnie polu utwierdza większą własność i zasadnicze podstawy jej istnienia. Idąc z prądami chwili, staje się także czynnikiem w walce rasowej na wschodnich kresach państwa i w walce tej spodziewa się znaleźć nową racyę bytu i rozwoju. Za romantyczno-przestarzałą formą, kryje się treść żywotna.

Nam Polakom, którzy niegdyś z tegosamego feodalizmu odmienną postacią walczyliśmy pod Płowcami i Grunwaldem, dziś znowu przychodzi z nim się spotykać. Więc jedno i drugie, tak forma jak treść, tak duch, z którego czyn wyrasta, jak czynu samego objawy, zasługują na uwagę naszą. Zarazem zaś ujawniając jedyną z rdzennych, a taksamo w innych dzielnicach życia istniejących odrębności rasowych, dają one świadectwo prawdzie, że niespożytą jest samorodność społeczeństw i niczem niestartemi przyrodzone ich właściwości.

Narody są jak rzeki. Z własnego płynie każda źródła i do własnego dąży ujścia.

WALKA Z „NADCZŁOWIEKIEM".

Po Sedanie Francya niespodziewany pogrom swej chwały wojennej tłómaczyła frazesem — zwyciężył nauczyciel pruski.

Frazesem tym obrażona duma społeczeństwa, pamiętającego bitwę pod Jeną, przesuwała zagadnienie na teren współzawodnictwa kulturalnego. W rzeczywistości zwycięstwo było tylko wynikiem lepszej organizacyi wojskowej i większych zdolności strategicznych u wodzów jednego z obu wysoce kulturalnych narodów.

Inaczej mają się rzeczy na wschodniem skrzydle germańskiej potęgi. Tu oddawna nie wojenne zapasy, ale właśnie walka dwóch kultur, współzawodnictwo duchów dwóch ras stanowi o obustronnych sukcesach i porażkach.

I trudnem, zaprawdę, zadaniem jest charakterystyka tej walki, której istota składa się, obok grzmiących uderzeń żelaznej pięści, z odcieni subtelnych, z objawów, sięgających głęboko, aż do rdzenia duszy ludów. Ale zadaniem wdzięcznem. Jedynie bowiem z istoty rozprawy na kresach wschodnich Niemiec, a zachodnich Polski i Słowiańszczyzny, można wnosić o dalszym walki przebiegu i przyszłych wynikach.

Po obu stronach, tak polskiej, jak niemieckiej, widzimy w czasach ostatnich poważne usiłowania w kierunku wytworzenia sobie syntezy całego zjawiska walki rasowej u nas.

Po stronie niemieckiej punktem zwrotnym w tej mierze stała się sprawa wrzesińska. Krzyk dzieci pobitych nietylko dotarł do serc uczciwych, nietylko obudził sympatyę w szerokim świecie dla ofiar pruskiego systemu szkolnego, nietylko poruszył niejedno drzemiące sumienie i wzbudził tu i owdzie platoniczną obronę.

Jego odgłosy podziałały także w sposób odmienny, zniewoliły do zastanowienia się umysły tych, którzy uznają tylko rozum stanu, a których sumienie, zaprawione filozofią Nietzsche'go, chce prawdę poznać, by i z niej uczynić narzędzie przemocy.

Ten, w którego imieniu bito we Wrześni, nadczłowiek germański, usłyszawszy na polu bitwy głos nowy, nieznany mu dotąd, głos idący już nie z ruin warowni szlacheckich, ale z pól i łanów, z tej samej ziemi, o którą bój się toczy, zastanowił się i spojrzał wkoło siebie.

I zobaczył rzeczy dziwne. Nadstawił ucha i usłyszał jeszcze dziwniejsze. Oto z chat włościańskich, z warsztatów rzemieślniczych wychodzą nowe postacie i stają do szeregu. Nie od dziś stanęły, bo ich już dużo, bardzo dużo, jak okiem sięgnąć. Tylko on ich dotąd nie widział, lub spojrzawszy na nie przelotem, nie ocenił ich zastępu. Zajęty był zanadto waleniem starych szeregów.

A tymczasem nowe wstają nieustannie, a nie tylko nowe, lecz także inne. Hasło mają dawne,

te same, ale na nutę odmienną. Zamiast konfederatki na głowie, w ręku lemiesz lub wagę kupiecką, a zamiast szabli przy boku — ołówek w zanadrzu i notatnik z rubrykami *debet* i *credit*.

I nadczłowiek, że rozumem się rządzi, zafrasował się wielce. Bo im dłużej patrzał, tem smutniejszem zdało mu się pole walki, tem więcej spostrzegał błędów w dotychczasowej taktyce zdobywczej swoich, bardziej krzepkich, niż roztropnych ziomków. Ujrzał hakatyzm, na który dotąd spoglądał jako na taran i przedmurze niemieckości, nagle w świetle innem, jako bezrozumną a wściekłą tłuszczę, pędzącą na oślep, dmącą dniem i nocą w tysiące trąb, które musiałyby zbudzić choćby umarłego wroga, podpalającą, by się ogrzać trochę przy ogniu, całe bogate żniwo, które, po części, już, już czekało na germańskiego żniwiarza.

Lecz hakata nie sama. Leci za nią junkier, który rozumie tylko obcesem rzucać się na przeciwnika, leci student zawadyaka, nawet mieszczucha filistra ogarnął jakiś szał. Podskakuje niezgrabnie i woła: *All Heil.*

A rząd królewski? Ba, minęły dawno czasy starego Fryca, gdy opinia publiczna odzwierciadlała się w lustrach królewskiego gabinetu w Sanssouci. Dziś opinia jest królową, z nią trzeba żyć w zgodzie. Ją trzeba zająć koniecznie czemś, co ona lubi, inaczej bowiem zaczęłaby nudzić się i sięgnęłaby po zabawki bardzo niebezpieczne, po rzeczy najbliższe, najbardziej osobiste tych, którzy władzę dzierżą najwyższą.

Więc na boisko wielkiego amfiteatru puszcza się ofiarę, wielkopolskiego konika, na którym jeź-

dzi, kto chce z publiczności, a nawet czasem wysokie towarzystwo z pierwszych lóż. Opinia cieszy się, ludek klaszcze w dłonie, w łożach radość, że naród ma *panem et circenses*, a tymczasem po za amfiteatrem dzieją się już nie zabawki, rozszalała sfora leci na wschód, nad granicę i fundament potęgi pruskiej i tam hula, nie bacząc na skutki. Nadczłowiek dba zaś tylko o skutki, więc patrząc na to, co się dzieje, widzi, że dzieje się źle i, zagniewany, czyni z sobą rachunek sumienia, by poznać swe błędy i naprawić je, ile można, ile jeszcze można.

Bo stracono już, zmarnowano bardzo wiele. Zbudzono czujność i odporność przeciwnika, a prócz tego zatracono świetną tradycyę wiekowego systemu germanizacyjnego na wschodzie. Tradycya ta dziś zagubiona, zda się, niepowrotnie, wypływała z ducha narodu germańskiego, wynikała z naturalnego instynktu kolonizacyjnego u Niemców, który praktyczną drogą wzbogacił olbrzymiemi nabytkami swą ojczyznę.

Powoli, nieznacznie, infiltracyą kulturalno-ekonomiczną zniemczał był Szląsk w swej większości zupełnie, w jednej trzeciej przynajmniej w wyższych warstwach. Zniemczały bardzo znacznie Prusy królewskie, w których, pomimo że dopiero w ośmnastym wieku Niemcy niemi politycznie zawładnęły, niebawem germanizacya takie poczyniła postępy, że przed laty kilkudziesięciu w niewielu tylko polskich dworach wyłącznie polskim posługiwano się językiem. W Księstwie samem kolonizacya niemiecka od XIII wieku postępowała nieprzerwanie. Panowie polscy przez pięćset lat

chętnie sprowadzali osadników niemieckich. Rzeczpospolita na oścież roztworzyła swe bramy dyssydentom, napływającym po wojnach religijnych w Niemczech. Miastom zakładanym dla nich i przez nich nadawano prawa większe, niż osadom polskim.

Nawet rozbiory nie powstrzymały tego prądu autogermanizacyjnego wśród Polaków. Pomnikiem jego jest reskrypt króla pruskiego do ordynata Andrzeja Zamoyskiego, który dobrowolnie uposażył 80 rodzin kolonistów niemieckich. Drukowane to i w swoim czasie szeroko rozpowszechnione pismo chwali polskiego pana za patryotyczne niemieckie usposobienie. A nie był ten magnat jedynym. Kolonizacya szła aż w głąb Małopolski, powstawały osady i miasta niemieckie. Rosły aż do ostatnich niemal czasów punkta oparcia dla niemczyzny w Królestwie. Wielkopolska zaś nietylko, że bez żadnego oporu przyjmowała kolonizowanie z ramienia rządu, które, mianowicie powiaty nadnoteckie w wysokim stopniu zniemczyło, ale nawet, pomimo rozpoczynającej się już wojny rasowej, pomimo drażniących i ostrzegających występów administracyi pruskiej przed wojną francusko-niemiecką i przed rozrostem obecnego szowinizmu wielkoniemieckiego, nieznacznie lecz stale przejmowała się zwyczajami i kulturą specyficznie niemiecką.

Dzisiejsza generacya pamięta z lat młodzieńczych, że nie wielu poczuwało się do obowiązku popierania nielicznych zresztą wówczas handlów i składów polskich. Starsi pamiętają, że nawet sprzedaż ziemi w ręce obce nie hańbiła nikogo. Mówiono wiele i rozprawiano o patryotyzmie, cho-

wano, jak relikwie, szablice z powstań, ale w gruncie rzeczy otwierano napływowi niemieckiemu drzwi i okna. Jeszcze wcale niedawno temu zupełnie zwykłem zjawiskiem był domowy lekarz Niemiec w polskim domu. Uczono się języka niemieckiego więcej, niż tego szkoły żądały. Goethe, Szyller i Heine byli równie popularni wśród intelligencyi wielkopolskiej, jak wśród niemieckiej. Z dziś żyjących i czynnych osobistości politycznych wiadomem jest o dwóch bardzo znanych, że za młodu w domu rodzicielskim mówiły przeważnie po niemiecku.

A teraz! Na Szląsku otwartą kwestya polska, a w Księstwie i Prusach królewskich coraz bardziej uświadomiony chłop, zszeregowane wyższe i niższe mieszczaństwo, w miasteczkach powstaje jeden handel polski po drugim, szlachta resztki swego dobytku uważa za własność narodową i broni ich, jak nigdy poprzednio. Marnotrawca i niezdarny rolnik wytykany jest palcem przez swoich. Sprzedawczyka piętnuje opinia publiczna. Cała ta falanga wyrabia się moralnie. Hartują się jednostki, społeczeństwo całe przechodzi twardą lecz skuteczną szkołę, która czyni z niego zbiorowisko indywidualności coraz tęższych, coraz lepiej zaprawnych do odporności. Niemiec ogląda się coraz więcej na pomoc państwową. Miliony kolonizacyi i przeróżne kształty, które przybiera ingerencya państwowa, osłabiają jego energię, przyzwyczajają go do polegania na złotodajnym opiekunie, który nigdy nie zawodzi, coraz hojniejszy, coraz rozrzutniejszy na jego korzyść.

Wybrednym stał się niegdyś dzielny i przedsiębiorczy pionier niemieckości na Wschodzie. Potrzeba mu wygody i wczasu. Rolnik niemiecki ma większe potrzeby osobiste i domowe, niż polski. Właściciel większy spekuluje coraz częściej na to, że ziemię swoją sprzeda po wysokiej cenie rządowi. Kolonizacya bezustannie wykupuje całemi tuzinami dobra niemieckie i jeżeli tak dłużej potrwa, za lat dwadzieścia będą Niemcy prawie zupełnie pozbawieni niezależnego stanu większych właścicieli na spornym Wschodzie. Pozostaną tylko najliczniejsze co prawda ordynacye niemieckie w nowej dzielnicy. Ekonom rządowy zastępuje samoistnego posiadacza zżytego z krajem, jak drzewo z ziemią, z której czerpie swe soki. Parcelacya zaś, na którą izba uchwaliła już czterysta milionów, sprowadziła dotąd zaledwie sześćdziesiąt tysięcy Niemców do obu dużych dzielnic.

Ci znów osadnicy, to nie koloniści dawni, wolni od przeciwieństwa do ludności miejscowej. To nie kwiat, nie najruchliwsze, najdzielniejsze, najbardziej przedsiębiorcze żywioły w rolnictwie i kupiectwie germańskiem, ale te, które u siebie sprostać nie mogły trudnym wymogom położenia społeczno-ekonomicznego i zwabione przynętą dobrodziejstw urzędowych, idą na wschód, bo wierzą, że tam łatwiejsze będą miały życie.

A tymczasem życie to nietylko nie łatwiejsze, ale nieraz dla kolonisty bardzo ciężkie. Trzeba znać osobiście cały szereg nowych osad niemieckich, szczególniej nad samą granicą Królestwa położonych, by zrozumieć i odczuć rzeczywiste niedomagania tego szablonowego systemu osadniczego.

Pieniędzy oczywiście nie brak. Płyną one nieustającem korytem z kas rządowych. Powstają domy i gospodarstwa, zbudowane porządnie. Osadnik najczęściej dostaje wszystko gotowe, rolę, dom, nawet bydło. Dostaje opiekuna pod postacią urzędnika rządowego, który słucha wszystkich skarg, spełnia ile może, wszelkie żądania.

Ale nie dostaje, bo tego nikt mu dać nie może, dzielności osobistej, tak wybitnej, takiego hartu i panowania nad sobą, by w zmienionych nagle, a zupełnie, warunkach życia, w nowej atmosferze podarunków i pieczonych gołąbków umieć jednak zachować własną osobistą produktywność, by, usunięty pozornie z terenu walki o życie, zachować jednak zdolności do tej walki potrzebne.

I dzieje się z kolonistą to, co się dzieje z każdym Niemcem na wschodzie, słabnie jego energia, rosną potrzeby i wymagania, maleje odporność wobec jakiejkolwiek przeciwności. Biura komisyi kolonizacyjnej przepełnione są skargami i coraz nowemi żądaniami. Jeden osadnik po drugim występuje z oświadczeniem, że ponosić nie może nawet drobnych ciężarów finansowych, które na niego przypadają, a częstokroć zaledwie rozdana parcela znów powraca do rąk rządowych.

Pomimo szalonych zaiste wydatków rządu na te cele, pomimo amerykańskiej iście reklamy, która nawet ściany dworców kolejowych i wagony pociągów osobowych zdobi nęcącemi ogłoszeniami, nowoczesna kolonizacya coraz mniej znajduje amatorów w rdzennie niemieckich krajach, gdzie listy już osiedlonych i skargi powracających ustaliły jej poprostu złą reputacyę. Doszlo do tego, że

chcąc zaradzić brakowi osadników postanowiono przywabić kolonistów z dalszego wschodu, z gubernii imperium rosyjskiego i z Galicyi. Atoli i tu i tam po pierwszych próbach zapał wcześnie ustał, a galicyjscy Niemcy z wiosek podlwowskich niedawno temu na zebraniu ad hoc odbytem uchwalili ogłoszenie odezwy do swych osiedlonych w pobliżu współrodaków, przestrzegając ich przed złudzeniem, jakoby przeniesienie się pod skrzydła opiekuńcze poznańskiej komisyi kolonizacyjnej było dla nich połączone z jakimkolwiek pożytkiem. Tyle tylko osiągnęła akcya rządu pruskiego w tym kierunku, że pierwsi koloniści galicyjscy zwabieni do księstwa, sprzedali swoje grunta galicyjskie tamtejszym chłopom polskim lub rusińskim. W ten sposób w zwarte od stu lat osady niemieckie wniknął obecnie żywioł miejscowy słowiański torując drogę zupełnemu spolszczeniu lub zrusińszczeniu owych wiosek.

Tak zatem cały proces kolonizacyjny opiera się na niezdrowych podstawach. Sztucznie forsowana sprawa z coraz nowemi liczyć się musi przeciwnościami, coraz więcej inicyatorowie jej dbać muszą o uratowanie pozorów i o poświęcanie dla nich istotnej treści swych pierwotnych dążeń. Materyał ludzki w osadnictwie coraz nieodpowiedniejszy, nakłady rządu coraz większe. Stąd też pochodzą owe powtarzające się utyskiwania na fantastyczność bilansów kolonizacyi, która korzystając z tego, że bilans przedsiębiorstwa rolniczego z natury rzeczy trudno jest ułożyć w sposób dający absolutną gwarancyę co do rzeczywistości zysku i straty, składa reprezentacyi ustawodawczej co-

roczne sprawozdania tak silnie koloryzowane, że coraz częściej, nawet sprzyjające rządowi czynniki przejęte są wobec nich niepokojem.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa w osadach z dawna niemieckich. Tam rządowy róg obfitości nie działa już tak bezpośrednio. Wpływ jego jednak uwydatnia się pośrednio jeszcze niekorzystniej. Chłop niemiecki wychowany obecnie w zasadach, że stanowi rasę wyższą, stworzoną do używania, czytający bezustannie w pisemkach hakatystycznych skargi, że rząd jeszcze za mało ponosi ofiar dla wzmocnienia dobrobytu Niemców na wschodzie, słabnie w swej przedsiębiorczości, oczekuje wiecznie jakichś nadzwyczajnych zasiłków i subwencyj i ma ciągłe uczucie, że mu się dzieje krzywda. Nieraz pozbywa się swego gruntu na rzecz Polaka, a syn jego, gdy idzie na robotę na zachód, coraz częściej żeni się tam i osiedla, podczas gdy polscy robotnicy, gdy tylko mogą, wracają do kraju i trzymają się roli.

W książkach niemieckich na ten temat pisanych, nieustannie widzimy utyskiwania na to, że kawałek roli, który wyżywi zaledwie jedną rodzinę niemiecką, wystarcza, podzielony, kilku rodzinom polskim. Statystyki niemieckie z dwudziestopięciolecia 1870 do 1895 stwierdzają, że wśród ludności zajętej na obszarach dworskich Niemców ubyło 10% Polaków przybyło 14·5%. W gminach wszystkich Niemców ubyło 3%, Polacy wzrośli o 14%. W miastach zaś, gdzie wpływ stosunków ogólnych społeczno-narodowych jeszcze silniej się uwydatnia, wzrosła ilość Polaków o 30%, podczas gdy ludność niemiecka powiększyła się tylko o 1%.

Zważyć zaś trzeba, że statystyki te są tendencyjne, że gdzie tylko istnieje choćby cień jakiegoś uprawnienia lub pozoru, zapisuje się ludzi jako Niemców, choćby przeciwko temu sami protestowali. Tem większą zatem wagę mają te dane pod względem ubytku ludności niemieckiej w księstwie, do których się przyznają Niemcy sami.

Nie najmniej objawiają się dla Niemców skutki panującego systemu repressyi w dziedzinie administracyi. Niezdrowe i niemiłe stosunki w dzielnicach wschodnich oddawna już sprawiają, że kto tylko może, uchyla się od przyjęcia posady urzędniczej poza dzielnicami rdzennie niemieckiemi. Rząd prawdziwą pressyę wywierać musi na urzędników, by ich zniewalać do przesiedlenia się na wschód. To też napływają tam przedewszystkiem te żywioły urzędnicze, które wśród swoich nie spodziewają się powodzenia i karyery.

Wysłanie do prowincyi nadgranicznych wschodnich nazywa się, utartem w sferach urzędniczych wyrażeniem, *Verbannung nach Polen*, wygnaniem do Polski. Nawet w wojsku przeniesienie do garnizonów poznańskich jest dla oficera prawdziwą przykrością. Niezależni zaś od rozkazów z góry członkowie niemieckiej arystokracyi, posiadający u nas dobra ziemskie, wogóle i zasadniczo w nich nie mieszkają, oczywiście dlatego tylko, że warunki życia są dla nich mniej przyjemne, niż na zachodzie.

Typowym pozostanie przykład księcia Stolberg Wernigerode, właściciela dóbr Borzęciczki w powiecie Koźmińskim, który lat temu kilka przybywszy do swoich dóbr rozejrzał się wśród

sąsiadów i przeważnie wśród Polaków znalazł domy, z któremi towarzysko mógł obcować. Że zaś obcowanie takie jest potępianem przez sfery dworskie, więc książę co prędzej zwinął manatki i przebywa głównie w swych ojczystych stronach niemieckich. Przyczyniła się do tego zapewne też okoliczność, że zaprosiwszy sąsiedztwo na uroczysty inauguracyjny obiad, z towarzyskich względów zaprosił kilku panów z arystokracyi polskiej, a ze względów narodowych kilku Niemców okolicznych, pomiędzy nimi pastora sąsiedniego. Ten ostatni, niesłychanie zaszczycony zaproszeniem tak wielkiego pana, zapragnął wyrazić mu swą wdzięczność i uczynił to w taki sposób, że wzniósł toast na cześć księcia, jako dowódcy Niemców okolicznych przeciw Polakom. Książę przeprosił gości polskich za niegrzeczność źle wychowanego Niemca, jego zaś zgromił wobec wszystkich. Potem jednak zrezygnował z przyjemności dalszego pobytu w uroczej atmosferze hakatystycznych kresów wschodnich.

Jednemu ze znajomych skarżył się oficer, że nie może w Poznaniu nawet zjeść obiadu, tam gdzie lepsza kuchnia, w Bazarze Poznańskim, bo Bazar ten jest polskim. Kto tam idzie, źle jest notowany u góry. W ten sposób od chłopa do oficera i medyatyzowanego księcia wszyscy Niemcy odczuwają nawet w drobnych szczegółach życia codziennego nieznośny stan rzeczy, wytworzony przez zajadłość hakatystyczną. Odczuwają go także Polacy, ale u nich wywiera on skutek odmienny. Ich podtrzymuje uczucie, że walczą o ziemię ojców, o kraj rodzinny, dla nich każda przeciwność, każde

prześladowanie czyni tę ziemię, ten kraj, jeszcze droższym, jeszcze bardziej ukochanym.

Więc bystrzej patrzący Niemcy, ludzie typu zachłannego, którego uosobieniem jest nadczłowiek Fryderyka Nietzschego, z przerażeniem zaczynają zestawiać bilans akcyi zdobywczej Germanów na wschodzie. Pozorne tryumfy, skupienie uczuć i dążeń i niepokojów narodu na wygodnym dla polityki wewnętrznej terenie walki rasowej nadgranicznej, oto zyski chwilowe, przemijające, obliczone na potrzeby dnia. A straty! Poprostu niezmierzone.

W ogniu trzy przedtem apatyczne prowincye, rozbudzony „fanatyzm" polski, zniszczona, bodaj na zawsze, łączność z dawnym, mądrym, po części świadomym, po części instynktowym procesem infiltracyjnym, który całe dzielnice Polski pchał poprostu w ramiona germańskiego żywiołu. Otwarta w tych nadgranicznych, a zarazem tak blizkich stolicy ziemiach, wiecznie drzemiąca, a przecież wiecznie grożąca kwestya słowiańska, i nietylko otwarta, ale nawet wyraźnie ex cathedra przez dziedzica Wielkich Mistrzów krzyżackich z wyżyn baszty maryenburskiej całemu światu ogłoszona.

Im ogólniejszem rozpatrywanie — im głębszym namysł, im dalszym rzut oka w przyszłość, tem smutniejszym jej horoskop, tem liczniejszemi przeróżne zawikłania, które wyniknąć muszą z przyłączenia się do samej walki rasowej innych czynników. Oto już na Śląsku zaczyna się ona wikłać z kwestyą socyalną. Dziewięć dziesiątych mieszkańców, cały lud roboczy, to Polacy, jedna dziesiąta, właściciele, Niemcy. Polskiem wszystko, co pracuje, niemieckiem wszystko, co pracy tej zbiera

owoce. Rozdział podwójny, rasowy i społeczny, t. j. tak głęboki, że podobnego prawie nigdzie w zachodniej i środkowej Europie nie można spotkać.

Co z tego wyniknie, co musi wyniknąć, gdy się te dwa czynniki rozdwojenia społecznego w swej działalności złączą, na to odpowiedź jest dla każdego myślącego człowieka ponura, najbardziej zaś dla tego, który sobie uprzytomnia, że według jego pojęć, jemu tylko samowładne panowanie i używanie w tej krainie przystoi, gdy od lat mu już przysługiwało.

Patrząc jeszcze szerzej, jeszcze dalej, widzi otrzeźwiony German, że zarysy podniecanej tak przez swoich szowinistycznych ziomków walki rasowej sięgają daleko poza granice cesarstwa niemieckiego. Cofa się niemczyzna na Węgrzech, przestała postępować w granicach imperium rosyjskiego, w Cislitawii zaś, w Czechach, na Morawach, na Śląsku austryackim, w krajach graniczących z Rzeszą niemiecką, a blizkich jej polskim wschodnim kresom, upadek żywiołu germańskiego coraz jawniejszy, zamieniający się już niekiedy w zupełną nagankę na wszystko, co tchnie niemczyzną.

Tam wszędzie zupełnie ta sama walka, co na wschodnich kresach Prus, tylko walka bez sztucznej osłony rządowej, niemieckiej, *mise en scène.* Walka jawna i prosta sił żywotnych współzawodniczących narodowości. I tam też wynik jasny, wyraźny, klęska na całej linii żywiołu germańskiego, tego samego żywiołu, który przecież w czasach poprzednich w te kraje tak głęboko wniknął, a po części je nawpół zgermanizował. Czyż to nie

jest żywą ilustracyą przyszłości pruskich kresów wschodnich w razie ustania impulsu oficyalnego ze strony rządu wskutek zdarzeń polityki zewnętrznej lub zmian ustroju wewnętrznego?

W jednem z pism nam najbardziej wrogich czytaliśmy z zajęciem okrzyk boleści, wydany w chwili szczerości. — Gdyby sto lat temu — biada ów organ — niemieckich urzędników odwołano z dzielnic polskich, byłoby się znalazło dużo Polaków, którzy byliby ręce wyciągali za odchodzącymi i tęsknili za naszą administracyą. Dziś, gdyby rząd dla tych lub owych powodów ujrzał się zmuszonym zaniechać swej polityki protekcyjnej wobec Niemców na wschodzie, nie potrwałoby długo, a ostatni Niemiec wyniósłby swoje manatki do ściślejszej ojczyzny, albo też posłałby swoje dzieci do szkoły polskiej, by z nich uczynić patryotów polskich. To nam przyniosła nasza mądra polityka na wschodzie.

— Z matematyczną dokładnością śledzić można równoległość postępów i rozwoju ducha polskiego z postępem etap antipolskiej polityki w Niemczech. Z tego wynika, że zabieramy się źle do rzeczy dla nas niesłychanie ważnej, a w której interes narodowy niemiecki wymaga od nas, byśmy zwyciężyli nie tym, to owym sposobem.

Ten głos rozumny, zimny, nielitościwy, bardziej ludzki w swej formie, choć rdzenniej jeszcze nam przeciwny i gruntowniej zachłanny, odzywa się coraz częściej ze szpalt liberalnych a nawet nieraz i konserwatywnych gazet, z trybuny parlamentu, odmawiającego dodatków pensyjnych dla urzędników na kresach wschodnich, nawet z sze-

regów katolickich, widzących, ile same na tem muszą stracić, że uczucie narodowe zwycięża nad faryzeizmem księdza nadniemca, używającego, a raczej nadużywającego czynników religijnych, by głęboko religijny lud polski nadal trzymać przykutym do swego rydwanu germańskiego.

Zaprzecza stanowczo widocznemu stanowi rzeczy tylko jedna hakata i pionki jej w sferach urzędniczych i rządowych. I wśród tych ostatnich jednak zwrot umysłowy myślących sfer niemieckich nie przemija bez śladu. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że kanclerz ks. Bülow dokładnie sobie zdaje sprawę z bezcelowości obecnej polityki antipolskiej na wschodzie.

Obiega nawet na poważnych podstawach oparta wersya, że pierwszy minister lat temu cztery na mocy dokładnie przedsięwziętych ankiet miał zamiar rozpocząć drugą edycyę bismarkowskiej Canossy, tym razem wobec świeckich przeciwników i że cofnął się tylko z obawy przed przemożnymi wpływami t. z. drugiego, pobocznego rządu t. j. bractwa trzech liter, popieranego przez potężny odłam berlińskich sfer giełdowych. Cofnął się, jak mówiono, na zasadzie łacińskiego cytatu *video meliora proboque, deteriora sequor*.

Prawdopodobniejszem jednak jest, że nie ten cytat, a w każdym razie nie dwa pierwsze w nim słowa, są wyrazem zapatrywań kanclerskich. Co innego bowiem jest widzieć fatalne skutki błędnej polityki, a znów co innego wybrnąć z drogi złej, na jakiej się już od tak dawna ugrzęzło. I tu właśnie objawia się i objawi się jeszcze bardziej nemezis historyczna, która bodaj czy uprawni kiedy

niemieckiego męża stanu do postawienia sobie jasnego i rozsądnego programu działalności na wschodzie i zawołania dumnie *video meliora*. Dziś raczej inne przysłowie bardziej jest zastosowanem do tych, którzy, choć myśl ich dalej sięga, kierują jednak nadal nawą państwową z utartem krótkowidztwem swych poprzedników i swego otoczenia. Przysłowie to brzmi *après nous le déluge!* Wszystko na dziś, na sukces chwili, a nic na jutro, dla potomków, którzy obejmują ciężki spadek po dzisiejszem zhakatyzowanem pokoleniu.

Toteż światlejsze czynniki w rządzie świadomie, ciasne zaś w nim umysły na ślepo, brną dalej w obranym fałszywie kierunku. Jak w beczkę Danaid, tak płyną nadal miliony państwowe na cele nieproduktywne, a reklama dla tych celów, oficyalna i nieoficyalna, nie przestaje pracować, jak maszyna nakręcona, która mechanicznie swe koła obraca. Ministrowie w coraz niezgrabniejszy sposób bronią hakatyzmu. Coraz mniej w ich słowach rozumowania, coraz więcej frazesów, bądź to usiłujących zatuszować śmieszności i niepowodzenia wielkiego aparatu germanizacyjnego na wschodnim pasie granicznym, bądź też naśladujących butą swych wyrażeń wielkiego mistrza politycznej przemocy, tego, który w izbach niemieckich żelazną rękawicę rzucił Polakom, księcia Bismarcka.

Ale kopia nie dorównuje pierwowzorowi, przeciwnie, chcąc bardzo być wierną, oddala się od niego. Trudno odmówić słuszności pismu południowo-niemieckiemu, które pod adresem junkrów wojowniczych, zasiadających na ministeryalnych krzesłach

pruskich, takie, pełne krwawej ironii, zamieściło słowa:

— „Sądzicie, że naśladujecie Bismarcka — a w rzeczywistości odgrywacie rolę aktora, który włożył pancerz Barbarossy i miecz jego chwycił w rękę, lecz Barbarossą nie jest, a po przedstawieniu bierze od dyrektora zaliczkę na pensyę. Bismarck był olbrzymem, wy jesteście karłami. On był lwem, a wy w fonografie zachowaliście sobie odgłos jego ryku i od czasu do czasu otwieracie maszynkę, by widzów wychodzącym z niej głosem przestraszyć.

Lecz spróbujcie tylko naprawdę go naśladować, zróbcie to, co ten człowiek potężny sam jeden mógł zrobić. Zmieńcie śmiałym rzutem sterującej ręki kierunek polityki, nie przynoszącej owoców, miejcie, jak on, odwagę, ale miejcie i moc, jaką on miał, przyznania się do błędu, pójścia do Canossy, tak jak on to uczynił, choć warczała cała sfora rozpuszczonych na pogoń psów! Spróbujcie, jak ten potentat uczynil genialnym zwrotem z opozycyjnego i roznamiętnionego centrum wierną gwardyę rządową, tak teraz na wschodzie z idealnie konserwatywnej w swoim właściwym charakterze ludności polskich kresów uformować sobie szyki sprzymierzone.

Spróbujcie, a zobaczycie całą waszą niemoc, całą czczość waszej działalności.

Gdyby dziś żył Bismarck, ten największy wróg Polaków i żywiołu słowiańskiego, byłby z pewnością swą potężną dłonią zatrzymał wóz germanizmu, toczący się na pochyłej drodze. Ale wy, naśladowcy jego, rutyną, lecz nie myślą i potęgą czynu, potrafilibyście co najwyżej wywrócić

osobiście wielce pociesznego koziołka, któryby wam umożebnił napisanie na waszych biletach wizytowych: excellenz a. D. — excellencya dymisyonowana“.

Słowa powyższe niemieckiego organu trafnie malują stan obecny polityki szowinistycznej w Niemczech. Impuls, dany przed laty przez wielkiego kanclerza trwa dalej niezmieniony. To, co było dla tamtego środkiem, dla jego epigonów staje się celem. Twórca jedności Niemiec spróbował zgodnego z swoją naturą niepohamowaną środka przemocy do prędszego utorowania drogi Niemcom na wschodzie. Ale on nigdy ze środka, ze sposobu, nie czynił swego bożyszcza, nigdy dla niego nie poświęcał celu.

I gdyby na dni dzisiejsze przypadała epoka jego pełnej działalności, widzielibyśmy zapewne jedną z tych nagłych zmian dekoracyj, jakiemi tak często ten mistrz nad mistrzami świat zadziwił. Następcy zaś jego zapatrzyli się, jak w gwiazdę przewodnią, na odruch starości dymisyonowanego kanclerza, który w popieraniu rządu pobocznego i stworzeniu opozycyjnej wówczas hakaty znajdował mściwą przyjemność. Zapatrzyli się w tę gwiazdę, choć ona dawno zgasła, a raczej stała się błędnym ognikiem, wodzącym na manowce.

Le roi me reverra, zawołał Bismarck, gdy śmiano go zniewolić do ustąpienia z kanclerstwa. A dziś wyobrazić wolno sobie urzeczywistnienie tych gorzkich słów, ujawniające się w rosnącej przemocy w państwie, liczebnie nieznacznej, lecz wybornie zorganizowanej potęgi, ówczesnej, za jego impulsem powstałej frondy, dzisiejszej wysoce

urzędowej, rząd cały przed sobą zginającej hakaty. Cień Bismarka równie jest dla szowinizmu niemieckiego wygodnym, jak żywy Bismark byłby dziś dla niego niebezpiecznym — pisała przed kilku laty angielska „Pall Mall Gazette“.

Jednym z powodów przewagi żywiołów szowinistycznych w Niemczech nad trzeźwemi, jest brak programu u tych ostatnich. Hakatyzm programu na przyszłość nie potrzebuje i o niego też nie dba. On żyje z czynu bieżącego, a jeżeli mówi o przyszłości, to tylko w sposób reklamowy, dla gawiedzi. Ale prawdziwy wielbiciel rozrostu niemczyzny, ów typ Nietzschego, który nam uosobił rozumno-drapieżne instynkta germańskie, ten bez programu działania, bez świadomości lekarstwa na szowinistyczną gorączkę, wobec tej gorączki staje się bezsilnym. Że źle się pokierowały sprawy dla Niemców na wschodzie, to widzi wielu z pomiędzy nich. Jak jednak postąpić, by na nowo skutecznie nawiązać nici do dawnej mądrej tradycyi germanizacyjnej, to jest zagadką, której bodaj nikt dziś nie potrafi rozwiązać.

Bo co dawniej było łatwem, dziś trudnem. Do czego niegdyś Polacy sami dopomagali najchętniej, to dziś stało się przedmiotem ich czujności najdrażliwszej. Proste nawrócenie z systemu obecnej represyi do łagodniejszych rządów nie dałoby wcale tych rezultatów, o jakie jedynie chodzi rozumnemu i rozumującemu Niemcowi, nie byłoby dziś przy rozbudzonem poczuciu narodowem u Polaków kresowych, krokiem do ich zniemczenia.

Rozpatrywania i uwagi w tym kierunku bardzo stanowcze spotykaliśmy niejednokrotnie. W do-

datku, ponieważ polityka jest sztuką rzeczy możliwych, a szowinizm wschodnio-niemiecki zbyt dziś jest rozpanoszonym, by go można skutecznie a szybko spętać, przeto akcya tego rodzaju musi obecnie zupełnie wypaść z rachuby. Dalsza repressya ze strony rządu i popieranie oficyalne hakatyzmu muszą pójść i pójdą swoją drogą.

Atoli obok tego rośnie zrozumienie w kołach myślących niemieckich, że równolegle z represyą jawną żywiołu słowiańskiego powinien postępować czynnik nowy, a raczej wznowienie czynnika dawnego, powinien wystąpić na arenę kulturalny podbój tego od niemieckiej kultury coraz bardziej oddalającego się społeczeństwa.

Jak już zaznaczono na wstępie niniejszej rozprawy, poczucie konieczności duchowego postępu niemczyzny na kresach obudziło się, szczególniej po skandalach szkolnych we Wrześni. Wiadomem jest, że w miarodawczych kołach berlińskich zastanawiano się na ten temat obszernie i że od tego czasu zapatrywania w tym względzie nietylko się nie zmieniły, ale nawet po części zamieniły się już w czyn. W jakim stopniu usiłowania w tej mierze podjęte zniweczone zostaną przez równolegle postępujące drażnienie Polaków na polu administracyi państwowej, pokaże przyszłość.

To jednak pewnem, że ten odłam akcyi niemieckiej na kresach, który polega na podnoszeniu kultury i ducha niemieckiego, zasługuje na baczną uwagę z naszej strony, ile że stanowi po latach bezmyślnej wrzawy pierwszy odblysk rozumnej germanizacyjnej polityki na wschodzie. Odblysk tylko, gubiący się dotąd wśród ogromnej łuny,

powstałej z pożaru wznieconego przez hakatyzm oficyalny i prywatny, ale zawsze objaw instynktu trzeźwości narodowej niemieckiej, z którym społeczeństwu polskiemu należy zawczasu się liczyć.

Walka dwóch kultur, oto prawdziwy teren sporu, który ów odbłysk, choć częściowo tylko i ukradkiem, ale niemniej rzeczywiście oświeca i oczom umiejących patrzeć odsłania. Toteż ważnem jest, by i z polskiej strony zdano sobie z tego sprawę. A pod tym względem, o ile chodzi o abstrakcyjne zrozumienie rzeczy, należy przyznać, że u nas słuszna ocena istotnego charakteru walki na kresach ujawniła się już niejednokrotnie, choć nie dość często i ogólnie, by mogła wpłynąć na czyn konkretny w takim stopniu, w jakim należałoby koniecznie.

Zdaliśmy sprawę w ogólnych zarysach z zapatrywań niemieckich umysłów myślących na niepowodzenia polityki niemieckiej na wschodzie. Zapatrywania na ten sam temat ze strony polskiej z natury rzeczy odmiennie muszą być zabarwione. Im też, zanim określić spróbujemy obustronną akcyę i obustronne wymogi w zapasach dwóch walczących kultur, słów kilka poprzednio musimy poświęcić. Że szowinizm niemiecki nie przyczynił się do rozwoju panowania germanizmu na wschodzie, że owszem rozbudził wśród nas ducha odporności, o tem niema dziś u nas nikogo wątpiącego. Że jednak ten sam szowinizm stał się przyczyną stanu rzeczy dla nas wprost nieznośnego, że ta edukacya za pomocą hakatystycznego bicza nie jest dla narodu normalną, o tem również chyba dwóch zdań być nie może. Wprawdzie budzi się

odporność w kierunku negatywnym, a wynikiem jej jest także wiele objawów pozytywnego czynu, ale bądźcobądź postęp, którego głównym czynnikiem jest napór wroga i który utożsamiać trzeba ze zbudzeniem się poczucia samozachowawczego, jest sam w sobie biernym, a rozwój jego ogranicza się na dążeniu do wyrównywania szkód, poczynionych przez przeciwnika.

System obrony stosować się musi przy tem ściśle do systemu ataku, a że ten ostatni najgroźniejszym się okazał na polu ekonomicznem, przeto na temże polu odporność narodowa polskaześrodkowała główną część swoich wysiłków.

Drugiem zaś skrzydłem jej działalności jest organizowanie politycznej strony obrony narodowej. Wszystko to jednak jest li tylko akcyą obronną, której samo rozbudzenie i istnienie uważanem jest, co prawda, z myślącej strony niemieckiej jako klęska, pochodząca z fałszywie poprowadzonego niemieckiego ataku. Dla Polaków atoli przedstawia się obrona ta ciągle jeszcze jako niedostateczna, a w każdym razie nie może uchodzić za objaw rozrostu narodowego. Niemcy słusznie zaliczają sobie jako stratę każde przez własną winę udaremnione, lub nieodniesione, zwycięstwo. Polacy jednak ubytku w zyskach wroga nie mogą sobie zaliczyć, jako zysk własny. Owszem, co chwila nowe a ciężkie straty wstrząsają naszymi posterunkami. Nigdzie na całym terenie walki pochlubić się nie możemy zdobywaniem posterunków w własnym wroga obozie, równoważących tym, które on niegdyś zdobył wśród nas samych.

Budzimy i ratujemy lud polski przed germanizacyą, korzystając przy tem z pomocy drażniącego systemu szowinistycznego, ale mowy o tem niema, byśmy gdziekolwiek wkraczali na istotny teren niemczyzny, by gdziekolwiek rdzennie niemiecki czynnik stał się łupem postępującego polonizmu. Nie o to też chodzi, i nie to winno być przedmiotem naszych żalów lub zamiarów, choćby tylko teoretycznych, gdy rzeczywisty stosunek walczących ze sobą sił, z góry uniemożebnia praktyczne w tym kierunku zabiegi. Owszem zadowoleni być musimy, że akcya obronna przybrała te rozmiary, które dziś przeciwnika tak przestraszają.

Ale, gdy na tle ekonomicznem i politycznem w pewnym stopniu wyrównało się dziś napięcie obustronnej energii, gdy potężnej pomocy udzielanej przez rząd słabnącej przedsiębiorczości prywatnych czynników niemieckich, przeciwstawił żywioł polski wzmocnienie wydatności swej działalności prywatnej, coraz baczniejszą winniśmy zwracać uwagę na nowy teren walki, jaki się obecnie przed nami otwiera, na nowy atak, jaki rozumne niemieckie czynniki przeciw nam przedsięwzięły, na taran niemieckiej kultury duchowej, który, nie odparty należycie wzmocnieniem naszych szańców pod tym właśnie względem, groźniejszym mógłby się stać od wszystkiego, co przeciw nam przedsięwzięto od rozpoczęcia jawnej walki rasowej na kresach.

Przypatrzmy się teraz, jak na tem polu przedstawia się rozmiar sił obu walczących czynników. Na tle ogólnem tej walki stają naprzeciw siebie dwie bogate i zasobne kultury, polska i niemiecka.

Nie ścierają się one jednak ze sobą całokształtem swych sił. Obie mają swoje środowiska najżywsze, nietylko oddalone geograficznie od pola kresowych zapasów, ale także instynkta ich twórcze rozbiegają się daleko na drogach, które się wprawdzie nie schodzą, ale też wzajemnie się nie krzyżują.

Nie walczy tu ruch i rozwój umysłowy Warszawy, Krakowa i Lwowa z Berlinem, Lipskiem, lub Monachium. Tak ze strony niemieckiej, jak polskiej, a polskiej szczególnie, walczą ze sobą tylko odległe od głównych obozów placówki. Nie całokształt wydatności obu kultur należy nam zatem porównywać, lecz zestawiać i porównać ze sobą te cząstki obustronnych sił, te czynniki, które na samem polu walki kresowej ze sobą się spotykają i jedynie wchodzić mogą w rachubę.

Zestawić tu wypada najpierw status quo wprowadzonych w linię bojową czynników kultury umysłowej obu obozów, a następnie rozważyć, w jakim stopniu czynniki te z samego terenu walki czerpać mogą dalsze zasiłki, a niemniej oczekiwać pomocy od głównych armij z środowisk wielkich kultury polskiej i niemieckiej.

W tej walce niekrwawej obie strony znajdują się w położeniu z góry niekorzystnem. Pole zajęte walką materyalną, ekonomiczno-administracyjną, z natury rzeczy nie posiada warunków korzystnych dla rozwoju wielkiego współzawodnictwa umysłowej kultury. Olbrzymia większość naszego społeczeństwa zachodnio polskiego stanęła przed alternatywą: być albo nie być, a znów dla niemieckiego Gargantuy zasadniczem jest pytanie — pochłonąć, albo być głodnym. Toteż z polskiej

strony stwierdzić należy, jako wynik tego stanu rzeczy, rosnącą apatyę na polu umysłowem, z niemieckiej zaś jeszcze o wiele wyraźniejsze przeciwieństwo do kulturalnego systemu rozprawy rasowej, bo wprost negatywne pod względem kulturalnym ubóstwianie bożyszcza materyalnej przemocy. I dopiero, gdy to bożyszcze nie spełnia pokładanych w nim nadziei, zaczyna się germanizm późno i ostrożnie oglądać za bronią zdawna zarzuconą, za bronią duchową.

Nie wiele jej znajduje na samym terenie walki. Szkołę, ten walny czynnik rozwoju umysłowego, pozbawiła zajadłość szowinistyczna w znacznym stopniu wpływu, jaki wywierał dawniej na kształcącą się młodzież polską. Zaiste nie na Niemców wychowali nauczyciele wrzesińscy dzieci sobie powierzone, a to, co we Wrześni stało się dramatem, głośnym na całą Europę, w innych szkołach ludowych z mniejszym rozgłosem, ale z tym samym skutkiem podziałało na młodzież polską w kierunku przeciwnym od zamierzonego przez apostołów przemocy.

Niema dziś pewno ani jednej wsi polskiej, w którejby dzieci nie nauczyły się spoglądać krytycznie z punktu widzenia narodowego na działalność pedagoga, mającego z nich uczynić pruskim duchem przejętych obywateli państwa. Coraz krytyczniej sądzą dzieci nauczyciela, coraz gwałtowniej, lub też apatyczniej, w miarę osobistego temperamentu, zachowuje się tenże wobec nich. Traci na tem najwięcej niemieckość, ale cierpi też istota rzeczy, nauka sama.

Bo jasną jest rzeczą, że opozycya dzieci wobec nauczyciela, której zarzewie zasiały wybryki szowinizmu niemieckiego, nie ogranicza się tylko na samej odporności wobec wszczepiania pojęć niemieckich. Owszem całokształt nauk szkolnych staje się dla dziecka czemś wrogiem, a nawet same w sobie ujemne objawy naturalnej u wielu dzieci niechęci do nauki, przybierają barwę ogólnej opozycyi przeciwko germanizującej władzy.

Co zaś na wsi rozpoczęło się dopiero od niedawna, kwitnie w miasteczkach i miastach daleko bujniej. Młodzież szkół niższych, przebywając w szkole, przebywa obecnie rzeczywistą szkolę patryotyzmu polskiego, a zarazem opozycyi na tle politycznem, wcale dla szkoły nieodpowiedniej. Wlewa ją w nią nauczyciel hakatysta, utwierdza solidarność biernej odporności kolegów.

To samo powiedzieć można o gimnazyach klasycznych i realnych. Błędnem zaś z gruntu jest mniemanie, rozszerzane przez czynniki niemieckie, jakoby rodzice polscy sami odgrywali rolę agitatorów wobec dzieci. Oczywiście w wypadkach drastycznego występowania nauczyciela tu i owdzie rodzice ujmują się energicznie za dzieckiem, a gdy wypadek taki dotknie sfery ludowe, jak we Wrześni, oburzenie rodziców staje się powodem ruchu, który graniczy z rozruchem. Ale ten przykład odosobniony nie może stanowić miary sądu o przeciętnem zachowaniu się rodziców w sprawach szkolnych. Ogół rodziców przeciwnie, z drżeniem przyjmuje od dziecka wiadomość o sporach pomiędzy niem a władzą szkolną. Nie brak nawet ojców, którzy wolą syna oddać do gimnazyów w Księstwie

najmniejszy liczących procent uczniów polskich, dlatego, że tam przeciwieństwa narodowościowe w szkole objawiają się mniej jaskrawo. Nie rodzice, lecz sam system szkolny budzi w młodzieży ducha opozycyi.

Jaskrawy w tej mierze przykład zdarzył się niedawno temu w jednem z gimnazyów wrocławskich. Ślązak polskiego pochodzenia, lecz syn prawie zupełnie zgermanizowanych rodziców, którego domowym językiem był niemiecki, poskarżył się przed władzą szkolną, że źle odbiera klasyfikacye z niemieckiego, choć w innem gimnazyum, w którem był poprzednio, należał do najlepszych uczniów w tym właśnie przedmiocie. Na to odebrał odpowiedz, że od niego, jako Polaka, należy więcej wymagać na punkcie niemczyzny niż od innych. Wyjaśnił wtedy pokrzywdzony uczeń, że tylko nazwisko nosi polskie, sam zaś po polsku prawie nie umie. I od tej chwili zmieniło się postępowanie władzy wobec niego. Ale i on zmienił się także od tego dnia do niepoznania. Oburzony tem, co zaszło, zaczął rozważać, że przecież niegdyś jego rodzina była polską, rozpoczął natychmiast kurs prywatny lekcyi języka polskiego, a wróciwszy do domu, przemówił tak do serca rodzicom, że i oni przyznają się dziś do polskości. Gorącego pracownika dla idei polskiej stworzyła w ten sposób gimnazyalna władza niemiecka.

Ten stan rzeczy, którego wziętym z życia przykładem jest powyższe zdarzenie, wiadomym jest dobrze kołom miarodawczym w Niemczech. To też czynniki wpośród nich trzeźwiejsze, mianowicie od czasu zajść we Wrześni, starają się, ile

mogą, wpływać, gdzie należy, na większą ostrożność w postępowaniu władz szkolnych. Do wyników tych usiłowań zaliczyć należy tajne i jawne rozporządzenia władz centralnych do władz poznańskich, by starały się zapobiegać kompromitującym niemczyznę i szkodzącym jej drastycznym wydarzeniom w szkołach.

Że jednak wobec naprężonych dziś stosunków szkolnych, przeprowadzenie dalej systemu obecnego, bez wywoływania ciągłej reakcyi wśród młodzieży jest rzeczą więcej niż trudną, dowodzić nie potrzeba. Na tem więc polu dla Niemców i w przyszłości nieświetne otwierają się widoki. Dla nas zresztą nie mniej smutne, gdyż w takich warunkach o normalnem wychowaniu szkolnem, szczególnie w szkołach niższych, mowy być nie może. Z prawdziwym przestrachem spoglądamy w przyszłość, na chwilę wystąpienia na arenę życia obecnego młodego pokolenia. Nie darmo już teraz pisma socyalistyczne eskontują korzyści, które wynikną dla socyalizmu z wyrabiania w ludzie przez system pruski ducha wiecznej oporności przeciw władzy, która staje się dla niego synonimem idei wrogiej. Nie darmo obliczają konieczne wyniki tej pedagogicznej metody, która sprawia, że dzisiaj dziecko naukę religii, udzielaną sobie, z dodatkiem kar cielesnych, w języku obcym, uważa jako przedmiot nauki najwstrętniejszy, tak że dziś w bardzo wielu szkołach *tacito consensu* obu stron lekcye religii traktowane są tylko pro forma, by uniknąć niemiłych zajść à la Września.

Na polu zatem szkół ludowych i gimnazyów rząd pochlubić się nie może kulturalnemi zdoby-

czami. Inaczej się ma rzecz z resztą zakładów naukowych. Przedewszystkiem szkoły wyższe, czy to zawodowe, jak akademie rolnicze i techniczne, czy też uniwersytety, na których się kształci nasza młodzież, są bez wyjątku położone w środowiskach niemieckich. W nich wprawdzie także nie niemczeją nasi synowie, ale, bądź co bądź, czerpiąc swą wiedzę wyłącznie ze źródeł niemieckich, przejmują się mimowoli duchem kultury germańskiej. Samo przez się nie byłoby to niczem złem, bo przecież każda kultura wartą jest poznania, ale ostatecznie jak w całem szkolnictwie, tak i w szkołach wyższych odczuwamy boleśnie niemożność zrównoważenia wpływów kultury germańskiej, wpływami kultury naszej rodzimej. I smutnym wynikiem naszych nienormalnych stosunków upatrywać chyba będziemy korzyści dla polskości w tem, że ta jedyna kultura, która dla młodzieży naszej jest przystępną, nie przeniknie jej.

Nie ze względów poczucia narodowego, ale ze względu kultury narodowej jest monopol germanizmu w szkolnictwie dla nas wprost straszny. Skutki też jego odbijają się nietylko na młodszej, ale także i na starszej generacyi. Aż nazbyt często spotkać można gorących miłośników sprawy polskiej, którzy mówiąc, a jeszcze więcej pisząc po polsku, używają zupełnie niemieckiej budowy zdań, tak że każde ich odezwanie się wygląda na doraźne tłómaczenie z niemieckiego.

Ten skutek tak bolesny germańskiego wychowania umysłowego nie jest jedynym, zanim jednak wspomnimy o towarzyszących mu innych, przypatrzmy się dalej umysłowej broni, używanej

przeciw nam ze strony niemieckiej. Cztery lata temu powstał w kołach rządowych zamiar założenia wszechnicy niemieckiej w Poznaniu. Odstąpiono jednak od niego, nie chcąc w ten sposób zgromadzić akademików Polaków w jednem środowisku. Zato założono w stolicy Wielkopolski akademię niemiecką, w której wykłady są na poziomie nieco popularniejszym niż wykłady uniwersyteckie, a tem samem przystępniejsze dla szerszych warstw. Myślą przewodnią założycieli oficyalnych nie było przytem wpływanie głównie na żywioł polski za pomocą tego instytutu naukowego, ale przedewszystkiem wykształcenie własnych ziomków. Wykłady w akademii poznańskiej obejmują bardzo szeroki zakres umiejętności, odznaczają się starannością, a korzystają z nich żywioły inteligentne niemieckie z dość rozmaitych zawodów. Spotkać tam można lekarza, urzędnika państwowego a także technika i teologa. Nie brak i Polaków, uczęszczających na akademię, jak np. kleryków z seminaryum arcybiskupiego, a także i wielu świeckich. Objawiająca się w tej mierze opozycya sfer postępowych polskich ucichła niebawem na mocy zasady, że nie mogąc przeciwstawić akademii niemieckiej równorzędnego instytutu polskiego, winniśmy korzystać przynajmniej ze źródła obcej wiedzy.

Prócz akademii założył rząd w ostatnich latach wspaniałe, jak na miasto prowincyonalne, muzeum imienia cesarza Fryderyka. W pięknym renesansowym gmachu przy placu Wilhelmowskim mieszczą się na parterze bogate zbiory etnograficzne i archeologiczne, a oprócz tego znakomita

w swoim rodzaju galerya kopij dzieł dłuta z wszystkich krajów i epok, ułożona w sposób poglądowy. Pierwsze piętro zajmuje wielka galerya obrazów współczesnych i dawniejszych, której lwią część dostarczyły zbiory hr. Atanazego Raczyńskiego, zapisane w swoim czasie Berlinowi, a obecnie przewiezione do Poznania. Jak zaś korzysta publiczność przeważnie niemiecka z nowej instytucyi, wskazuje cyfra zwiedzających, która wynosi przeciętnie pięćset osób dziennie.

Trzecią wielką fundacyą kulturalną ostatnich czasów w Poznaniu jest biblioteka cesarza Wilhelma, dla której zbudowano milionowym nakładem wzorowo urządzony gmach przy ulicy Rycerskiej. Złożyły się na nią istniejące już biblioteki krajowe i miejskie, dalej biblioteka królewska w Berlinie, która nadesłała bardzo wielką ilość swoich duplikatów. Za jej zaś przykładem poszły inne biblioteki publiczne w Niemczech, a niemniej i osoby prywatne, w szczególności zaś wielkie firmy wydawnicze niemieckie. Obecnie po dwuletniem istnieniu liczy biblioteka cesarza Wilhelma około 180 tysięcy tomów. Nie będziemy rozszerzali ram niniejszej rozprawy szczegółowym opisem urządzenia biblioteki. Zaznaczymy tylko, że jest ono wprost znakomite. Z dalekich stron Niemiec zjeżdżają się znawcy, by technikę tej instytucyi badać i według tego wzoru przeprowadzać ulepszenia w innych niemieckich bibliotekach.

Biblioteka ma zostać powiększoną aż do zawartości 500.000 tomów, a już dziś dołączony jest do niej osobny magazyn, zawierający książki przeznaczone do rozsyłki na prowincyę, w której

istnieją liczne wypożyczalnie książek. Ciekawą jest także rzeczą, że można dziś znaleźć komplety wszystkich poznańskich polskich gazet w obu bibliotekach niemieckich, a mianowicie bibliotece cesarza Wilhelma i drugiej hr. Raczyńskich. Razem wziąwszy, nowo założona instytucya stanowi potężny czynnik kulturalny, z którego Niemcy słusznie są dumni.

Do tej samej kategoryi nowych wysiłków na polu kultury umysłowej należą świeże wielkie inwestycye na cele teatru niemieckiego w Poznaniu. Dotychczasowy teatr pobierał już wielkie subwencye, nowy zaś, na którego budowę przeznaczono ogromne sumy i który stanąć ma u wejścia do śródmieścia, na miejscu zniesionych bastyonów fortecznych, otoczony będzie jeszcze większą opieką rządu. Zasiłki też pobiera szereg pism niemieckich, wychodzących w stolicy Wielkopolski. Wskutek tego mogą te pisma, mianowicie w dziale korespondencyj lokalnych, z całego księstwa bogatemi rozporządzać informacyami, które oczywiście zabarwione są następnie ad usum delphini tj. sprawy niemieckiej. W ostatnich też latach zawładnęli Niemcy ostatecznie polską niegdyś fundacyą, biblioteką Raczyńskich, liczącą kilkadziesiąt tysięcy tomów. Na innem miejscu zdajemy obszerniej sprawę z wrażeń odniesionych przy zwiedzaniu owych duchowych twierdz niemieckości w Poznaniu.

Te wszystkie objawy dbałości Niemców o zawładnięcie jak najzupełniejsze terenu umysłowości w naszym kraju, patrzącego w dal przejmują większym jeszcze niepokojem, niż ich administracyjno-ekonomiczne zakusy. Przeciwko tym ostatnim

rozwinęło społeczeństwo nasze całą energię, na jaką potrafi się zdobyć, i choć walka ciężka i niebezpieczna, to jednak bynajmniej nie beznadziejna. Sam fakt, że dziś największa instytucya finansowa, Związek spółek zarobkowych, licząca blizko 300 milionów marek rocznego obrotu, znajduje się w rękach polskich, jest tego wymownym dowodem.

Ale jakże inaczej przedstawia się rozwój naszej żywotności na polu umysłowem. Pobieżnie tylko zaznaczyliśmy główne objawy nowego, a tak już silnego, impulsu germanizmu na polu kultury umysłowej, wyczerpujący ich spis przekraczałby ramy niniejszego artykułu. To jednak, co wymieniliśmy, wystarcza, by wykazać, że w tym kierunku napór niemczyzny rozpoczął się na dobre, a choć polityczno-administracyjny szowinizm niemiecki niweczy nieustannie owoce tego kulturalnego impulsu, to jednak niweczy je tylko częściowo, mianowicie w stosunku do Polaków. Niemiecki zaś żywioł, jako taki, niewątpliwie już dziś poważne w tej mierze odnosi korzyści. Barbarzyńskiemu obniżeniu wśród Niemców poziomu kulturalnego przez erę hakatyzmu przeciwstawia rozsądniejszy, ale zarazem i dla nas niebezpieczniejszy prąd duchowy germański pracę kulturalną, podnoszącą społeczeństwo, wśród którego powstaje.

Że zaś w sprawach publicznych liczyć się trzeba ze zmiennością okoliczności, przeto z góry wolno twierdzić, że procent trzeźwiej myślących zdobywców germańskich, wobec coraz widoczniejszych złych skutków obecnego systemu germanizacyjnego będzie raczej rosnąć, niż słabnąć, a wcale niemożliwą nie jest nawet jego przyszła przewaga

w miarodawczych kołach. Nie brak też dziś już Polaków upatrujących niemiecką taktykę przyszłości właśnie w możliwem pozornem złagodzeniu represyi administracyjnej, a za to zalaniu nas falą kultury niemieckiej. Przewidują te, niestety nie dość liczne jednostki w pośród nas, że Niemcy widząc, iż nie mogą nas zgnębić dość prędko za pomocą środków materyalnych, chwycą się powolniejszej, lecz pewniejszej, drogi zabicia w nas wszelkiej produkcyi duchowej, wszelkiego ruchu umysłowego. Nadczłowiek niemiecki, rozumny, trzeźwy, chcący rosnąć i władać i życiem innych własne życie wzmacniać, wie o tem dobrze, że śmierć ducha poprzedza śmierć materyi i dlatego rozwój tego obcego sobie ducha, ducha polskiego, tego przedmurza słowiańszczyzny, skrępować pragnie i zniweczyć. Głos jego i zachłanność przebija nawet z poza pozornie nam życzliwych odezwań się w publicystyce i na trybunie parlamentarnej.

Głównym argumentem nieraz otwarcie wyznawanym, często z poza frazesów oratorskiej swady przezierającym, jest zawsze ten — obecna polityka ucisku nie przynosi owoców spodziewanych. Zaniechajmy jej, bo ona szkodzi nam, którzy przecież już tak daleko zaszliśmy w naszem opanowaniu kresów, postępując dawniej mniej gwałtowną, lecz skuteczniejszą taktyką.

I zmniejsza się obecnie wdzięczność za taką obronę okazywana ze strony polskiej i przekonanie wśród nas żywione, że to idea sprawiedliwości międzynarodowej natchnęła niemieckich krytyków niemieckiego szowinizmu.

W rzeczywistości nadczłowiek germański, jakąkolwiek przywdzieje szatę, czy togę wolnomyślnego myśliciela, czy czerwoną koszulę radykalnego socyalisty, czy wreszcie w ręku trzyma sztandar zmateryalizowanej religii, żąda tego samego, do tego samego dąży celu, zastąpienia barbarzyńskiego i nie prowadzącego do zwycięstwa środka germanizacyjnego innym, lepszym, wzbudzającym mniej czujności i odporności wśród przeznaczonych do zagłady. Bo ciało, w którem zamarła dusza, niezdolnem staje się do czynu. A jak on rozumuje, on, symbol rasy panów i władców, tak i my rozumować winniśmy w naszej niedoli i naszym ucisku, ale i w naszem pragnieniu życia i prawie do życia.

Lat temu pięćdziesiąt pisał Karol Libelt do jednego z pracowników umysłowych wielkopolskich — „upadek kultury umysłowej poprzedza zawsze upadek dzielności ekonomicznej. Baczmy starannie, by pierwsza nie została zaniedbaną, a pewni być możemy, że i drugiej nam nie zabraknie. Lecz niestety, jakże smutno u nas pod tym względem". Tak pisał pół wieku temu gorący miłośnik spraw ojczystych i zaprawdę dzieje naszego kraju aż nazbyt potwierdziły jego głębokie i prorocze słowa. Właśnie te warstwy, w których ręku spoczywało dziedzictwo kultury, równocześnie zaniedbywały jej rozwoju i upadały ekonomicznie. Przegląd nazwisk najbogatszych wówczas rodzin, lecz zarazem tych, w których upadek duchowy był największym, to istna wędrówka cmentarna. Senatorskie siedziby, w których dziś gospodarzy bankier berliński; groby ojców zaprzedane obcym

handlarzom ziemi — oto obraz, który się przedstawia oczom potomnych. A tym potomnym, jakkolwiek biczem hakatyzmu ocknionym do obrony i dzielniejszym w niej od ojców, znów staje przed oczami to samo memento, znów uchylić się nie mają prawa od obowiązku zastanowienia się nad skutkami rosnącego uśpienia umysłowego i ciszy ducha, która dziś większa i ogólniejsza, niż wtedy, gdy przed jej rozwielmożnieniem się przestrzegał Libelt.

Szlachta nasza nie powinna zapominać, że wśród niej najdzielniejsza dziś pozostała część, to właśnie spadkobiercy tych środowisk rodzinnych, które wówczas najbardziej dbały o kulturę ducha. I postawić sobie powinni zapytanie ci spadkobiercy, czy sami taki spadek tradycyi intellektualnej pozostawią swoim następcom, by oni również żyć mogli i działać resztkami żywego ducha ojców. Ogół zaś nasz zarówno przejęty być winien troską o rozwój całokształtu naszej sprawy narodowej na naszych wielkich i rozległych kresach, jeżeli czynem nie będzie kierował duch, oparty na własnej kulturze, na własnej i zdrowej myśli.

Nie jest i nie może być naszem przeznaczeniem zostania na granicznym pasie potęgi germańskiej polską Irlandyą, politycznie tylko walczącą o swoje prawa, lecz zjednoczoną językiem i kulturą duchową ze społeczeństwem obcem. Zbiorowisko ludzkie, nie żyjące własnem życiem duchowem, jest w połowie, i to w połowie ważniejszej, twórczej, umarłem. Nam zaś instynkt samozachowawczy, instynkt trwania i działania przekazuje

prawo i obowiązek życia pełnego, a więc także w równej i ważnej mierze, życia umysłowego.

Nie obojętną w tej mierze jest okoliczność, że skrępowanie ruchu umysłowego przez obce i wrogie siły jest bez porównania trudniejszem od prześladowania na polu materyalnem. To też w dziedzinie umysłowej liczyć się musimy daleko więcej z własną apatyą, a rosnącem zrozumieniem jego ważności u wroga, niż z rzeczywistym uciskiem. Rzut oka na obecny stan umysłowości na naszych kresach każdego nieuprzedzonego musi w zdaniu tem utwierdzić.

Prawdą jest, że zamkniętą dla nas droga oficyalnego budzenia kultury duchowej, ale po za nią pole działalności jest dla nas względnie wolne, a niestety coraz zupełniej puste, przynajmniej, o ile wchodzą w grę warstwy wyższe. Wśród warstw średnich i ludowych bowiem zapisują dzieje ostatniego półwiecza nietylko dzielną w podnoszeniu kultury umysłowej inicyatywę, ale i powodzenie tej ostatniej pod wieloma względami świetne.

Powodzenie to stanowi prawdziwą pociechę wobec fatalnego i obniżającego dziś poziom umysłowy ludu, wpływu systemu szkolnego. Jakże poważnemi są skutki organizacyi zawodowej, której najwybitniejszymi objawami są kółka rolnicze, Związek spółek zarobkowych i świeżo z nową energią podjęte szeregowanie robotników miejskich w stowarzyszeniach, nietylko korzystnych dla nich pod względem ekonomiczno-społecznym, ale także jednoczących niewątpliwie ich poziom kulturalny. Dzielną prywatna działalność, szczególniej w Księstwie, księży, dworów i intelligencyi miejskiej,

udzielaniem nauki prywatnej i w miastach urządzaniem wykładów i odczytów treści popularnej. Dzielnemi takie instytucye, jak towarzystwo czytelni ludowych i samopomocy, a pierwszorzędną rolę w krzewieniu oświaty wśród ludzi odgrywa nasza prasa ludowa wszelkich odcieni.

Wynik to nietylko podatności naszego ludu do postępu kulturalnego, ale także działalności części warstw wyższych. Obawa wyjałowienia umysłowego tych ostatnich zwiększa się, gdy widzimy, co one potrafiły zdziałać, gdy i o ile wśród nich kultura umysłowa do zdrowego przodownictwa ludowi stawała się podnietą. Oby w tej mierze przyszłość nie okazała się smutniejszą.

Pism przeznaczonych dla ludu mamy dziś przeszło trzydzieści, a niektóre z nich rozchodzą się w liczbie prawdziwie imponującej. *Przewodnik Katolicki*, wychodzący w Poznaniu, liczy przeszło 60.000 abonentów; *Gazeta Grudziądzka*, organ zachodnio-pruski, tej samej niemal dosięga cyfry. Dziesiątkami tysięcy rozchodzi się *Katolik* górnośląski i tygodniowa *Praca* poznańska, a znowu w innych, jak w poznańskim *Orędowniku*, spotkać można artykuły, wymagające ze strony czytelnika takiego przygotowania umysłowego, że, zaprawdę, poza granicami zachodniej Polski niejeden nie uwierzyłby, że to pismo przeznaczone dla ludu. Ponieważ u nas abonament uskutecznia się przeważnie przez urzędy pocztowe, przeto poczta, a zatem rząd, dobrze wie, jakie krocie tysięcy egzemplarzy pism polskich niosą w lud poczucie polskości. I ta świadomość jest też powodem coraz częstszych odezwań się ze strony hakatystycznej,

by skrępować prasę polską, zmuszając ją do używania języka niemieckiego.

Pod hasłem *die slavische Gefahr* (niebezpieczeństwo słowiańskie) czytaliśmy niedawno w piśmie polakożerczem ubolewania nad faktem, że ustawa prasowa jest, niestety, tak niedostępną dla ingerencyi rządu pruskiego, należąc do zakresu praw zasadniczych konstytucyi Rzeszy. Do tych uwag pisma nam wrogiego dodać należy stałą troskę o nietykalność prasy, żywioną przez większość stronnictw parlamentarnych. *Hodie mihi, cras tibi.* O prawdziwości tego aksyomatu nie wątpi nikt z pomiędzy tych, którychby rząd w danym razie zapragnął pozyskać dla zasadniczych zarządzeń przeciwko prasie polskiej i dlatego, w tej mierze przynajmniej, dość bezpiecznymi możemy być na przyszłość. Władzom pruskim pozostaje jedynie droga bezustannych procesów przeciw redaktorom i wydawcom za artykuły sprzeciwiające się ich pojęciom, a w których treści znajduje się haczyk odpowiedni do zaczepienia pisma, jako przekraczającego którykolwiek z paragrafów ustawy.

Ale i ta broń z czasem stępieje. W samem bowiem społeczeństwie polskiem częste narażanie się na procesy i wynikające stąd koszta bynajmniej nie są pismom poczytywane jako zasługa, a wzbogacanie kieszeni niemieckiej w ten sposób polskiemi pieniądzmi uważane jest raczej jako dowód niewielkiej zręczności ze strony redakcyi, gdy przy pewnem staraniu wcale trudną nie jest rzeczą uszanować literę prawa, a jednak napisać co należy. Stąd też obecnie spostrzedz można dość wyraźny zwrot w tym kierunku, a pisma, które

dawniej, chlubiąc się swoją rolą męczeńską, kilka razy w miesiącu wzywane były przed sąd, dziś zrzadka tylko spotykają się z ramieniem pruskiej sprawiedliwości.

Mniej pocieszającym jest rzut oka na sposób pisania organów ludowych. Tu rozpacz prawdziwa ogarnia nieraz dbającego o język rodzimy czytelnika. Z zaszczytnymi, lecz nielicznymi, wyjątkami artykuły naszych pism ludowych pisane są wprawdzie w duchu szczerze polskim, ale częstokroć w języku, który nie jest ani polskim, ani niemieckim, lecz jakiemś niemiłem narzeczem, wytworzonem z mieszaniny ich obu. Słowa polskie, ale budowa zdań, ale składane wyrażenia doprawdy nie polskie.

A gorzej jeszcze przedstawiają się rzeczy, gdy wkraczamy w dziedzinę umysłową intelligencyi krajowej. Stwierdzamy z boleścią, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci redakcye obu pism codziennych większych, jedynych w swoim rodzaju na całym obszarze ziem polskich pod panowaniem pruskiem, bezustannie walczyć musiały z brakiem rodzimych sił piszących. Nadsyłane artykuły sprawiały utrapionym kierownikom tych pism niekończące się kłopoty, wskutek konieczności poprawek językowych, równających się nieraz niemal przeróbkom. Zapytajmy w redakcyach poznańskich, jak uciążliwą jest zazwyczaj próba poruszenia intelligencyi krajowej do chwycenia za pióro w kwestyach żywotnych. W dodatku, jedno z obu większych pism, dla braku poparcia ze strony intelligencyi krajowej, skończyło przed dwoma laty swe istnienie.

Optymizm tworzy, pessymizm krytykuje i jest bezpłodnym. W ocenie jednak kultury umysłowej naszych warstw wyższych trudno się oprzeć usposobieniu pessymistycznemu. Apatya umysłowa z roku na rok staje się większą. Przeglądając nieliczny szereg ludzi u nas czynnych na polu naukowem i literackiem, nie mówiąc już o artystycznem, najbardziej zaniedbanem, lecz z dawien dawna na naszych kresach jałowem,[1]) stwierdzamy ze smutkiem, że wśród starszego pokolenia można ich spotkać więcej niż wśród młodszego, dziś na arenę życia wstępującego. Odznaczają się w tej mierze dwory na wsi, niegdyś ogniska, z których się rozchodziła kultura umysłowa na kraj. I tu są wyjątki i to zaszczytne, ale one potwierdzają tylko regułę.

Ogólem wziąwszy czyta się we dworach mało, tak mało, że utarło się u nas przysłowie: w Wielkopolsce oszczędność rozpoczyna się od książki.

---

[1]) Zbiorów dzieł sztuki posiada Księstwo w ręku polskiem tylko 3. Z tych jeden należący do tow. Przyjaciół nauk, jest w Poznaniu, przystępny dla publiczności. Drugi, daleko znaczniejszy, w Rogalinie pod Mosiną, należy do Hr. Edwarda Raczyńskiego, trzeci zaś w Gołuchowie pod Pleszewem, własność ks. Witołda Czartoryskiego, miał być przeniesiony do Poznania. Podobno jednak obecnie zamiar ten niestety został zaniechany. Tak samo z bibliotek znaczniejszych, należących do Polaków, jedna tylko, tow. Przyjaciół nauk, pozostaje w stolicy Wielkopolskiej. Biblioteka Kurnicka bardzo poważna, jako odległa od miasta, z natury rzeczy mało jest przystępną dla szerszej publiczności. Inne księgozbiory należą już zupełnie do kategoryi prywatnych. Jest ich jednak stosunkowo niewiele, a w niejednym z nich stwierdzić można, obok znacznej liczby książek zakupionych przez dawniejsze pokolenia, niemal zupełny brak dzieł z ostatnich dziesięcioleci.

Nie mówię już o domach, w których nietylko rozpoczyna się ona, ale i kończy się na książce i drukowanem słowie. Lecz i w wielu innych, sztuka czytania rzadkim jest tylko przywilejem. W tem współzawodnictwie apatyi mniejszą, to jest dodatniejszą rolę odgrywa intelligencya miejska, lekarze, adwokaci, dziennikarze. Wśród nich procent ludzi, żyjących wspólnem życiem umysłowem z ogólną społecznością polską jest daleko większym, szczególniej w samym Poznaniu. I oni jednak odczuwają ogólną apatyę umysłową, która się rozpostarła w naszym kraju. I oni, choć czytają więcej, pod względem twórczości umysłowej nie wiele przewyższają intelligencyę wiejską.

Ruch wydawniczy na polu literackiem i naukowem, niegdyś pokaźny, upadł dziś w Poznaniu prawie zupełnie. Milkną nawet talenta, które już dały miarę swej wartości. Najdzielniejsi z pomiędzy starej gwardyi ludzi myśli i pióra odzywają się coraz rzadziej, coraz mniej znajdują podniety w zainteresowaniu się społeczeństwa umysłową twórczością. Tem większa cześć, tem większe uznanie należy się tym, którzy w takich warunkach jednak nie ustali w swej twórczości. Ale jakże ich mało, jak odosobnionemi są ich odezwania się.

Jakże potężnym jest za to zastęp sił twórczych, które z wielkopolskiego społeczeństwa wyniosły swą działalność i swe zdolności do innych części Polski. Prawdziwa to emigracya talentów, świadcząca, że nie grunt w naszem społeczeństwie jest w tej mierze bezpłodny, ale, że atmosfera w niem panująca nie sprzyja rozwojowi wyższej

kultury ducha [1]). A, niestety, nie we wszystkich wypadkach tego opuszczenia zagrożonego martwotą umysłową rodzimego posterunku powodem była konieczność oparcia się o nieistniejące u nas prawie wcale instytucye publiczne naukowe, lecz raczej właśnie przekonanie, zresztą słuszne, że nie tam, gdzie broń ducha najrzadsza jest i najpotrzebniejsza, najbardziej też ją cenią.

Po zajściach wrzesińskich, gdy przedstawiciele pism zagranicznych odwiedzali często nasze strony, jeden z nich w rozmowie z gronem członków intelligencyi polskiej wyraził zdziwienie, że Polska cała nie zdobywa się na energię założenia na swych zachodnich kresach intellektualnej warowni. Gdyby Słowianie mieli w sobie przedsiębiorczość i rzutkość rasy anglo-saskiej — mówił ów przybysz — nie byliby dopuścili do emigracyi z tych kresów tak znacznej liczby talentów, lecz byliby im umożliwili skupienie się wokoło towarzystwa przyjaciól nauk i pism, poświęconych pracy naukowej i literackiej. Znalazła się pomoc na cele

[1]) Emigracya pracowników umysłowych z zachodniej Polski stała się chroniczną. Za przykładem bowiem swych poprzedników, którzy dziś w ruchu umysłowym Warszawy, Krakowa i Lwowa tak poważne zajmują miejsce, ulegają jedna za drugą także młode, wyrabiające się, siły prądowi emigracyjnemu. Kilka z nich w ostatnich czasach przeniosło swoją działalność naukową i literacką po za granicę zachodniej Polski, nie znalazlszy w naszem społeczeństwie podniety i sposobności do pracy na coraz bardziej opuszczonym gruncie rodzimym. Niejeden znamy wypadek emigracyi na wschód młodzieńców, zawdzięczających swe wykształcenie funduszom tow. pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego.

rolnicze, czemużby niewykonalnym był wysiłek, bez porównania mniejszy pod względem materyalnym, któryby zwrócił w kierunku pierwotnym intellektualną falę emigracyjną, w życiu umysłowem innych, zasobniejszych pod tym względem, dzielnic polskich tak poważną odgrywającą rolę.

Szlachetna ta utopia zagranicznego przyjaciela Polaków zawiera w sobie rzeczywiście jądro prawdy. Nie skarżylibyśmy się dziś na wychodźtwo umysłowe z Wielkopolski; nie byłby sobie poważny zastęp mężów nauki zamknął drogi do powrotu przyjęciem obcego poddaństwa, gdyby zawczasu była przeniknęła naszą społeczność troska, która przed pół wiekiem niepokoiła Libelta. Dziś jednak liczyć się musimy z istniejącym stanem rzeczy. A ten i nas zniewala do wstrzymania się z wyrzeczeniem hasła, którego brak zaznaczyliśmy u Niemców — *Video meliora.*

Wierzyć nam atoli należy w prawdziwość zasady, że jasne rozpoznanie i uznanie potrzeby społecznej jest pierwszym krokiem do jej spełnienia i że z samego tego uznania wyłoni się inicyatywa do zaradzenia według możności złemu. Martwota umysłowa warstw wyższych w kraju tak rozległym, jak zachodnia Polska, równającym się swoim obszarem Galicyi, a liczącym pólczwarta miliona ludności polskiej, grozi na przyszłość wielkiemi niebezpieczeństwami.

Z trzech dzielnic naszych pod panowaniem pruskiem, dwie niemal zupełnie pozbawione są intelligencyi polskiej. Wszędzie u nas rośnie samowiedza warstw ludowych, coraz mniej oparta na duchowem przodownictwie warstw wyższych. Oby

społeczność nasza zachodnio-polska nie stała się z biegiem lat podobną do ciała, którego siła wzrasta, ale którego oczy oślepły. Organizm taki, choć żywotny, działa na ślepo, narażony jest na wszelkie zboczenia z drogi, której jasno nie widzi przed sobą. W pracy naszej narodowej, w działaniu i rozwoju naszego społeczeństwa niech nam przyświeca pochodnia duchowej kultury, owe światło, za którem lat temu siedmdziesiąt, umierając, wzdychał wielki duchowy działacz dziś tak wrogiego nam narodu niemieckiego.

Gdy niniejsza rozprawa ukazała się pierwotnie w *Bibliotece Warszawskiej*, otrzymaliśmy od kilku poważnych osób z Wielkopolski, a niemniej i od Wielkopolan zamieszkałych obecnie w innych dzielnicach, listy, w których zarzucono nam, że krytykując apatyę naszych dzielnic na polu kultury umysłowej, nie użyliśmy dość czarnych barw, by odmalować smutną rzeczywistość. Zarzucono nam, że obwinęliśmy naszą krytykę w bawełnę i że liczymy się za wiele z drażliwością, która w Wielkopolsce towarzyszy nieraz antykulturalnemu usposobieniu. Z tych samych źródeł otrzymaliśmy obecnie wezwania, by przynajmniej teraz, przy wcieleniu niniejszej rozprawy do książki, o sprawach wielkopolskich odezwać się stanowczej.

Uwagi te jednak nie mogą nas zniewolić do zmian zasadniczych w omawianiu tego bolesnego tematu. Wiemy równie dobrze, jak krytycy naszej pracy, że łatwą byłoby rzeczą użyć tu barw czarniejszych i powiedzieć niejedno, co pozostawiliśmy i pozostawiamy nadal niedopowiedzianem. Ale

z drugiej strony wiemy też, że krytyka, gdy bardzo surowa, chybia często celu. W tym wypadku, zamiast rozpowszechnić świadomość istniejącego niebezpieczeństwa, wzbudziłaby prawdopodobnie tylko gołosłowne protesty „w obronie zaczepionej dzielnicy“. Że to nasze przypuszczenie nie jest bezpodstawnem, na to między innemi mamy dowód w innych uwagach, które również odebraliśmy w tej mierze, a których autorowie z przekonaniem, godnem lepszej sprawy, twierdzą, że treść naszej pracy jest zbyt pessymistyczną i że owszem, ożywienie ruchu umysłowego w Wielkopolsce jest tak znakomitem, „iż mógłby pozazdrościć go nawet Kraków!“

FARYZEIZM GERMAŃSKI.

Bawiąc w Berlinie, w r. 1901 poznałem wybitnego przywódcę niemieckich centrowców, Dra Liebera. W rozmowie naszej, z natury rzeczy, niemal odrazu wkroczyliśmy na temat spraw polskich. Dr Lieber nazwal je *das Schmerzenskind* niemieckiej polityki, a zarazem jej piętą achillesową. Nieustanne drażnienie kilkomilionowej, nadgranicznej ludności określił mianem taktyki wstecznej, której skutki mogą być tylko przeciwne od zamierzonych.

I dodal — walka na noże nigdy nie przynosi strat jednej tylko stronie. Tak i na wschodzie Niemiec. Przyjemność ciągłych tryumfów, odnoszonych nad broniącą się polskością, staje się bardzo gorzką, gdy się zważy, jak bardzo pogłębia się z roku na rok przepaść, dzieląca obie narodowości, jak silnie haslo walki rasowej, wydane przez hakatyzm, obudzilo poczucie samoistności rasowej wśród ludności polskiej. Pominąwszy już kwestyę etyki politycznej, powinniby Niemcy, z samego egoizmu narodowego, położyć kres radykalnym zapędom szowinizmu germańskiego na, wschodzie.

Ale — zauważył z westchnieniem — opinia publiczna w społeczeństwie niemieckiem zbyt jest pod tym względem zbałamuconą. Szerokie masy ludności nie mają żadnego pojęcia o rzeczywistym stanie kwestyi polskiej u nas. Ogromny aparat gazet i agencyj prasowych systematycznie fałszuje informacye, dotyczące Polaków. Prasa niezależna, w szczególności centrowa, nieraz podnosi ową sztuczną zasłonę, ale i ona nie zawsze może to czynić bezkarnie. Fale antagonizmu rasowego już zaczynają także poruszać ciche wody w przystani katolickiego obozu. Mianowicie na Śląsku, położenie jest nader trudne. Niejeden z tamtejszych katolików Niemców rozżalony jest na Polaków, że przestają uznawać wyłączną przewagę centrum i na własnych pragną stanąć nogach. Nawet, wychodząca nad Renem, bogata i bardzo niezależna *Kölnische Volkszeitung*, która śmiało występuje w rzeczach polskich, niełatwe ma zadanie wobec czytającej publiczności, czego najlepszym dowodem jest fakt, iż inne katolickie pisma na zachodzie o wiele ostrożniejszemi są na punkcie uwydatniania krzywd, dziejących się Polakom.

Tak mówił przywódca centrowy, usprawiedliwiając oczywiście, zbyt nieraz jaskrawą jednostronność wielu katolickich pism niemieckich. Gdy mu jednak przeciwstawiłem argument, że przecież właśnie dokładne, a stałe, informacye o walce rasowej na wschodnich kresach państwa, musiałyby w końcu otworzyć oczy wszystkim ludziom dobrej woli, odparł z ożywieniem.

— Zapomniałeś pan wreszcie, że każdy dba najpierw o rzeczy mu najbliższe. Trudno wymagać

od nas, byśmy ponosili całe brzemię informowania publiczności niemieckiej o ucisku katolików polskich. Czemuż Polacy sami nie postarają się o organ niemiecki, głównie ich sprawy traktujący, poważny, dający same wiadomości autentyczne i rozsyłany nietylko wszystkim redakcyom niemieckim, ale także jaknajwiększej liczbie mężów politycznych wszystkich obozów. Koszt byłby co prawda znaczny, ale opłaciłby się mnogością korzyści, któreby przyniósł. Ręczę panu, że waszym przeciwnikom takie stałe odkrywanie prawdy, byle zawszė sumienne, byłoby nader niewygodnem.

Rozmowa tà, ze zmarłym odtąd, leaderem najpotężniejszego stronnictwa w parlamencie niemieckim, zasługuje na wspomnienie, gdy w ostatnich czasach, w prasie polskiej poznańskiej, zjawiły się rozpatrywania na temat niesłychanego rzeczywiście monopolu informacyjnego o naszych sprawach, znajdującego się w ręku niemal wyłącznie najzaciętszych wrogów wszystkiego, co polskie.

Czy życzenie Dra Liebera, by Polacy własnym organem w języku niemieckim stale prostowali rozsiewane o sobie fałsze, jest słusznem, o tem pomówimy w dalszym ciągu. Wiadomo, że tego rodzaju projekt już dawniej był omawiany w sferach polskich i że nawet przejściowo był wykonany przez popieranie ze strony polskiej poznańskich *Neueste Nachrichten*. Ale wiadomo również, jak krótką była epoka polskich wpływów w owej gazecie i jak niewielkie korzyści odniesiono z owego chybionego przedsięwzięcia. Myśl jednak sama przeciwdziałania w ten lub ów sposób niesłycha-

nemu fałszowaniu informacyj o rzeczach polskich, nigdy nie przestała być jednym z tak licznych postulatów obrony narodowej na kresach.

W nowożytnem państwie, jak od wieków w międzynarodowej polityce, siła idzie przed prawem. Nie wynika stąd bynajmniej nieuwzględnienie wartości prawa, jako czynnika politycznego. I to prawa w swem najistotniejszem znaczeniu, jako wyrazu sprawiedliwości. Owszem, im bardziej czyn polityczny odbiega od istoty sprawiedliwości, tem większą staje się dbałość o zachowanie jej zewnętrznej formy.

Tylko państwo o ustroju przestarzałym nie dba o pozory i daje samo właściwą nazwę czynom bezprawnym, które spełnia. Ale i ono najczęściej, choć z grubszego, stara się czynom tym dać tło prawa, usprawiedliwiać je wobec opinii fałszywem oświetleniem ich przyczyn i celów. Tem więcej państwo o ustroju nawskróś nowożytnym, stojące na wyżynie rozwoju materyalnego, a zarazem i rozwoju myśli. Takiem zaś państwem jest dzisiejsze cesarstwo niemieckie. Złożone z ludności bogatej, wykształconej, myślącej, wymaga ono od czynników, kierujących niem, starannego czuwania nad opinią publiczną, by z tej opinii uczynić podwalinę do politycznych działań. Osiągnąć zaś ten skutek można w Niemczech dopiero wtedy, gdy powiedzie się zdanie ogółu uczynić w danej sprawie, ile możności, jednozgodnem, lub przynajmniej opanować większość umysłów. Z doświadczenia wiemy, że nie zawsze jest to rzeczą łatwą.

W walce z kościołem katolickim ćwierć wieku temu, poprzedziło jawne ataki, systematyczne ba-

łamucenie opinii publicznej zapomocą prasy rządowej i sprzymierzonej z nią na tem polu prasy postępowej, a niemniej i zapomocą mów parlamentarnych i zebrań *ad hoc* urządzanych.

Wywlekano odwieczne straszaki rzymskiej zachłanności, budzono w najodleglejszych zakątkach kraju drzemiący fanatyzm protestancki, wyprowadzono znów na światło dzienne zapomniane widma inkwizycyi, wyzyskano popularność zwycięzców Danii, Austryi i Francyi, słowem, użyto wszelkich środków, by naród niemiecki pobudzić do popierania jaknajczynniejszego polityki zgnębienia ultramontanizmu.

Lecz wszelkie starania nie doprowadziły do oczekiwanych rezultatów. Całe przedsięwzięcie było w założeniu swem chybione. Na bardzo poważną mniejszość katolicką agitacya działała w sposób odwrotny od zamierzonego. Pokusy materyalne odstręczały od sprawy kościoła tylko jednostki wśród duchowieństwa, a wśród pozornie zfanatyzowanej większości protestanckiej, pomimo jej rzeczywistej niechęci do wszystkiego co rzymskie, nie objawiał się zapał antykatolicki w tym stopniu, jakiego się spodziewano.

Gdy przyszło do wyraźnego czynu, gdy prześladowanie stało się jaskrawem, pokazało się, że na czele akcyi stoi rząd i że na niego spada całe brzemię walki. Laurami narodowego uznania, jakiemi niegdyś uwieńczyły północne Niemcy Lutra i innych reformatorów, nie było danem ozdobić swej skroni epigonom z epoki Bismarcka.

Przeciwnie zaś, gdy po kilku latach walki rząd zatrąbił do odwrotu, gdy znów cały aparat

oficyalnych informatorów opinii zaczął przekonywać ogół o konieczności zgody religijnej, ta sama opinia z względną łatwością dała się kierować w pożądaną stronę. Ci, którzy obawiali się, że ministeryum w swoim odwrocie spotka się z takim samym zaciętym oporem ze strony protestanckiej, z jakim spotkało się w swej akcyi zaczepnej ze strony zwalczanych katolików, pomylili się najzupełniej. Pójście do Canossy nie osłabiło bynajmniej stanowiska żelaznego kanclerza. Opinia publiczna w swej olbrzymiej większości zadowoloną była z przywrócenia spokoju, którego przerwanie kilkoletnie już groziło poważnym rozłamem w łonie narodu na niekorzyść idei pruskiej.

Ten przykład, a możnaby przytoczyć wiele innych, wystarcza, by stwierdzić z jednej strony, jak ważnym czynnikiem w życiu nowożytnego państwa jest pozyskanie opinii dla celów sfer decydujących, a z drugiej, jak nieraz trudnem bywa to pozyskanie, gdy ów cel staje w jaskrawem przeciwieństwie do interesów poważnej części narodu.

Jakże się na tle tego stanu rzeczy przedstawia sprawa polska w Prusiech? Na pozór bardzo jasno i w sposób prosty. Polacy stanowią ciało obce, wsunięte klinem w obręb Niemiec. Ich poczucie odrębności rasowej, stanowi przeszkodę dla germańskiego *Drang nach Osten*. Sam fakt istnienia kilkomilionowego obcego społeczeństwa w pobliżu stolicy państwa i pomiędzy tą ostatnią a granicą, sprzeciwia się pojęciu jednolitości narodowej, będącego jedną z zasad państwowości niemieckiej.

Więc na pierwszy rzut oka wniosek oczywisty: interes polski sprzeciwia się interesowi niemieckiemu, czyli, że polityka antypolska jest dla Niemiec korzystną, a zatem powinna u wszystkich Niemców być popularną. Ci, którzy ją prowadzą, mogą z pewnością, nietylko liczyć na poparcie ze strony opinii publicznej, ale nawet dać się przez nią wyprzedzić, ulegać jej parciu, płynąć za prądem, całą chwalę i wdzięczność narodową za tę akcyę patryotyczną zachowując dla siebie, jako wykonawców pragnień i dążeń niemieckiego społeczeństwa. Z tego zaś wniosku drugi, niemniej oczywisty: gdy akcya antypolska jest rzeczą pożyteczną dla ogółu niemieckiego i wśród niego popularną, przeto nie potrzeba żadnego wysiłku, by opinię usposabiać dla niej korzystnie. Duch narodu sam do niej dąży, żąda jej i pragnie. Nie w sztuczne stroić szaty walkę rasową, lecz śpiewać jej chwałę, głosić jej wyniki należy ludziom słowa i pióra. Nie maskę hipokryzyi przywdziewać, lecz lutnię Tyrteusza w dłoń chwycić przystoi potentatom prasy i mownicy sejmowej.

Tak przedstawia się, pozornie, sprawa stosunku opinii publicznej do kwestyi polskiej w Prusiech. A jednak rzut oka na taktykę naszych prześladowców uczy nas, że w istocie mają się rzeczy inaczej. Pomimo głoszonej wszędzie, a zresztą w części bardzo prawdziwej, popularności polityki antypolskiej, widzimy ze strony jej kierowników wprost niesłychane wysiłki hipokryzyi. Kłamie się ciągle i wszędzie, w rzeczach wielkich i małych, w ogóle i w szczególe. Kłamie się mądrze, systematycznie, z tradycyjną, dziedziczną, wciąż udo-

skonalaną sztuką. A przytem pracowicie. Bo jak we wszystkiem innem, tak i w sztuce kłamania, nie wystarcza sam talent. Potrzebną jest praca.

Prawdziwie zaś niezmierną jest ilość tej pracy. Od uczonego profesora i redaktora europejskiego pisma do prowincyonalnego kacyka, szlącego z zapadłych kątów swoje berychty, zawsze jeden ton, jedna nuta, przedstawianie sprawy polskiej według ułożonego z góry szematu.

Rzekłbyś, stu malarzy poszło w świat, by malować krajobrazy różne, ale wszyscy słuchają jednego przykazania, wszyscy muszą w temsamem oświetleniu przedstawiać rozmaite sprawy. Całokształt tej roboty jest i ogromny i sztuki pełen. Widzimy zatem, że pozory łudzą, że pomimo rzeczywistego przeciwieństwa poczucia rasowego niemieckiego do polskiego, pomimo długoletniej obławy, mądrze organizowanej przeciw nam, czynniki kierujące polityką antypolską, uznają za konieczne opinię publiczną obrabiać i wpływać na nią w pożądanym dla siebie kierunku.

Gdy się w ten sposób postawi zagadnienie, nabierze ono odrazu osobnego i zasadniczego znaczenia. Staje przed naszemi oczami jedno z narzędzi, któremi szowinizm niemiecki gnębi polskość, narzędzie skomplikowane, nieraz nieuchwytne w różnorodności swych działań, odczuwane przez nas na każdym kroku w swych skutkach, ale niedość może znane w swej istocie. Stwierdzamy, że areopag potęg antypolskich w społeczeństwie niemieckiem, używając tego narzędzia nieustannie, daje najlepsze świadectwo jego pożyteczności i waż-

ności, a temsamem jego szkodliwości dla strony przeciwnej.

Więc nasuwają się pytania dalsze. Jakiemi są przyczyny, dla których szowinizmowi niemieckiemu koniecznie potrzebnem jest fałszowanie informacyj o rzeczach polskich? Następnie: jak wygląda owa organizacya fałszerstwa, a wreszcie, czy dla nas Polaków istnieją środki, któremi moglibyśmy przeciwdziałać i jakie są te środki.

Odpowiadając na owe pierwsze pytanie, zaczniemy od śmiałego postawienia zasady, że w dzisiejszej swej postaci, szowinizm niemiecki bez systematycznego fałszerstwa w sprawach antypolskich poprostu nie mógłby obyć się ani chwili, że fałszerstwo to jest jedną z najgłówniejszych zasad jego działalności.

Jeżeli bowiem interes Niemców wobec Polaków jest jasny i prosty, mianowicie zdobywanie korzyści ekonomiczno politycznych na wschodniem skrzydle potęgi prusko-niemieckiej, to przeciwnie taktyka, prowadząca do tego celu, jest i musi być rzeczą bardzo sporną. Różnorodność zdań w tej mierze wynika choćby tylko z historycznego pewnika, że systemy zdobywcze germanizmu na wschodnich kresach były już rozmaite. Zastanawialiśmy się w jednym z poprzednich artykułów niniejszej książki, nad olbrzymiemi zdobyczami, które na terenie polskim przyniosła Niemcom ich dawniejsza taktyka infiltracyjna, oparta na tem, co nigdy nie zawodzi w stosunku wzajemnym dwóch sąsiadujących ras, na właściwościach naturalnych obu narodów.

Nie brak w Niemczech ludzi, dobrze zdających sobie sprawę z tego, jak nieustannie postępowała niemczyzna w swym zwycięzkim pochodzie na wschód, dopóki korzystała z apatyi i łatwowierności tych, którzy od wieków sami otwierali jej na oścież bramy swego kraju. Niedbałość Rzeczypospolitej o ginące zachodnie kresy słowiańszczyzny, zniemczony w trzech czwartych Śląsk piastowski, zniemczona zupełnie Brandeburgia, niemal zupełnie Pomorze i Prusy książęce, zniemczone w samych granicach państwa polskiego miasta, kolonie niemieckie zakładane przez panów polskich jeszcze za czasów królestwa kongresowego i stanowiące dziś pod bokiem Warszawy potężne warownie niemieckie, zgermanizowanie nawet w czasach porozbiorowych znacznej części szlachty kresowej, to wszystko wspomnienia, które myślącemu Niemcowi nie są obce.

A niemniej znanym jest w Niemczech obraz czasów późniejszych, walki otwartej, w której, co prawda, klęsk niemało poniósł żywioł polski, ale których rezultat jednak nie odpowiada olbrzymiemu nakładowi pieniędzy i wysiłków prawno-politycznych walczącej na wschodzie Germanii.

Nieustannie przed oczami trzeźwiejszych polityków niemieckich staje zapytanie, czy szczucie narodowościowe przeciw Polakom, jaskrawe, hałaśliwe, pełne teatralnych efektów, jest rzeczywiście najlepszą polityką niemiecką na wschodzie, czy najprędzej, najbezpieczniej, wiedzie do celu. I tym, którzy z kredką w ręku zabierają się do układania bilansu zysków i strat, bynajmniej nie jest obcym pewnik, że zysk bezpośredni z tej

polityki przypada w udziale nielicznej, stosunkowo, części narodu, t. j. karyerowiczom politycznym i ekonomicznym, z wojny tej żyjącym i na niej się tuczącym, a w części także rządowi, który uwagę narodu odciąga od rozmaitych niewygodnych mu zagadnień wewnętrznych, skupiając ile możności zajęcie się ogółu eksperymentami *in anima vili* na terenie obcej rasy, zamieszkującej część państwa.

Wiadomą jest rzeczą, że prócz junkrów i narodowo-liberałów, ani jedno ze stronnictw w radach ustawodawczych nie solidaryzuje się zasadniczo z ogółem systemu politycznego. stosowanego wobec Polaków. Owszem, każde z nich, choć nie w równej mierze, od czasu do czasu, ulega wątpliwościom, które dopiero silna i wpływowa ingerencya osłabia lub rozprasza.

Więc wobec wszystkich, owym wątpliwościom przystępnych, a niemniej wobec kół szerszych, mianowicie tam wszędzie, gdzie ilość osobników, ciągnących bezpośrednie osobiste zyski z obławy szowinistycznej jest mała, i gdzie wątpliwości niemiłe mogłyby znaleźć posłuch, organizatorowie i dowódcy jej muszą pilnować, by ich działalność przedstawiała się w jaknajlepszem świetle, by okazywała się potrzebną, konieczną. Drogą zaś jedyną ku temu jest opanowywanie opinii publicznej zapomocą publicystyki wszelkiego rodzaju, oraz świadectwami najróżnorodniejszemi, mowami i berychtami w celu usprawiedliwienia tej właśnie taktyki, której trzyma się obecnie rząd oficyalny i podszczający go nieustannie rząd poboczny.

Oczywiście nie zawsze i nie wszystkim przypada do smaku działalność, nieraz naiwnie bez-

czelna, organizacyi fałszerstwa. Pomimo wszelkich usiłowań zabarwiania prawdy, odzywają się tu i owdzie w społeczeństwie niemieckiem głosy ironiczne, lub ostrzegawcze, które krytykują podawaną masom przez szowinistycznych kucharzy strawę. Ale ci ostatni zadowoleni są zupełnie, gdy ogromna większość narodu strawę tę przyjmuje, przyzwyczaja się do niej i nie ogląda się za inną. Powoli, lecz stale, wytworzył się w ten sposób smak publiczności osobny, apetyt polakożerczy, gwałtowny, dla którego najmilszem jest połknięcie Polaka na surowo, choćby nawet taki specyał miał się okazać niestrawnym.

Prócz tego wchodzi tu w grę znana zasada, *mundus vult decipi*. Nie brak w Niemczech takich, którzy, choć własne ich przekonanie nie jest zgodne z obecną formą systemu germanizacyjnego na wschodzie, sami pragną być oszukanymi. Trzeźwemu politykowi, pragnącemu może właśnie sposobem, przeciwnym obecnemu, ugruntować wpływy niemieckie na wschodzie, ale nie myślącemu narażać stanowiska swego w walce z potężną organizacyą szowinistyczną, jakże wygodną jest rzeczą ulegać straszakom, malowanym ciągle przez hakatyzm. On nietylko nie gniewa się na szowinistów, że ubierają się w szatę hipokryzyi, ale owszem, wdzięczny jest im za tę suggestyę, usprawiedliwiającą go przed samym sobą.

Wreszcie zapominać nie trzeba, że Niemcy, to kraj bojaźni Bożej, kraj w którym sztandar religii wysoko jest trzymany przez protestantów i przez katolików. Religia to czynnik państwowy, ważny i ceniony przez przedstawicieli porządku

społecznego. To podpora tronu, to hamulec przeciw zawiściom społecznym i stanowym w obrębie narodu. Głosić jawnie i uroczyście potrzebę zasad religijnych, a równocześnie jawnie deptać najistotniejsze jej zasady, powoływać się przy każdej sposobności na miłość bliźniego, poszanowanie tradycyi, cześć dla czynników społecznych, zdawna istniejących, a działać wręcz przeciw tym wszystkim zasadom, gdy chodzi o pewną kategoryę obywateli państwa, to przecież nie uchodzi, ba! nawet byłoby niebezpiecznem. Kapłani narodowej cnoty, z uroczystą pozą wzywający do niej wierny lud, nie mogą żadną miarą wygłaszać równocześnie, że zasady, którym czynią reklamę, są tylko warunkowemi, i że oto sami drwią z nich *coram populo*.

Więc gdy nieprawość ma być postawioną na ołtarzu, gdy cześć jej przez naród ma zostać oddaną, stroi się ją odświętnie, okrywa kwiatami, tak, że znika jej twarz rzeczywista. Gwałt, przemoc i bezprawie, stają się pracą zbożną, obroną domowego ogniska i pochodem kultury. Takim ideałom cześć oddawać wolno i trzeba. Cnota zdeptana nogami, ale wizerunek cnoty utrzymany wysoko na widowni. Zasada uratowana.

Ci zaś, u których zasad jeszcze najwięcej, ci, którzy sami niegdyś byli ofiarą przemocy, katolicy niemieccy, teraz przez rząd ugłaskani, z prześladowanych zamienieni na obsypanych zaszczytami i łaską, radzi są z błogiego spokoju dziś im danego. W swej większości nie mają oni najmniejszej ochoty poświęcać się za dolę cudzą. Lecz, że spokojne przypatrywanie się jawnej krzywdzie stanowi zaprzeczenie ideałów, które im przyświe-

cały, więc i dla nich suggestya ze strony szowinizmu staje się rzeczą wygodną. Protestuje ten i ów, gorętsi odzywają się od czasu do czasu z upomnieniem lub naganą, ale całość stronnictwa zachowuje się biernie; zarazków szowinizmu, wciskających się w dalsze szeregi, nie tępi nikt stanowczo, bo przecież własny interes jest zachowany, a sprawa owych uciśnionych, według tylu świadectw, jest tak niesympatyczną, tak odstraszającą dla każdego patryoty germańskiego. Słowem, fałszowanie opinii, suggestya szowinistyczna, jest nietylko koniecznie potrzebną fałszerzom samym, ale także pożądaną tym wszystkim innym, którzy dla świętego spokoju nie radzi podejmować się trudnej zawsze roli obrońców prawdy.

Dodać tu jeszcze należy wzgląd, wcale nie podrzędny, na zagranicę. Z dawien dawna państwa ciekawe były tego, co się dzieje u bliższych i dalszych sąsiadów, a nawet i niesąsiadów. Tak jest i po dziś dzień. Któremuż mocarstwu jest miłem, gdy w szerokim świecie złe stosunki w jednej z dzielnic przybierają rozmiary ogólno-ludzkiego skandalu. Nawet Turcya, choć mało cywilizowana, mocno uskarżała się, gdy prasa europejska drastycznie opisywała w ostatnich latach barbarzyńskie dręczenie spokojnych poddanych w jej wschodnich prowincyach. Wiadomo, jak nerwowo zachowywała się opinia publiczna w Anglii, wobec dowodów sympatyi dla uciśnionych Burów — dowodów okazywanych w całym niemal świecie. Żaden zaś naród, żadne państwo na kuli ziemskiej nie jest pod tym względem tak nerwowem, jak Niemcy.

Najmniejsza oznaka współczucia ze strony zagranicy dla losu mieszkańców polskich imperyum germańskiego, wywołuje od Królewca do Strassburga niesmak i zaniepokojenie. Przysłowie o czapce, która gore, stwierdza się tu w zupełności. Gore ona odrazu, choć jej właściciel mocny, bardzo mocny i posiadając siłę lwa, mógłby się zapewne obyć bez chytrości lisa. Ale nie obywa się on bez niej zasadniczo. Zatem nietylko do użytku domowego, lecz i na eksport, bałamucenie opinii w sprawach polskich, jest dla Niemców narodową potrzebą. Co zaś jest potrzebne, tego Niemiec z pewnością nie zaniedba. *Immer gründlich!*

Tu przechodzimy do drugiego zagadnienia, jaką jest organizacya tego, tak ważnego w polityce germańskiej, czynnika. Oddać musimy najserdeczniejszym naszym sprawiedliwość, że jest ona na punkcie rzeczy polskich wprost doskonałą.

Gra tu oczywiście niepoślednią rolę nietylko ważność traktowanej kwestyi, ale także długoletnia już wprawa i tradycya w praktyce. W tych samych bowiem Niemczech przykłady z ostatnich czasów wskazują nam w innych sprawach daleko mniejszą przezorność kół szowinistycznych.

Znane *Hunnenbriefe*, relacye żołnierzy z wyprawy chińskiej, a niemniej fatalne rewelacye o gospodarce niemieckiej wśród nieszczęśliwych murzynów afrykańskich, sprawiły dużo kłopotu sferom, dotkniętym owemi odkryciami. Odbyły się nawet procesy kompromitujące, jak np. znanego księcia Arenberga. Aparat prasy zależnej musi pracować całą siłą pary, by utrzymać zapał naro-

dowy w kwestyi kolonialnej w odpowiednim stanie napięcia.

Gdy chodzi o Polaków, o takich niezgrabnościach niema mowy. Aparat fałszerstwa działa prawidłowo, dokładnie, wszechstronnie. Bo też organizacya jego jest pierwszorzędną. Po pierwsze wyborny stanowi dla niego podkład to, że głosy uciśnionych słyszane są tylko przez nich samych. Język polski nie jest językiem europejskim. Książka polska lub gazeta polska, czytaną jest tylko przez Polaków. Bardzo nieliczne są redakcye wśród innych narodowości, lub też pojedyncze osoby, władające naszym językiem. Więc cała kategorya informacyj polskich, pisanych po polsku, dla świata nie istnieje.

Pozostają informacye o stosunkach w dzielnicy pruskiej, udzielane przez Polaków w językach obcych. Te zaś ograniczają się przeważnie do języka niemieckiego. Pominąwszy rzadkie i szczuple, bo z łaski przyjmowane niekiedy przez pisma katolickie, artykuły, zawadzają przedewszystkiem szowinistom niemieckim mowy posłów polskich w berlińskich ciałach ustawodawczych. Wyliczane w nich są z większym lub mniejszym darem wymowy, ale gruntownie i obszernie, krzyczące nadużycia ze strony niemieckiej, przedstawiana jest w całej swej grozie tragedya walki rasowej, strasznej i bezwzględnej, uprawianej na kresach. Wprawdzie sejm lub parlament — to zbiorowisko działaczy politycznych, obytych z wszelkiego rodzaju wrażeniami, o nerwach niełatwych do poruszenia; ale mowy poselskie zażywają w druku takiej samej nietykalności, jaka przysługuje po-

słom, gdy przemawiają w Izbie. Wolno je powtarzać w prasie, bez obawy narażenia się na kłopoty ze strony prokuratoryi. Powtórzone zaś, mogłyby oddziaływać w sposób ujemny. Temu trzeba zaradzić.

Na pierwszy rzut oka nie zdaje się to rzeczą możliwą. W rzeczywistości jednak jest to stosunkowo dość łatwe. Pozornie nie tamuje nikt swobody informacyjnej. Poseł, który słyszał wygłoszoną mowę, dziennikarz, który taksamo słyszał ją z trybuny, może ją natychmiast podać do publicznej wiadomości. Co więcej, stenograficzne biura Izb, uskuteczniają dosłowne powtórzenie w druku całego przebiegu posiedzenia, każdego na niem wypowiedzianego słowa, nawet okrzyków uznania lub niezadowolenia. Sprawozdania te, stenografowane podczas posiedzenia, natychmiast po niem bywają przepisane zwykłem pismem i dostarczane, w kilka, lub kilkanaście godzin później, mowcom do przejrzenia i stwierdzenia ich dokładności, poczem drukarnie Izb sporządzają osobne wydania sprawozdań Izbowych, w poszczególnych zeszytach, rozsyłanych darmo wszystkim posłom parlamentu, sejmu pruskiego, Izby panów i niektórym urzędom państwowym, oraz bibliotekom. Po za tem, może, kto chce, prenumerować to wydawnictwo, jak gazetę, za pewną opłatą. Całość tych publikacyj wynosi już znaczną liczbę potężnych tomów i posiada wielką wartość bibliograficzną.

Zważywszy to wszystko, niewtajemniczony w zakulisową organizacyę służby informacyjnej, skłonnym jest do przypuszczenia, że chyba wszyst-

kie drogi do uwiadomienia rzetelnego publiczności otwarte są najzupełniej. Lecz niech zada sobie pracę wertowania prasy niemieckiej podczas t. zw. *Polendebatten*, rozpraw na temat spraw polskich. Wtedy stwierdzi, że mowy Polaków opuszczane są najczęściej zupełnie, a tem staranniej podane mowy naszych przeciwników. Większe zaś pisma, które dołączają do swoich numerów osobne dodatki parlamentarne i podają całe rozprawy z dnia, przynajmniej w ważniejszych kwestyach, niemal dosłownie, skracają tendencyjnie streszczenia z przemówień polskich. Najważniejszy argument opuszczony, najdrastyczniejszy przykład skreślony zupełnie. Czytelnik ma przed oczami twierdzenie ministra lub posła hakatysty, a po niem ogólnikowe zdanie, że Polak był z niego niezadowolony. I nietylko, że w sprawozdaniach tych nie uwzględnioną jest zasada: *audiatur et altera pars*, ale owszem, wywołanem jest wrażenie, że chyba wielką być musi słuszność germanizatorów, gdy przedstawiciel polskości na żadną treściwą nie mógł zdobyć się obronę.

Tak czyni cała ogromna falanga pism, podlegających wpływom szowinistycznym. Trzeba zaś wiedzieć, że redakcye setek pism prowincyonalnych, najczęściej wcale nie zadają sobie pracy i kosztu utrzymywania osobnych korespondentów parlamentarnych. Przedrukowują poprostu sprawozdania wielkich pism berlińskich, wybierając oczywiście te z pomiędzy nich, które danej redakcyi są najsympatyczniejsze. Stenograficzne sprawozdania biur izbowych nadchodzą dopiero po kilku dniach, gdy nowe sprawy stanęły już na widowni. Jest to za-

tem informacya spóźniona, używana jedynie przez pisma polskie, drukujące w całości mowy naszych posłów, jako dokumenta do historyi naszych dzielnic, a także dlatego, że w tej formie wolno zamieścić niejednę uwagę, lub wyraz oburzenia, który w artykule redakcyjnym podpadałby pod rygor ustawy prasowej.

Dla pism niemieckich sprawozdania stenograficznego biura nie posiadają niemal żadnego znaczenia, wyjąwszy oczywiście owe wielkie organa, które mają osobny układ z temi biurami i jeszcze podczas trwania posiedzenia odbierają manuskrypta stenogramów kartka po kartce, do natychmiastowego użytku drukarskiego. Otóż owe wielkie pisma są po części wprost w związku z organizacyą czynnego szowinizmu, z owym prądem pobocznym, którego najwyższa komendaześrodkowuje się w znanej ogólnie grupie z *haute finance* berlińskiej. Związek ścisły z tą grupą jest dla gazety i jej redakcyi rzeczą korzystną, a w niektórych wypadkach według obiegających, a wiarygodnych, bo przez konkurentów zawodowych niedyskretnie rozpuszczanych wieści, nawet nadzwyczaj korzystną.

Korzyści te rosną, lub zmniejszają się, razem z rozmiarami wpływu danego organu na inne, mniejsze pisma. Najmniejszemi zaś są one w zupełnie oficyalnych organach hakatyzmu. Te, jako własność potężnego związku, pokrywającego ewentualny deficyt w budżecie gazety, wykonywują poprostu jego rozkazy. Wpływ ich jest zresztą bardzo mały, gdy przeciwnie, ważnym dla rządu

pobocznego jest ten, który wywierają jego nieoficyalne, jednak od niego zależne, pisma.

Podobnie mają się rzeczy w stosunkach prasy z rządem rzeczywistym. Któż nie zna historyi sławnego *Reptilienfond*, liczącego wiele milionów marek, a utworzonego po części z zabranego po roku 1866 królowi hanowerskiemu prywatnego majątku. Używał go książę Bismarck do subwencyonowania prasy. Obecnie ów fundusz, zwany po polsku gadzinowym, już nie istnieje. Zwrócono go prawowitym właścicielom. Ale subwencyonowanie prasy bynajmniej nie ustało. Jest ono tak bardzo rzeczą w Niemczech uznaną, że nie stanowi nawet dla opozycyi parlamentarnej kamienia obrazy. Mówi się o niem i pisze, jako o rzeczy niełądnej, lecz której nikt nie może się dziwić. Od tak dawna, jak ludzie umieją pisać, potęgi polityczne dbały o zapewnienie sobie poparcia publicystyki, a z rozwojem nowożytnego dziennikarstwa, zagrzewanie brzęczącym argumentem poszczególnych organów do popierania danej polityki bezustannie rośnie. To broń w arsenale politycznym zdawna uklasyfikowana, a przystępna zresztą nietylko władzy, ale każdej innej sile politycznej.

Fatalnym jednak dla nas zbiegiem okoliczności w Prusiech, owe finansowe wpływy, o ile dotyczą sprawy polskiej, nie są podzielone i częściowo sobie przeciwne, lecz owszem, zbiegają się do jednego celu. Tak samo, jak hakatyzm, opłaca i rząd pruski publicystykę antypolską. Rachunki z owych tajnych funduszów nie są zdawane, ale, pomimo to, brukowa opinia berlińska rozporządza

zawsze całym szeregiem wiadomości z tej dziedziny, a także i anegdotek nieraz nader pociesznych.

Tak np. przed dwoma laty bardzo nam nienawistny *Berliner Tageblatt* zamieścił pewnego poranku, ni stąd ni zowąd, krytykę rządowej polityki wobec Polaków. Dziwiono się zrazu, ale wkrótce wtajemniczeni w sprawy zakulisowe zaczęli szeptać o pewnych korzyściach, tym razem nie natury ekonomicznej, które pragnęły uzyskać osobistości z kół tageblatowych. Uzyskanie tych korzyści okazywało się trudnem.

Zaczęła się więc pomiędzy obu interesowanemi stronami wielce ożywiona dyskusya. Publicystyka mówiła:

— Dajcie nam to, o co prosimy, a popierać was będziemy nadal skutecznie.

Władza odpowiadała:

— Macie już dosyć.

Od słowa do słowa, przyszło do sprzeczki, w której ze strony wysokiej paść miało zdanie, że wreszcie niech gazeta sobie pobryka, kiedy nie chce słuchać. Rząd się bez niej obejdzie i zwróci się do jej konkurentki.

Pogardliwe te słowa, a szczególniej wzmianka o konkurentce, którą w tym wypadku miał być *Localanzeiger*, doprowadziła tageblatowców do wściekłości. Postanowiono pokazać rządowi zęby. I myślano odtąd nad tem, coby mogło mu być najnieprzyjemniejszem. Uradzono, że z pewnością koziołek dziennikarski w kwestyi polskiej. Na drugi dzień pojawiła się w numerze głównym notatka, krytykująca politykę niemiecką na wschodnich kresach.

Koziołek był istotny, ale zgrabny, zwinny, krótki, niekompromitujący zanadto, zostawiający drogę do odwrotu. *Tageblatt* wychodzi wczesnym rankiem. Otóż nie minęła jeszcze godzina, w której prawowierny berlińczyk zapija poranną kawę, a już telefon spraszał osobistości, odesłane w wilią z kwitkiem, na nową konferencyę. Jak ta ostatnia wypadła, łatwo się domyślić. Najzabawniejszem zaś było, że sprytni zwycięzcy, szydzili jeszcze potem z powag, które im uległy, przyznając wobec kolegów zawodowych, że powagi owe, gdyby były mniej nerwowe i przeczekały jeszcze dzień lub dwa, byłyby wygrały sprawę. Dla gazety dalszy ciąg koziołków byłby przecież niewykonalnym ze względu na liczne więzy, łączące ją z czynnikami antypolskimi.

To w swoim czasie dość głośne zdarzenie jest przykładem, jednym z wielu, organizacyi wpływów antypolskich w prasie ze strony rządu. Władza niemiecka, prócz argumentów natury finansowej rozporządza mnóstwem środków w celu wpływania na prasę. I to nietylko bezpośrednio, ale nieraz lepiej jeszcze pośrednio. Stronnictwa, nie będące z rządem w otwartej walce, choć oponują mu w wielu sprawach, zawierają z nim jednak w innych kompromisy. Niestety zaś, jednym z tych punktów, na których pomiędzy nimi a reprezentacyą państwa kompromis najłatwiejszy, jest kwestya cudzej doli, kwestya polska.

Do rzędu czynników prasowych należy zaliczyć także biura korespondencyjne i agencye prasowe, a niemniej i agencye telegraficzne. Zasilają one prasę całą informacyami, a dla pism prowin-

cyonalnych są niemal jedynem źródłem informacyj z pierwszej ręki. I one bez wyjątku są podległe wpływom nam wrogim.

Pod tym względem prasa katolicka niewiele odróżnia się od niekatolickiej. Wprawdzie nie może być u niej mowy o wpływach finansowych ze strony czynników szowinistycznych, ale wpływom innego rodzaju ulega i ona w przeważnej swej części. Centrum jest dziś u szczytu swego powodzenia, obsypywane łaskami przez protestancki rząd. Niewielu z jego członków ma odwagę otwarcie stanąć w obronie pokrzywdzonych. Prócz tego, jak już zaznaczyliśmy, w jego łonie także zapuściła korzenie ogólna zajadłość antypolska, krzewiona przez szowinistów, choć nie tak silnie, jak w niektórych innych stronnictwach. Stąd wniosek blizki, że i organom centrowym nie wolno najczęściej zbyt obszernie zajmować się naszemi krzywdami. W niejednym z nich cieszy nas nawet obojętność, gdy spora liczba pism katolickich od czasu do czasu wyraźną wobec nas okazuje niechęć. Tak więc informacye nam korzystne, z góry skazane są na skreślenie.

Są, co prawda, wyjątki w tej mierze, ale zanim o nich pomówimy, należy nam wpierw uzupełnić obraz niekorzyści, płynących dla nas z ustroju publicystyki niemieckiej. Powyżej przedstawiona organizacya milczenia, gdy chodzi o sprawiedliwe informacye na temat spraw polskich, działa nietylko na wewnątrz społeczeństwa niemieckiego. Z natury rzeczy oddziaływa ona także na zewnątrz wobec zagranicy, czerpiącej swe wiadomości najczęściej z niemieckich, zrozumiałych jej, pism.

Wynika z tego, że nawet tam, gdzie nie brakłoby ochoty do wywlekania na światło dzienne niemiłych Niemcom spraw i sprawek, aż nazbyt często, właśnie o rzeczach polskich, brak odpowiednich informacyj, dowodów i przykładów.

Pamiętamy, jak w czasie skandalów we Wrześni uskarżali się niejednokrotnie publicyści zagraniczni, przybyli do Poznania, na brak informacyj w swoich społeczeństwach o walce dziejowej, która toczy się na ziemiach polskich, należących do cesarstwa niemieckiego. I twierdzili, że wstrząsające wieści o dzieciach okrwawionych, o dramatycznych szczegółach procesu, wywoływały w ich ojczyźnie nietylko znane objawy sympatyi dla ludności naszych dzielnic, ale równocześnie nieraz też okrzyki zdziwienia, że takie rzeczy dzieją się w kraju, z którego zazwyczaj żadna wieść nie przedostaje się na szeroką arenę publicystyki światowej, w kraju, który, szczególniej dla dalszej, nie sąsiadującej wprost zagranicy, przedstawia się najczęściej, jako spokojny szmat ziemi, o stosunkach wogóle idyllicznych, zamącanych tylko przez paru niepoprawnych polskich burzycieli. Bolesną dla nas było rzeczą słuchać tych uwag, których prawdziwość aż nadto nam jest znaną.

Ileż boleśniejszym jeszcze jest rzut oka na taktykę wprost zaczepną organizacyi fałszerstwa opinii. Przemilczanie faktów, niemiłych szowinizmowi niemieckiemu, stanowi tylko jedną stronę jej działalności. Drugą, o wiele jeszcze groźniejszą, jest systematyczne zmyślanie wiadomości, dla nas szkodliwych, lub zabarwianie zjadliwe faktów wszelkiego rodzaju z życia codziennego

naszych dzielnic. Pod tym względem machiawelizm kierowników niemieckiej opinii jest rzeczywiście niezrównanym. Każda sposobność jest dobrą dla nienawistnej fantazyi naszych najserdeczniejszych. Towarzystwo pomocy naukowej, polskie, przedstawiane jest jako organizacya polityczna. Taki sam zarzut czyniono już niejednokrotnie kółkom rolniczym, ba, nawet muzeum polskiemu, i *risum teneatis*, teatrowi polskiemu w Poznaniu! Towarzystwo przyjaciół nauk ulega również podobnym podejrzeniom.

Wymieniliśmy umyślnie same takie instytucye polskie, w których zasadniczo wszelkie polityczne zabarwienie jest wykluczonem. Cóż dopiero te, których istota jest związana z polityką, a więc np. Towarzystwa wyborcze i zebranie delegatów wyborczych, nadewszystko zaś prasa polska. Klasycznemi są nieraz cytaty z tej ostatniej w prasie niemieckiej, a niemniej i w mowach naszych przeciwników, wygłaszanych z trybuny parlamentarnej, lub z ławy ministrów. Poszczególne ustępy z artykułów wybrane są i zestawione tak po mistrzowsku, że świadczą zaszczytnie o pomysłowości tych, którzy je układali. Nieraz podaną jest teza, a opuszczoną antyteza, zmieniająca sens całości. Złączonemi bywają zdania, które w artykule oryginalnym przedzielone były całym szeregiem innych zdań, tak, że znów sens najzupełniej zostaje zmienionym. Do tych operacyj mozaikowych służą nietylko pisma, wychodzące w obrębie państwa, niemieckie, ale i pisma polskie, zagraniczne. Prasa zaś niemiecka niekiedy wprost zastępuje w przytoczonych cytatach jedno słowo drugiem i bez-

wstydnie przypisuje danej gazecie polskiej zdanie, którego wcale nie wygłosiła.

Zupełnie wolnem dla najzjadliwszych plotek i najwstrętniejszych insynuacyj jest także pole korespondencyj miejscowych. Na niem przodują innym gazety szowinistyczne, wychodzące we wschodnich dzielnicach państwa. Warto zagłębiać się w tę ogromną, codzienną literaturę, którą karmi się tak wielka część publiczności niemieckiej, a która znów służy za źródło informacyj dla pism w innych prowincyach. Co chwila spotkać tam można drastyczną opowieść o zaczepliwości polskiej. Tu intrygi polskiego kupca zrujnowały zacnego, lecz prostodusznego handlarza germańskiego. Tam znów Polacy pragnęli załatwiać swoje zakupy u sympatycznego przybysza z zachodu, ale niesumienni agitatorowie wywołali taką wrzawę w miasteczku, że nikt nie śmie zajrzeć do składu niepolskiego. Ucisk Niemców straszny, wysiłki nieszczęsnych pionierów germanizmu giną marnie wobec zajadłości naporu słowiańskiego.

Czasem obraz tej nędzy jest wprost wzruszający. Oto ojciec rodziny, weteran z kampanii francuskiej, przybywa obarczony liczną rodziną do polskiej osady, by tam krzewić niemiecką kulturę i zarobić sobie na kawałek chleba. Zacny to mąż, bohater prawdziwy, pracowity, oszczędny, zapobiegliwy. A jakże szlachetny! Nie czyni żadnej różnicy w sprawach narodowościowych. Jeżeli jest kupcem, chętnie sprzedaje doskonały swój towar polskim dzikusom, którzy wcale tak dobrych rzeczy nie warci. Jeżeli jest rolnikiem, okazuje równą gotowość pracowania na polskiej ziemi, jaką oka-

zywał na niemieckiej. Owszem, większą nawet, bo tam, hen, w domu, na rodzinnych śmieciach, nie powodziło mu się zupełnie i zawiść losu, a także gorący patryotyzm, zniewolił go do obarczenia się subwencyą rządową na zagospodarowanie się powtórne.

Ale próżne bohaterstwo, daremna praca i poświęcenie! Zacny pracownik dostał się w takie piekło polonizmu, że niema dlań z niego wyjścia. Prześladują go sąsiedzi, znieważają słowem i czynem. Dzieci polskie obrzucają go błotem. Bydło mu zdycha, choć nigdzie w okolicy nie panuje zaraza. Dlaczego zdycha? Odpowiedzi niema, ale zato szereg kropek, które mówią więcej niż słowa. Autor korespondencyi, odwiedził nieszczęsnego w jego sadybie. Zastał gospodarstwo zaniedbane, a jego samego strasznie pijanego. Nic dziwnego, że się biedak w tak okropnem położeniu zdemoralizował. Lecz czyż takim ma być los twoich dzieci, niewdzięczna Germanio! To woła o pomstę do nieba. Więc ratujcie współbracia niemieccy ginących pobratymców na wschodzie, ratujcie, bo smok obcej rasy, już otwiera paszczę, by pożreć ostatki waszych legionów!

W innej okolicy robotnicy polscy znęcają się nad niemieckimi. Była bójka, kilku Niemców wyniosło z niej sińce. To także skandal ostatni, nad którym redakcya łzy roni. A epilog owego zdarzenia, polegający na zasądzeniu właśnie owych pobitych za wywołaną po pijanemu burdę, oczywiście pozostawia się do użytku polskiej gazety. Efektu patryotycznego, wywołanego podaną notatką, psuć nie można niemiłem zakończeniem. Czasem

zarzuty są ogólnikowe. Naprzykład, że księża polscy w danej okolicy nawołują do prześladowania katolików niemieckich. Oszczerstwo rzucone, ale nikt nie jest wymieniony, więc najczęściej niema obawy o sprostowanie na mocy paragrafu ustawy prasowej.

Zresztą Polakom, szczególniej na wsi, nie często wpadają w ręce piśmidła szowinistyczne i nie wielu z nich interesuje się tem, co o nich piszą. Gdy zaś oszczerstwo, zbyt jaskrawe, zbudzi czujność dotkniętych osobistości polskich, wtedy, zmuszona przez ustawę, zamieszcza gazeta sprostowanie, ale zaraz za niem szereg takich jadowitych podejrzeń, że po raz drugi wypadałoby żądać sprostowania. Zazwyczaj jednak poszkodowani, nie chcąc w nieskończoność spierać się z fałszem opinii, uciekają się pod skrzydła prasy polskiej i tam wynurzają swe żale. To już organowi oszczerczemu jest obojętnem. Polskich ramot i tak nikt w świecie kulturalnym nie czyta.

Osobny dział bałamucenia opinii stanowią sprawy ekonomiczne. Oprócz dramatycznych opisów z doli niemieckiego ludu na wschodzie i obrazków rodzajowych w guście przytoczonego powyżej, rozwija się na polu gospodarstwa krajowego poważniejsza praca reklamy antypolskiej. Statystycy, publicyści wyższego pokroju, uskuteczniają mozolne zestawienia na temat ekonomicznej odrębności Polaków. Tam cyfry są przeważnie prawdziwe. Rzecz ma posiadać wygląd naukowy. Ale wnioski najzupełniej fałszywe, a i zestawienie cyfr tendencyjne.

Krótko przed nowemi żądaniami powiększenia sum, przeznaczonych na kolonizacyę, ukazują się zazwyczaj różnorodne elaboraty o działalności naszych instytucyj parcelacyjnych, o sprzedażach ziemi Polakom przez Niemców. Wynika z tych prac zawsze końcowe twierdzenie, że niemieckiej własności ziemskiej zagraża pochłonięcie przez polską, i że Niemiec nie może pod względem ekonomicznym sprostać Polakowi. O tem, że właśnie obecny system kolonizacyi państwowej osłabia i zabija nieraz dawną kolonizacyę prywatną, że demoralizuje żywioł niemiecki, przyzwyczajając go do wyzyskiwania hojności rządowej, publikacye owe oczywiście milczą.

Na inną zato nutę grają fujarki szowinistyczne, gdy głoszą chwałę samejże instytucyi kolonizacyjnej. Wtedy przedstawiają wszystko na różowo. Kosztowna i źle rentująca się gospodarka finansowa kolonizacyi, opisywaną jest nader pochlebnie. Nie można przecież zniechęcać Izby i wyborców do nowych nakładów, na które czeka już głodna rzesza amatorów państwowej pomocy. Gdy w ostatnich latach polski mówca w Izbie panów bardzo drastycznie przedstawił marnowanie na finansowe wybryki antypolskie pieniędzy ludności, płacącej podatki, warto było śledzić, z jak wzorową jednomyślnością cała prasa, nam wroga, przechodziła do porządku dziennego nad niemiłemi rewelacyami, dając na nie odpowiedzi niejasne, lub przemilczając je zupełnie.

Ma się rozumieć, że ogólna tendencya tej antypolskiej polityki pióra, jest zawsze polityczno-narodowa. Taki np. Związek spółek zarobkowych,

instytucya, podnosząca przemysł i handel krajowy i zasługująca na jak największe poparcie ze strony cywilizowanego państwa, bezustannie przedstawiana jest, jako knująca polityczne intrygi, wrogie państwu, przyczem pomijanym bywa starannie fakt, że Związek w swych operacyach finansowych bynajmniej nie bojkotuje Niemców, lecz owszem, pomimo walki narodowościowej, na tle ekonomicznem, stale wobec nich jest bezstronnym.

Łatwo sobie wyobrazić, jak zachowuje się prasa antypolska wobec związków o zabarwieniu politycznem. To temat, ponad inne, wygodny do rozpuszczenia fantazyi szowinistycznej. Więc cała czereda geniuszów pozłacanych zabiera się do roboty, by na tej kanwie snuć swe pomysły. Polacy już jawnie urządzają sobie rząd narodowy, który skupiać ma wszystkie ich siły. To prowokacya niesłychana, to wymaga odpowiedzi pod postacią nowych praw, ostrzejszych, skuteczniejszych, niż dotychczasowe. Pokażmy tym buntownikom, że umiemy odpowiadać na tego rodzaju manifestacye.

Znów inny głos bierze asumpt z wieców i zebrań polskich do tem gorliwszego popierania hakatyzmu. Niech ustaną wszelkie wątpliwości co do pożyteczności związku kresów wschodnich, woła oburzony pra-Niemiec. Teraz do tego związku powinien przystąpić każdy, w kim bije serce germańskie, od Bałtyku do gór Olbrzymich. Polacy spiskują, Polacy dążą do rewolucyi, czemuż traktujemy bezwzględnie dalekich Hererosów, a zakładamy zbyt często aksamitne rękawiczki, gdy dotykamy wroga najbliższego, a daleko groźniejszego. I pisząc tak, znów ani słówkiem nie zazna-

czają gadzinowe organa, że przecież nasze zebrania, wiece i wszelkie instytucye o charakterze politycznym pozostają na gruncie legalnym, zgodnym z ustawami państwa i że mają na celu akcyę obronną, a nie zaczepną. Znów nikt nie powiada czytelnikowi niemieckiemu, że każdy krok ich działalności odbywa się jawnie i że o spisku mowy tu być nie może.

Bo w wielkim procesie dziejowym, w którym Polacy przed forum niemieckiem grają rolę oskarżonych, niema dla nich obrońcy. Oskarżyciel tylko ma głos, a publiczność z jego tylko ust dowiaduje się o rzekomych winach. Więc, choć niejeden przekonanym jest o niesłuszności czynionych zarzutów, chętnie jednak słucha owych napaści, zadowolonym jest, że brak obrony usprawiedliwia go przed światem i przed samym sobą, ułatwiając mu bez wstydu korzystanie z niedoli uciśnionych. Gdyby obrona istniała, gdyby forum opinii niemieckiej miało ustawicznie przed oczami bezprawność postępowania wobec oskarżonych, wtedy, co prawda, działałoby może taksamo, jak działa obecnie, ale byłby wstyd, nie możnaby już oczu podnosić ku niebu z prośbą o błogosławieństwo Boże na walkę z Polakami [1]).

---

[1]) Ciekawe są też wiadomości niemieckiej prasy z Królestwa Polskiego i z Galicyi. Fantastyczność, a zarazem tendencyjność wieści z Warszawy, była w ostatnich miesiącach wprost niepojętą. A gdy w Krakowie ciała naukowe obchodziły rocznicę szyllerowską, milczały o tem nawet fachowe pisma, które przecież zamieściły sprawozdania z choćby najdrobniejszych obchodów w całym świecie wtedy odbytych. Nie

Lecz, czy rzeczywiście niema obrony żadnej? Czy głos prawdy o stosunkach w dzielnicach polskich nie ma żadnego sposobu przedostania się do publiczności niemieckiej? Oczywiście, niema reguły bez wyjątków. Wyjątki są i w tym wypadku, lecz przypatrzenie się im nie jest pocieszającem. Pisze prawdę o stosunkach polskich część prasy katolickiej. W pierwszym rzędzie wychodząca nad Renem *Kölnische Volkszeitung*. Pismo to, należące do rodziny Bachemów, bogatej i niezależnej, a szczerze katolickiej, zachowało w pełni szlachetne zasady dawnych bojowników za sprawę wiary. Żyje w niem dotąd i działa duch Windhorstów, Mallinckrodtów, Schorlemer- Alstów.

Całem wydawnictwem kieruje myśl przewodnia, że centrum w izbach niemiecko-pruskich, powstałe na zasadzie ideału, stracić musi racyę bytu, skoro odstąpi od tej zasady. I dziś, gdy walka o prawa katolików niemieckich coraz bardziej ustaje, gdy rząd i cesarz głośno oświadczają swą sympatyę dla swych katolickich poddanych narodowości niemieckiej, nie zapomina *Kölnische Volkszeitung*, że w temsamem państwie dzieją się najstraszniejsze krzywdy milionom innych katolików, których jedyną winą jest, że są obcego pochodzenia. Toteż w piśmie tem, nietylko nie są przekręcane mowy posłów polskich, ale także ukazują się niekiedy artykuły redakcyjne i korespondencye o sprawach polskich, rzucające prawdziwe światło na stosunki w dzielnicach wschodnich.

---

można przecież pokazać ludziom, że Polacy umieją uczcić zasługę i geniusz także obcej sobie rasy.

Ale zato, jakże trudnem jest, wobec niemieckiego społeczeństwa, stanowisko tego niezależnego organu. Jego występy w obronie prawdy natychmiast nazywanemi są przez całą falangę prasy zależnej, obroną polityki polskiej. Uczciwa gazeta obsypywaną jest podejrzeniami najwstrętniejszej natury. Redakcyi zarzuca się brak miłości ojczyzny, czasem przekupstwo, n. p. milionami, zebranemi przez Watykan i Jezuitów na cele odbudowania Polski. Nam się tego rodzaju zarzut wydaje żartem niesmacznym. Dla przeciętnego niemieckiego *spiessbürgera* jest on czemś bardzo poważnem.

Köln. Volkszeitung nawet ze strony katolickiej niejeden musi znosić przytyk. Znacznej części posłów centrowych jest ona, dla swej prawdomowności, niewygodną. Niewiele zaś z pism katolickich towarzyszy jej w śmiałem wygłaszaniu prawdy. Dawniej dzielnie za nami ujmująca się berlińska *Germania*, coraz chłodniej zachowuje się w sprawach katolików polskich, a zdarzało się już, że występowała przeciw nam z wyraźną niechęcią, motywując swoje postępowanie tem, że niektóre polskie czynniki nie pragną zgody z centrum, choć mogłaby, jak dawniej, opierać się na motywie przeciwnym, a mianowicie na tem, że w ogromnej większości wypadków z życia polityczno-społecznego, katolicy polscy daleko więcej okazują względów dla uczuć narodowych katolików niemieckich, niż ci ostatni dla Polaków.
Tosamo, co o *Germanii*, powiedzieć można o większości wśród pism katolickich niemieckich. Uprzywilejowane stanowisko centrum wobec rządu od-

działywa w sposób demoralizujący na prasę tego stronnictwa. Katolickie biuro korespondencyjne berlińskie ulega również tym niezdrowym wpływom.

Daleko ogólniej i wyraźniej ujawnia się krytyka stosunków, panujących na wschodzie państwa, w potężnej prasie, zależnej od stronnictwa panów Bebla i Singera. Tam nic nie jest obwijanem w bawełnę. Owszem, nieraz bardzo surowo i otwarcie karcone bywają objawy zajadłości antypolskiej, oczywiście, gdy tego rodzaju występ korzystnym jest dla celów stronnictwa. Niejedna rewelacya o naszych stosunkach tą drogą wydostala się na światło dzienne. Ale cóż, kiedy ta właśnie obrona częściej szkodzi nam, niż pomaga. Ludzie, stojący w otwartem przeciwieństwie do istniejącego porządku rzeczy i do wszelkich zasad religijnych, niemogą być powołanymi obrońcami społeczeństwa, w którem całokształt ich programu działania tak mało liczy zwolenników. Przemawianie ich za uzdrowieniem stosunków w dzielnicach polskich pod panowaniem pruskiem i piętnowanie z ich strony dziejących nam się krzywd, niewątpliwie przynosi im zaszczyt i podnosi wartość moralną stronnictwa. Ale zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że gdyby ich zasady znalazły wstęp do zachodnio polskiej ludności, wywołałyby jeszcze większe zlo, niż obecnie, bo zamęt, rozdwojenie i nienawiść stanową w łonie samego społeczeństwa naszego.

I dlatego, ani nam niewolno polegać na tej publicystycznej pomocy, ani świadectwa z tej strony o bezprawiach, dziejących się u nas, nie są uważane jako rzeczywiste świadectwa przez tych,

którzy z owem stronnictwem w otwartej znajdują się walce. W przeciwieństwie do, niestety, zbyt nielicznych rewelacyj ze strony prasy centrowej, które wprawiają zawsze naszych przeciwników w zakłopotanie, nie wywierają też głosy przyjaciół p. Bebla o naszej sprawie, tego wrażenia, które wywierałyby ze strony, wszystkim innym stronnictwom mniej podejrzanej.

W szeregu tych, którzy nie wahają się o rzeczach polskich pisać prawdę, należy jeszcze wymienić bardzo nieliczny zastęp niezależnych pism liberalnych, jak np. *Berliner Zeitung.* Ale pisma to przeważnie drugorzędne, pozbawione wpływu i znaczenia. W dodatku i one taksamo, jak sprawiedliwy wobec nas odłam prasy centrowej, nie mogą przecież spraw naszych stawiać na pierwszy plan swej działalności i muszą się z natury rzeczy przedewszystkiem zajmować tem, co im bliższe. Redakcye tych pism nie mogą i nie chcą przepełniać łamów gazety korespondencyami z naszych stron. Tak zatem przedstawia się wyświetlanie prawdy o naszych sprawach, o ile wchodzi w grę inicyatywa ze strony niemieckiej.

Pozostaje nam teraz omówienie inicyatywy istniejącej, lub możliwej, ze strony polskiej. Istnieje jej, trzeba przyznać, bardzo niewiele. Pojawiają się od czasu do czasu broszury i publikacye, pisane przez Polaków po niemiecku, które prostują fałsze, o nas rozsiewane. Są one jednak stosunkowo nieliczne, taksamo jak podobne wydawnictwa, ogłaszane niekiedy przez Niemców, n. p. znana książka Wagnera pt. *Polenkoller.* Giną one wobec olbrzymiej liczby publikacyj o kierunku prze-

ciwnym, a brak wszelkiej reklamy i tendencyjne przemilczanie ze strony pism nam wrogich, sprawiają, że nie dostają się one do wiadomości szerszego ogółu.

Zdarza się też, że szowinistyczne pismo niemieckie przyjmie artykuł, nadesłany przez Polaka. Ale tego rodzaju głosy, jak już wykazaliśmy, mówiąc o uczciwych korespondencyach z ziem polskich, skazane są z góry na wielkie ograniczenia, co do ilości i rozmiarów. Przyjęcie artykułu od Polaka stanowi zawsze łaskę, a łask, jak wiadomo, nie można nadużywać.

Daleko łatwiejszym jest dostęp do prasy innych narodowości. Niestety z tej sposobności obznajamiania opinii światowej o stosunkach pod zaborem pruskim korzystają jego mieszkańcy zbyt mało. Zaniepokojenie organów hakatystycznych niedawnemi uwagami londyńskiego *Times*'a i tak samo wielki ich gniew, gdy inne, nam przyjazne, enuncyacye ukazały się w prasie angielskiej, wielce są w tej mierze charakterystycznemi. Zaznaczając ważność tego rodzaju informacyj, musimy jednak stwierdzić, że sposobność do wywoływania ich nie jest zawsze równą, lecz zależy wielce od prądów chwili w danem społeczeństwie.

Nieraz już starania z polskiej strony o zamieszczenie treściwej korespondencyi spotykały się z odpowiedzią, że artykuł przechowany zostanie w redakcyi na później, aż do chwili odpowiedniej. Ale chwila ta nadchodziła dopiero po miesiącach, gdy poruszana w artykule sprawa, straciła już swe znaczenie. Prócz tego pierwszym i najgłówniejszym warunkiem jest zawsze w tych razach taki

dobór treści nadesłanego artykułu, by przypadł do smaku obcej publiczności i zchodził się, choć pośrednio, z jej dążeniami i interesami.

Nie zamierzamy powiększać rozmiarów niniejszej rozprawy obszernem zastanawianiem się nad tem, w jakim stopniu i gdzie wpływy polskie mogłyby w prasie zagranicznej uświadamiać opinię o panujących u nas stosunkach. Podkreślimy tylko istną wściekłość szowinizmu niemieckiego, gdy w swoim czasie kilka organów sąsiedniego państwa rzuciło trochę światła w gąszcz intryg hakatystycznych. Zato wrócimy jeszcze w kilku słowach do rzeczy, poruszonej na wstępie naszych uwag, mianowicie do stałych informacyj zapomocą własnego, w języku niemieckim redagowanego, organu.

Wiemy już z doświadczenia, że drogą subwencyi finansowej nie można wiele osiągnąć. Polską subwencyę uchyli niebawem większa subwencya niemiecka. Gazeta po krótkiem wygłaszaniu prawdy, w najlepszym razie pozostanie wobec nas neutralną. Jedynym, rzeczywiście trwałym, środkiem, byłoby posiadanie na własność pisma, w języku niemieckim, rozsyłanego zadarmo w wielkiej ilości egzemplarzy.

Pismo takie redagowane sumiennie, podające tylko fakta i dane zupełnie pewne i mogące śmiało w nagłówku swoim zamieszczać wezwanie do bezwzględnego sprawdzania podanych wiadomości, stałoby się, oczywiście, wielce niewygodnem dla tych wszystkich, którzy, żyjąc hipokryzyą, korzystają z dotychczasowego bałamucenia opinii, by działać w sprawie polskiej na mocy zasad wprost

przeciwnych tym, które wyznają na innych polach. Obojętnem byłoby ono, chyba tylko hakatystom najczystszej wody, tym, którzy jawnie stwierdzają wojnę rasową i od Polaków nie żądają niczego, nawet zniemczenia się, głosząc śmiało prawo przemocy i wytępienie żywiołu obcego w państwie.

Pomimo jawnego posiadania takiego pisma przez Polaków, musiałyby zajmować się niem pilnie sfery urzędowe, przekonawszy się i wiedząc, że wszystko w niem polega na prawdzie, i, że niepodobnem jest udowodnić mu w czemkolwiek przesady lub kłamstwa. Że zaś te sfery najczęściej byłyby dotknięte rewelacyami owego organu i że, wskutek rozsyłania go darmo, nie byłoby sposobu przemilczeć jego wywodów zapomocą karności zależnej prasy, więc stałby się on nadzwyczaj niemiłem zwierciadłem ich działalności. Rozsyłany zaś również większym pismom zagranicznym, stanowiłby dla nich zawsze gotowy materyał na wypadek zainteresowania się danego społeczeństwa węzłem gordyjskim polityki prusko-polskiej.

Ale jakże trudnem byłoby założenie i prowadzenie takiego organu. Sama strona finansowa takiego przedsięwzięcia stanowiłaby dlań nieprzepartą przeszkodę. Uciśnione społeczeństwo polskie w Prusiech nie czuje się na siłach do wielkiej ofiarności na cele publiczne. Wiadomo przecież, że do tej pory, pomimo licznych nawoływań, dość pustą jest kasa centralnego komitetu wyborczego, nadzwyczaj ubogo wyposażonem polskie biuro informacyjne w Poznaniu, mające zbierać materyał do mów poselskich, niesłychanie szczupłemi są fundusze naszych redakcyj, które budżety swych

pism utrzymują w dobrym stanie, dzięki uszczuplaniu potrzeb redakcyjnych. Organ zaś informacyjny, o którym mówimy, pozbawiony byłby w znacznej części dochodu z prenumeraty, a wymagałby obsługi bez porównania droższej, niż ta, na którą mogą sobie pozwolić ubogie pisma polskie.

W rozmowie na ten temat wśród grona obywateli wielkopolskich, jeden z obecnych, ubolewając nad niemożnością założenia niemieckiego organu informacyjnego, przedstawił ewentualny jego kosztorys. Wynikało z niego, że najpierw należałoby zorganizować dokładną służbę informacyjną z prowincyi, mieć szereg sprytnych i dobrze płatnych reporterów, którzyby ciągle znajdowali się na wywiadach, badali sumiennie i ze znawstwem stosunki w poszczególnych szkołach, zachowywanie się urzędników pruskich, śledzili zebrania i agitacye hakatystów, dowiadywali się od włościan o trudnościach, stawianych im przez władze, w konsensach na budowanie domów, przypatrywali się gospodarce, tak dziwne podobno zawierającej tajemnice komisyi kolonizacyjnej na zakupionych przez nią ziemiach. Następnie równie ważnem, a jeszcze trudniejszem, byłoby wnikanie w tajniki władz centralnych, informowanie się o sposobie używania powierzonych sobie funduszów państwowych przez centralny zarząd kolonizacyi, o sumach, marnowanych na olbrzymie prowizye dla pośredników i t. d.

Wszystko to jest również zadaniem i przedmiotem usilnych starań polskiej prasy, a wiemy, jak mało ona na te cele poświęcać może fundu-

szów, jak wiele rzeczy dochodzi do jej wiadomości zbyt późno lub niedostatecznie. W iluż to szkołach działy się i dzieją jeszcze nadużycia, a o wielu u nas pisano? Ile to bojaźliwości u steroryzowanych mieszkańców zapadłej wioski trzeba przemódz, zanim się uzyska świadków potrzebnych, i jakże często wogóle cała sprawa znaną jest tylko najbliższemu otoczeniu. Gdzież ukazuje się statystyka szkól, w których lekcye katechizmu odbywają się tylko *pro forma* i w których dzieci wogóle nie uczą się religii, gdy nauczyciel obawia się wywołać drugą Wrześnię. A wiemy przecież, że tych szkól jest wiele.

Bo te wszystkie informacye wymagają ludzi odpowiednich i pieniędzy. Więc czego dla swej prasy nie może uczynić społeczeństwo wielkopolskie, tem mniej mogłoby ono ofiarować to organowi, co prawda własnemu, ale w obcym języku pisanemu. Przedsięwzięcie tego rodzaju na mniejszą skalę, byłoby wprawdzie łatwiejszem do wykonania, ale mniejsze, w takim razie, jego znaczenie stanowiłoby okoliczność zniechęcającą. Powstała przed kilku laty korespondencya polska, ograniczająca się na podawaniu tłómaczonych na niemieckie artykułów polskiej prasy, upadła po wydaniu kilku numerów dla braku poparcia.

Tak więc mamy przed sobą zło, na które nie posiadamy skutecznego lekarstwa. Położenie Polaków w Prusiech na samym pasie pogranicznym świata germańskiego, sprawia, iż mają oni do czynienia z całym zastępem sił kulturalnego społeczeństwa. I jak w wojnach nowożytnych, nie-

tylko siła znaczy brutalna, lecz olbrzymi zasób inteligencyi objawia się w wydoskonalaniu techniki zniszczenia, tak i w wojnie rasowej, prowadzonej przez naród wysoce rozwinięty w swem bogactwie i wykształceniu, wszystkie siły jego ducha służą prawidłu gnębienia słabszego przez mocniejszego. A siły te, oparte na materyalnych środkach i organizacyi, popieranej przez państwo, są wobec nas jeszcze bardziej przeważającemi, niż potęgi czysto materyalne, które w dzielnicach polskich pod panowaniem niemieckiem walczą z nami bezpośrednio. Wobec tych ostatnich, choć obrona coraz trudniejsza, wzrasta jednak energia jednostek i energia zbiorowa. Wobec pierwszych zaś, wobec wyrafinowanej taktyki faryzeizmu germańskiego, jesteśmy niemal zupełnie bezbronni.

Z Bogiem na ustach i hasłem cnoty na swoich sztandarach, kroczy przeciw nam potęga germańska. Bezwzględną jest ona dla uciśnionych, ale zgodnie z instynktem swej rasy dbającą o *decorum* wobec siebie samej i wobec świata, a dość rozumną, by to *decorum* przeprowadzić skutecznie, z pewnością nie wobec ludzi, głębiej myślących, ale wobec opinii światowej, równie płytkiej i niezgłębiającej prawdę, jak opinia na bruku ulicznym.

Mickiewiczowski Krzyżak, który na wschodniem pograniczu nabija strzelbę i liczy różaniec, nie odrodził się w swych potomkach. Nam zaś, zachodniej straży tępionej przezeń rasy, rzut oka na najwstrętniejszy ten objaw jego instynktu zaborczego niech będzie nową wskazówką, że w walce

z takim wrogiem wszelka nadzieja zmiany właściwej mu natury, jest płonną. W sprawie tego, czego się możemy spodziewać od żywiołu germańskiego, choć nie w sprawie przyszłości naszych kresów, zależnej od Boga i własnego wyrobienia, godzi się Polakom w Prusiech powtórzyć dantejskie słowa — *lasciate ogni speranza.*

Z POGRANICZA.

Znany publicysta francuski p. Cheradame, w rozmowie z jednym z obywateli W. Ks. Poznańskiego wyraził przekonanie, że sprawa kresów polskich w państwie pruskiem posiada poważne znaczenie międzynarodowe. Nie jest ona obcą żadnemu z większych gabinetów europejskich i należy do atutów, które zawsze leżą w zapasie, choć chwilowo nie wysuwa się ich jawnie w międzynarodowej grze sił. To samo, co pisarz polityczny z nad Sekwany, zaznaczali w swych rozmowach liczni publicyści innych narodowości, którzy w ostatnich latach częściej, niż poprzednio, odwiedzali nasze strony. Zawsze w rozpatrywaniach przez nich kwestyi polskiej w Prusiech ujawniało się przekonanie, że położenie geograficzno-etnograficzne naszych dzielnic nadaje im znamiona terenu, który wzbudzać musi zajęcie nietyko u tej potęgi, pod której bezpośredniem panowaniem znajduje się obecnie.

Wyraźniej jeszcze i dobitniej zaznaczają to w swych pismach, broszurach i przemowach szowiniści niemieccy, a nazwa *Grenzland*, kraj nadgraniczny, wcale nie potrzebowała prasy angiel-

skiej i francuskiej, by sobie utorować drogę do słownika ogólno-europejskiego. Niemcy sami, nie wyłączając źródeł półurzędowych, a nawet urzędowych, kładą nacisk na wyjątkowe stanowisko wschodniego nadgranicznego pasu, które rzekomo usprawiedliwia tak wyjątkową dla nas postać ich troskliwości o ukształtowanie się w nim stosunków na przyszłość.

I zaiste, rzut oka na dość wązki, lecz długi szmat kraju od źródeł Odry do ujścia Wisły, uprawnia zastanawianie się nad jego możliwem znaczeniem w ogólno-światowych kombinacyach. Kto przestudyuje tę sprawę na mapie, oceni łatwo wartość i znaczenie kresów naszych dla monarchii pruskiej. Mogłaby ona istnieć bez Alzacyi i Lotaryngii, a nawet cały lewy brzeg Renu, ów tyloletni teren sporny pomiędzy potęgami niemiecką i francuską, nie należy w niej do czynników, które, jak serce w organizmie człowieka, są poprostu żywotnemi, i bez których o dalszem istnieniu całego organizmu mowy być nie może. Kresy wschodnie posiadają zaś dla Prus znaczenie zasadnicze, są warunkiem rozwoju i istnienia. Stanowią one pas graniczny, ale zarazem leżą tuż pod sercem, pod samą stolicą państwa.

We trzy godziny po minięciu ostatniej wsi wielkopolskiej, jest się na dworcu berlińskim. Bliżej z Berlina do poznańskich wiosek, niż do Hanoweru lub Bremy, trzy razy bliżej, niż do Kolonii, a cztery razy, niż do Strassburga lub Monachium. Kresy nasze z ludnością mieszaną, polsko-niemiecką, rozciągają się na obszarze 1250 mil kwadratowych, a więc niewiele mniejszym od Galicyi.

Stanowią piątą część monarchii pruskiej, cesarstwa niemieckiego jednę ósmą. Prócz tego zaś jedna ich część ogranicza od innych niemieckich prowincyj zniemczałe Prusy wschodnie o obszarze 700 mil kwadratowych. Razem więc teren nadgraniczny równa się bez mała Królestwu Polskiemu.

Czyż dziwną być przeto może wielka waga, którą przywiązują Prusy do tych właśnie ziem, bez których ich istnienie byłoby poprostu niemożebnem? Czyż dziwnem, że Fryderyk W. z drugorzędnego państewka stworzywszy pruskie mocarstwo, na te właśnie świeżo nabyte ziemie, najbaczniejszą zwrócił uwagę i germanizacyę ich postawił jako zasadnicze zadanie pruskiej polityki państwowej?!

To zadanie sam podjął w sposób racyonalny i praktyczny. Germanizacya kresów przez przyjaciela Voltaire'a, oparła się na dawnej tradycyi naturalnej kolonizacyi niemieckiej w zachodniej Polsce. Państwo w sposób mądry połączyło ogniwa swej działalności z dawniejszą działalnością prywatną żywiołu niemieckiego, która zniemczyła była nasze miasta, stworzyła z polską pomocą potężny poczet osad wiejskich i niemieckich i przez szereg wieków założyła podstawy do tego zastępu staroniemieckiego, który dziś jeszcze stanowi główną, ba, nawet jedynie prawdziwie poważną siłę kolonizacyi niemieckiej na kresach.

Tej to kolonizacyi ciąg dalszy i nieprzerwany tworzyło popieranie osadnictwa niemieckiego, podjęte przez Fryderyka W., szczególniej w Prusiech królewskich i północnych powiatach Księstwa. Zyskiwał na niem żywioł niemiecki pod każdym

względem, tracił żywioł polski pod względem narodowym, nie uciskany jednak zbyt jaskrawo i w sposób drażniący na polu ekonomicznem.

Ze śmiercią Fryderyka W. zmienił się atoli stan rzeczy na kresach. Trzeci rozbiór Polski powiększył obszar ziem polskich pod panowaniem pruskiem tak bardzo, że o zgermanizowaniu żywiołu polskiego w czasie obliczalnym mowy być nie mogło. Wojny napoleońskie i długoletni upadek potęgi pruskiej zmieniły zupełnie stanowisko jej na wschodzie. Dopiero po roku 1815 i ostatecznem uregulowaniu granicy, ustalił się stan posiadania mocarstw w zachodniej Polsce, a z niem powoli zaczęła wkraczać na nowe tory polityka germanizacyjna Prus. Czyniła to jednak bardzo powoli i dopiero nowe wzmożenie się pruskiej potęgi państwowej, wskutek zwycięskich wojen duńskiej, austryackiej i francuskiej, przyniosło potomkom Krzyżaków z koroną cesarską poczucie siły tak wielkie, że odtąd ono głównie stało się miarą i czynnikiem przewodnim w ich działalności na kresach. Germanizacya, zaprzestawszy szukać naturalnych, a dla nas najniebezpieczniejszych, dróg rozwoju w naszym kraju, obrała nową drogę postępu siłą i na niej jawnie i głośno kroczy od lat czterdziestu. Rzut oka porównawczy na stan stosunków narodowościowych na kresach poucza krytycznie patrzącego o praktyczności tego nowego systemu zdobywczego.

Zyski niemieckie przedstawiają się następująco: Pokost germański nadany zabranemu krajowi ostatecznie i zupełnie pod względem administracyjnym; upadek większej części szlacheckiej

własności polskiej; zniemczenie do szczętu szkolnictwa, a zbudzenie wybujałego poczucia narodowościowego u Niemców osiedlonych na wschodzie.

Tym zyskom przeciwstawiają się daleko poważniejsze straty: zbudzone poczucie odporności i instynktu samozachowawczego u Polaków, wzmocniona wskutek coraz trudniejszej walki o byt ich energia i przedsiębiorczość osobista i zbiorowa, a przez to samo podniesiony poziom i rzeczywista wartość żywiołu polskiego; nadewszystko zaś równolegle z rozwojem idei narodowościowej i z demokratyzacyą społeczną i ekonomiczną w Europie, rozszerzona i u nas świadomość rasowej odrębności na warstwy najszersze.

Po tyloletnich zażartych wysiłkach widzi germanizm przed sobą na wschodzie wciąż zwarty zastęp słowiańskiego, polskiego żywiołu, bardziej w sobie skupiony, niż poprzednio, a w dodatku widzi go także tam, gdzie poprzednio nie było o nim mowy, jako o czynniku wchodzącym w rachubę. Widzi go na Śląsku, gdzie milion ludu polskiego budzi się do życia i rasowej odrębności.

Prócz tego zaś nastąpiło wśród walczących na wschodzie przednich straży niemczyzny z biegiem lat znamienne przesunięcie się składników. Coraz więcej występuje na pierwszy plan rząd, coraz bardziej usuwa się i cofa inicyatywa prywatna. Kolonizacya dawna, kierująca się motywami ekonomicznie racyonalnymi, nowych nie wydaje owoców, przeciwnie, dobytek jej, uzyskany przez wieki, zmniejsza się pod niejednym względem. Kolonizacya nowa, biurokratyczna, prowadzona oficyalnie z za zielonego stołu, obciąża setkami mi-

lionów kasę państwową, a zyski w stosunku do kosztów przynosi mniej, niż marne. Większa własność niemiecka topnieje na rzecz państwa w tak szybkiem tempie, że jeżeli rząd nie zabroni dalszego wykupna dóbr niemieckich przez podwładne sobie czynniki, za lat kilkanaście stan niezależnych większych właścicieli niemieckich zniknie u nas prawie zupełnie.

Wogóle żywioł niemiecki nieurzędowy słabnie z roku na rok w swej twórczości, przedsiębiorczości, staje się coraz mniej zdolnym do walki życiowej, opierając się coraz więcej na pomocy państwa, którego ingerencya w kwestyi narodowościowej u nas bezustannie rośnie i z biegiem lat stać się musi zupełną. Wiadomo zaś z licznych przykładów w świecie, jakimi zawsze bywają wyniki wynaradawiania, prowadzonego przeważnie środkami administracyjnymi, wobec ludności, należącej do innej rasy w swych wszystkich warstwach.

Dużo kosztów, wzajemne rozgoryczenie, nieznośne warunki życia dla narodowości będącej przedmiotem wynaradawiania, ale ostatecznie, gdy ta narodowość liczebnie i kulturalnie przedstawia siłę poważną, wynik zupełnie przeciwny od zamierzonego, opanowanie li tylko zewnętrzne żywiołu, który tem bardziej zwartym staje się wewnętrznie i tem zdolniejszym do znoszenia twardych warunków swego istnienia, zarazem zaś tem bardziej niechętnym wobec tych, którzy przedstawiają mu się pod postacią zdobywczej przemocy.

Do tego wyniku doszedł system germanizacyjny pruski na polskich kresach. Niemcy posiadają dziś blizki stolicy, a zarazem blizki obcej

potęgi, kraj kresowy, który mniej niż kiedykolwiek nazwać mogą swoim. W miastach i miasteczkach, niegdyś niemal zupełnie pozbawionych polskiego handlu, powstają polskie przedsiębiorstwa, a szczucie hakatystyczne doprowadziło nas do tego, że dziś rzeczywiście uważanem jest za grzech narodowy kupowanie u obcego. Niemieckie półurzędowe Vereinshauzy, czyli kluby połączone z restauracyami, przez swoje hakatystycznym duchem natchnione powstanie, sprawiły, że palcem wytykany jest Polak idący do niezupełnie wyraźnie polskiej jadłodajni.

Bezmyślne i zaciekłe napaści gazet niemieckich tworzą wobec ludności polskiej najlepszą reklamę dla rozwoju i popierania prasy polskiej, mianowicie ludowej. Bezustanne trudności czynione duchowieństwu polskiemu i starania rządowe, by Niemcami obsadzać urzędy kościelne, powiększają niechęci na tle kościelno-politycznem, objawiające się wśród Polaków, skupiają lud polski tem silniej z polskim księdzem, a wywołują wśród społeczeństwa świeckiego usposobienie niemieckiemu księdzu nietylko w poszczególnych wypadkach, ale zasadniczo niechętne.

Niemcy od kilku dziesiątek lat starali się z kwestyi narodowościowej na wschodzie swego państwa uczynić kwestyę siły państwowej i rzeczywiście też nikt dzisiaj inaczej rozprawy tej nadgranicznej nie może pojmować. Siła państwowa niemiecka i pruska staje się jedyną miarą potęgi germanizmu w naszych stronach. Nie darmo czytaliśmy w ultraniemieckiem piśmie okrzyk tendencyjny, bo służący za podstawę do następujących

po nim wycieczek przeciw Słowiańszczyznie wogóle, ale okrzyk zawierający cenne przyznanie się do niemiłych dla Niemców skutków obecnej polityki szowinizmu germańskiego.

Dziś kresy polskie — biada owe pismo — są naszemi na zasadzie dzielności armii pruskiej i powodzeń polityki pruskiej w stosunkach międzypaństwowych; niech o tem Niemcy nie zapominają i utwierdzając dzielnie niemczyznę na kresach, baczą zawsze starannie, by ich ogólna potęga państwowa posiadanie tego kraju nam zabezpieczała. — Głos ten, nie odosobniony, daje świadectwo prawdziwe, że kwestya polska w Prusiech nie przestała być sprawą międzypaństwowego znaczenia, owszem, dzięki systemowi germanizacyjnemu, praktykowanemu wobec nas, staje się nią coraz bardziej *za przyczyną Niemców samych.*

Już odzywania się tak częste ministrów pruskich z trybuny parlamentarnej wystarczają, by szerokiemu światu przypominać jej istnienie i trwanie. Słusznie też powiedziano z polskiej strony, że rząd pruski sam robi międzynarodową reklamę dla kwestyi polskiej w Prusiech. Tak zatem sprawa kresów polskich w znaczeniu międzynarodowem istnieje i nietylko w przyszłości odegrać może, ale już obecnie odgrywa w światowych kombinacyach niewątpliwie rolę poważną, szczególniej w stosunkach Niemiec do Rosyi. Rola ta oczywiście podlega wymogom chwili.

Od czasów ministerstwa Capriviego, gdy ze strony półurzędowej informowano się u obywateli wielkopolskich o stanowisko, jakieby zajęła ludność zachodniopolska wobec możliwego kon-

fliktu z sąsiadem wschodnim, upłynęło zaledwie lat kilkanaście, a dziś stwierdzamy objawy zapatrywania się Prus na tę sprawę wprost przeciwnego. Ale zmiana dekoracyi nie zmienia istoty rzeczy, istnienia uznanej przez jednych głośno, przez drugich tacite, ogólnopolitycznego charakteru kwestyi kresów polskich w Prusiech.

Jakże się na tę kwestyę w tem jej oświetleniu zapatruje żywioł najbardziej bezpośrednio interesowany, społeczeństwo polskie pod panowaniem pruskiem? Na to pytanie nie trudno dziś dać odpowiedź wyczerpującą.

Polacy, pozostający pod panowaniem niemieckiem, o ile w wewnętrznych stosunkach z rządem i żywiołem germańskim, w bardzo znacznej części wbrew swej woli, popchnięci zostali do otwartej, acz zawsze legalnej, opozycyi i w niej utwierdzeni, o tyle w stosunku do spraw międzypaństwowych stoją na zasadzie najzupełniejszej bierności, gdyby nawet z ich strony mógł w przyszłości wchodzić w grę jakikolwiek pozytywny występ. Stoją na niej nietylko dla tego, że w obecnych warunkach politykowanie czynne na tle ogólnoeuropejskich kombinacyj, dawniej u nas (jak często wśród uciśnionych) rozpowszechnione, przedstawia się nam, walczącym o chleb codzienny, jako rzecz czcza i tragicznie śmieszna, ale także dla tego, że doświadczenia pokoleń wyrobiły w naszem społeczeństwie przekonanie, iż gdyby nawet bieg zdarzeń światowych sprowadził chwilę, w której z tej lub owej strony podsuniętoby nam zajęcie stanowiska wobec wypadków zewnętrznych, że nawet w takim razie zasada najzupełniejszej bierności

byłaby jedynie dla nas wskazaną i jedynie bezpieczną.

Że atut polskich kresów niemieckiego państwa odgrywa jeszcze rolę w sprawach zewnętrznych, o tem trudno nam wątpić, ale że odgrywa ją bez współudziału i jakiegokolwiek własnowolnego objawu ze strony polskich czynników naszych dzielnic, można twierdzić z równą pewnością. Ludność polska na kresach, nawet w części postępowej swego społeczeństwa, (aczkolwiek przynależność jej do organizmu państwowego pruskiego objawia się dla niej pod postacią bezustannych drażnień ze strony niemieckiej i stosunków najprzykrzejszych) spełnia cała, w pełnej mierze obowiązki, które według ustawy dla niej wynikają, z przynależności państwowej, oddaje według słów biblijnych, cesarzowi, co jest cesarskiego. Stoi ona w prawnopaństwowem znaczeniu tego słowa najzupełniej na gruncie legalności.

Ale ten rodzaj legalności nie wkracza w sferę uczuć. Te zaś z natury rzeczy zależą od obchodzenia się żywiołu rządzącego z czynnikiem opanowanym i podległym i są takiemi, jakie wywoływać muszą w nas występy naszych przeciwników. Uczucia te jednak nie zaślepiają wzroku i nie zaciemniają sądu naszego społeczeństwa na wartość dla nas możliwych zasadniczych zmian w stanie przynależności państwowej.

W społeczeństwie zachodnio-polskiem właśnie dla tego, że zasada bierności w sprawach zewnętrznych jest nietylko z konieczności stosowaną w praktyce, lecz także miarodajną w teoryi, sąd o tych sprawach jest w wysokim stopniu jasnym i spo-

kojnym. Nikt dziś nie usłyszy w naszych stronach rozmów, które jeszcze starsza generacya dobrze pamięta, a w których szlachcic-polityk, podejmując we dworze swoim gościa emigranta, badał z nim, pochylony nad mapą Europy, chwilę, w której Polska powołana do tego przez które z mocarstw będzie mogła liczyć na życzliwą i bezinteresowną jego pomoc.

Społeczeństwo nasze przejęte obowiązkiem pracy organicznej, zajęte nietylko obroną poszczególnych posterunków życia narodowego, ale i wzmacnianiem i wyrabianiem tych, które dotąd są nienaruszone lub do nowego budzą się życia, w swej pracy codziennej nauczyło się przedewszystkiem dbać o potrzeby blizkie i bezpośrednie, a na dalsze, niezależne od naszego działania, ewentualności, spoglądać z objektywizmem zupełnym, nie zależnym od rozgoryczenia trudnościami bieżącemi. Z tego też punktu widzenia sądzić nam wypada usposobienie Polaków kresowych wobec międzypaństwowego charakteru sprawy polskiej w Prusiech. Trzeźwe i realne zajęcie się ratowaniem i podtrzymywaniem dobytku narodowego w naszym kraju, nie wyklucza oczywiście znajomości historyi, i świadomości, że jak wszystko ludzkie, tak i ona w biegu swoim jest zmienną i że zastanawianie się nad możliwą treścią niezapisanych jej dotąd kart należy do dziedziny rozpatrywań przyszłości, przystępnych i przyrodzonych każdemu myślącemu umysłowi.

Mieszkańcom krajów nadgranicznych żywiej może jeszcze, jak innym, stają przed oczyma przykłady dziejowej zmienności losów. W lat dwadzie-

ścia po śmierci Fryderyka W. była potęga pruska zdruzgotaną po bitwie pod Jeną, a data tej bitwy odległą jest tylko o lat dziesięć od chwili największej anarchii społecznej w mającej niebawem zawładnąć światem Francyi. Sięgając zaś bliżej, do przykładów z tej samej dziedziny, wiadomem jest, że rok przed Sedanem niewielu ludzi w Europie przypuszczało, że Alzacya i Lotaryngia należeć będą do zwycięskich Niemiec. I dziś ogólne prawidła historyi nie zmieniły się. I dziś liczyć się należy więcej może, niż kiedykolwiek, z nieprzewidzianemi do niedawna, a obecnie możliwemi zmianami w układzie wzajemnym sił państwowych w Europie. Zmiany te mogą oczywiście nastąpić w kierunku rozmaitym.

Nie bez powodu zapewniły nas źródła niemieckie o tem, że pod żadnym warunkiem Niemcy nie zechcą skorzystać z trudnego położenia wschodniego sąsiada, by na koszt jego powiększyć swoje posiadłości polskie. Chętnie wierzymy tym zapewnieniom, opartym na doświadczeniach dotychczasowej polityki germanizacyjnej w kraju polskim, obecnie Prusom podległym. Zaprzeczenie jednak stwierdza istnienie poprzedniego twierdzenia, a to, które powyżej przytoczyliśmy, świadczy, że rozpatrywania w tym kierunku nie były obce opinii publicznej.

Nawzajem jednak rzeczowe rozpatrywanie nie wysnuwa wniosków absolutnych z chwilowego stanu mocarstw sąsiednich. Owszem, zdaje sobie sprawę z możliwości odwrócenia się dążeń rosyjskich do spraw bliższych, na terenie polityki europejskiej. Trudno zaś z ewentualnym zwrotem

tym nie łączyć możliwości przewagi w ogromnem słowiańskiem państwie idei ogólno-słowiańskiej. Przewidywać wolno chwilę, w której przed ideą tą ustąpi, tak protegowany przez Niemców, w dobrze zrozumianym własnym interesie, system państwowy panrusyfikacyjny i odczucie korzyści popierania narodów słowiańskich zastąpi przekonanie o potrzebie bezwzględnego niweczenia i rusyfikowania tych, których losy poddały władzy największego dziś słowiańskiego państwa.

Rozpatrywania na ten temat są nam tem mniej obce, że poczucie rasowe przynależności do wielkiej słowiańskiej grupy narodów jest u nas ciągle wzmacnianem nieustannym przeciw nam antagonizmem rządzącej nami rasy germańskiej. Tem boleśniejszem też jest zapatrywanie się nasze na dziejową tragedyę traktowania braci naszych z za kordonu przez tych, z których zachowania się wobec nas drwili sobie dotąd niemieccy przeciwnicy, wołając z ironią: „Patrzcie, jak z wami obchodzą się wasi słowiańscy krewniacy, patrzcie, jak prześladują wasz język, waszą wolność na każdym kroku, jak traktują was, nie jako braci Słowian, lecz jako ludzi obcej rasy i wrogów dziedzicznych. I wy jeszcze prawicie o idei słowiańskiej?!

Zaiste gorżką jest i krwawą ta ironia niemiecka, a niestety usprawiedliwioną dziejami naszego narodu. Ale z drugiej strony rośnie w nas przeświadczenie, że stosunki, które ludność polska znosi od tak dawna pod berłem rosyjskiem, że upośledzenie naszej narodowości w słowiańskiej Rosyi, nie należy kłaść na karb całości narodu

rosyjskiego. Wiemy i wierzymy, że istnieją wśród niego prądy potężne, odczuwające nienaturalność stanowiska, które polityka rosyjska zajmowała dotąd wobec nas i że przyjść może chwila, w której te prądy uzyskają przewagę.

Gdy po skandalach wrzesińskich grono rosyjskich przedstawicieli prasy, zebrane w Poznaniu, rozmawiało o zapatrywaniu Polaków kresowych na kwestyę polsko rosyjską, podniósł się ze strony polskiej głos, wybornie ilustrujący pojmowanie tej kwestyi z naszej strony. Powiedziano wówczas gościom rosyjskim:

— Żądamy od Rosyi nietylko tolerowania narodu polskiego, ale popierania go świadomie i celowo, żądamy, by Rosya, w obrębie swych granic, stała się opiekunką narodowego rozwoju ludów słowiańskich, a więc przedewszystkiem naszego, najstarszego kulturą, przedmurza słowiańskiego.

Wtedy dopiero, ale wtedy z pełnem prawem, Rosya zacznie spełniać, niegdyś nam, a dziś jej przypadającą rolę opiekunki Słowiańszczyzny. Te słowa, wiernie odzwierciedlające przekonanie większości naszego społeczeństwa, usłyszeli publicyści rosyjscy, odwiedzający nasze kresy, i przyjęli je z zapałem, co znów dobrze dla nich usposobiło otoczenie ich miejscowe, które jednak nie zapominało o tem, że goście rosyjscy wygłaszali swoje pełne dla nas sympatyi wyrazy na gruncie, który nie podlega władzy ich narodu, jednem słowem *za granicą!* I tej też okoliczności dano wyraz wobec nich, zaznaczając, że obowiązkiem prasy

rosyjskiej jest nietylko przez swoich przedstawicieli za granicą, zagranicznym Polakom objawiać sympatyę, lecz raczej na własnym gruncie, w stosunku do Polaków podległych władzy rosyjskiej, ujawniać według możności żądania późnej, lecz tem konieczniejszej sprawiedliwości i dążyć do utwierdzenia w myślących kołach swego narodu dążeń ku zatarciu krzywd tak ciężkich, wyrządzanych, ku uciesze germanizmu, Polakom zakordonowym.

Gedanken sind zollfrei, mówi przysłowie niemieckie. Toteż myśl nasza w ostatecznem zwycięstwie idei słowiańskiej, w zwróconej na swoje naturalne tory polityce narodu rosyjskiego, upatruje także polepszenie się naszego położenia pod berlem pruskiem. Widzimy, jak się obchodzą Niemcy z Francuzami lotaryńskimi i nie wątpimy, że na łagodniejsze obchodzenie się z nimi wpływa wzgląd na liczne i potężne społeczeństwo francuskie, którego sympatye polityce niemieckiej wcale nie są obojętne. Czyż podobnego wpływu na nasze stosunki nie wywarłoby sąsiedztwo wyleczonej z ran wojny i zajętej naprawą stosunków swych wewnętrznych, potężnej, słowiańskiej, a nam życzliwej Rosyi? Uszanowanie naszych praw poza kordonem, byłoby dla szowinizmu wielko-niemieckiego bezwątpienia hamulcem w jego antypolskich porywach. Baczonoby więcej na prawa przyrodzone narodowości, którą potężny sąsiad u siebie szanuje i popiera.

O ile zaś myśl zatrzymuje się na możliwych w przyszłości zmianach terrytoryalnych, dotyczących naszych kresów (zaznaczając ponownie za-

sadę bierności zupełnej, nietylko pod względem affirmacyi w danym kierunku, ale i pod względem ideowych aspiracyj) stwierdzić należy, że poważną odgrywa na nasze rzeczowe na tę sprawę zapatrywania kwestya, jakiemi byłyby dla nas ekonomiczne skutki danych zmian stanu posiadania terrytoryalnego danych mocarstw.

Powiększenie obszaru Niemiec ziemiami polskimi po Wisłę, nie zmieniłoby warunków ekonomicznych zachodnich kresów, byłoby tylko nową operacyą międzypaństwową *in anima vili*, na ziemi nieszczęsnego narodu polskiego. Przeciwnie zaś, podległość całości lub części naszych kresów władztwu rosyjskiemu, przedstawia się naszym objektywnym rozpatrywaniom pod postacią przewrotu ekonomicznego zasadniczego. Pominąwszy już przesilenie ekonomiczne, wynikające z natury rzeczy z każdej zmiany terrytoryalnej przynależności, lecz jako takie krótkotrwałe, wchodzą tu w rachubę zmiany stałe pod względem zbytu produktów.

Otóż pod tym względem przynależność naszych kresów do Rosyi, oznaczałaby dla rolnictwa naszego niewątpliwie obniżenie cen przedmiotów zbytu, choć z drugiej, tożsamo rolnictwo korzystałoby z możliwości tańszych sił roboczych. Niewątpliwie też spadłaby w pewnym stopniu cena ziemi, choć zapominać nie można, że przed dwoma wiekami, gdy ziemie nasze pozostawały w łączności ekonomicznej i państwowej z ziemiami reszty Polski, Rusi i Litwy, wartość ziemi w dzisiejszem księstwie Poznańskiem, bardziej wyrobionem pod względem gospodarczym i kulturalnym od wschodnich dzielnic, przewyższała w wy-

sokim stopniu cenę lepszej o wiele ziemi na Podolu. Czy i w tegoczesnych warunkach utrzymałaby się wartość gleby naszej w stosunku do własności rolniczej na wschodzie w takim stopniu, by zapobiegła zbytniemu obniżeniu się ziemi i przewrotowi w stanie własności ziemskiej, na to zagadnienie odpowiedziećby można tylko skombinowaniem wzajemnego wpływu tylu nieobliczalnych dziś czynników, że teoretyczne rozwiązanie *a priori* tej kwestyi wkracza już zupełnie w dziedzinę hypotez. W każdym razie na przewrocie w stosunkach rolniczych stracilîby u nas znacznie więcej Niemcy niż Polacy.

Jaśniej przedstawia się rzecz pod względem ekonomiczno-przemysłowym i handlowym. Pod tym względem niewątpliwie obecne odgraniczenie nas od naszego, jak Niemcy mówią, *Hinterlandu,* terenu zbytu, a przynależność do zalewających nas produktami swego przemysłu i handlu bogatszych Niemiec, stanowi przyczynę słabego rozwoju, a nawet w porównaniu do przeszłości, upadku na polu handlu i przemysłu naszych dzielnic.

Kongres wiedeński ustanowił zasadniczą wolność handlową pomiędzy trzema częściami b. Rzeczypospolitej polskiej. Dopóki trwał ten stan rzeczy, Wielkopolska miała wyborny zbyt na produkta swego przemysłu aż na daleki Wschód, n. p. sukna poznańskie i międzyrzeckie szły wgłąb Rosyi i docierały aż do Azyi, co przyznaje także autor niemiecki L. Wagner w swej znanej książce o stosunkach wielkopolskich. Lecz już w r. 1819 zaprowadzono uciążliwą taryfę celną pomiędzy

Królestwem a Prusami, która podkopała nasz przemysł. W latach 1822 i 1823 nastąpiły nowe obostrzenia celne, równające się niemal zamknięciu granicy dla poznańskiego handlu i przemysłu. Upadł wywóz przedmiotów z dziedziny koszykarstwa, bednarstwa, fabrykacyi mebli, wyrobów garbarskich, sukiennictwa i t. d.; upadły też prawie zupełnie w dzielnicy naszej te gałęzie przemysłu, a wszelkie usiłowania w celu podniesienia ich z upadku zawiodły. Stało się to z wielką stratą dla żywiołu niemieckiego, który wówczas bardzo przeważnie w swoich rękach trzymał wszelką produkcyę przemysłową w naszych stronach. Że zaś dla budzącego się, lecz ciągle z niekorzystnem położeniem nadgranicznem walczącego przemysłu i handlu polskiego i dziś tesame panują prawidła, rzeczą jest jasną.

Zbyt handlowy naszych dzielnic ma swoje naturalne drogi ujścia na wschód i niektóre z naszych przedsiębiorstw, mianowicie na polu fabrykacyi maszyn, dotąd główne swoje znajdują zyski na tej, tak utrudnionej, drodze. Otwarcie granicy na wschód, oznaczałoby nietylko dla Księstwa Poznańskiego, ale dla całych naszych kresów, niewątpliwie korzystny zwrot w dziedzinie handlu i przemysłu.

Te oto krótkie uwagi niech stanowią przyczynek do oświetlenia rozpatrywań naszych na temat międzypaństwowego charakteru naszych dzielnic. Pozbawieni przyrodzonego prawa do stanowienia o naszym ustroju, pozbawieni nawet możności wpływania czynnego na zewnętrzne ukształto-

wanie się naszych losów, pracujemy nad ratowaniem pozostałego nam dobytku duchowego i materyalnego, wyrabianiem i utwierdzaniem naszej siły życiowej, wierząc, że roślina, której korzeń zdrowy, choć kwiat jej ścięty, zawsze sposobną jest do wydania nowych pączków, nowego kwiatu, owocu i nasienia.

GŁOSY SĄSIEDZKIE.

Ciekawą rzeczą jest badanie wrażenia, które przesilenie rosyjskie wywołuje na naszych kresach zachodnio-polskich. Stanowi ono temat niewyczerpany. Nie różnią się nasze kresy pod tym względem od reszty świata. W rozpatrywaniach jednak o wypadkach w Rosyi spostrzedz można tak u Polaków, jak u Niemców, silną domieszkę uwag o przypuszczalnych wynikach zdarzeń na wschodzie dla naszego społeczeństwa.

Z poszczególnych czynników, które tu wchodzą w grę, stoi w pierwszym rzędzie prasa. Polskie pisma zachowały się w ogólności wobec spraw na dalekim wschodzie dość biernie. Zapisały fakta, zazwyczaj nie obdarzając ich licznymi komentarzami. W sprawach dotyczących ziem polskich pod zaborem rosyjskim, objawia się zaś pewne stopniowanie tonu.

Mianowicie *Dziennik Poznański*, wyraził kilkakrotnie zdanie, że nienormalne położenie żywiołu słowiańskiego polskiego w Rosyi wychodzi tylko na korzyść czynnika trzeciego, mianowicie bardzo w całej tej sprawie interesowanego germa-

nizmu. Na tej też opierając się podstawie, przestrzegał przed uleganiem obu wielkich społeczeństw słowiańskich w Rosyi, polskiego i rosyjskiego, wpływom niesłowiańskim. Liczna zaś prasa ludowa rozmaitych odcieni, przeważnie na podobnem stała i stoi stanowisku.

Daleko głośniej i wybitniej, nie krępując się najczęściej żadną rezerwą, przemawiają pisma niemieckie. Im bardziej szowinistycznym ich kierunek, tem wyraźniejszą ich taktyka w omawianiu wypadków na wschodzie. U wszystkich bez wyjątku przebija zadowolenie z powodu upadku militarnej potęgi Rosyi, u wszystkich jednak niemniejsza obawa, by przesilenie wewnętrzne w sąsiedniem państwie nie odbiło się na Polakach pod postacią niewygodną dla zachodniego sąsiada. Wychodzący na kresach naszych poznański *Tageblatt*, organ regencyi poznańskiej, w wysokim stopniu tendencyjne zamieszcza sprawozdania z wypadków w Rosyi i Królestwie. Kwestya szkolna wyprowadziła go kilkakrotnie z równowagi, a wtórują temu organowi inne jego koleżanki, gazety jaskrawo szowinistyczne, prawdziwemi jeremiadami na temat obaw, które w nich wznieca samo przypuszczenie możliwości stałego zaprowadzenia wykładów polskich w szkołach Królestwa.

Przecież rząd rosyjski i społeczeństwo rosyjskie będzie miało dość rozumu, by polskiego ducha znów nie rozpętać — wołają jedne, a drugie zawodzą wprost rozpaczliwie na myśl, że może jednak stanowisko Rosyi wobec Polaków ulegnie zmianie. Niektóre, zupełnie naiwnie wygłaszają tajniki swego serca, zaznaczając, że zgoda rosyjsko-polska, to

jest owa *Slavische Gefahr*, która wiecznie grozi interesom germanizmu na wschodzie.

Mnożą się też w prasie niemieckiej rozpatrywania i statystyczne obliczania obecnego dobytku kolonizacyi niemieckiej w obrębie Rosyi. Pouczające są w wysokim stopniu te wywody dla nas, a w równym stopniu i dla Rosyan. Dowiadujemy się z nich, że przeszło dwa miliony Niemców siedzi już na wschodzie, dowiadujemy się, ile to fabryk, ile przedsiębiorstw, ile kopalń, jakie ogromne kapitały niemieckie zaangażowane są w Królestwie Polskiem i Cesarstwie, a że ci Niemcy wszyscy to wierna i pewna falanga, że na nich idea niemiecka liczyć może w każdym wypadku.

— Jadę na wschód — woła zapalony German w swoim organie — i jak niegdyś Grek, podróżując po wschodzie południowym, wszędzie znajdował kolonie swych ziomków, wszędzie wśród społeczeństw obcych spotykał punkta oparcia rodzime, własne, i w końcu czuł się w domu, u siebie, tak również ja, podróżując po naszym wschodzie, wschodzie słowiańskim, mogę niemal żyć w złudzeniu, że nie opuściłem swej niemieckiej ojczyzny. U fabrykanta, u kupca, u przedsiębiorcy i właściciela Niemca, odnajduję niemieckie poczucie, dom, środowisko nawskróś niemieckie, jednem słowem prawdziwą kolonię i posterunek niemczyzny. Biorę w rękę spis urzędników państwowych. Ileż tu rodzin niemieckich ma swych przedstawicieli na najwyższych nawet szczeblach hierarchii państwowej! Prawdziwie czuć i poznać, że Rosyi takiej, jak ją ukształtowały stosunki, jak się dziś przed-

stawia w swych urządzeniach, bez Niemców pomyśleć sobie nie można. Ukształtowanie się stosunków Rosyi od stu lat jest w znacznym, bardzo znacznym stopniu wytworem germańskiego żywiołu, który tak bardzo w nią wniknął. Tak więc, byle nie było przeszkód, przyjść musi czas, w którym nazwiemy nasz wschód mianem *Neudeutschland*. A lepsze to i ważniejsze jak wątpliwej wartości interesa pod zwrotnikiem! Tak mówią Niemcy.

Tego rodzaju wylewy duszy germańskiej są i pouczające i szczere. Co czeka Słowiańszczyznę w dalszym ciągu dziejów, „byle nie było przeszkód", wynika z nich jasno, a główną zasadniczą przeszkodą: to kwestya polska, to ciągła obawa wznowienia jej w sposób sprawiedliwy przez społeczeństwo rosyjskie. Więc też panuje u nas ogólne przekonanie, że dziś germanizm śledzi z blizka bieg wypadków w Rosyi, z bardzo, bardzo blizka. Trudno powtarzać wszystkie w tej mierze przypuszczenia i pogłoski. Wystarcza zaznaczyć, że są one i częste i daleko idące.

Z tem wszystkiem uczucia, które w Niemcach wzbudzają wypadki na wschodzie, są bardzo zrozumiałe. Germanizm miał tam dotąd wyborny teren do rozwoju, a wcale niedawnemi są czasy, w których Niemcy w Rosyi byli poniekąd kastą rządzącą. Zwrócenie się Rosyi na tory polityki słowiańskiej byłoby poważnem niebezpieczeństwem dla istniejącego w niej żywiołu germańskiego. Naturalnemi są więc obawy szowinistów niemieckich o dalszy przebieg przesilenia czy przeobrażenia wewnętrznego w Rosyi.

Obawy te dotyczą przedewszystkiem przyszłości. Teraźniejszość bowiem, ogółem wziąwszy, przynosi niemieckości bardzo poważne świeże zyski. Układy handlowe z Rosyą, przyniosły Niemcom korzyści tak znaczne, że o podobnych w czasie poprzednim, gdy Rosya czuła się silną, nawet mowy być nie mogło. Sam fakt osłabienia zawsze groźnego sąsiada wschodniego, podwyższył w znacznym stopniu *prestige* państwowej potęgi niemieckiej. W dodatku zaś krążą bezustannie wieści o gotowości ze strony Niemiec do usług wszelkiego rodzaju „na rzecz Rosyi". Usługi zaś, jak wiadomo, nie oddają się w stosunkach międzypaństwowych bez zapłaty. Tak zatem radość i troska ściśle są ze sobą złączone u naszych niemieckich współmieszkańców.

A tymczasem polityka antypolska rozwija się u nas coraz jaskrawiej. Coraz potworniejsze projekty obiegają prasę hakatystyczną, a wiadomo niestety, że najczęściej głosy tej prasy stanowią podkład do praktycznego wykonywania działań antypolskich. Czytaliśmy już żądania, by dla naszych kresów zaprowadzono stan zupełnie wyjątkowy, t. j. rodzaj dyktatury z zawieszeniem konstytucyi, gdy na drodze konstytucyjnej wytępienie polskości nie postępuje dość szybko. A przecież wiemy, co nam Polakom przyniosła ta konstytucya i jak bardzo właśnie od czasów, gdy ją posiadamy, rozwinął się system antypolski.

W chwili, gdy te słowa piszemy, przynoszą nam numer niemieckiej gazety, która, nawiązując do odbytego przed dwoma laty dziesięcioletniego jubileuszu hakaty, zaznacza, że nieszczęściem jest,

iż potrzeba aż nowego stowarzyszenia do budzenia ducha germańskiego na wschodzie. Każdy Niemiec przez to samo, że jest niemcem, powinien całą siłą dbać o ugruntowanie niemieckości na słowiańskich kresach.

Te ubolewania niemieckiego organu są niesłuszne. Idea hakatystyczna przeniknęła wszystkie warstwy niemieckiej społeczności na naszych kresach. Od dziecka do starca wszyscy nią są przejęci. Jeżeli zachodzą pomiędzy Niemcami kresowymi różnice zdań co do sposobu, w jaki należy traktować Polaków, to chodzi tu właśnie tylko o skuteczność rozmaitych sposobów, które jednak wszystkie mają prowadzić do jednego wyniku. Bo cel jest jeden ostateczny, stanowczy. Mamy dziś na kresach naszych do czynienia już nietylko z wrogim nam systemem politycznym, ale z prawdziwą walką rasową.

PO MOWIE MALBORSKIEJ.

Trzy lata temu, po wygłoszeniu znanej mowy malborskiej przez cesarza Wilhelma, zebrało się w jednym z obywatelskich domów wielkopolskich grono osób, zajmujących się sprawami publicznemi. Choć właściwy cel zebrania był towarzyski, rozmowa jednak przeszła niebawem na temat położenia ogólnego. Na pierwszym planie była oczywiście mowa niemieckiego monarchy i zwrot w niej, łączący Słowiańszczyznę w jednę całość w przeciwstawieniu do ogółu rasy germańskiej.

O praktyczności występów politycznych Wilhelma II sądzą różni różnie; wszyscy jednak przyznają mu jednogłośnie, że jest mowcą z Bożej łaski, że się urodził retorem, jak inny żołnierzem, lub rolnikiem. Krasomówstwo jest mu wrodzonem i myśli, które mu przychodzą do głowy, umie on skupiać i uwydatniać w efektach nieraz potężnych. I w tem jest Wilhelm II prawdziwym artystą. Dla plastyki wyrazu gotów on poświęcić własną korzyść i rozminąć się z zasadą Talleyranda: *la parole est faite pour cacher la pensée.*

Toteż, jak już niejednokrotnie poprzednio, tak i po mowie malborskiej odbiły się słowa cesarskie

głośnem echem szeroko i daleko. Najgłośniej zaś oczywiście w najbliższem sąsiedztwie, w tych ziemiach słowiańskich, które podlegają berłu królewskiego mowcy. I jak wówczas wszędzie w naszych stronach, tak i wśród owego grona, zebranego w wielkopolskim dworze, ogólnem było zdanie, że występ Wilhelma II będzie należał do tych, o których historya nie zapomni, że następca Wielkiego mistrza Krzyżaków nową w jej księdze obrócił kartę.

Z tradycyjnej pruskiej polityki wobec Słowian, kierującej się zasadą *divide et impera*, jednym ruchem imperatora zdartą została zasłona i ukazaną istota rzeczy, wielkie zarysy prawdy dziejowej, współzawodnictwa dwóch potężnych zbiorowisk, dwóch ras, słowiańskiej i germańskiej.

Jeden z obecnych zauważył, że mowa malborska będzie bodźcem skutecznym do poznania się wzajemnego słowiańskich społeczeństw, dziś po części sobie zupełnie obcych lub wrogich, a łączonych dotąd głównie wywodami etnografów i szeregiem niepoznanych wspólnych potrzeb i interesów.

Na ten temat rozprawiano długo. Wszyscy godzili się na zasadę, że poza terenem czynnej akcyi politycznej, przedstawiającym najwięcej trudności, istnieje szerokie pole do wzajemnej styczności kulturalnych czynników narodów słowiańskich. I ubolewano nad tem, że społeczeństwa słowiańskie pod niejednym względem lepiej poinformowane są o usposobieniach i prądach panujących w łonie społeczeństw obcych rasą, niż wzajemnie o sobie.

Najstarszy z zebranych, sędziwy weteran na polu pracy społecznej i ekonomicznej w naszym kraju, sformułował te ubolewania uczestników rozmowy w następujących słowach:

Najpierwsze zadanie w tej mierze ma nasza publicystyka. Ona powinna nas zaznajamiać z całokształtem spraw słowiańskich. A w tym kierunku dzieje się u nas stanowczo za mało. Nie posiadamy ani jednego pisma, poświęconego specyalnie tym sprawom. Potrzeby publiczności naszej zaspokajają w tym względzie gazety polityczne codzienne; ale prasa codzienna z natury rzeczy przedewszystkiem zajmować się musi aktualnością polityczną, ona jest i musi być głównie echem programów, skarg i żalów, a także narzędziem taktyki chwili.

W wydawnictwach peryodycznych spotykamy się, co prawda, z cennemi rozprawami informacyjnemi na tle spraw Słowiańszczyzny, ale i w tej kategoryi pism nie posiadamy żadnego, któreby poświęcało się wyłącznie badaniu rzeczy słowiańskich. Oby pobudka, która rozbrzmiała na całą Europę z wieżyc krzyżackiego zamku, zachęciła nas do założenia organu, przeznaczonego w pierwszym rzędzie do studyów na tle Słowiańszczyzny.

Po tych słowach sędziwego mówcy, wszczęła się ożywiona dyskusya. Ogólnie uznawano potrzebę takiej peryodycznej publikacyi i wyrażano zdziwienie, że Galicya, w której ruch umysłowy polski najżywszem dziś bije tętnem, dotąd się na nią nie zdobyła. Dziś, gdy to, o czem rozprawiano w odległym dworze polskim na kresach, przybrało u stóp Wawelu kształty rzeczywistości, gdy słowiańskiego

świata sprawy po raz pierwszy w Polsce traktuje stale i zbiorowo *Świat Słowiański*, warto zapisać wspomnienie z owej rozmowy.

Bo też zachodnie kresy Polski — potężny szmat kraju, ciągnący się od gór kerkonoskich aż po brzegi Bałtyku — są rzeczywiście wysuniętą placówką Słowiańszczyzny. Jedyna to część naszej Ojczyzny, która tak pod względem politycznym, jak ekonomiczno-społecznym ma naprzeciw siebie wyłącznie tylko germańską siłę.

Nasze dzielnice, jedyne zatem z całej Polski, nie mają bezpośredniej styczności z żadnym innym narodem słowiańskim. Stąd też pochodzi coraz żywiej i szerzej ujawniające się u nas przekonanie, że w walce rasowej, odgrywającej się nietylko w zmiennych z natury rzeczy zapasach politycznych, ale daleko rdzenniej na polu kulturalnem i ekonomicznem, nasza sprawa kresowa jest nietylko sprawą polską, ale ogólno-słowiańską, że nauki i doświadczenia wynikające z dziejów naszych kresów powinny dla całej Słowiańszczyzny stanowić poważne *memento* i przestrogę, *hodie mihi — cras tibi*.

Nauki zaś i doświadczenia te są tak rozliczne, wypadki bieżące przynoszą nam codziennie taką ilość szczegółów, że osobnem jest zadaniem, nie gubiąc się w nich, odnajdywać główne wytyczne ruchów obu ras na naszych kresach. Znakomite oddaje w tej mierze usługi statystyka, szczególniej, o ile jest porównawczą i nie ogranicza się na datach bieżących; prócz niej zaś osobiste doświadczenia wybitnych działaczy na polu ekonomicznem i społecznem.

Walka rasowa wogóle, a w szczególności taka, jaka się toczy u nas, nie jest bitwą dwóch wojsk, w której wynik jasny, wyraźny, szybki, a straty i zdobycze łatwe do określenia. Nasze stosunki przywodzą raczej na myśl rolę, na której walczą o byt dwa rodzaje roślinności. Linia bojowa nie jest tu pociągnięta sznurem. Siły współzawodników porozstawiane są pomiędzy sobą, jak pola szachownicy. Na każdym punkcie spotkasz się i ze swoim i z obcym. A nieraz i zewnętrzny wygląd poszczególnych miejsc boju nie daje rzeczywistego obrazu położenia. Tu zdaje się być posterunek zwarty jednego z czynników walczących, a tymczasem przy bliższem rozpatrzeniu stwierdzić można, że z pod wierzchniej warstwy kiełkują już rozsadniki czynnika przeciwnego. Tam znów spostrzegamy objawy pozornie zupełnie sprzeczne; z tejsamej ziemi wyrastają mocne szczepy, na której inne szczepy, tejsamej rasy, obumierają.

Synteza całego tego współzawodnictwa dwóch żywiołów doprawdy nie łatwa. Niezaprzeczony upadek większej własności polskiej w Księstwie i Prusiech Zachodnich, oraz równie niezaprzeczony fakt, że pod osłaniającą go pokrywką masowego wykupna przez kolonizacyę, upadek niemieckiej większej własności jest jeszcze o wiele znaczniejszym; oto zestawienie dwóch objawów, które niech posłuży jako przykład trudności w rzeczywistej ocenie rozrostu przeciwnych sobie prądów i sił. A temu przykładowi niech towarzyszy drugi.

W tychsamych polskich warstwach wyższych, które zdołały w ostatniem półwieczu zaszczepić kulturę duchową w warstwach niższych, maleje jednak

i niknie coraz bardziej ruch umysłowy, a kultura duchowa zmniejsza się z pokolenia na pokolenie.

Tych poszczególnych objawów i ruchów określić dotychczasowy wynik ogólny, stanowiący podstawę przyszłości, stanowi zadanie równie trudne jak ważne. Do pracy zaś w tym kierunku zachęca choćby ta okoliczność, że obecnie wielkie wysilki okazuje nam na tem polu publicystyka niemiecka. Mnożą się rozprawy i książki na temat kresów wschodnich; wśród nich zaś obok tendencyjnej i reklamowej literatury hakatystycznej, obok sławnych sprawozdań komisyi kolonizacyjnej, znajdujemy coraz liczniejszy szereg publikacyj, pochodzących od ludzi, którzy myślą głębiej, patrzą w dal i starają się z rzeczywistych danych rzeczywiste horoskopy na przyszłość wysnuwać.

Te objawy trzeźwego sądu u naszych przeciwników, jak z jednej strony są bardziej niepokojące od owej szumnej frazeologii, gdyż świadczą o realnej pracy umysłowej w kierunku zdobywczym dla niemczyzny, tak z drugiej stanowić muszą znakomitą podnietę do równowartościowych badań z naszej strony. W tej mierze pochlubić się też możemy, acz niestety bardzo nielicznemi i częściowemi tylko, ale poważnemi i szczeremi publikacyami polskiemi. Życzyć należy, by ich zastęp zwiększał się z nieustającym biegiem i ruchem życia narodowo społecznego naszych kresów.

NEUDEUTSCHLAND.

Do jednego z właścicieli ziemskich w Poznańskiem zapowiedziało się dwóch panów z Berlina, bawiących już od kilku dni w sąsiedztwie. Nazwiska znane, z świata przemysłowego, a jedno z nich, zdobne tytułem o znamieniu półurzędowem. Według treści listu przybywali z projektami pewnego przedsiębiorstwa przemysłowego.

Sam cel ich podróży, nie zajmował, co prawda, polskiego właściciela, nie mającego zamiaru wejścia w styczność z owemi firmami. Przypadkowo jednak, tak jemu, jak goszczącym u niego znajomym, było wiadomem, że właśnie obaj ci panowie przedstawiają bardzo poważne interesa niemieckie w Królestwie Polskiem, że mają tam wiele stosunków, a w niemieckich Kołach Kongresówki wiele wpływów i że, niedawno jeszcze starali się usilnie o zagarnięcie pod swoją przewagę zamierzonego, bardzo znacznego, przedsiębiorstwa w pewnym rozległym kompleksie dóbr polskich za kordonem, zwalczając przytem, jak dotąd, bezskutecznie, techniczne i finansowe współzawodnictwo czynników miejscowych, a także z zachodniej Europy.

Wiadomą była też okoliczność, że w staraniach swoich panowie ci cieszą się silnem poparciem pruskich sfer rządowych. Nawet tak silnem, że uprawniło ich ono do otwartego występowania z obietnicą pruskiej pomocy, a z groźbą pruskiego odwetu na polu taryf przewozowych w miarę zawarcia, lub odrzucenia, ofiarowanego układu.

W dodatku nikomu chyba, znającemu nieco stosunki, obcą nie jest ścisła łączność, panująca pomiędzy sprawami ekonomicznemi i stanowiskiem narodowościowem Niemców w Królestwie, a politycznemi rozpatrywaniami miarodawczych kół berlińskich. Choć zatem zamiar, z którym przybywali, skazanym był z góry na odpowiedź odmowną, postanowiono skorzystać ze sposobności i zawiązać z nimi rozmowę na tle spraw polsko-niemiecko-rosyjskich. Liczono przytem na okoliczność, że gospodarz domu znanym jest jako obywatel nie wmięszany zupełnie do polityki, oraz na to, że przy czarnej kawie i kieliszku wina łatwo rozwiązują się języki i otwierają serca.

Jakoż nie zawiedziono się w tej nadziei, a treść wynurzeń finansistów niemieckich oto szuka gościny w polskiem piśmie.

Przybysze, których nazwiemy fabrykantem B. i radcą Z., załatwili się prędko ze swoim projektem, o którym rozprawiano z nimi tylko dla formy. Ale po obiedzie wobec dwóch godzin, które ich jeszcze dzieliły od chwili odjazdu na dworzec i znanej książki tajnego radcy Martina o przyszłości Rosyi, leżącej na stole, a ogólne u nas wzbudzającej zajęcie, zręcznie naprowadzeni przez gospodarza na temat pożądany, rozgadali się na dobre,

a tak obficie i charakterystycznie, że przewyższyli oczekiwania rozmawiających z nimi Polaków.

Skierowano rozmowę na tory przedmiotowego rozważania wzajemnych interesów trzech powyżej wymienionych narodów. Zaznaczono, że w walce sił światowych własny zysk pośredni lub bezpośredni jedynie może być miarodawczym w zachowywaniu się poszczególnych czynników, słowem, nadano dyskusyi cechę tak poprostu kupieckiej rozprawy, że berlińscy goście, jako prawdziwi Niemcy, odrazu uczuli się w swoim żywiole i z największą swobodą zaczęli poruszać się na terenie, na którym często niedyskretną bywa gazeta hakatystyczna, ale rzadko Prusacy o stanowisku osobistem tak poważnem, jak panowie B. i Z.

Przemysłowiec zaczął krytykować książkę Martina. — To manewr bardzo niezręczny grupy finansistów naszych, obliczony na to, że ci, którzy jednostronny ten utwór czytać będą w Rosyi, uwierzą, iż wywołał wrażenie na publiczności niemieckiej, mającej pokryć nowe misye pożyczek rosyjskich. Pożyczki zatem mają być zaciągnięte w Berlinie po tańszym kursie. Nie innym jest cel owych przesadnie rozpaczliwych przewidywań p. Martina na temat blizkiego, a zupełnego bankructwa Rosyi. Lecz takie prostoduszne fortele nie przydadzą się na wiele, owszem, mogą tylko zaszkodzić. Przesada wywiera zwykle skutek przeciwny od zamierzonego. W Rosyi rozumiano dobrze wartość wywodów nazbyt śmiałego autora, czego dowodem ironiczne głosy prasy petersburskiej. A w Niemczech — no w Niemczech, panowie, już nikogo nie przekonają tego rodzaju reklamy *in minus*.

Bo u nas wszyscy ci, którzy ostatecznie rozstrzygają o sprawach finansowych z zagranicą, posiadają, specyalnie na polu stosunków rosyjskich, informacye własne, a tak dokładne, jak o żadnym może kraju na świecie. Rosya, panowie, to nasza przyszła, prawdziwa, jedyna, ale olbrzymia kolonia. To *Neudeutschland*, nowe Niemcy, więcej warte od wszystkich afrykańskich bagien, w których wychodźców naszych trapią epidemie, a żołnierzy niepochwytni zbóje murzyńscy. Więc niech bankierzy nasi nie kuszą się o zbyt wygórowane korzyści, lecz biorą te i tak dość znaczne, które im są dostępne, bacząc przytem pilnie na współzawodnictwo zachodnio-europejskie, zawsze chciwe uprzedzenia nas na tem polu.
Chodzi o to ponad wszystko, by zagnieździć się jaknajsilniej w Rosyi, by zmusić całe Niemcy do zrozumienia, że tam, gdzie posiadamy już tyle interesów, musimy iść dalej na raz rozpoczętej drodze i powoli zagarnąć wszystko. Nie można równocześnie dążyć do celów sobie przeciwnych, lecz jeden główny trzeba zawsze mieć przed oczami, a tym dla Niemców Rosya i zawsze Rosya.

Przemysłowiec przestał mówić i powiódł wzrokiem po siedzących wokoło, jak gdyby oczekiwał od nich ogólnego uznania swoich zapatrywań. Usłyszał też natychmiast ze strony polskiej poważne stwierdzenie prawidła, że z pewnością pokojowy podbój Rosyi byłby dla Niemiec największą zdobyczą dziejową, o jakiejby mogli marzyć. I zaznaczono niemniej, że u nas, w zachodniej Polsce, dobrze znaną jest owa, wiele mówiąca, nazwa *Neu-*

deutschland, która tak dobitnie wyraża historyczny program germanizmu.

Ale radca, który dotąd milczał, słuchając wywodów swego towarzysza, oświadczył teraz, że mu one nie wystarczają. Oczywiście, że przyszłość potęgi niemieckiej leży w opanowaniu sąsiedniego wschodu, i pewnem to także, iż poczucie tego istnieje w głębi wszystkich rozważniejszych umysłów niemieckich. Lecz ci, którzy tej idei są najczynniejszymi apostołami, powinni w przedstawianiu owej konieczności dziejowej mniej uświadomionym, zawsze uwzględniać całokształt przyczyn i okoliczności, warunkujących niemiecki *Drang nach Osten* i towarzyszących mu w ciągłym rozwoju zdarzeń światowych. Nie wystarcza zawołać ludowi: Tam na wschodzie leży nasza ziemia Kanaan, tam już mamy pionierów, którzy dla nas pracują. To jest hasło, jak wiele innych, ogólnikowe, nie przedstawione plastycznie, nie przybierające w oczach większości określonych kształtów. Naprzeciw stają inne hasła, w gruncie rzeczy mniej popularne, ale jednak tamtemu wchodzące w drogę.

W obecnej chwili ważą się losy dwóch największych, najpotężniejszych kierunków expanzywnych w Niemczech: jednego na zachód, przez „zachodnie okno Germanii“, morze północne i Sund, dążącego coraz śmielej na szeroką niwę konkurencyi światowej, popod zaniepokojonem okiem Anglii, i drugiego na wschód, ku wypróbowanemu, stuletniemu już terenowi kolonizacyjnemu pomiędzy Wisłą a Uralem. A rząd nasz i z nim opinia publiczna chwieje się; to w tę, to w tamtą stronę wywiera główny nacisk, chcąc oba pola opanować.

Tego rodzaju taktyka jest błędną i więcej niż błędną, poprostu zabójczą. Bo proszę tylko przyjrzeć się jej nieco bliżej, a cała jej jałowość i szkodliwość uprzytomni nam się odrazu. Anglii rady nie damy, to tak pewne, jak, że dwa a dwa jest cztery. Zaszkodzić jej wogóle nie potrafimy, ale zato ona przez nas podrażniona, może nam zaszkodzić potężnie, i to gdzie chce i jak chce. Na polu przewagi sił morskich wojennych nie dorównamy jej nigdy, rosnąc przeciwnie bezustannie na polu handlowego wywozu.

I zamiast prawdziwie po kupiecku usypiać czujność tego groźnego i zbrojnego sąsiada, zamiast okupywać jego przyjaźń największym taktem, grzecznością, oddawaniem mu usług tam, gdzie nas one nic nie kosztują, zamiast kierować ostrze naszej konkurencyi handlowej przeciw innym krajom, a gdzie tylko i ile tylko można, nie iść tam, gdzie już Anglicy się zagospodarowali i za tę cenę spokojnie załatwiać nasze interesa, my przeciwnie, pchamy się z naszymi towarami wprost na rynek angielski, stwarzamy linie okrętowe konkurencyjne nie kompaniom francuskim, włoskim i innym, lecz z szczególniejszem zamiłowaniem właśnie angielskim i doprowadzamy zaciętych synów Albionu do wściekłości. Wtedy zaś wywijamy szabelką, mocną wprawdzie na lądzie, ale śmiesznie słabą wobec Anglii na morzu.

A przecież interes nasz taki prosty i jasny. Całą naszą siłę i główne dążenia zwrócić na wschód, podzielić się poprostu z Anglią pod względem rozkładu naszych wpływów światowych, z jej pomocą odosobnić Rosyę w stosunku do innych państw,

tak, by wreszcie, jak owoc dojrzały, spadła na nasze łono. Na zachód jest droga trudna i niebezpieczna, na wschód łatwa i wygodna, a jakże szeroka i wspaniała! Należy zaś zawsze czynić to, co łatwe, bo to się udaje. Jak w gospodarstwie wieś przyległa ma większą wartość dla bezpośredniego sąsiada, niż dla dalszych, tak i dla nas Rosya jest więcej warta niż dla kogokolwiek.

Przytem jestto kąsek tak obszerny, że nawet nie potrzeba nam go jako całości. Co za Uralem, to nas nie obchodzi. Zbyt obfity pokarm psuje żołądek, nie mogący go strawić. Niech kto chce dzieli z nami ucztę, byle nam zostawiono pieczeń najlepszą, od granic pruskich, do granic Syberyi. To tak olbrzymie pole, że na niem przez wieki żywić się mogą Niemcy.

Sto milionów robotników, nieprzebrane bogactwa naturalne, oto kolonia godna wielkiego naszego narodu. A choćby eksport z Hamburga do Argentyny zmniejszył się o parę milionów, choćby spoglądanie przez zachodnie okienko było coraz mniej zajmującem, to za to w stronę przeciwną patrząc, ujrzymy coraz wspanialsze widnokręgi. Tensam eksport popłynie tam, gdzie droga będzie wolna i dokąd siła faktów go prowadzi.

Radca zamilkł i zapalił cygaro. A i my milczeliśmy czując, że jego wyobraźnia jeszcze nie wyczerpana i że przędzę swych myśli snuć on będzie dalej.

Lecz fabrykant przerwał milczenie i zwracając się z odcieniem uszanowania do radcy, oświadczył, że się zgadza najzupełniej z jego zapatrywa-

niami, które jednak niestety nie są dziś rozpowszechnione w sferach miarodawczych w Berlinie.

Chciał dalej mówić, lecz radca przerwał mu żywo i zaczął dowodzić, że owszem, w kołach rządowych przekonanie o konieczności stanowczego zwrotu całego naporu germańskiego na wschód jest bardzo rozpowszechnionem, a że tylko w praktyce objawiają się szkodliwe wahania się co do sposobu przeprowadzenia tej idei w rzeczywistości.

Temu i owemu zdaje się jeszcze, że teraz, po pogromie Rosyi na wschodzie, sama przez się znajdzie się ona niebawem w objęciach Prus i że dlatego można równocześnie światowe imperium germańskie umacniać na innych polach. W tem leży cały błąd. Bo obecną polityką ekstenzywną na dwie strony, spowoduje się tylko zaniedbanie potrzebnych i koniecznych starań na terenie słowiańskim, łatwym co prawda i wygodnym, ale tylko, o ile się go należycie przygotuje i uprawi.

Dzięki Bogu atoli sam obrót, na pozór dla Niemiec niekorzystny, obecnych stosunków międzymocarstwowych, spowodowany imprezą marokańską i równoczesnem zadarciem' z Francyą i Anglią, ureguluje nareszcie ruchy rozpędu odśrodkowego w Niemczech. Spokorniejemy na polu fantastycznych przedsięwzięć, przypominających wyprawy nieśmiertelnego Don Kiszota, a spoważniejemy na polu polityki słowiańskiej.

Radca znów zamyślił się na chwilę, a potem zaczął mówić, jak gdyby natchniony: Patrzcie panowie na tę ogromną niwę słowiańską, ciągnącą się od nas na wschód, a zajmującą połowę Europy.

Oto już od setek lat idą ku niej zastępy germańskie. Kresy, i to potężne, szerokie kresy zalały już od tak dawna i tak skutecznie, że uczyniły z nich najlepszą warownię germanizmu.

Już dziś, gdy tu z panami rozprawiam, leżą one za nami, na zachód. Nikomu nie przyjdzie na myśl zaliczać ich do terenu spornego. Kwitnie na nich nasza stolica, cały szereg miast wielkich, środowisk handlowych. Od Wrocławia przez Berlin do Szczecina i bardziej na wschód Gdańsk i Królewiec wspaniałym pierścieniem otaczają resztkę słowiańskości pod naszymi rządami, której sercem jest Poznańskie. Ale i w tem sercu krew już jest mięszana, w znacznej części niemiecka.

A dalej, ku Wiśle, Dnieprowi, Wołdze, ileż i tam posterunków naszych! Dwie trzecie przemysłu w Królestwie w naszym ręku. Łódź, Pabianice, Tomaszów, Żyrardów, Częstochowa, wielkie kopalnie w stronie Sosnowic i tyle innych warowni ekonomiczno-narodowych stanowi tam naszą przednią straż. Ogromna liczba Niemców już tam żyje i działa.

Poczucie zaś solidarności słowiańskiej wogóle nie istnieje. I w Polsce samej wyrobi się prędzej, czy później, przekonanie, że lepiej i bezpieczniej jest stanąć po stronie niemieckiej, przylgnąć do potężnego środowiska germańskiego, zlać się z niem, z jego kulturą, bogactwem, wspaniałym a niepowstrzymanym rozwojem.

Uśmiechacie się panowie, bo jesteście Poznańczykami. A ja powiadam wam, że nie rozumiecie przyszłości. Porobiono u was z naszej strony dużo błędów, politykowano z wami niezgrabnie, nie

umiano postępów germanizmu wobec was ubrać w szaty przyjemne, połączone z korzyścią osobistą; wszystko to przyznaję. Ale to wszystko może się odmienić i to w dwojaki sposób. Albo przez zachowanie z naszej strony więcej taktu w formie, albo też, w razie, gdyby to nie poskutkowało, pokazanie takiej mocy i energii, o jakiej wam się nawet nie śniło.

Tego rodzaju polityka, nieprzyjemna dla obu stron, co prawda, ale będąca skutkiem obustronnych poprzednich błędów, musiałaby stać się tak bardzo stanowczą w swych skutkach, że byłaby tylko epoką zupełnie przejściową i krótkotrwałą. Narobiłaby ona trochę hałasu, ale nie więcej, niż dotychczasowe nasze występy, tylko drażniące, a nie prawdziwie energiczne. A po niej byłoby tu na ziemi poznańskiej i śląskiej już wszystko uregulowane i panowałaby cisza wśród tych z pomiędzy was, którzyby tu jeszcze pozostali, jako już przekonani o tem, że lepiej stać się Niemcami, jak wcale nie być. Pozostałoby zaś wielu i edukacya germańska, choć nieco twarda wyszłaby tutejszym Polakom na korzyść. To trudno. Czasem trzeba dziecko, gdy nie rozumie własnego dobra, przymusowo do niego nakłonić.

Tu przerwał mówiącemu jeden z obecnych Polaków, zapytując go, pod jaką postacią on sobie wyobraża środki wychowawcze, któremi powinnaby nas obdarzyć troskliwość pruska.

To zależy — odparł szanowny radca — od stopnia oporu. W poważnych kołach berlińskich rozprawiano już nieraz o tem, ale niczego nie można rozpocząć, zanim się nie zaprowadziło stanu

wyjątkowego dla dzielnic, o które chodzi, i to połączonego z władzą dyskrecyonalną dla administracyi państwowej. — Sejm i parlament musiałby wpierw dać *carte blanche* pod tym względem rządowi, tak, by nie potrzeba za każdym razem przedkładać Izbom nowych osobnych ustaw, narażać się na zmiany, wahania, poprawki. — Dziś jeszcze parlament nie byłby skłonnym do takiego zupełnego zawieszenia konstytucyi, ale to mogłoby przy sprzyjających okolicznościach nastąpić.

Wtedy należałoby zacząć od środków łagodnych. Najpierw zakaz drukowania pism i książek polskich w obrębie Niemiec, a tak samo sprowadzania ich z zagranicy. Równocześnie musiałby nastąpić zakaz napisów polskich na szyldach sklepów, zakaz przemawiania po polsku na zebraniach i prawo zatwierdzania i niezatwierdzania ze strony władzy kontraktów kupna i sprzedaży własności ziemskich. Ziemię byłoby wolno kupować tylko takiemu, któryby poprzednio złożył na piśmie oświadczenie, że siebie i dzieci uważa za Niemców i podejmuje się okazywać to w swem życiu i czynach. Taki szereg bardzo prostych i łagodnych zarządzeń byłby prawdopodobnie wystarczającym. Dodatkowo zaś dla oporniejszych musiałaby istnieć groza natychmiastowej przymusowej sprzedaży własności ziemskiej, lub innej, oraz wydalenie z granic prowincyj, objętych ustawą wyjątkową.

Ręczę panom, że to wszystko tylko wygląda groźnie. W rzeczywistości ugięliby się Polacy bardzo szybko. Przy braku wszelkich polskich dru-

ków ustałoby ciągłe zapełnianie umysłów myślą polską i germanizacya byłaby rzeczą bardzo krótkiego przeciągu czasu. Parę tysięcy wydaleń, mianowicie intelligencyi miejskiej i wiejskiej dokonałoby reszty. I byłby spokój, nam i wam byłoby dobrze, kwestya polska w Prusiech byłaby załatwiona i możnaby zabrać się do tem sprawniejszego podjęcia kwestyi ucywilizowania dalszego wschodu polsko-rosyjskiego.

Lecz czy nie sądzisz pan, — wtrącił ktoś z boku — że owo pierwsze stadyum energicznej polityki wychowawczej w obrębie ziem polsko-pruskich, obudziłoby „antykulturalne“, niechętne Niemcom uczucia, właśnie w tej ogromnej masie Słowian zakordonowych?

Niewątpliwie — odparł zagadniony — że z początku wywołałoby je w pewnym stopniu. Ale nie tak bardzo, jak panowie przypuszczacie. Równocześnie bowiem z taką polityką w obrębie obecnych granic pruskich, należałoby prowadzić zupełnie inną w olbrzymiem *Neudeutschland*. Tam ograniczonoby się na otwarciu jaknajszerszych bram postępowi czynników niemieckich.

Nie zmuszając nikogo do zostania Niemcem, zalałaby fala naszych wychodźców, rzemieślników, kupców, fabrykantów, przedsiębiorców wszelkiego rodzaju, wschodnią niwę i łącząc się z tą, którą już nasz geniusz narodowy od dawna tam posłał, rozpoczęłaby ogromne dzieło cywilizacyjne bez oporu ze strony ludności. Zakwitnęłyby miasta, powstałyby tysiące fabryk, wszędzie koleje, szosy, kanały. Niemieckie miliardy wykupiłyby olbrzymie szmaty najlepszej ziemi ornej i doprowadziłyby

je do wyżyn tutejszej produkcyi, zwiększonej jeszcze naturalną wydatnością takiego np. wspaniałego czarnoziemu podolskiego.

Panowie — tu radca powstał i mówił głosem podniesionym — czy uprzytomniacie sobie ten obraz przyszłości? Sto milionów Słowian, pracujących pod kierownictwem kilku milionów Niemców, w ich fabrykach, na ich roli. Co to za warstat, co za rezultaty dla bogactwa świata! Na Śląsku, małym i ciasnym, pokazaliśmy, co umiemy. Tam Słowianin nauczył się kopać węgiel i kuć żelazo dla potężnych towarzystw akcyjnych niemieckich, tam ziemia, niegdyś uboga, przynosi dzisiaj naszym potentatom fabrycznym miliony milionów. Cóż dopiero, gdy tensam system zastosujemy na arenie stokroć większej.

Czem dla Anglików Indye, tem dla nas będą Nowe Niemcy, *Neudeutschland*. Jak tamci Hindusów, tak my weźmiemy pod naszą opiekę Słowiańszczyznę. Rasą panów być ona nie może, na to nie jest stworzona, do tego nie posiada ani zdolności, ani właściwości, ani nawet poczucia. Ale rasą sług, dobrych, dzielnych, pożytecznych sług stać się może przez nas w pełni. A wyjątkowo najwybitniejsze wśród niej jednostki mogą się nawet wzbić aż do rasy panów, zostać przyjęte do naszego grona. I świat zdumiony cały korzystać będzie z tego nowego stanu rzeczy. Wzmoże się przez wzrost naszej siły i naszego bogactwa, siła i bogactwo ogólno światowe, a z niem kultura, władztwo ducha, wartość rodu ludzkiego w jego objawach i czynach. To jeden z wielkich kroków do zapanowania Królestwa Bożego na ziemi!

Radca umilkł, wyczerpany wylewem swych uczuć. Fabrykant spoglądał na niego z niemym podziwem, a potem zaczął półgłosem zapewniać swego sąsiada, że dumnym się czuje z takiego rodaka, który też dla swego podniosłego umysłu wielce jest cenionym w Berlinie, dostał już order, a karyerę zrobi niezawodnie świetną.

Ale teraz przyszła kolej na Polaków.

Zapytano się radcy, jak on sobie przedstawia przyszłość, gdyby sprawy słowiańsko-niemieckie pokierowały się wprost przeciwnie, gdyby Słowianie właśnie obecnie zaczęli się skupiać, pojmować wspólność swoich interesów, a gdyby instynkt zdobywczy Niemców nie potrafił ujarzmić ich odpowiednio.

Lecz Niemiec zrazu nie dał się zbić z tropu. To rzecz niemożliwa — zawołał. Gdyby byli do tego zdolnymi, czemuż tego od dawna nie uczynili! Czemuż Rosya od stu lat pozostaje pod względem swej polityki wobec Polaków pod wpływem Prus?

Tu zaśmiał się wesoło. — Czy myślicie panowie, że Rosyanie byliby sami z siebie potrafili tak konsekwentnie przez szereg lat tłumić polskie aspiracye, niweczyć to przedmurze Słowiańszczyzny i torować nam przez wyjałowione obszary dawnej Rzpltej polskiej drogę do samej Rosyi? O nie panowie! Oni okazali pod tym względem dużo dobrej woli, nie przeczę, chętnie wywracali jeden po drugim posterunki polskie pod swojem panowaniem. Ale systom, ale ciągłość tę mieli od nas. Ta się wypracowywała w gabinetach berlińskich.

Tak, w Berlinie, a nie gdzieindziej istnieje i istniało zawsze prawdziwe kierownictwo polityki

rosyjskiej wobec Polaków. Tam zapadają postanowienia, które potem wykonuje Petersburg. Pod tym względem nie mamy sobie nic do zarzucenia. Ten specyalny dział polityki słowiańskiej był przez nas zawsze uprawiany po mistrzowsku. Myślicie, że teraz odruchy polonofilskie w społeczeństwie rosyjskiem potrwają długo? Poczekajcie, a zobaczycie! Umieliśmy trafić do absolutnego rządu, potrafimy taksamo wywołać potrzebne nam usposobienie w parlamencie i rządzie liberalnym. Na to jest tysiąc sposobów, których nie warto wyliczać. Będziecie mieli hakatyzm narodowy rosyjski taksamo, jak macie teraz hakatyzm pruski.

A zresztą, któż wie, jak się sprawy ogólne obrócą? Któż wie, czy możliwa rewolucya w Rosyi nie zmusi nas do bliższej, bezpośredniej ingerencyi w jej sprawy? W takim zaś razie wszystko będzie w naszem ręku. Nowe Niemcy nie mogą nam się wymknąć, zaprawdę nie mogą. Nie tym, to owym sposobem!

Radca znów umilkł, zadowolony z siebie i tryumfująco spoglądał na otaczających. Lecz jeden z Polaków, szepnąwszy sąsiadowi słowa — *quem Deus perdere vult, dementat* — zaczął teraz ze swej strony malować przed oczami Niemców obrazy zupełnie inne od tych, które była stworzyła bogata wyobraźnia radcy. Rosya nie jest taka słaba, jak się Niemcom zdaje. Niezależność swą potrafi obronić skutecznie w danym razie, tem bardziej, że mocarstwa europejskie wcale zapewne nie są przejęte pragnieniem pomagania Niemcom do stworzenia wymarzonego *Neudeutschland*.

A nuż na tej podstawie obudzi się w Rosyi nareszcie rzeczywiste pojmowanie koniecznej potrzeby naprawienia błędów przeszłości i zamiast krępowania, — wzmacniania przedmurza polskiego. I nuż praca nad reformą stosunków wewnętrznych będzie poważną i wydatną, wzbudzi energie drzemiące, otworzy wolną drogę inicyatywie jednostek i zbiorowej. Nuż tak wzrośnie z biegiem lat odrodzona potęga Słowiańszczyzny, że nawzajem powie sobie, iż teraz dla niej zaczęła się era impulsu światowego. Nuż, jak dziś Niemcy piszą na swoim sztandarze — *Neudeutschland* — tak kiedyś geniusz Słowiańszczyzny solidarnej, wzajemnie się popierającej, napisze na swoich sztandarach hasło Nowa Sarmacya: odzyskanie ziem zachodnich, zdawna utraconych i odegranie w nich roli panów.

Nuż właśnie taką politykę energii, o jakiej pan wspominałeś, mówiąc o Poznańskiem, zaprowadzi Słowiańszczyzna wobec Niemców zamieszkałych dziś na wschodzie, zmuszając ich do wyrzeczenia się ideałów i propagandy pangermańskiej?

Widzisz pan zatem, że cały ten obrazek tak wspaniały, który pan nam odmalowałeś, można także oglądać na odwrót, a wtedy jest równie malowniczym i może jeszcze bardziej interesującym.

Szczegóły na nim mnożą się i rosną w miarę, jak przyglądający się poświęca mu więcej uwagi. Oto, naprzykład, w rozumowaniach swoich zapomniałeś pan zupełnie o zachodnio-południowej Słowiańszczyźnie, o Pradze, Lublanie, Zagrzebiu, ale przedewszystkiem o Pradze. Tam dawniej, wcale niedawno temu, panowała także jedna rasa „panów“, nad drugą rasą „sług“. Teraz już

są tam dwie rasy panów. Obie panują, a ludność rodzima wcale jeszcze nie jest z tego stanu rzeczy zadowoloną i wyznaje teoryę o jednej rasie władców, lecz nie tej, która nią była dotąd, ale przyrodzonej, miejscowej, odwiecznej.

Obaj Niemcy, słuchając tych wywodów, uśmiechali się kwaśno. Wreszcie fabrykant, nie ufając widocznie własnej dyalektyce, zawezwał swego towarzysza, by przecież odpowiedział *den geehrten Herren Polen*, szanownym panom Polakom.

Więc radca wystąpił z nowym arsenałem broni duchowej. Któż wątpi o tem, że każda potęga w dziejach swego rozwoju spotyka inne moce, które musi zwalczać. Ale jeżeli jest od nich lepszą, dzielniejszą, żywotniejszą w swej istocie, wtedy powoli lub prędko, w miarę ich odporności, wchłonie je w siebie, sama swą siłę ich siłą, swoje ciało ich ciałem wzmocni, aż zupełnie je przetrawi. Wielkie potęgi światowe nigdy jeszcze nie powstały z dobrej woli czynników, otaczających ich pierwotne jądro. Rzym pierwotny, owa *Roma quadrata*, to ostatecznie było gniazdo opryszków, walczące o samodzielność z okolicznemi potęgami, daleko większemi. Ale w tem małem i niepozornem jądrze tkwił już zarodek przyszłej wielkości, żyła już siła nieprzeparta, która z każdej zdobyczy czyniąc podwalinę dalszych, miała się rozrosnąć w tak olbrzymie drzewo. A później cezaryzm także powstał drogą ciężkich nieraz zwycięstw. Cezar zwyciężył Pompejusza, Oktawiusz Antoniusza.

Najwspanialszym atoli, najbardziej charakterystycznym, jest zwycięski pochód nowożytnej Romy, naszego państwa pruskiego. Ono nawet

takiego nie miało jądra własnego, jak niegdyś Rzym. Ono powstało z zaczątku, który sam był już kolonią, podbojem na ziemi obcej, słowiańskiej. I ta *Borussia quadrata*, z której my dziś wychodzimy na dalsze zdobycze, to już nie siła, dzielna, lecz walcząca jeszcze o swój byt. Nie, ta nasza obecna podstawa, to opancerzona moc, ogromna, pierwsza na lądzie stałym, mądra, wytrawna, bogata, zbrojna od stóp do głów.

Więc panowie, gdy w takiem jądrze tkwi impuls do dalszego rozwoju, to nie sprosta mu nigdy Słowiańszczyzna, która dopiero się musi organizować, jeżeli wogóle zdobędzie się na inicyatywę organizacyjną. W wielkiem spotkaniu słowiańsko-niemieckiem role obu stron są równe. U nas wszystko gotowe do dalszego czynu, u was jeszcze nie postanowiona jakakolwiek inicyatywa. Dlatego, wierzcie mi panowie, kto u was umie patrzeć w przyszłość, ten powinien sobie jasno i bez ogródki powiedzieć, że zwycięztwo musi być po stronie germanizmu i z tego wyciągnąć dalsze wnioski pod względem swego postępowania.

Radca chciał jeszcze dalej mówić, lecz służba oznajmiła, że już czas na kolej. Żegnali się więc Niemcy, dziękując za gościnność. Zjawił się także ten z grona Polaków, który zaraz na początku rozmowy wysunął się był do przyległego salonu i tam skrzętnie spisywał cały tok rozmowy, a na którego życzenie, uprzejmy gospodarz przyjął był berlińczyków.

Wszyscy wyszli na taras pałacowy, przed którym stał już pojazd. Dzień był śliczny, pogodny, prawdziwy polski jesienny. Drogą od wsi szła

spora gromada dzieci ze szkoły. Zdala dolatywał śpiew ich wesoły.

Radca wskazał ręką ku nadchodzącej gromadzie i zawołał: — Patrzcie panowie, oto idzie ku nam przyszłość. Oto młódź wasza, w naszych chowana szkołach, raduje się życiem i napełnia pieśnią germańską pola i łany. A wy jeszcze wątpicie, jeszcze nie wiecie, w którą stronę zwrócić wasze kroki? Do nas panowie, do nas!

I stał tak zapatrzony na tę wieś polską i na te niwy, ciągnące się wokoło, jak gdyby w zachwycie obejmował to wszystko duchem w posiadanie.

Gromada dzieci zbliżała się ciągle drogą, biegnącą opodal pałacu. Oto słychać już tony ich pieśni, coraz wyraźniej, coraz głośniej.

Lecz cóż to! Cóż te dzieci śpiewają! Radca nadstawia ucha, łowi coraz mocniejsze tony, twarz jego przybiera stopniowo wyraz zdziwienia, potem zaniepokojenia, wreszcie oburzenia. Aż w końcu wyrywają mu się z ust słowa: *aber das ist ja unerhört!* Siada wraz z towarzyszem prędko do powozu, woźnica zacina konie i pojazd rusza ku bramie.

A dzieci już są blizko, już mijają lasek, wstrzymujący nieco ich głosy. I radosna, czysta, ku niebu słana stu głosami srebrzystemi, popłynęła pieśń dziecięcia po niwie ojczystej i po wiosce się rozlała i wzmogła echem stukrotnem, potężna i żywa i nadziei pełna. To pieśń dni dawnych i poranku przyszłości, śpiew ojców, gdy wracały legiony, dziś po Wrześni przedziwnie i coraz więcej przez lud nasz śpiewana, o tej, za którą

cierpieć go uczą i pracować dla niej i rosnąć i działać — o tej, która jeszcze nie zginęła.

A w jasności i purpurze jesiennego zachodu, wśród dźwięków hymnu zmartwychwstania, jak czarna plamka na tle złocistem, z każdą chwilą mniejszy, uciekał w dal pojazd, uwożący brandeburskich Niemców.

GRENZKATER.

K*ater* znaczy po niemiecku kot męski, czyli kocur. Służy zaś Niemcom ta nazwa jako symbol uczucia niemiłego, które jest skutkiem obżarstwa lub opilstwa. Istnieje zatem *Weinkater* po winie, i *Bierkater* po piwie, i afrykański, gdy Izba sprawdza rachunki kolonialne i francuski, od zakończenia konferencyi w Algeziras. Ale one wszystkie przerasta i wzmaga się ciągle najniemilszy, najpodlejszy, i mówiąc słowami wszechniemieckiego retora, poprostu nieprzyzwoity, *Grenzkater*.

Krąży on wszędzie tam, gdzie szowinizm pruski swoją kulturą uszczęśliwia szczepy ościenne, więc w Szleswiku północnym i po wsiach Lotaryngii, a najbardziej na przestrzeni ogromnej, od gór śląskich do równin nadbałtyckich. Zajmuje granice najważniejsze i trapi nietylko Niemców kresowych, lecz także innych w samem łonie ojczyzny, przez współczucie dla tamtych, a niemniej, bo naraża na wydatki!

Ta melancholia kresowa, to niecierpliwienie się Niemców, że dotąd nie załatwili tak niewygodnych zagadnień, wywołało już całą literaturę.

Radzą tedy i rozumują, ale rada coraz trudniejsza, rozumowanie coraz zawilsze.

Przecież zrobiono wszystko, co tylko zdawało się potrzebnem i możliwem. A jednak kwestya kresowa, jak była, tak jest dotąd, owszem, dziś więcej, niż przedtem, otwartą. Łagodzi ją jedynie rzeczywiste uszanowanie, które żywią ludzie na prawo i na lewo dla bagnetów niemieckich, właśnie na owych kresach szczególniejszym błyszczących blaskiem.

Ale to rzecz bardzo prosta, że nikt z pośród sąsiadów nie ma ochoty pierwszy zadzierać z ogólnie i dokładnie znaną potęgą germańskiego imperyum. Nie może być inaczej.

Zato dziwnym bardzo i w dziejach nowożytnych niesłychanym jest opór tak długi własnych poddanych przeciw sile ducha i materyi, użytej z hojnością i sztuką, niedościgłą dla innych.

Rok mija po roku, prawo następuje po prawie, męczą się ministrowie, męczy sejm pruski i parlament Rzeszy i uczeni za „zielonym stołem", a chłop w Apenrade mówi po duńsku i dzieci wrzesińskie po polsku, nawet, o wstydzie, w praniemieckiej Alzacyi, po niemiecku śpiewa lud piosenki o Francyi, ukochanej Francyi.

Więc książek stosy i broszur setki i mowy na zebraniach, pytają co począć, nietylko, żeby dopiąć celu, lecz także, by nie poszedł na marne ten olbrzymi kapitał pracy i pieniędzy, już włożony w nieudane przedsiębiorstwo kresowe.

Jeździłem po nieszczęsnych kresach — woła w piśmie ludowem Teuton zbolały — i wszędzie na widok tego, co się tam dzieje, miotały mną

uczucia najsmutniejsze. Nad granicą duńską, gdym słyszał dźwięki obce i spoglądał na ten szczep maleńki, dotąd żywotny, palił mnie wstyd.

W Metzu i Strassburgu podziwiałem gmachy wspaniałe, wzniesione tam przez naszych i dobrobyt rosnący ludności, wprost psutej przez rząd, co jej schlebia, a gotowej dziś do powrotu pod sztandary francuskie. Tam owładnął mną gniew.

Ale, gdym powrócił na wschód nasz kochany, przyjrzałem się ruchowi polskiemu w Katowicach, Poznaniu i Toruniu i pomyślałem, że tu już tkwi sto lat naszej pracy, a na Śląsku lat setki, i że, licząc tylko czasy ostatnie, utopiliśmy w tych kresach blizko pół miliarda pieniędzy. Wtedy, wyznaję, że ogarnęła mnie rozpacz.

Tak być dalej nie może. Cóż powiedzą nasze dzieci i wnukowie nasi, gdy nie oddamy im kresów ojczyzny w takim stanie, w jakim być powinny, t. j. niemieckich ziemią i ludem, od dziecka do starca.

Najpilniejszą sprawa ziemi. Lecz i ona nie łatwą. Pieniądze tu nie starczą, choć mamy ich wbród. Złoto samo nie poradzi. Trzeba mu dopomódz.

W ten sposób biada niemiecki publicysta, a z nim razem inni. Najwymowniej zaś, bo oparta na cyfrach, brzmi skarga pruskiego ministerstwa. Wytłoczyła ją świeżo drukarnia rządowa do użytku sejmu, na 484 stronnicach p. t.: *Memoryał ministeryalny o wykonaniu ustawy z dnia 26 kwietnia 1886 roku, określającej kolonizacyę niemiecką w prowincyach zachodnio-pruskiej i poznańskiej.*

Tytuł obiecujący a jeszcze więcej pobieżny rzut oka na nagłówki rozdziałów i tabel. Streszczone są tam wyniki prac kolonizacyi w roku 1905 i odtworzony obraz ogólny jej działalności od chwili założenia.

Nie pierwszą zresztą, w swoim rodzaju, jest ta publikacya rządowa. Co roku drukuje sama „kolonizacya“ swoje sprawozdania, które obecnemu memoryałowi posłużyły za podstawę. Ale co roku staje się statystyka w tej mierze ciekawszą, a najnowsze, w memoryale zestawione jej wyniki, posiadają znaczenie osobne, ile że, jak dziś stwierdzonem, wywołały w kolach rządowych zamiar stanowczych, radykalnych zmian w polityce ekonomicznej na kresach wschodnich. Jakiemi zaś mają być te zmiany i jak się na nie zapatruje opinia niemiecka, zobaczymy poniżej. Zaglądnijmy wpierw do cyfr i uwag memoryału, a niemniej i do komentarzy, którymi zaopatrzyły go najrozmaitsze publikacye niemieckie.

Cyfry brzmią zrazu okazale. W ciągu dwudziestolecia wykupiła kolonizacya około 300.000 hektarów. To obszar poważny, większy niż ordynacya Zamoyskich w Królestwie.

Lecz oto zaraz odzywa się komentarz i to podwójny, rządowy i prasy. Rząd w swojem sprawozdaniu skarży się, że dwie trzecie owej ziemi należało już poprzednio do Niemców. Samych dóbr rycerskich sprzedali Niemcy 189.

A prasa dodaje: Byłoby ich jeszcze więcej, byłyby to niemal wszystkie dwory niemieckie na kresach, gdybyście tylko przyjmowali każde ofiarowane wam kupno. Na sprzedaż, byle drogo, jest

dziś każdy posterunek niemiecki na wschodzie. I nietylko prasa tak mówi.

Z wyżyn tronu, z ust samego monarchy, zabrzmiało to napomnienie do ziemian germańskich, by nie frymarczyli tą glebą, o którą toczą się zapasy.

Ale któż ich powstrzyma, komuż uwierzą, że przyjemniej wytrwać na zadłużonym po uszy, dla spekulacyi kupionym folwarku, gdy tensam rząd, co ich gromi, wyciąga ku nim worek złota i płaci, płaci, bez końca i miary.

Memoryał opowiada nam, jak kolonizacya płaci. Z początku najwyżej po 700 marek za hektar, w roku zaś ubiegłym w Poznańskiem przeciętnie po 1365 marek. A zatem w ciągu lat niewielu cena niemal zdwojona, gdy odrazu, pierwotnie, już była wysoką. Czyż dziwnem, że kolonizacya poprostu nie może się opędzić od Niemców, coraz natarczywiej rzucających jej swą ziemię w ręce.

Nieraz opędza się przecież, gdy cena zbyt przesadna, gdy wiadomo, że właściciel ma pieniądze i kredyt. Nie zważa na groźbę, że kiedy rządowi wieś nie miła, będzie miłą Polakowi. Niebaczna, bo oto jeden z agentów polskich ogłasza, że sam już 60.000 mórg wykupił od Niemców i odprzedał Polakom. Więc żartem nie są takie groźby i ceny za ziemię nie można zniżać. Owszem, należy ją podwyższać, wyśrubować tak wysoko, by wreszcie nikt, prócz państwa, nie był dość bogatym do kupowania ziemi kresowej.

Ale na to trzeba znów i ciągle milionów, może wreszcie miliardów, a za te góry złota osięga

się jako pierwszy, bezpośredni wynik, emigracyę samoistnej, prywatnej kolonizacyi niemieckiej.

Pozostaje rządowa, która dotąd sprowadziła, ogromnym nakładem, kilkadziesiąt tysięcy chłopów niemieckich na owe kresy nieszczęsne, wydające rocznie nadwyżkę narodzin polskich, większą niż ów sprowadzany przybytek niemiecki.

Bo germańska rzesza spekulantów nietylko, że chętnie pozbywa się ziemi kresowej, ale nawet, gdy na niej zostaje, jakoś nie chce rodzić tak, jak rodzą Polacy. Nie chce i kwita. Poradzić na to nie potrafi nawet książę Bülow, choć wyzwał swoich od zajęcy, a lud polski od królików. Więc frasuje się rząd i wstydem okrywa, jako, że nieudana sprawa sprawcy zawsze dokucza.

A komentarze rosną i szerzą się po kraju, i do starych przybywają nowe. Tu *Berliner Zeitung* wylicza niemieckie handle, które nie zniosły współzawodnictwa sklepików i „vereinshausów", powstałych z ramienia rządowego, tam znów socyalistyczny *Vorwärts*, uczciwa, katolicka *Kölnische Volkszeitung*, zajadły, lutersko-pruski *Geselliger* i filosemickie *Pos. Neueste Nachrichten* stwierdzają każde w swoim tonie, coraz widoczniejszą chęć prywatnych żywiołów niemieckich składania całej pracy narodowej na barki urzędowe. Chór zaś gazet śląskich wtóruje im żałośnie, wołając: Nie było u nas sprawy polskiej nigdy, przenigdy, a teraz jest i zagnieździła się na dobre.

I ponad to grzmi wielki bęben hakaty i trąby grają larum, a w głównej kwaterze gorączkowo pracują wodze nad kuciem nowych planów, lepszych obrotów, straszniejszych jeszcze niż dotąd,

machin bojowych. Weźmy do ręki jeden z ich dziennych rozkazów.

Na kresach — piszą — coraz goręcej, powietrze coraz duszniejsze. Po burzach, które już przeszły, zbierają się nowe, ciężarne piorunami, ani na chwilę nie rozjaśnia się niebo, znikąd promienia słońca, znikąd zapowiedzi pogodnego błękitu, dnia wesela i szczęścia, gdy na niwie granicznej jeden tylko będzie pasterz i jedna owczarnia, zgodna, pobożna, rzesza czarno-biała, pruska.

Twardnieją serca i zacina się zawziętość, a kto w tych walkach obawia się razów, lub nie spodziewa się zysku dla siebie, ten wymyka się chyłkiem, albo też otwarcie.

Żydzi najpierwsi. Co roku ich mniej na kresach polskich. Dawniej spotykano ich po wsiach. Dziś i z miast znikają. Są miasteczka, gdzie ich już wcale niema, n. p. w Bninie pod Poznaniem. W stolicy wielkopolskiej przed laty trzydziestu na każde dziesięć tysięcy mieszkańców było ich 1279, zaś w r. 1905 tylko 424. Jedno miasto w Galicyi liczy nieraz więcej Żydów w swych murach, niż cała dzielnica poznańska.

Tak biadają gazety niemieckie, zawodzą mówcy na zebraniach i wiecach. A potem grożą i ciskają przekleństwa przeciw słabym na duchu. Im grono mniej wytworne, tem owe skargi i groźby szczersze. Na głuchej prowincyi, w małych miasteczkach, gdy letnią porą, w ogródkach, gromadzą się *Vereiny*, tam polski przechodzień nieraz może usłyszeć najpiękniejszą spowiedź pragermańskiej duszy. Tam nie krępują nikogo żadne względy. Przy-

patrzmy się zatem przez chwilę takiemu obrazkowi z życia.

Oto powstaje wśród zebranych jakiś rudowłosy apostoł i zaczyna mówić o kresach. Najpierw chwali to, co już zrobiono dawniej i w czasach ostatnich. Dla oka przyjemnym jest widok prowincyi, w której tyle rzeczy jest niemieckich. Wojsko i urzędnicy i kolej i poczta i szkoła — to wszystko nasze niemieckie. Można przejechać przez ten kraj, nie domyśliwszy się nawet, że on jeszcze wcale nie nasz. Ale kto nietylko tu przejeżdża, ale zostaje i mieszka, ten za chwilę dowiaduje się, jak bardzo owe pozory mylą. Tu na kresach wschodnich siedzi półczwarta miliona ludzi obcej rasy, którzy istnieją, działają i krzewią się dalej. Na zniemczenie tych milionów nie znaleźliśmy dotąd środka. Zawiodło wszystko, czego próbowano. Owszem, każda z ustaw niemczących, wywołuje wśród Polaków odruchy nowej energii.

I mówiący wpada w złość. Potrząsa rudą grzywą, która, jakby z płomienia, otacza jego oblicze. Wzywa do boju cały naród germański, a potem znów biada, że synowie Arminiusa tak mało dbają o treść prawdziwą narodowej pracy, zadawalniając się pozorami.

Lecz gdy tak mówi, pośród zebranych odzywają się głosy protestu. Jakiś starszy kupiec oświadcza, że, co zanadto, to niezdrowo, a że właśnie w sprawie polskiej hałasuje się za wiele i że taka polityka, jak obecna, szkodzi, co prawda, Polakom, ale Niemcom nie pomaga. On sam traci teraz rocznie część dawnych zysków, bo żaden

Polak nie zbliży się do jego składu. Byłoby lepiej zachowywać się nieco oględniej.

Zaczyna się dyskusya, zdania są podzielone. Wreszcie większość godzi się na zdanie rudego apostoła, że wszystko pójdzie lepiej, byle Izba uchwaliła prawo przymusowego wykupna ziemi polskiej. Gdy ziemi mieć nie będzie, gdzież podzieje się Polak? Nawet w miastach kresowych będzie mu ciasno, bo wielu z nich żyje głównie ze wsi.

Tak na zebraniu w ogródku nadnoteckim załatwiono sprawę kresową.

Ale rząd w Berlinie mniej łatwe miał już i mieć będzie w tym kierunku zadanie. Memoryał wydrukował i rozdał go posłom, a z filarami stronnictw zaczął rokowania o przeprowadzenie takiej ustawy, któraby nareszcie załatwiła stanowczo coraz nieznośniejszy dylemat polityczno-agrarny.

Zapomniał wszelako, że patryotyzm niemiecki na punkcie kresów wschodnich jest potulnym, dopóki złoci go hojność państwowa, lecz staje się wielce krnąbrnym, gdy pieniężne ponosić ma ofiary. Bo zaledwie projekt rządowy stał się jawną tajemnicą, aliści zewsząd posypały się przestrogi i nawet zapowiedzi bezwzględnego oporu.

Wiadomem jest, że agraryusze niemieccy, że konserwatywna gwardya rządowa ani słyszeć nie chce o przymusowem wywłaszczaniu Polaków. Ustalaby konkurencya w handlu ziemią, nastąpiłby przewrót cen, a z nim przesilenie rolnicze w dwóch dużych dzielnicach, którego skutki odbiłyby się i dalej.

Najciekawsze zaś, że i liberalne gazety, zazwyczaj dla rolnictwa słabe okazujące sympatye, tym razem poddały plan rządowy ostrej krytyce. Nawet dość blizki kanclerzowi, przynajmniej na punkcie polityki antypolskiej, *Berliner Tageblatt* zdobył się na odprawę, dziwnie brzmiącą w jego łamach. Nazywa on plan rządu radykalnym, oświadcza, że jest mu stanowczo przeciwnym i przestrzega przed niebezpiecznymi wynikami.

A jednak i on i większa część z pomiędzy przeciwników projektu radaby pozbyć się widma polskiego jak najprędzej, chciałaby nieznośny polski cierń usunąć koniecznie z ciała niemieckiej ojczyzny. Tylko nie tak, by usuwając cierń, zranić to ciało straszliwie.

Więc kłopot i smutek powstaje w duszach niemieckich. Nie zważają one na głosy roztropne we własnym narodzie, które wspominają dawne czasy bez kolonizacyi i pacierza niemieckiego i hakaty, a w których podobno nie gorzej działo się Niemcom na wschodzie niż dzisiaj.

Takie głosy puszcza szowinizm pruski mimo uszu. Rozpętawszy hydrę walki rasowej, spętać jej nie chce i zresztą nie może. Ale nie tai już przed sobą samym, że z rozrostem jej przybywa mu trosk i że potrzeba mu będzie nowych a nadzwyczajnych wysiłków, nie tylko woli, ale i rozumu, by sobie nie szkodząc, wroga jeszcze srożej uciskać.

Na te smutki germańskie spoglądają także ci, których sama nazwa jest dla Niemców odrazą...

I gdy napór coraz straszniejszy, obrona coraz uciążliwsza, z ran otwartych krew wypływa i soki

żywotne, a słabsi na duchu pytają się trwożnie, zali wytrzymamy, wtedy, acz pociecha daleka i widma nowych nieszczęść roją się przed okiem, widzimy, że i nad tamtym obozem nie różowieje dotąd jutrzenka tryumfu, lecz w ciemnej pomroce zawiści krąży zmora nocy bezsennych, widziadło natrętne, złowrogi, ogromny, *Grenzkater*.

TREŚĆ.

ERRATA.

Str. 40 wiersz 14 od dołu *zamiast* potrafi go zatrzymać,
ma być potrafi j e zatrzymać.
„ 46 wiersz 8 od góry *zamiast* zapasy szczęśliwe.
ma być zapasy n i e szczęśliwe,
„ 243 wiersz 8 od góry *zamiast* 7.5000 marek,
ma być 7.500 marek.
„ 261 wiersz 6 od dołu *zamiast* dzielnicach,
ma być dziedzinach.
„ 271 wiersz ostatni od dołu *zamiast* $1^{0}{}_{0}$,
ma być $10^{0}/_{0}$.
„ 299 wiersz 3 od dołu *zamiast* jednoczących,
ma być podnoszących.
„ 300 wiersz 5 od góry *zamiast* ludzi,
ma być ludu.
„ 399 wiersz 15 od góry *zamiast* są równe,
ma być nie są równe.